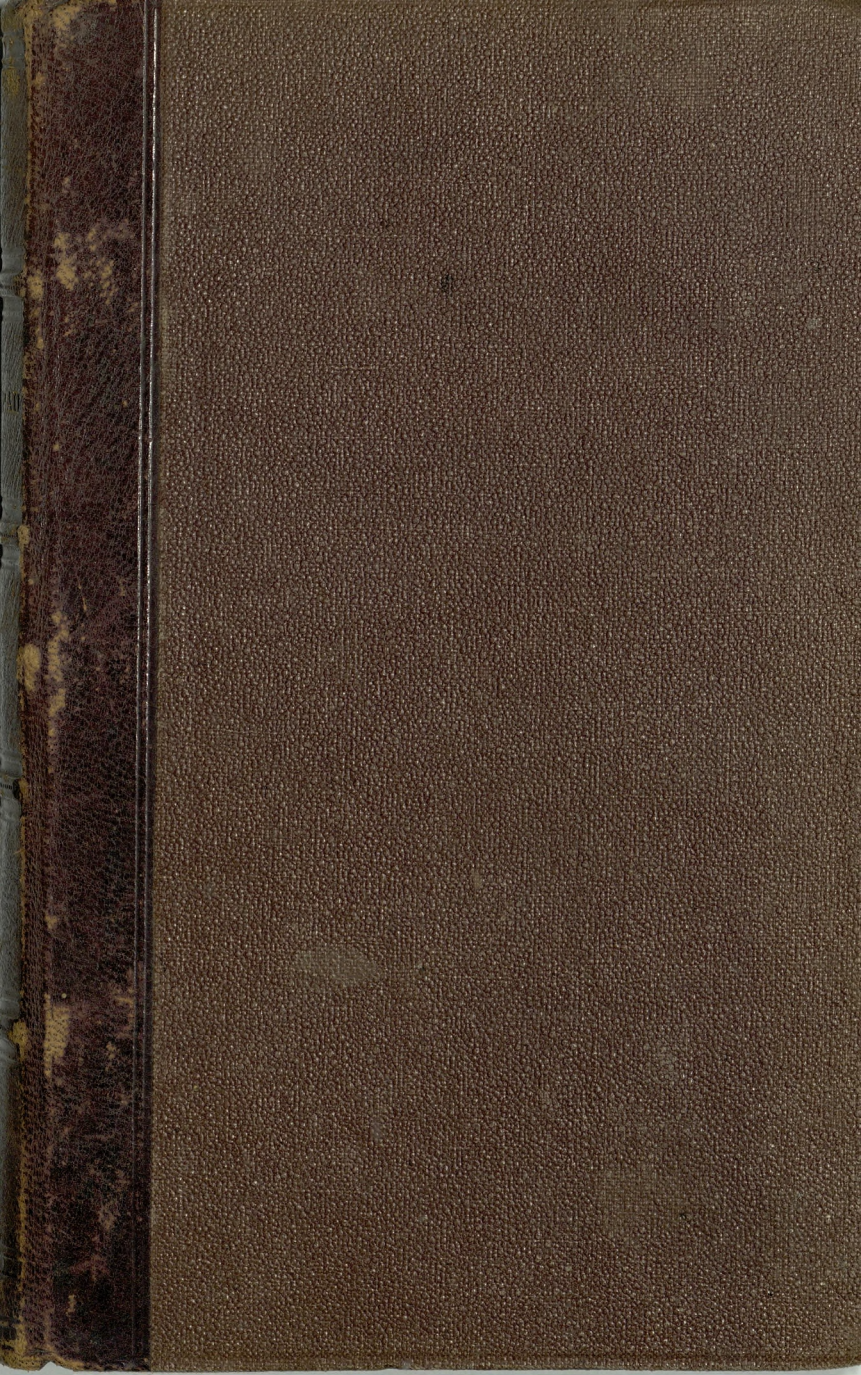
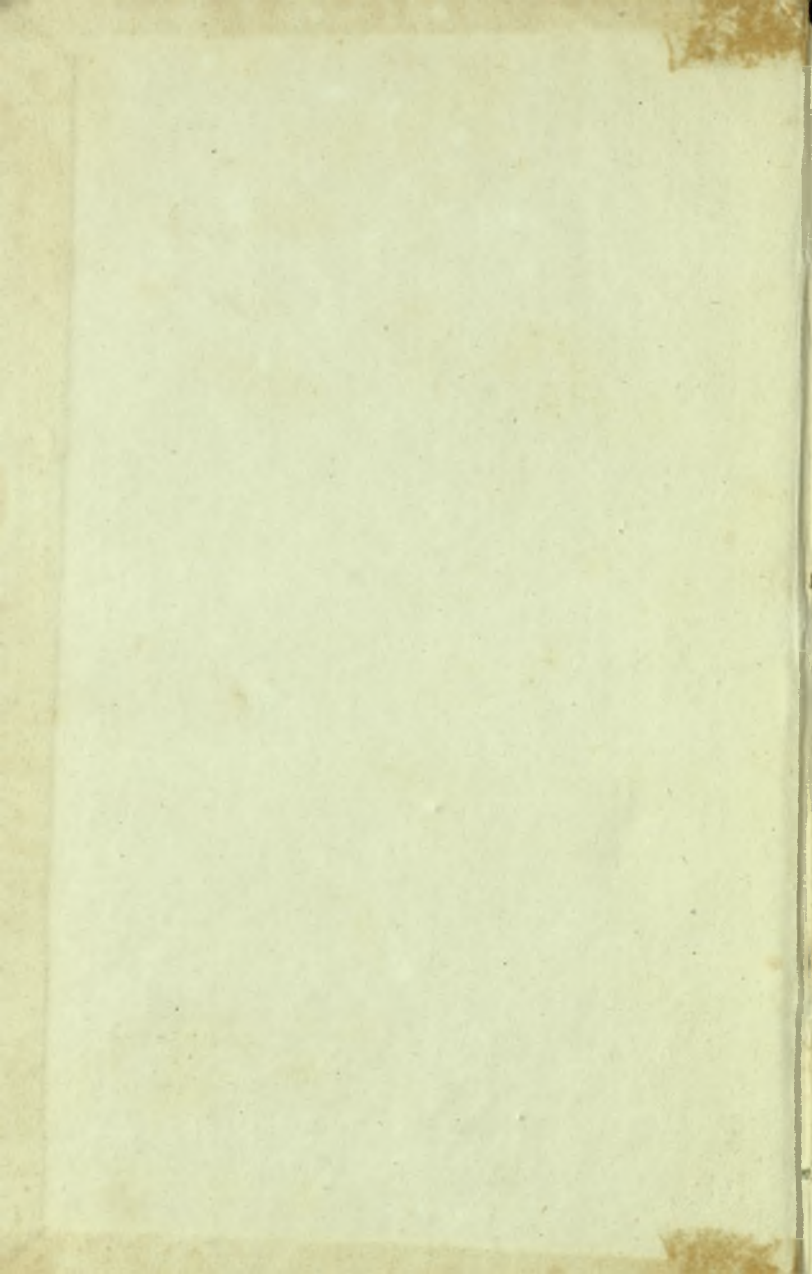


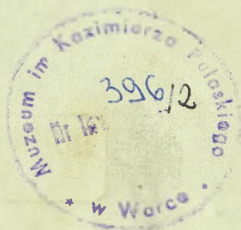




6000

DOBRA GRABOWO.
WAGA.

MUZEUM
im. Kazimierza Pułaskiego
Winiary, Łódź
Nr inw 396



LISTOPAD.

L I S T O F A D

LISTOPAD,

ROMANS HISTORYCZNY

Z DRUGIEJ POŁOWY XVIII WIEKU.

p r a c a

**Autora Pamiętek Starego Szlachcica
Litewskiego.**

WYDANIE NOWE POPRAWNE

we 2ch Tomach.

Ozdobione portretem na stali

XIĘCIA KAROLA (*Panie Kochanku*) RADZIWIŁŁA.

Nam cunctas nationes et urbes, singuli aut primores, aut
populus regunt. Delecta ex his et consociata forma facillius
laudari quam evenire, vel si evenit, haud diuturna esse
potest.

CORNELIUS TACITUS.

—o—o—

Fortuna variabilis, Deus admirabilis.

*Słowa powiedziane Karolowi Gustawowi przy grobie Kró-
lów Polskich w Krakowie, przez jednego z Kanoników.*

Tom II.



**DOBRA GRABOWO.
WAGA.**

W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1 8 6 2.

LISTOPAD.

ROMANS HISTORYCZNY

Z DRUGIEJ ROZDZIAŁU XVII WIEKU

Autora Pamieci Starożytności
Litewskiej.

WYDAJE SIĘ W WILNIE

W Drukarni Księżnej

Za pozwoleniem Cenzury, 2 Lipca 1862 roku. Wilno.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Tom II.

WILNO
1862

WILNO

Wydawnictwo Księgarni Księżnej

1862

I.

Przedwstęp do Konfederacji.

Od godziny piątej z rana, ruch był wielki w zamku Nieświezkim. Liczny dwór, liczniejszy jeszcze orszak przybyłych przyjaciół radziwiłłowskich, wszystko to się snuło po obszernych salach zameczyska, czekając kiedy ich książę przywoła, bo wszystko to się zebrało na wielkie łowy przygotowane w Nalibockiej puszczy. W sali dotykającej sypialni księcia był komin olbrzymi, gdzie, jak w hucie, w jaskrawych płomieniach niknęły sążniste kłody; w około gościnnego komina, szlachta rozmawiała, posilając się piwem grzanem ze śmietaną i twarogiem, które dworska usługa roznosiła kuflami. Wszyscy się dziwowali, że tuż tuż szósta dochodziła, a książę, tak ranny zwykle, dotąd się nie pokazywał. Zastanawiali się nad tém w milczeniu, kiedy pan Karol Ryś, postawiwszy na kominowym gzymsie wyprózniony kufel, pierw-

szy się odezwał—Cóż to, u stu par djabłów! Xiążę jegomość nas obwieścił, że dziś na nas czekają niedźwiedzie w Nalibockich lasach, a wczasu nad swój obyczaj zażywa. Szósta dochodzi, a nas nie wołają; ja słucham a podsłuchuję podedrzwiami, a niczego podsłuchać nie mogę. Wiecie panowie bracia, że coś jak gdyby mi szeptało, że wkrótce zrobi się coś nadzwyczajnego.

— Chyba pan strażnik nie wiesz, rzekł pan Bonifacy Sołohub, że przed północą przybył umyślny z Warszawy do xiącia z jakąś ważną expedycją, i bardzo ważną kiedy aż xiącia obudzono. Jakiś to koroniasz nam nieznamy, a który papiery wręczywszy xięciu, znikł jak kamfora. A xiążę pan zaraz posłał po pana Bohusza, który odtąd z nim siedzi zamknięty.

— Tak się rzeczy ale mają? mieszając się do dyskursu ozwał się pan Sabiński. No kiedy ale tam siedzi pan Bohusz ale, to będą nieprzelewki. Kiedy xiążę ale z panem Bohuszem godzinę pokonferuje, to to, co się z téj godziny ale wywiąże, mało roku żeby to tylko opowiedzieć ale.

— Kiedy tak, odparł pan Rys, może xiążę nas poprowadzi na polowanie innego rodzaju.

— A niech nas pan Bóg broni od nowej włóczęgi, bęknął pan Płaskowicki, stary podczaszy nowogródzki.

— A to znowu co takiego, mości podczaszy, odrzekł pan Jan Wazgird, pluń na to coś powiedział, ażebyś tego drugi raz nie wymówił. Aż przykro nam siedzieć w bezczynności. Dałby Bóg żeby się nowa konfederacya podniosła, tylko nie taka jak Radomska, co wiele gada, a nic nie robi, ale prawdziwa konfederacya, gdzieby się bić można. Pamiętasz panie strażniku, jak to my się

dobrze bawili zaraz po sejmie elekcyjnym, aż miło, bo co w oczy, to nieprzyjaciół.

— At, pleciesz zwyczajnie jak młody, odpowiedział pan Płaskowicki, albo Wpanu w głowie, co to jest wojna domowa. Ja, chwała Bogu, chociaż mógłbym być dziadem Wpana, nigdy nie byłem ostatni do siadania na koń, i nie odmieniłem mojej natury, a jednak lubo jestem karmazynowym szlachcicem, pozwoliłbym sobie do szubienicy przyczepić, byle mi zaręczono, że po mojej śmierci święta zgoda na zawsze utwierdzi się w narodzie.

— Daj pokój panie podczaszy, przerwał pan Rys, tego my się nigdy nie doczekamy; jak nie będziemy się konfederować legalnie i porządnie, to będziemy napadać na siebie o grunta, o polowania, o emulacye sejmikowe. Taka nasza natura, a dalibógże dobra; na co daleko szukać, macie przed wami naszego Wazgirda, wszakże teraz jest pokój w narodzie, a czy mu to przeszkodziło polecić z Nieświeża do Niewodowa jakby z procy, podstrzelić nielada gracza, i potem powrócić jak-by po odbytym odpuszcie. Mój Jasiu, tegoś się nam popisał, niechże ciebie za to uściskam; opowiedz nam po szczegółach jak tam było, wszak jesteś między swojemi.

— Proszę pana strażnika w tém mnie zaniechać, bo do niczego się nie przyznam: jest to dla mnie materya tak drażniąca, że o niej i słuchać nie chcę. Wolemy zgadywać co też nasz xiążę odebrał z Warszawy, i co on uradza z panem Bohuszem.

Na te słowa, pan Tadeusz Rejtan, który dotąd chodził zamysłony po sali, przybliżył się do nich i rzekł.— A na co ta ciekawość panie Janie? wszak nas uczono, że ciekawość jest pierwszy gradus do piekła. Czyż dla

nas nie dość, że możemy być pewni, że to co uradzą będzie pocziwem; nasza rzecz słuchać co starsi każą, i oddać siebie Bogu. Wiem że my się zebrali, żeby uderzyć na Nalibockie niedźwiedzie, i to mnie mocno zadziwia, że nam nie dostaje kilku znakomitych myśliwych, co zawsze pierwszemi byli do podobnej zabawy.

— Naprzykład? odezwał się jeden głos.

— Pierwszy pan porucznik Korsak, co nigdy nie spuścił do zwierza.

— Albo nie wiesz, na to pan Czeczot, że trzeci dzień jak go wyprawił jw. strażnik wielki Litewski aż na Ukrainę za kupnem koni dla swojej chorągwi. Wczoraj do mnie wstąpił po drodze na obiad, i wam wszystkim kazał się kłaniać.

— A nierozzerwani przyjaciele Węclawowicz i Koryzna, ciągnął pan Rejtan, co to nigdy żadnego polowania nie opuścili, co to jest że ich dotąd nie widać?

— A chyba nie słyszeliście o ich przypadku, odezwał się z żalością pan Leon Borowski, który do zbytku zawsze wesoły, teraz siedział ponury i zamyślony.

Wszyscy Albeńczycy powstawszy go otoczyli prosząc by im to opowiedział.

— Oni, jak wam wiadomo, z łaski xięcia trzymają Nikorowicze nad wielkim traktem: onegdaj o świcie Koryzna wracając z browaru spotkał dwa powozy kryte na płozach; okna były zasłonięte, że nie można było widzieć siedzących w pojazdach, a przy nich był liczny poczet uzbrojonych żołnierzy. Koryzna zatrzymał dowódcę pocztu, zapytując go kogo on wiezie, a ten za odpowiedź kazał go natychmiast związać, wsadzić na telegę, i zabrał go z sobą: tyle tylko pozostało czasu Koryźnie, że kazał chłopcu za nim idącemu, dać wiedzieć we dworze

co się z nim stało. Jak się opowiedział chłopiec, Węclawowicz nie wiele myśląc, zebrawszy swoich z dziecięciorko dworskich, a u nich każdy dworski strzelec zawołany, z niemi konno na ratunek przyjaciela. Ale cóż się było porywać na tak przewyższającą siłę: dwóch swoich stracił, sam pokłótym zostawszy, żywcem się dostał, i jego wywieźli z tamtemi; jednak Węclawowicz djabelnie musiał nacierać, bo Nikorowiccy chłopci kilku trupów od tamtej strony zostawionych, pogrzebli obok wiejskiego cmentarza. Byłem wczorajszego dnia w Nikorowiczach— mój Boże! żebyście widzieli ich żony, a dzieci jak bobu....

—I kogoż to oni w tych pojazdach wywieźli, zapytał pan Płaskowicki?

—Zapewne że coś bardzo ważnego, odpowiedział pan Leon, ale nie wiadomo kogo, wszakże to się długo utaić nie może.

W tém podwoje xiążęcój sypialni się otwarły i Bukowski szatny, wszystkich zaprosił do xięcia.

Sypialnia xięcia była salą obszerną, z podłogą marmurową; wszystkie ściany były w niej gołe, wyjąwszy téj przy której stało wąziutkie łóżko xięcia; bo ta była wybita karmazynową makatą. Sprzętów nie było innych tylko mnóstwo stołków dębowych, a przy łóżku stał duży stół orzechowy, okrągły, na którym xiążę składał, idąc do wczasu, rozmaite rzeczy, co je zwykł przy sobie nosić, jako: dwie pary krocie nabitych, krzesiwko, kilka zegarków, sznaber do puszczenia krwi, tabakierka, paciorki kokosowe, sygnet herbowy, szpinka, pugilares, kieska, szkło do zapalania, nóż składany z kilku klingami, szabla, i t. d., bez tych wszystkich rupieci kroku nie zrobił. Zastali xięcia siedzącego w krześle przy sto-

le, a obok niego siedział pan Bohusz, i z natężoną uwagą prezierał jakieś papiery, jedne paląc, a drugie składając w pugilaresie. Dwie żółte świece, młłem światłem oświecały i stół, i przy nim siedzących mężów; reszta sali oświeconą była kominem. Xiążę miał na sobie długi kaftan z łosiej skóry, na nim ładownica zapewne dobrze opatrzona, ryngraf z wizerunkiem N. Panny Ostrobramskiej, i pas rzemienny, klamrą stalową zamknięty, z po za którego wyglądały kolby dwóch par pistoletów podróżnych. Zdawał się być pogrążonym w smutnych myślach, bo ciężko sapał, węża do dołu nakręcał, i często zażywał tabaki, z tabakierki co mu ją Bukowski, co moment otwierał. Przybycie ulubionych Albeńczyków, nie od razu było zdolne ocucić go z zadumania; wszakże gdy w milczeniu się przybliżyli, gdy otoczyli stół przy którym siedział, xiążę po chwilach kilku powstał, i powiedział—rozgośćcie się panowie bracia, i siadajcie. Albeńczycy się skłonili, ale żaden z nich nie usiadł. Xiążę, wziąwszy głowę w obie ręce głęboko westchnął, i powiedział:—Niema końca naszym utrapieniom, zaprosiłem was na polowanie, a tu na innego zwierza pójść trzeba. Mój Boże! czyż już nigdy pokojem nie będziemy się cieszyć; zdawało się, że gdy konfederacya Radomska w sejm zamieniła się, już oddychać będziemy swobodnie, a teraz sprawa dyssydentów, wszystko do góry przewróciła. Dyssydenci ze wszystkimi dworami nas pokłócili: umiano im wmówić, że chcemy wojny religijnej, że myślimy o jakiejś krucyacie: Bóg wie jakimi kalumnijami nas opaskudzili; i nieprzekonawszy się o żadnym występku, kilku członków sejmujących stanów porwano, i Bóg wie gdzie wywieziono; dostało się tam i mojemu teściowi, starcowi, który Bogu duszę wi-

nien. A wszakże Król elejkeyjny nie to co dziedziczny, bo to gatunek umowy; nasz Król nie ze krwi panującej, której sam Bóg daje władzę.— A cała ich wina, że niechcieli nadać dyssydentom przywilejów, których oni nigdy u nas nie mieli, i o których nasza konstytucya bynajmniej nigdzie nie wspomina. A sejm złotem pisał, a niewiedzieć czém zapieczętował! Nie rozumniejszego nie umiały wymyśleć stany, dopuściwszy takiej krzywdy, jak szumny manifest napisać, i rozjechać się. Koryzna i Węclawowicz dość że spostrzegli gwałt, nie wchodząc na kim, oparli się jemu jak mogli, ale nie udało się im. A to wszystko przez tego biskupa krakowskiego... Ja, jakbym przeczuwał co z tego będzie, nie chciałem przenosić sejmu z Radomia do tej utrapionej Warszawy; dowodziłem mu że u nas bezpieczniej ufać braciom szlachcie, niż szewcom i rzeźnikom; mówiłem mu że w tej opętanej stolicy my ludzie prostoduszni nie oprzem się intrygom babskim.— Bóg i ludzie słyszeli te słowa moje; ale jak zaczął xiążę Biskup pleść mnie androny, o stosunkach swoich w Warszawie, a o dyplomacyi, a o dobrym duchu mieszczań, powiadam wam że z rozumu mnie wyprowadził, uległem jego namowom, żeby mnie za zarozumiałego nie mieli. Zgrzeszyłem panie kochanku; przebac Boże xięciu Biskupowi, bo on srodze pokutuje teraz za swój błąd; ale ja od niego winniejszy, po co mi było dać zdeptać mój stary instynkt litewski przez tę nowomodną mądrość. I jak można było podejrzывать starców, którzy doczekali się zgrzybiałości, zawsze wiernie służąc Królowi i krajowi. Oni spiskowi, oni, co się dali wziąć bez pozorów! I na mnie była połapka; teraz skrobią sobie głowę w Warszawie żem wprzód wyjechał, a może tego nie powinni żałować; ja bym nie dał wziąć

siebie jak barana panie kochanku, ja bym się bronił. Zapewne że martwym lub żywym może-by mnie nakoniec i dostano, ale że trzaski-by latały i to pewna. No, no, napróżno chcieć tego, czego Pan Bóg nie chce, mamy cierpieć, niech będzie święta wola Jego— a jak będziemy przeciw niemu szemrali, to zginiemy ze wszystkiém. Dość smutku, smutek niczemu nie zaradzi, a tylko serce we flaki zamienia— trzeba nam o czémś inném pomyśleć.— Niemam nic tajnego przed wami— mojego teścia zdradził dziedziczny sługa i przyjaciel jego domu, ale ja moich Albeńczyków się nie boję— nie litewska to rzecz zdradzać. Panie kochanku, wypada nam na nowo nasze dawne rozpoczynać włóczęgi.

— Zgoda! odezwali się wszyscy, my z xięciem panem pójdziemy, chociażby i pod ziemię. Podnieśmy konfederacyę: Xięcia pana zapraszamy na marszałka, a prosimy pana Bohusza, żeby sporządził akt konfederacyi, upraszający pana stolnika Litewskiego, żeby sobie na wojaż pojechał, bo on bardzo lubi zagranicę.

— Hola, hola, odrzekł xiążę, a jakże w gorącej wodzie Alba kąpana, akt trzeba sporządzić, ale o tém co mówicie, ani słówka, przed niewodem ryby nie łapaj. Powtóre panie kochanku znacie mnie dobrze, bić się będę do upadłego, i poradzę jak umiem, może niedobrze, ale przynajmniej szczerze; wszakże marszałkowstwa za nic nie przyjmę. Już konfederacya Radomska otworzyła mnie oczy, niemam szczęścia.

— A Xiążę panie, odezwała się cała drużyna, nie godzi się nam odmawiać swojego dowództwa, wszak my xięcia pana przyjaciele.

Ale moi bracia, czy z wami, czy przed wami, zawsze będę waszym sługą, i póki chcecie z wami chodzić będę

gdzie gorąco, ale wytłómaczę się dla czego marszałkowstwa przyjąć nie mogę. Oto ja do tego niezdatny, nie umiałem się oprzeć xięciu Biskupowi krakowskiemu, a potem panie kochanku, marszałek nie tylko bić się, ale jeszcze powinien dobrze radzić, to dla mnie za wiele, wolę jednego się trzymać; na co mnie po dwa naboje kłaść w rurę. Do mnie piszą, że wedle wszelkiego podobieństwa Krasinśki podkomorzy Rożański będzie marszałkiem od korony. At sobie zwyczajnie pocziwy szlachcie, jemu z rozjazdem na przepiórki chodzić, a nie z oszczepem na niedźwiedzia, prędzej się zdrzymie na piernacie, niż osadzi tureckiego bachmata, ale mąż *de moribus antiquis*, i koligat domu saskiego. Trzeba mu więc dobrać z Litwy człowieka tęgiego, jak to mówią *de hajda*, który-by miał to właśnie czego tamtemu nie dostaje: naprzykład naszego Paca, starostę Ziółowskiego. Wszak prawda, że przeciwko niemu, niema nic do powiedzenia; wy go znacie, wszakże to nasz Albeńczyk! Już on o tej porze musi być gdzieś blisko Wołoszczyzny, ogłośmy jego marszałkiem, akceduiąc do konfederacyi koronnej, a jeżeli wasza łaska, podejmuję się pod nim regimentarstwa, żeby przed wami iść tam gdzie generalność rozkaże.

—Zgoda, zgoda, krzyknęli wszyscy, niech żyje Pac, marszałek konfederacyi Litewskiej, i xiążę Karol Radziwiłł, regimentarz generalny naszej prowincyi! Prosimy pana Bohusza żeby akt raczył zapisać, a my na siebie gotowi jesteśmy dać sponsiję, że to co tu postanowiemy, cała Litwa tego nie zaprze.

—Panie kochanku, odrzekł xiążę obracając się do pana Bohusza, napisz waść co potrzeba, ale tak jak umiesz, krótko i węzłowato.— A do zgromadzonej szlachty—wiem

że żaden poczciwy Litwin nas się nie zaprze, zapytuje więc was, czy w imieniu waszém i braci waszój rozsypanych po domach swoich, szlubujecie mnie ufność i posłuszeństwo?

— Jeżeli na to przysięgi potrzeba, prosimy o krucifix, odpowiedziała jednomyślnie szlachta.

— Nie, aż nadto dostateczne słowo wasze.

— Mości xiążę, odezwał się pan Bazyli Czeczott, gdy już tak rzeczy zaszły daleko, a nas nie garstka przecie, proszę nam oświadczyć, gdzie na gorącym razie uderzyć mamy; bo te kunktowania na nic się nie przydadzą. Ja mam jakieś przeczucie, że niepodobne rzeczy nam się udadzą, jeżeli uderzym nie tracąc czasu, a że nie z tego nie będzie jak rzecz pójdzie na delatę.

— Nie, panie kochanku, napróżno tu powstawać, przeciwnicy nasi zalewają Litwę; jak się porwiemy, zgniotą nas jak rude myszy; nam trzeba przedrzeć się na Ukrainę. Porta ottomańska obiecuje nam posiłki. Jak słońce zejdzie, ztąd wyruszę ku Ukrainie, żeby się przedrzeć do pana Joachima Potockiego, podezaszatego litewskiego, który na mnie czeka: w trzydzieści koni co najwięcej wyruszę, żeby nie dać podejrzenia o sobie nieprzyjacielskim czatom. Ze mną będzie pan Bohusz, sekretarz generalny konfederacyi, pan Michał Rejtan, pan Bonifacy Sołohub, pan Leon Borowski, pan Seweryn Soplica, a oprócz nich kilkunastu sług moich, którzy zawsze i wszędzie mnie towarzyszą. Szabansiu, oni do twojego departamentu należą, ich więc za mną poprowadzisz. Żywności ani dla siebie, ani dla koni nie potrzebuję, bo my przecie iść nie będziemy *per Arabiam desertam*. Od komina do komina zajeżdżać będziemy, i każdy nam da chleba i owsa. A wiem że każdy ma broń

opatrzoną i ładunki w zapasie, bo to u mnie tak z dawien dawna we zwyczaju. Wy panowie bracia starajcie się, każdy z tём co zbrojnego za sobą poprowadzić może, ściągając się do Baru, tylko małemi kupkami, bo tam zebrać się mamy. Wybuchnie swojego czasu i na Litwie konfederacya, ale nie teraz, jeno jak za sobą w Ukrainę wojska przywabiemy, wtedy będzie dla niej pora. Waszeć panie Tadeuszu Rejtanie ruszaj sobie do swojego Berezdowa, masz jakąś nadzieję na swoich Witebszczanach, probujże z niemi szczęścia panie kochanku. Może tam Bóg da co dobrego, a moi komisarze z Newla, Siebieża i Kopysia będą na twoje zawołanie. Waszeć mości Antoni Rupejko, ruszaj sobie do Żmudzi, cywunuj sobie w swojej Eyragole, i tam cicho siedzieć, nie dając siebie w podejrzenie, póki się o mnie nie dowiecie, święta teraz cierpliwość, a swojej pory będzie i na mężstwo czas. Waszeć mości Bazyli Czeczott, zaraz jedź do Luszek, i tę expedycę wręcz panu Żabie kasztelanowi połockiemu, ale żeby ona koniecznie jego rąk doszła, w tём na waszeci się spuszczam, bo wiem panie kochanku żeś zręczny jak lis, a pan kasztelan już ci powie co masz robić. A waść mości chorąży starodubowski zostaniesz w Nieświeżu, będziesz administrował mojemi dobrami, jakeś dotąd niemi administrował, i co będziesz mógł dosyłać mnie pieniędzy, żeby ja i moi nie pomarli z głodu. A żeby w niebytności mojej żonom Węclawowicza i Koryzny na niczём niezbywało. Pamiętaj o moich starych sługach, którzyby radzi iść ze mną, tylko że ani siła, ani wiek potemu; a proszę cię mój Radzisziesiu, żeby moja psiarnia nie sparszywiła, przynajmniej dwa razy na tydzień, każ dodawać mięsa do o-sypki. Opuszczam teraz Litwę, ale mam w Bogu na-

dzieję, że do niej wrócę, a może prędzej niż się spodziewają. Żegnam was, bo za godzinę *plus minus*, już mnie ztąd wyruszyć trzeba.

Tu się przybliżył do Xięcia pan Wazgird:— ach! mości xiążę, rzekł, czyż ja tego nie wart, bym xięciu panu teraz służył; jestem we wszelkiej gotowości. Szabla dobra u boku mojego, druga w zapasie, sztuciec garłacz, gdzie półtuzina kul oprócz lotek wsadzić można, pistolety ponabijane, pas pełen ładunków, koń podemną doświadczony, takiż i pod moim luzakiem. Niech xiążę będzie pewny, że w potrzebie nie będę zawadzał.

— Poczekaj panie kochanku, mam ja co innego dla waszeci, a jak moje zlecenie spełnisz, to jakoś się złączysz ze mną. Świat choć bardzo szeroki, ja jeszcze z niego wynosić się nie myślę, więc mnie na nim znajdziesz. Teraz powiedz no mnie, co to miałeś za przeprawę z bratem naszego wojskiego, co to w Nieświeżu was wszystkich swoim tańcem tak oczarował.

— Nie xiążę panie, pojechałem do Niewodowa z atencją dla wuja generała, tam zastawszy pana starostę wdałem się z nim zwyczajnie w dyskurs, aż mnie coś przymówił, a przynajmniej tak mi się wydało, a że mi się z tego nie chciał usprawiedliwiać, zaprosiłem go w taniec. A wie xiążę pan, że starosta, lubo kuso się nosi, jest gracz. Tak mnie brał na cel, że aż gorzko było w gębie, ale na moje szczęście pistolet jego pstryknął, mój wystrzał był szczęśliwszy bo go powalił. Żałuję że mi nie przyszło do myśli przed rozprawą wy mówić, że kto zwycięży, zostawi przy sobie broń przeciwnika na pamiątkę, bo jego pistolety prześliczne.

— Waść nie bałamuć panie Janie, to nie poszło z przymówki, było tam coś innego. Wyspowiadaj się

Wpan głośno; między nami święta szzerość, wszakże my wszyscy Albeńczycy.

— Ot ja powiem waszój xiążęcój mości całą prawdę, choć mi wstyd o tém mówić. Przyjaciele mnie ostrzegli, że ludzie gadają, jakoby pan starosta zalecał się mojej siostrze, a narzeczonej swojego brata, i że te rzeczy już daleko zaszły. Ja, troskliwy o sławę mojej krwi, nie nie chcąc czynić na oślep, pojechałem do Niewodowa, żeby się przekonać czy ludzie myślą się, czy nie, czy prawda, czy potwarz. Cóż xiążę pan powiesz, w samej rzeczy tak było: okiem tylko rzuciłem, i poznałem całą rzecz; a pan Michał jaki rozumny, a tak ślepy, tak zawojowany od tego franta, że jakby nic o niego nie chodziło. Ja po odbytej sprawie ze starostą, a trzeba wiedzieć że w Niewodowie dotąd nikt się nie domyśla że on leżał z mojej łaski, otoż opuszczając Niewodów, poszedłem pożegnać Zosię, i jój się przyznałem że to była moja robota, a przytém bez ogródki powiedziałem— pfe sestro, gniazdo swoje hańbisz, zmusiłaś mnie ujmować się za twoją sławę. Jeszcze drga ten gach oberwawszy za swoje, ale ty powinabyś Boga prosić, żeby go djabli wzięli. Ja z mojej strony robiłem co mogłem, żeby w związku twoim z panem Michałem nikt nie kładł palca między młotem a kowadłem, bo jeżeli szczerze do mnie mierzono, to też i jam nie żartował. Alboż to moja mowa pomogła! stała blada jak trup, aż złości brały na to patrzeć. A słyszałem że panicz już się wylizał, o swojej sile przechadza się po izbie; ale ja się poprawię, ta bieda jeszcze się nie skończyła, na infamię mojej krwi pozwolić nie mogę. Jak przyjdzie do zupełnego zdrowia, zaproszę go żeby się odegrał, ja zawsze gotów, ale i on nie od te-

go, bo za cóż bym nie miał oddać jemu sprawiedliwości— on ma serce.

— Nie, nie panie kochanku, tu czego innego potrzeba; mój Boże! co też to za ładaco, do narzeczonej brata, jeszcze tak dobrego się palić; jak gdyby już nie mógł znaleźć; a Zosia, Zosia, ktoby temu uwierzył, że do podobnego paskudztwa się skłania. Taka dobra dziewczyna, tak przywiązana do ojca, cośmy ją uważali jako wzór dziewcząt; ale cóż się dziwić, że tak szeszwanym lis niedoświadczoną dziewczkę zbałamucił. Otoż to szkoła wielkiego świata, przebrzydłe wychowanie za gorami. Nasze stare generalisko, nasz wojski śmiały jak lew, pokorny jak zakonnik, a dobry że go do rany przyłożyć można, kapłani którzy tego domu staropolskiego nigdy nie opuszczają, wszystko to poodrwiwał ten niecnota; i potem na czwartkowych obiadach będzie bawił swojego pana naszą łatwowiernością. To prawda że my łatwowierni, tymesmy zawsze grzeszyli. My nadto poczciwi na terażniejsze czasy, dla tego też nam nie się nie wiedzie.

Tu wstał xiążę i mocniej zaczął kapać, szerokimi krokami mierząc komnatę swoją, a pan Wazgird szedł za nim. Nakoniec xiążę przerwał milczenie— Panie kochanku, gdzie djabeł sam przez siebie nie da rady, tam zaraz jakąś babę robi swoim plenipotentem; wszak kasztelanowa Inflancka siedzi w Niewodowie; oj to nielada główka do łotrowstwa. Opuściła naszego Wejhera, poczciwego z kośćcami, który ję takie rzeczy odpuszczał, że aż zgroza o tém mówić, a teraz wychodzi za jakiegoś podpiska pana stolnika litewskiego. Nie na promowanie swojej rozwodowej sprawy, kończy się cel ję podróży do Litwy; nasz słabizna umie używać tych mini-

strzów w fartuchach, żeby u nas baby pilnowały grzędy i kądzieli, nie byłoby tyle złego w Rzeczypospolitej. Panie Janie, posłuchaj mnie z uwagą— trzeba żebyś Wpan w kilka, lub kilkanaście koni natychmiast ruszał do Niewodowa, i tak rzecz poprowadził, żeby nam koniecznie żywcem dostać tego milutkiego starostę; a jak go porwiesz, nie tracąc czasu, zawieź go do Łachwy, tam mój Trzeciński będzie wiedział jak ma z nim postąpić. Będziemy mieli z niego niełada zakładnika. Jego pan ma tyle do niego przywiązania, że kto wie, może odda naszych dostojnych brańców; tylko spraw mi się gracko i roztropnie; oj żebyś mógł dwie pieczenie na jednym rożnie upiec, i tę kasztelanową porządnie różgami oćwiczyć, zyskałbyś wielkie odpusty. Lecz z tem mniejsza, a starostę wieluńskiego staraj się koniecznie uchwycić.

— Nigdy żadnego rozkazu waszój xiążęcój mości z większą radością nie spełniałem; jednak nie dość tu na siłę, trzeba tę rzecz prowadzić ministerialnie. Xiążę pan zna mojego wuja, jakim on jest wyznawcą prawa gościnności; jemu się zwierzyć, gotów będzie bronić swojego gościa, żeby mu obelgi nie wyrządzono na jego gruncie, bo by to poczytał za największą hańbę dla siebie; a jak go porwę bez niego, to już do śmierci mi się nie pokazywać w Niewodowie; ale i jego gniew mimo siebie puszczam; wszak Bóg widzi, że tu nie idzie o żadną prywatę, ale o dobro pospolite. Niech xiążę pan na mnie się spuści, wyproszę jakoś tego lisa z jadźwiny. Panu Michałowi oczy otworzę, dam mu takie dowody, że jeżeli mnie nie uwierzy, to niechże w niego piorun trzaśnie. Podejmuję się téj wyprawy; jakoś to będzie.

— Mocno mnie to dziwi panie kochanku, że pan Michał tu nie zjechał, a miałbym potrzebę z nim pomóc, ale to darmo, czekać nie mogę. Jak go obaczysz, powiedz mu coś słyszał odemnie, i że go oczekiwać będę w Barze. Ale starosta, starosta, to to ostrzę zęby na niego. Ale już pokazują się pierwsze brzaskiienne, bywajcie zdrowi panowie bracia; mnie może dziś jeszcze będą szukać w Nalibockiej puszczy, a ja tym czasem wielkim gościńcem dążyć będę ku wołyńskiemu Polesiu.

Po tych słowach w jednej chwili wypróżniły się Nieświeżskie sale; jednak nie rozjechano się bez podpisania aktu konfederacyi Litewskiej, który to akt pan Bohusz w krótkości sporządził i zabrał go z sobą, by go swojego czasu złożyć przed generalnością.



II.

O b j a w i e n i e.

Podczas kiedy xiażę Wojewoda, w dwadzieścia koni, żadnym nieobciążony pojazdem, ciągnął ku kijowskiemu Polesiowi, a pozostali Albeńczycy rozpraszali się po swoich majątkach, pan Jan Wazgird, w szerokich otwartych saniach, ciągniętych przez czwórkę koni dzielnych, przy których lozem szły dwa wierzchowce w całkowitym moderunku, posuwał się traktem mińskim. Siedział zawinięty w delii lisięj, zdobycz jego myśliwskich popisów, a obok niego wierny Achates, Skołuba, syn czynszowego szlachcica z jego dziedzicznego majątku, który kilku laty od niego starszy wiekiem, od szkół jeszcze był jego nieodstępny sługą. Wykonywacz woli pańskiej, najczęściej w żywe oczy ganił swojego pana, ząb za ząb z nim się sprzecząc, a pan Wazgird tak był wezwyczajony do jego gdyrania, że gdyby po otrzyma-

nym od niego rozkazie mileżał, na samym wstępie zwątpił by o jego wykonaniu. W czasie ośmioletniego pobytu z panem swoim w konwikcie nieświeżskim, pokilkakrotnie rozpoczynał zawód szkolny w *proformie*, ale zawsze go przerywał, gdyż pomimo przyrodzonego sprytu, widać że wedle systematu Galla, któremu nasz Jan Głogowczyk może dał pierwszy początek, nie musiał mieć na czaszce protuberencyi literackiej, kiedy pomimo nie-małych usilności, nigdy się nie mógł dobrze obeznać z abecadłem; aż przekonawszy się o swojej nieudolności, zupełnie go zaniechał, chwając Boga z pamięci, a nie z książki. Rozwinał on później inne zalety, aż nadto przeciw-ważące tę niedołężność naukową. Był nadzwyczaj odważny, rębacz niepospolity, strzelec zawołany, miłośnik gorzałki, której do zbytku mógł używać bez tracenia przytomności, a nadewszystko jedyny do wywiadów. Po wszystkich domach obywatelskich, które ugęszczał z panem swoim, tak ściśle stosunki pozawiazywał z czeladzią, że nigdzie dla niego nie tajnego nie było. Królował po sieniach i piekarniach szlacheckich, i to powołanie władztwa tak silnie było w nim rozwinięte, że ile razy mu się zdarzy zawitać chociażby do nieznajomiej szynkowni, kwadrans nie pozostanie z biesiadnikami, a już, że tak powiem, ich wszystkich zawojuje. Wezwyczajony od dzieciństwa do najniższych obowiązków służebnictwa, przy panu miernego majątku, z czego się nawet chełpił, nie był on pospolitą figurą, bo wpływy jakie uzyskał po czeladziach dworskich, szynkowniach, szlachcie czynszowej, okolicznej, bojarach, były tak wielkie, że w potrzebie mógłby nawet wygrywać jakąś rolę polityczną. W części przynajmniej jego pan to poznawał, bo chociaż go często łąjał, niekiedy

nawet poszturchał, wszelako w nim pokładał ufność, i wiele mu poufałości z sobą pozwalał. Najczęściej szedł za jego zdaniem, a chociaż je czasem i odrzucał, wszakże bez niego był jakby nie swoim.

Skołuba był to pierwotwór zaufanego sługi owych czasów: boby pańskie czyścił, izbę zamiętał, konie wierzchowe chędożył, tam śpieszył gdzie go pan poszle, wydatki jego utrzymywał, cierpliwie znosił jego wybryki w chwilach gwałtownego uniesienia, a jednak wyobrażenie równości szlacheckiej silnie było napiętnowane na jego duszy. O prawodawstwie tyle tylko wiedział, że *neminem captivabimus nisi jure victum*, i że szlachcie do korony się rodzi; o historyi, że Piast był zaściankowym szlachcicem z Kruświcy, bawiącym się kółdziejką, i że się dobrze działo za Króla Sasa. A z tem wszystkiem pojmował praktycznie konstytucyę swojego kraju: ztąd w opiniach a postępках swoich okazywał te pozorne sprzeczności, które zawsze były dla cudzoziemców, nawiedzających naszą ziemię, niedocieczoną zagadką. I tak, jeżeli magnat, lub nawet urzędnik powiatowy powita go łaskawém słowem, padnie mu do nóg, nie wzdrygnie się przyjąć z ręki swojego pana chłosty na kobiercu; a jednak gdyby jego pan, czy największy pan, usiłował równość szlachecką zastąpić jakąś hierarchiją kastową, zacierając święte wyznanie, że «szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie,» bez wahania byłby go rozsiekął. Czuł że jest *candidatus natus* do wszystkich dostojęństw, nawet do korony, a chociaż wiedział że ta kandydacya idealna nigdy do rzeczywistości zbliżoną być nie może, ani tego-by pragnął, za nic w świecie od niej-by nie odstąpił. Rzecz dziwna, a która tylko u nas widzieć się dawała, służący był rzeczywiście

członkiem ciała politycznego. Podzielał on naturalnie, ale z wewnętrznego przekonania, opinije swojego pana, które uosabiał xiążę panie kochanku, i obok niego zdrowie przynosił im w ofierze; do konfederacyi po sejmie elekcyjnym zawiązanėj, zrobił akces znakiem krzyża świętego, gdyż, jak się powiedziało, ani czytać, ani pisać nie umiał. W zawodzie cywilnym niemniej bywał czynnym, bo żadnego sejmiku nie opuszczał. Miał on kon-tusz i żupan w zapasie, które tylko podczas sejmiku brał na siebie, i tak odziany gardłem i szablą popierał stronę, której pan jego był poplecznikiem, a po rozwiązaniu sejmiku składał tę odzież między szaty pańskimi, i powracał do skromnej kapoty, i do skromniejszych jeszcze obowiązków służebnictwa.

Pan Wazgird nie w różanym humorze opuszczając Nieśwież, bo szczerze pragnął xięciu Wojewodzie towarzyszyć w podróży, ciężar swojego nieukontentowania zwał był na sługę. Upatrzywszy jakiś nieporządek rzeczywisty czy mniemany w uprząży, tak niemiłosiernie złażał Skołubę na wyjezdne z Nieświeża, i to przy świadkach, że ten siedział na saniach rozdąsany, i w zaciętem milczeniu słuchał pana, kiedy ochłonawszy z chimer, próbował wejść ze sługą w rozmowę. Napróżno pan Wazgird, rozwijając plany, jakie-by wykonać pragnął dla uwięzienia pana starosty Wieluńskiego, z ukosa dawał do poznania, ile w podobnych razach zręczność doświadczonego sługi bywała mu zawsze pomocną. Skołuba, mając na sercu impetyczne wyrazy, któremi pan dotknął jego osobę w Nieświeżu, wszystkie te zwierzenia pańskie zdawał się przyjmować obojętnie, nic nieodpowiadając oprócz *słucham*, albo *jak pan każe*. Nakoniec pan Wazgird przestał mówić, i tylko przemyślał

jakby uczynić zgodę ze sługą, bez poniżenia wprost swojej własnej godności, bo nudno mu było milczeć, a jeszcze nudniej mówić, bez doświadczenia ze strony słuchacza jakichś dowodów współczucia; ale Skołubie potrzeba było jakich parę godzin przynajmniej do oddania się, po czém dopiero wracał do zwykłego humoru.

Lecz to, czego nie dokazały pracowite zabiegi pana, okoliczność trafunkowa w jednej chwili zdołała uskutecznić: widać że to była chwila przesilenia, że już gniew omdlewał, a dobry humor czekał lada hasła do powrotu. Jakieś sanie rozminęły się z naszymi podróżnemi, a na nich siedział stary człowiek, w prostym baranym futubie. Pan Wazgird nie miał czasu go zauważyć, ale Skołuba ledwo okiem nań rzucił, poznał go, i parsknął od śmiechu na cały głos.

— Czego ty się śmiejesz? zapytał uradowany pan, że przecie się odmarszczył sługa.

— Bo poznałem xiędza kanonika Zahorę, proboszcza Cyryńskiego, bogacza, a skępcza jakiego świat i Korona Polska dotąd nie widziały, i przypomniałem sobie jak nie chcąc zażartował z niego wychowaniec, sierota, głodem od lat kilkunastu morzony, a składający cały jego dwór.

— Jakże to było? zapytał pan Wazgird, nie z ciekawości, bo mu to zdarzenie było dobrze wiadome, ale to był gatunek koncessyi dla Skołuby, jakiś krok do zgody, który sam z siebie jemu się nasuwał.

— Oto kolatorka xiędza, JW. Szczyttowa, instygatorowa wielka litewska, wracając z dóbr co je ma na Rusi, przywiozła mu gościńca, kilka słoików konfitur kijowskich. Xiądz, powierzając je chłopcu, w obawie by się do nich nie przypytał, wyperswadował mu że to truci-

zna na szczury. Aż w kilka dni potém, kiedy xiądz po obiedzie spoczywał, chłopiec myjąc talerze, przez nieostrożność kilka sztuk z kredensu potłukł, a bojąc się kary, w taką wpadł aprensję, że chciał sobie życie odebrać, i objadł się trucizny na szczury... na tém skończył Skołuba, bo silny paroxyzm śmiechu mowę mu zamknął.

I pan śmiać się zaczął, żeby utwierdzić przymierze zawiązujące się ze sługą, a potém odezwał się—dobrze że się śmiesz, tobie tak do twarzy, nie jak dopiéro, co siedziałeś zasepiony jak smarkacz, którego do szkół odwożą; i czego tobie było się smucić, żem ciebie polajał za niedbalstwo—i byłóż czego stracić fantazyę.

—Ej to powszedni chleb u pana, żeby to tylko mieć w głowie! Mnie było markotno, że nas xiążę pan nie zabrał z sobą na Ukrainę.

—A ty tam na co potrzebny?

—Może by się człowiek na coś zdał, wszak mnie nie pierwszy raz wojować; a kto od tego, żeby najwięcej świata widzieć? Już ta Ukraina, o której słychać że to ma być raj, raz mnie ominęła, mieliśmy tam iść, wszystko było w pogotowiu, ale jak pan oberwałeś pod Swojatyczami, żeś potém kilkanaście tygodni musiał słuchać rekollekcyów doktorskich w Nowogródku, trudno mi było pana opuścić. Na coś podobnego i teraz się zanosz; a to nielada rzecz poznać się z nowym krajem, i to służąc w dobrej sprawie.

—Wszędzie można służyć dobrej sprawie, byle wesoło spełniać co starsi każą. Jak się dostanie w nasze ręce ten pan starosta, com go przywitał w Niewodowie, to nas tak pochwalą, jakbyśmy we dwóch całą

chorągiew przełamali, a mam w Bogu nadzieję, że to jakoś nam się uda.

— A ja niewielką.

— Głupiś Wpan mości panie Skołubo. Ciekawy jestem dla czego nie miałoby się udać; ja osiadam milkę od Niewodowa w Szykutowiczach, u pana Mateusza Gieczewicza, tam doczekam się w jednej dobie kilkunastu bojarów z Kojdanowa, a wiesz jakich, bo to i konni i zbrojni, a w potrzebie pan Mateusz z całym dworem na moje zawołanie. Ty Skołubciu dojedziesz do Niewodowa na wywiady, a jak upatrzysz porę, my w nocy naprzód w łóżku go capniem, i zaraz knebel w gębę i na sanie, ani się panicz spostrzeże jak my go do Łachwy dostawimy; a potem Ukraina nam nie ucieknie, ona się z miejsca na miejsce nie przenosi, trafiemy do niej.

— Piękna to myśl, już ją pan przedemną rozbierałeś, ale oto rzecz chodzi, żeby ją można do skutku doprowadzić, o czem bardzo wątpi kościół boży.

— Jaki z ciebie slamazarnik! anim się tego spodziewał po moim Skołubie, pfe! a wszystko dla tego żeby się mnie sprzeciwić. Co to za filozofia, żeby we dwódziestu, albo więcej, jednego powalić, zwłaszcza jeżeli się ty gracko sprawisz, że w twierdzy nie będą go bronić. Twoja rzecz żeby wujaszka czeladź twardo spała, kiedy my zapładrujem w domu.

— Nie tu sęk panie. Ludzie JW. generała spać będą jak ja zechcę, i póki ja zechcę, o to pokój. Nawet na sanie położymy pana starostę, albo na konia, ja to biorę na siebie, ale potem?

— Potem do Łachwy, cóż ci mam jedno a jedno powtarzać!

— Tak to panu się zdaje że już wszystko pójdzie jak z kłębka; muszę więc panu swoje opowiedzieć: kiedyśmy to byli z panem chorążym w Niewodowie, to ja obeznany i pokumany z całym dworem, zacząłem szukać znajomości i z gościnnemi sługami. Świętej pamięci ojciec pański, wielmożny cześnik Miński, bywało mawiał: im kto więcej ludzi zna, tém rozumniejszy. Już to nie było sposobu poznać się z fryzierem pana starosty, bo z Niemcem ani mowy, ani rozmowy, a jego kamerdyner więcej niż jego pan nosa do góry zadziera. Na mnie patrzył jak-by z wieży świętej Anny w Wilnie, a nie wie, że może ja lepszy od niego szlachciec. Zaniechałem warszawczyka, z jego strzelcem i lokajem poszło mi siako tako; ale kiedy później pan mnie tam cichaczem posyłałeś, żeby się dowiadywać, czy pan starosta jeszcze dysze, albo czy już po nim, to ja sobie nie do dworu, broń boże, ale na wsi rzecz swoją robię. Otoż tam przybyła JW. kasztelanowa, siostrzenica naszego generała, żeby pilnować swojego rozvodu. U mojego kuma, pana Błażeja, stelmacha Niewodowskiego, poznałem się z jej ludźmi, bo pan Błażej jej karetę moderował nieco obszarpaną podróżą, a jej słudzy niby dla pilnowania roboty od niego nie wyłazili, ale ja poznałem że to dla tego że pani Błażejowa kobieta gładka, a pan wiesz jacy to skrupulaty warszawskie lokaje. Otoż zaprzyjaźniłem się z niemi, i zaprosiłem ich do szynku na miodek, a z miodeku przyszło i do krupniczku, a tak się dobrze ukartowało, że jeszcze sami zapłacili za mój traktament. Otoż poszła między nami gawędka, że aż miło; niby z niechcenia, bo siebie nie przedawałem za ciekawego, ale jakoś samo z siebie wyszło, że ich pani po drodze wstąpiła w Kojdanowie do jakiegoś xię-

cia, z którym miała dawną przyjaźń w Warszawie, a że ten xiążę tam stoi z polkiem dobrze podszytym, któremu rozkazy daje. To wszystko, myślę sobie, nie bez przyczyny, aż tu uważam że dwóch jakich podróżnych w siermięgach nienajnowszych, przybyło do szynku. Ledwo okiem rzuciłem, zaraz poznałem że to bywalce, nie tēm są czēm się wydają, bo chociaż to niby tylko gorzałeczką się zajmowali, poznałem że całkiem siedzieli w uszach, a jak jeden z nich parę słów powiedział żydkowi szynkarzowi, mnie panie w ciemie nie bito, wyszedłem z karczmy, bo już dla mnie było dość. My się pilnujemy, ale i oni się pilnują.

— Ty bo chcesz zawsze mądrego udawać; dziś dopiero otrzymałem rozkaz od xięcia pana, i projekt *ex abrupto* wyszedł z ust jego, a już o tēm przed kilkunastu dniami miała wiedzieć przeciwna strona; opamiętaj się wać panie Skołubo.

— Racya fizyka, że Kaśka niema butów; a cóż to? albo nie wiedzą, że pan starosta między nami jak błędna owca; my trzymali z xięciem panem, a on z panem stolnikiem Litewskim, któremu nie raz, i nie dwa my się dali we znaki; a choć to była między nami łączna zgoda, my nigdy w nią bardzo nie wierzyli, a oni by się mieli na nią spuszczać! A wszakże już dziś ta zgoda się urwała, kiedy xiążę pan aż pod granice tureckie rusza, żeby piwa nawarzyć; wszak to panie nie z laikami robota. Obaczysz pan że my rady nie damy, chyba że pan wojski jego wywiezie pod jakimś pozorem, bo brat z bratem to nikogo w oczy nie ukole.

— Tać to bez pana Michała się nie obejdzie, trzeba będzie przed nim siebie otworzyć, żeby nam nie przeszkadzał, ale jak ci się zdaje, czy on będzie z nami działał?

— Czemuż-by nie miał działać, jak się dowie jakiego to ma braciszka w panu starościu, i jakiego węzełka on mu nawiązuje w Niewodowie.

— Co ty chcesz przez to powiedzieć?

— Daj pan pokój, ja choć gębę tulę, oczy i uszy mam otworzone; chociaż mnie pan o tém ani słówka nie pisał, a jednak jam dobrze wiedział że pod karczmą szlakową, nie o same przymówki poszła panów sprawa. To co się dzieje w Niewodowie, o tém nie tylko czeładź, ale cała wieś gada, aż uszy bolą słuchać. Tylko pan generał, pan wojski i xięża, ślepi, ale jak prawdę wykryjemy panu wojskiemu, to może nastąpić wielka burza. On rzadko kiedy się gniewa, zdaje się że wszystko po nim idzie płazem, ale jak mu dopieczę, broń Chryste Jezu jaki zły. Wszakże my tego byli świadkami; dobrze to ludzie mówią, że jak cicha woda się wzbierze, to groble rwie.

— Nie źle waść mówisz panie Skołubo, i kto by waści powiedział, że masz głowę nie do rady, a coś innego nie do krzesła, śmiało mu powiedz że łże. Moje zdanie kubek w kubek jest takie jak twoje, i z nim się głośno oświadczyłem w Nieświeżu. Muszę koniecznie widzieć się z panem Michałem, trzeba nam dziś jeszcze na parę godzin zawadzić o dom wujaszka.

— Oj panie, zaniechaj tego, niechaj się pan w Niewodowie nie pokazuje.

— Dla czego? a cóż to, ja tam się znaleźć niepotrafię?

— Dalibóg, pan wszystko popsujesz: pańska twarz zaraz wyda, to co się w pańskim sercu dziać będzie. Pan abyś wziął na siebie kontusz, i poczuł szablę u bo-

ku, to zaraz się jemu zdaje, że szeroki ten świat jest jego dziedzictwem, że na zawołanie góry z miejsca przed nim ustąpić muszą. A ta kasztelanowa z warszawskim rozumem, a mająca z panem swojaćstwo, zaraz się czegoś domysli, i ani się pan spostrzeżesz jak go weźmie na konfessatę i z rozumu wyprowadzi; a pan starosta, choć dworak, panu wiesz z doświadczenia że zuchwały, on się skrzywi jak tylko pana obaczy, a jak pan to spostrzeżesz, to chociażbyś na rany Chrystusowe poprzyściągł, że będziesz dyssymulować, nie prawda! burdę zrobisz i utopisz cały interes. Ot wiesz panie jaki mi koncept do głowy przychodzi, najbezpieczniejszy, a który niezawodnie się uda. Niech pan do niego napisze, że ponieważ on zdrow, więc go pan na nowo zapraszasz do tańca, na tém i na tém miejscu. On niezawodnie stanie, tam niech znajdzie pana, ale z dobrą zasadzką, żeby go wziąć na pewniaczka.

— Schowaj się z taką radą hultaju! plunę sto razy na własny mój herb, wprzód niż do podobnej podłości dam siebie namówić. O to mnie znasz! jak komu dam słowo, to go pewnie dotrzymam, a cóż dopiero wdawszy się jeszcze w pisma.

— A ktoby tam farmazanowi dotrzymywał słowa.

— Dość o tém Skołubo, co innego wymyśl, a to zaniechaj, jeżeli ci buchańca oberwać nie miło. Gwałt zrobię, nie jestem od tego, ale zdrada, to nie moja rzecz.

— Pan bo chce razem i chytrować i być szczerem, a tu jednego trzeba się trzymać: kiedy pan taki skrupulat, wróćmy do pierwszego. Tylko co nie widać Sasanowieckiej karczmy traktowej, wszakci to piąta godzina jak jednym tchem klusujem, warto by popaść konia-

ki. Z téj karczmy do Niewodowa mil pięć, do Szykutowicz półpiątej, popasłszy w karczmie, trzeba nam zjechać na noc do Szykutowicz, i tam ściągnąć pana wojskiego.

— Co tak to ale Skołubusiu, jak tylko staniemy w karczmie, najmę konia jakiego u arendarza, i ciebie na nim wyprawię do Niewodowa z listem do pana Michała, a sam będę na was czekał u pana Mateusza.

— Co się panu dzieje, mnie się teraz ani pokazywać w Niewodowie; znają mnie tam jak złego szeląga, zaraz się czegoś domyslą. Icko Wołoszyn arendarz nam dobrze znany, a do tego minister: pan napiszesz kilka słów, a lcko wyprawi posłańca że interes ważny, on zięcia swojego wyprawi, a to taki sprytny, że diabła samego przeda, odkupi, i drugi raz przeda. Obaczy pan że będziemy mieli téj nocy rezolucję w Szykutowiczach.

— Niech i tak będzie, napiszę parę słów do pana Michała, jak przeczyta że z rozkazu xcia Wojewody czekam na niego u pana Mateusza, a na liście z góry wyczyta te słowa— *tibi soli*— wielkimi literami, to natychmiast *sub secreto* do nas się wysunie, a jak się obaczym, będzie rozprawa niepospolita.

Po téj wojenno-dyplomatycznej konferencji między panem a sługą, oba utonęli w morzu zadumań nad jednym i tymże samym przedmiotem, kiedy przed ich oczyma stanęła karczma zapowiedziana od Skołuby, a niecierpliwie wyglądana od woźnicy, i od koni dobrze potem oblanych, pomimo mrozu żwawego, zaprawionego kołącym wiatrem. W tém Skołuba krzyknął raptownie— wszelki duch Pana Boga chwali! mowa o wilku, a otoż i wilk. Wszak to sanie pana wojskiego stoją przed karczmą, oto jego siwo-srokate konie i Grzesio z niemi; nieinaczej, pan wojski musi być w gospodzie, więc niema potrze-

by listu do niego posyłać. Zajeżdżaj prosto w sieni— Pan Wazgird skoczywszy z sani jakby z procy, wszedł do izby, i tam zastawszy siedzącego na zydlu pana wojskiego rzucił się w jego objęcia. Może kto-by myślał, że był wielce uradowany z tego spotkania, i bez wątpienia był rad, ale to pewna że czuł jakąś niespokojność w sercu, gdy tuż zbliżała się pora ważnych objawień, a pan Wazgird nie wiedział od czego zacząć, i jak zaczynać; bo chociaż przez cały dzień do tego się gotował, jak go obaczył, pokazało się że wcale nie był przygotowany. Po przywitaniu zaczął z nim dyskurs, ale tak przerywany, wyrazy tak się z sobą nie kleiły, że wojski z zadziwieniem widząc jakby pomieszanie wczłowieku niełatwym do zmieszania się, nie mógł mu nie powiedzieć— a co się Wpanu stało panie Janie, pleciesz jakieś koszałki-opałki, że jedno drugiego się nie trzyma, prawdziwie Wpana nie pojmuje.

Pan Wazgird, poglaskawszy sobie czuprynę, i uakręciwszy wąsa, na taki się zdobył koncept; takem zziąbł, i zmęczył się z podróżą, że do siebie przyjść nie mogę, a mam ci do komunikowania niesłychanie ważne rzeczy. Panie Michale, przenocujmy tu, a jak się ogrzeję i rozgoszczę, z wszystkiego gładko się objaśnię.

— Coż to za nowy koncept panie Janie? ja mam w karczmie nocować, kiedy jeszcze wieczor się nie zaczął, a przez całą noc prawie xiężyc świeci. Ja choć późną nocą muszę stanąć w Nieświeżu, wytłómaczyć się przed xięciem panem z mojego opóźnienia, a może mi wypadnie szukać go w Nalibokach.

— Ba, ba, ba, Wpan widzę siedziałeś za górami, że nie wiesz co się dziś święci w Nieświeżu. Xiążę o świcie wyruszył wierzchem aż na Ukrainę, gdzie pod

powagą turecką ma stanąć konfederacya, a na samém odjeźdném do Wpana mnie wyprawił, a z czém, o tém się wkrótce dowiesz.

— Jezus Marya! co Wpan mówisz?

— A ha! czy na tém koniec, senatorów porwano w Warszawie i wywieziono Bóg święty wie dokąd; na swoją biedę spotkali ich Koryzna i Węclawowicz. Konfederacya Radomska w łeb wzięła jakby jej nie było; na wołowej skórze nie zapisać tego wszystkiego co, ci powiem. No, no, bez ceremonii, każ wnieść swój tłómok: jak nam pościelą, *semotis arbitris* zabiorę głos, nie mamy czasu do tracenia, hola Icku! żeby sanie pana wojskiego do sieni wciągnąć, a usługa niech piorunem porządek zrobi w izbie; naszym koniom owsa dosypuj ile w gardło wlezie; siana dla nas dwóch do izby każ wnieść, a na niém niech nam pościelą.

Pan Wojski siedział zdumiony, a pan Wazgird, przybrawszy rolę gospodarza, krzyczał to na żyda, to na sług, a to wszystko dla zubożenia niespokojności, która go trapiła. Jeżeli użyć można tego wyrazu, nastrojał siebie do tych objawień, któremi wkrótce miał rozedrzeć serce przyjaciela; a pan wojski, obojętnie patrząc na rozporządzenia pana Wazgirda, czekał, tylko z upragnieniem chwili, w której się z nim doczeka porządniejszej rozmowy: ten zaś bez przestanku się szwendał po izbie gościnnej, szynkowni i stajni, póki słudzy nie rozstasowali się w izbie, i pościeli nie przygotowali. Zapalono na kominie, pan Wazgird usiadł koło wojskiego, ale znowu powstał raptownie, i drzwi otworzywszy,— Skołubo! krzyknął, odegrzej no bigos co go z sobą mamy, i powiedz Ickowi żeby nam półgarca miodu

wytoczył. Wszak prawda panie Michale, na sucho źle się rozprawia, a miodek *bibilis*.

— Dobrze, dobrze, ja Wpanu placu dotrzymam, ale dla miłości Boga zaczynaj, bo mnie trzymasz jak na szpilkach.

— Poczekaj, *nemo sapiens nisi patiens*, jako mawiał nasz regens w konwikcie, ojciec Haraburda, pamiętasz panie Michale. Ja zaczęę mówić i jeszcze *ex publicis*, a ten arendarz zacznie dzwonić lampeczkami, otoż przerwa, znowu zaczynaj a capite; ale jak wszystko będzie gotowe, boby nam pościągają, a kurtki podróżne ustąpią miejsca chałatom, obaczysz że mój język jednym tchem dojdzie do mety.

— Święta z tobą cierpliwość panie Janie, niech że i tak będzie, azaliż niedoczekam się jakiegoś końca. Przyszedł Icko z miodem, Skołuba zastawił stół bigosem, któremu niepospolite świadectwo przyniosły zgłodniałe żołądki naszych podróżnych, a potem oba przyjaciele rozebrawszy się, i zasiadłszy przy gościnnym miodku wzięli się do dyskursu, ile że pan Wazgird nie zaniedbał obwarować izby zasunięciem rygla. Nim się miodek wypróżnił, już pan wojski był świadom o wszystkich szczegółach dotyczących się dostojnych jeńców wywiezionych, o zamiarach xięcia Wojewody i panów rady z nim wspólnie działających, a nakoniec dodał pan Wazgir— z Wpana łaski panie Michale nie towarzyszę xięciu panu w jego podróży. Mojego skołubę ledwo djabli nie biorą ze złości, że to mi się nie udało, bo szczerze tego się napierałem, ale xiążę wiedząc o naszych związkach, i że się wkrótce spokrewnić mamy, wyprawił mnie do Wpana z rozkazem, a wiesz że on jest regimentarzem generalnym konfederacyi obojga narodów, to nie piechotą chodzi.

Otoż rozkaz jest, żebyś pana starostę wieluńskiego porwał i *sub secreto* zawiózł do Łachwy, a ja Wpanu asystuję ze wszystkiem co do tego może być potrzebném; ale zrób to chytrze mądrze, ni by go do Warszawy chcesz odprowadzić, żeby się nie domyślił że na Łachwę jedzie, a mu tam źle nie będzie, dalibóg! Rzecz o to tylko chodzi, żeby było z czém potargować się z panem stolnikiem litewskim, azaliż za niego nie odda naszych senatorów. Co na to powiesz panie Michale?

— Panie Janie, mój brat wybierał się przed kilku tygodniami do Warszawy, i tylko na usilne prośby i moje i generała dzień jeden jeszcze miał się zatrzymać w Niewodowie; jeżeli swój pobyt przedłużył, to z wypadku co go omal życiem nie przypłacił, wypadku o którym tyle tylko wiem dotąd, że widział bez przytomności, krwią własną oblanego. Do ciebie się odwołuję, czy mi się godzi, sromocąc dom przysłego teścia, taką zdradę wyrządzać starszemu bratu? zapytuję ciebie panie Janie, czy to jest rzecz godziwa?

— Przeciw temu nie powiem panie Michale, ale jakkolwiek bądź, regimentarz generalny tobie tak każe; rozkaz spełnić trzeba, a choćby i było w nim coś niedobrego, o czém nie jestem przekonany, ale pozwólmy że tak jest, to niech się wstydzi ten co rozkazuje, a nie ten co rozkaz spełnia; bo jakaż by to była konfederacya bez posłuszeństwa.

— Powiedz że panie Janie jak uczciwy człowiek, czy na to wyraźny xiążę mnie dał rozkaz? mnie samemu?—

— A jużci nieinaczéj.

— Dajże mi na to słowo szlacheckie.

— Tać to Bogiem a prawdą, rozkaz nie był tobie

dany w całej rozciągłości tego wyrazu. Rozkaz mnie był dany, ale kiedy [xięciu oświadczyłem że się tobie zwierzę, on mi nie powiedział nie rób tego; jeżeli więc nie zganił, tém samem rachuje na ciebie. Pomówmy po ludzku, pan starosta jest pierwszym zausznikiem tego, co by rad Rzeczpospolitę w łyżce wody utopić; kraj, to wielka rzecz, tyś bratem, ale i obywatelem. Wszak nas uczono w konwicie, jako w świętém państwie rzymskiem, i syn, i ojciec na bok, kiedy o Rzym chodziło; ty to lepiej wiesz odemnie, bo jam się tego uczył pod batogiem, a ty z ochoty. A tu nie ojciec jeno brat, nie pugiwał ale koza. Opamiętaj się panie Michale, a te dziecinne szkrupuły połóż pod piętę. W zwyczajnych czasach już by one były przesadzone, a cóż dopiero w czasie konfederacyi; panie wojski, powiedz mi jeżeli Boga miłujesz, że mam słusność.

— Próżne słowa, panie Janie, nie tylko że w tej zdradzie działać nie będę, ale o mil kilka go przeprowadzę, i będę go bronił na wypadek napadu więcej niż samego siebie, chociażbym go miał bronić przeciw Wpanu samemu; potem zostawię go, a gdzie, tego się odemnie nie dowiecie, i pójdę krajowi służyć, ale nie takim sposobem, a wy jeżeli go bezemnie gdzie znajdziecie, róbcie co chcecie, byłem ja do tego nie należał. Ja miałbym podstępem imać brata, polegającego na mojej poczciwości! Ja miałbym zdradzać, być Kaimem, i jeszcze z własnego domysłu, bo Wpan sam przyznajesz, że na to niemam wyraźnego rozkazu. A przez rany Chrystusa, jak Wpan śmiesz do tego mnie nakłaniać? Wpan Boga się nie boisz! To nie chrześcijańska, nie szlachecka rzecz; jeżeli mam cokolwiek łaski, proszę mnie o tém więcej nie mówić.

— Otoż masz, za moje dobro jeszcze mnie zburezał, a to osobliwszy człowiek; no panie Michale, kiedy widzę waszeci tak zaciętym, to jak ci powiem jedną rzecz, spodziewam się że będziesz łatwiejszym do interesu.

— Nigdy!

— Obaczemy!

— Słucham, bo wiem że nic gorszego mi nie powiesz nad to com dopiero słyszał.

Tu się zerwał z miejsca pan Wazgird, drzwi otworzył, i krzyknął— Icko! jeszcze kwartę miodu.

— Co Wpanu się dzieje, odezwał się pan wojski, czy mnie nie chcesz czasem upoić panie Janie, żeby pijanego na słowo wyciągnąć, już ja więcej pić nie będę.

— Będziesz pił, będziesz. Coś mnie burczy w żołąd-ku po kapuście, a ty wiesz że *omne trinum perfectum*, jakem sodalis, sam powiem że będzie z nas; a ja ci odkryję coś takiego, że jeżeli masz rozum, o czém nie wątpię, to mnie za to podziękujesz. Przyniesiono miód, Pan Jan powtórnie drzwi zaryglował, nalał dwie szklanki i powiedział:— No panie Michale, zdrowie twojej bogdanki, a my kochajmy się! A widzisz że przed tem zdrowiem się nie cofasz, co tak to ale. Poczém przybliżywszy się do wojskiego, wyciągnął ramię swoje, i oparłszy się na jego ramieniu te słowa powiedział— Michale, kolego szkolny, obozowy i sejmikowy, przyjacielu omal nie trzydziestoletni, ty wiesz że ciebie kocham. W imię naszej starej przyjaźni zaklinam ciebie, byś mnie słuchał cierpliwie; tylko niezzymaj się. Dopiero zadrasnąłeś mnie, a ja że ciebie kocham, to puściłem mimo siebie, a jak mnie znowu ofukniesz, cóż ci z tego przybędzie, że mnie znecierpliwisz? czyż już nie mamy z kim

innym, żebyśmy aż z sobą zwady szukali. Michale, ty z przyrodzenia jesteś *cunctator*; dajże mi na to rękę, że będziesz bezstronnym, jakim być powinien sędzia, chociażby we własnej sprawie; że się nie będziesz uprzedzał ani za jedną, ani za drugą stronę; że się nie będziesz zżymał, ani mnie ofukiwał, ale że cierpliwie mnie do końca wysłuchasz, dajże mi na to rękę.

— Oto masz ją Jasiu drogi; Bóg widzi że polegam na twojej przyjaźni, na twojej uczciwości, wszakżeśmy nie dziś i nie wczoraj się poznali; mów, wyprowadź mnie, z niespokojności, słucham.

— Mam twoją rękę, śmiało więc mówić będę. Słuchaj, wiesz kto pana starostę skaleczył?

— Kto?!

— Ja, ja, i nie tylko że się tego nie wstydzę, ale tego żałuję że go nie zabił; nie zrywaj się Michale, mam twoje słowo że spokojnie słuchać będziesz; pan starosta wieluński sam wyzna, że wszystko się odbyło uczciwie i prawie, a że wygrana była przy mnie, to ani mojej odwadze, ani mojej zręczności przypisuję. Zostałem zwycięzcą, bo stanąłem w dobrej sprawie, bo tak byłem czystym na sumieniu, że na armaty poszedłbym spokojnie ale pan starosta tego o sobie nie powie. Wie o tem twoja narzeczona, bo ja na odjezdnym z Niewodowa jej się przyznałem, i nie bez przyczyny.

— Ach panie Janie, czemże się tobie Ludwik naraził? i jakież miałeś powód nastawać na życie rodzonego brata twojego najgorliwszego przyjaciela?!

— Jaki powód?! oto ten, że on ciebie zdradza, że zapomniawszy o Bogu, że niepamiętny na twoje dobrodziejstwa, gotuje ci hańbę; ty jego zaufania nie chcesz

zawodzić dla ojczyzny, a on twoje sromotnie depce dla miłości: on twoją Zosię kocha, a co więcej, już ją zbałamucił, teraz rozumiesz dla czego szukałem z nim zaczepki?

— To być nie może panie Janie; to jest potwarz rzucona na mojego brata, i na twoją siostrę, temu wierzyć nie mogę; panie Janie, na Boga ciebie zaklinam, nie rób sobie igraszki z mojej duszy, ze sławy mojej przyszłej żony; to nie jest, to być nie może, ja z niemi ciągle byłem w Niewodowie, nie takiego przedemną by się nie ukryło.

— Panie Michale, ty, mój wuj, i może xieża są ślepi, ale cały Niewodów wie o tem, i o tem mówi; ale czy tylko Niewodów! cała Alba, cała Litwa to widzi. Twoi przyjaciele od pierwszego do ostatniego to wiedzą i ubolewają nad tobą, a żaden z nich oczu tobie otworzyć nie śmie. Ja śmielszy od innych, bo nareście sława mojej siostry jest moją sławą, odważyłem się prawdę odkryć przed tobą.

— Wam tak się zdaje, ale to być nie może, jakże brat podobną myśl mógłby przypuścić, przekonaj mnie panie Janie, zkaż ty to wiesz? kto ci o tem pierwszy powiedział?

— Ach panie Michale, co ci mam mówić kto powiedział, pytaj kto nie powiedział; ja stoję przed tobą jako delator, a ty przekonaj się czy jestem prawym, czy potwarcą. Byleś chciał, nic łatwiejszego: w Niewodowie bawi pani kasztelanowa Wejherowa, oddawna z panem starostą pokumana, dziś ona wszystko prowadzi, kto wie, jak daleko rzeczy już zaszły; nie pierwszy raz tobie inkwizycye ciągnąć, nie wierz mi, zapytaj ludzi; co to

ludzi, oprócz generała, kto żyw ściśnij go, a usłyszysz co śpiewać będzie. Panie Michale, czy możesz przypuścić, żebym ciebie baśnią chciał turbować, dla Boga żywego! rzucić podejrzenie na cioteczno-rodzoną siostrę, brata narażać na impet brata, to nie to co powiedzieć że u niedźwiedzia długi ogon; to nie żarty panie Michale. Wszak ja katolik panie; jeżeli ci to mówię, to nie bez fundamentu.

— Panie Janie, ty mówisz szczerze, bo mówisz co wierzysz, bo to ci powiedziano; ale któż się ustrzeże od złośliwych języków, małoż mój brat ma nieprzyjaciół? jednak jak sobie niektóre okoliczności przypominam.... ale nie, to być nie może, temu nie uwierzę, aż własnymi oczyma się przekonam.

— Zgoda panie Michale, ja chociaż to co ci mówię, gotów jestem juramentem ewinkować, nie domagam się u ciebie ślepej wiary, przekonaj się, ale jak się przekonasz, spodziewam się że nam dopiszesz, i że nam pomożesz zabrać winowajcę. Jutro przed świtem pojedziemy do pana Mateusza Gieczewicza, ztamtąd, upatrzwszy porę, cichaczem puść się do Niewodowa, byle tylko ciebie kasztelanowa nie zpodjazdowała. Ty masz doświadczenie, wiesz jak nici w kłębek się zwijają, a ja ci dodam Skołubę, ty go znasz, wiesz jaki z niego majster,

— Zrobię co każesz, ale nie w innym celu, tylko żeby ciebie przekonać o niewinności dwóch istot tak dla mnie drogich. Bo to być nie może, to jest piekielna potwarz, w którą daliście siebie uwikłać, dobra noc panie Janie, takiego klina w głowę mnie zabiłeś, że aż poty zimne na mnie uderzają, daj mi odpocząć, niech Panu Bogu się pomodłę, żeby mnie natchnął i oświecił, a jutro jadę z tobą gdzie każesz, ale słuchaj panie Ja-

nie, jeżeli przez zapal obywatelski, na to tylko pobudzasz podejrzenia moje, ażeby ci pomagał w zamiarze jaki masz przeciw mojemu bratu, sumienie swoje nadwerężając, chociażby dla dobra kraju, Bóg ciebie za to ciężko skarze; pamiętaj!

— I owszem, i owszem, jeżeli nie prawdę mówię, niech mnie ukarze, sam tego żądam. Wiesz dobrze panie Michale, że nigdy nie byłem łapczywym do pióra, dla tego też do palestry nie poszedłem, i z prawa tyle tylko się wie, ile to tu, to tam się nachwytało, a jednak własną ręką napiszę na siebie sponsję taką, że jeżeli to co ci powiedziałem nie jest prawdą, to domagam się u Pana Boga, żeby na sądnym dniu postawił mnie między kozłami, a póki żyję, żeby mnie mieli za podłego, i to dopiszę, że moja wola, jak umrę, a położą mnie na katafalku, żeby zamiast obrazka, to własnoręczne moje pismo włożono mnie w ręce. Już ci więc nie powiedzieć nie mogę, masz rozum, módl się, i ruminuj, a ja krótko się pomodliwszy, bo nie uwierzysz jak mnie ta rozmowa nasza zmęczyła, położę się, ile że jutro przed świtem wyruszyć nam trzeba. Dobrej nocy życzę Wpanu panie Michale, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.



III.

K a t a s t r o f a.

Obaczmy co się dnia następnego działo w Niewodowie. Już pan starosta był odzyskał zdrowie, jakkolwiek bladość pozostała zachowywała jeszcze ślady odbytych cierpień; nie tylko że się przechadzał po dziedzińcu, ale już nawet od kilku dni po godzinie i więcej śpiewał z Zosią, i napawał się pochwałami kasztelanowej i domowych niewodowskich, a jeszcze więcej postępami pojętnej uczennicy. Czuł dobrze, że trzeba mu było od dawna wracać do Warszawy, ale przykuty sercem do ścian szlacheckiego domu, nie miał dość odwagi, żeby myśl swoją nad tą potrzebą zatrzymywać, ile że ani gospodarz, ani żaden z gości i domowników, tego mu nie przypominali. Wszakże, w smutnych zamyśleniach, niezbędność wyjazdu często przelotnia przed nim się nasuwała: kasztelanowa odebrała była listy, między niemi

był jeden do starosty, więcej niż wszystkie te, które dotąd był odebrał, naglący jego powrót; ale hart jego duszy już tak był zardzewiał, że go dość obojętnie przeczytał. Gdy po obiedzie zebrało się towarzystwo w bawialnym pokoju, pan Buńczukiewicz zbliżył się do generała, i wręczył mu list przez umyślnego dopiero przywieziony; od kogo, nikt tego nie wiedział, ale można było poznać, że w nim musiało być coś ważnego, bo generał nałożywszy okulary, ledwo jedną stronicę wyczytał, zerwał się z oznakami, wielkiej niespokojności, i mrugnawszy na Buńczukiewicza, z nim razem wyniósł się do swojej kancelaryi.

Po odejściu generała, łowczanka zagała rozmowę—uważałeś ojcze Kleofasie, że braciszek coś nadzwyczajnego musiał odebrać, bo jak oparzony zerwał się z krzesła.

—Uważałem to bardzo dobrze, odpowiedział bernach, ale będziemy o tem wiedzieli, bo nic się długo nie utai. Żyjemy w takich czasach, że co chwila, to coś nowego; a na głowie JW. generała wszystko się opiera. Wszelako, jak mi się zdaje, musi to być coś *ex publicis*, bo widzę jak na dłoni, że lada dzień będzie jakieś zamieszanie w kraju.

—Zkądże ta smutna wieszczba, rzekł xiądz Prosper, mieszając się do dyskursu?

—Zkąd, odparł ojciec Kleofas, oto śmieję się państwo ze mnie; tej nocy sniło mi się, że zabierając się do mszy świętej, mszału nie mogłem znaleźć na ołtarzu; w tem się ocknąłem, ale tak zatrwożony, że aż poty na mnie biły: wykrzesalem ognia, zapaliłem stoczek, była druga po północy, nie mogłem wody się napić, bo

za kilka godzin trzeba mi było wyjść ze mszą, ale wziąłem mój brewiarz, otworzywszy go na los szczęścia, pierwsza rzecz com napotkał był ten psalm: *Quare fremuerunt gentes?* Powiedziałem sobie: oj to coś niedobrego zwiastuje, i zacząłem się modlić.

— To jak widzę, na to xiądz Prosper, ojciec Kleofas w sny wierzy, i używa brewiarza jak to niegdyś *sortes virgilianae* do badania przyszłości, winszuję, ale nie zazdroszczę.

— Sen mara, a Bóg wiara, odparł ojciec Kleofas, któż o tem wątpi xięże Kanoniku, jednak i temu trudno zaprzeczyć, że czasem Bóg z miłosierdzia swojego, niegodnym sługom we śnie zsyła przestrogi, mamy na to powagę Pisma Świętego.

— O tak, przestroga była bardzo jasna, że mszał zniknął z ołtarza.

— A już-ci to dowodzi jakieś zamieszanie; wszakże i to co brewiarz powiedział, tego w kąć rzucić nie można.

— Ach ojcie Kleofasie, odezwiała się znowu łowczanka, przypominam sobie, że onegdaj we śnie widziałam cały nasz dom w ogniu. Nazajutrz chciałam to wasze ci opowiedzieć, ale przy rozmaitych turbacjach, to mi jakoś wyszło z głowy. Buńczukiewiczowa mówi że ogień znaczy gości, ale jak mnie się widzi, że to coś gorszego.

— Otoż to skutek waszych dykteryjek ojcie Kleofasie, odrzekł xiądz Prosper, że waszeć na wróżbitę kierują.

— Ja to co mówię, odparł Bernardyn, nie daję za artykuł wiary, broń Boże! Mówię że mój sen może być przestroga, lub może nią nie być. Wszakże xiądz Kanonik dobrodziej mówisz, że kiedy ma nastąpić zmiana

aury, to o tém z góry wiesz, bo go nerwy ciągną: jeżeli więc ciało przeczuwa przyszłość w fizycznym porządku, dla czegożby dusza nie miała przeczuwać rzeczy do niej stosowne.

— Nie łatwiejszego jak zabobon utwierdzić jakimś pozornem rozumowaniem, zwłaszcza tam gdzie do zabobonów już i tak wiele skłonności. Szkoda ojcze Kleofasie, że jak się wzięłeś do brewiarza, dalej się w nim nie rozczytałeś, możebyś doszedł do słów Świętego Piotra, *a veritate avertunt, ad fabulas autem convertuntur*.

— *Gratias tibi illustre domine* za przytoczenie tak pięknej sentencji, choć stary, będę się starał korzystać z nauki; ale nie żebym się kwitował, tylko żeby i swoje trzy grosze dodać, przytoczę axiomat w Kościele Bożym powtarzany: *in dubium libertas, in fidem veritas, in omni charitas*.

— *Dubium, dubium*, odparł xiądz Prosper, cała rzecz w tém, czy to jest *dubium*

Tu przerwał rozmowę generał, który, co mu się nigdy nie zdarzało, wszedł ledwo że nie z trzaskiem, i tak był poruszony, że wszyscy się zdziwili:— Straszne rzeczy, odezwał się, straszne rzeczy. Pięknie się podpisał Wpana dobrodzieja Król, mości starosto, odbieram właśnie wiadomość o godnej jego sprawie, oto kazał porwać dwóch Biskupów, Hetmana i Posła, i pod strażą ich wywieść. Niegodziło się Królowi elekcyjnemu tak postąpić mości starosto dobrodzieju, bo w konstytucyi dotrzymanie przez obranego Króla obowiązków w *Pactach Conventach* objętych, jest nam wyraźnie zabezpieczone, a tam stoi że bez sądu szlachcica nie

można imać, i że *immunitates ecclesiae*, jakie są w statucie Alexandra, będą dochowane.

— Mości generale, odezwał się starosta, tu coś się innego pokaże, nie mogę przypuścić by Król był winnym, wszystko mu prędzej wyrzucić można niż gwałtowność.

A kasztelanowa:— Ja trzymam z starostą, wszakże ja znam Króla, tak jak siebie samą, on miękiego serca jak kobieta, on w życiu nikomu przykrego słowa nie powiedział, a dopiero taką krzywdę miałby godnym ludziom wyrządzać, obaczy wujaszek że tu się pokaże exaggeracya.

— A co mnie Wpaństwo chcecie z rozumu wyprowadzić. Cóż to! ja chłystek, żebym lada czemu wierzył; jak wół stoi w tém co do mnie piszą, że bezprawie nad bezprawiami zrobiło się w Warszawie, i że zaraz po jego spełnieniu sejmujące stany się rozjechały; ten co to pisze, w życiu swoim dla żartu nie skłamał, i nie skłamię choć by mu za to pieczęć litewską dawano, taki z niego twardy katolik. A tu się rozwodzą nad miękkością serca pana Stolnika, mówią że on łagodny jak baba, niby to baba złego napłatać nie potrafi! Mości starosto dobrodzieju, Bóg świadek, że mam za szczęście i za zaszczyt jego pobyt w moim domu, ale już go teraz zatrzymywać nie śmiem. W około nas wszystko kipi, gotowi na mój domek napaść, żeby panu staroście jako przyjacielowi tamtej strony krzywdę wyrządzić; i to co mówię, nie mówię bez fundamentu; chociaż na wszelki wypadek, ja stanę w obronie mego szanownego gościa; jego krzywda jest moją krzywdą, a ja póki stanie siły, nie dam siebie pokrzywdzić, chociaż by mi dom mieli spalić.

— Niech pan generał będzie spokojny, odezwał się starosta, dom jego będzie cały, a niech tylko nie myśli o mojej] obronie, jeżeli kto przybędzie żeby mnie szukać, postaram się sam żeby mnie znalazł, ani przed przyjacielem, ani przed wrogiem nie mam zwyczaju się skrywać.

— Nie, nie, tak nie będzie, na to generał, mój Buńczukiewicz późną nocą wywiezie pana starostę manowcami, tylko na każdy [wypadek niech pan starosta weźmie na siebie moją] lisiurę, i dobrze moją czapkę nasunie na uszy.

— A ja, odezwał się Bernardyn, co innego poradzę, ofiaruję Jaśnie Wielmożnemu [panu mój habit bernardyński, *sciendum* tedy, że u nas wszędzie i zawsze pod kapturem bezpiecznie.

— Bardzo państwu [dziękuję, odrzekł starosta z dumnym uśmiechem, za te dowody ich życzliwości, ale ja kłamać nie umiem, jakim jestem, takim się pokazuję, i ani mową, ani odzieżą nie przybiorę obcej dla mnie postaci.

— Tać to by nie było zupełnem kłamstwem JW. panie, gdybyś raczył użyć mojego habitu, wszakże zakon, którego JWpan jesteś Komandorem, trzyma się naszej reguły.

— To napróżno, odezwała się kasztelanowa, do tego nie namówicie starostę, znam starostę, i hardość jego duszy. Ale ja wszystko na siebie biorę, wiedzisz wujaszku drogi, że i mnie tu dłużej nie siedzieć; dziś jeszcze pana starostę wyprawię, a w kilka godzin po nim i ja pojedę— spodziewam się że z kobietą Albeńczycy wojować nie będą. Niech się wujaszek na mnie spuści, i starostę i siebie wywiozę bez szkody, a dom wujaszka

i od niebezpieczeństwa, i od hańby uchowam; tylko proszę wujaszka, żeby nam żadnej straży nie dodawać, ta by nam nie pomogła, a tylko podejrzenie by ściągnęła, ale żeby mi nikt się nie sprzeciwiał.

— A któż-by ci się sprzeciwiał siostrzanko kasztelanowo, wiemy, że kiedy sobie co uroisz, musisz tego dokonać; rób co chcesz, nikt ci słówka nie wtrąci; rozkazuj, a wszędzie posłuszeństwo znajdziesz: jeszcze takiego trzeba nieszczęścia, że pan Michał właśnie wyjechał wczoraj, ale kto się tego mógł spodziewać.

Starosta na to wszystko zdawał się być obojętnym, siedział zamyślony, niemieszając się do dyskursu. A Zosia! Zosia?!— trzeba było tak być zaślepionym jak generał i xieża, żeby nie wyczytać z jej twarzy co się w jej duszy działo.

Kasztelanowa ułożywszy plan, wykonała go z przecznością kobiety wprawnej do intryg wszelkiego rodzaju, i wykonała go tem łatwiej, że i generał i starosta we wszystkiem byli jej posłuszni— pierwszy powodowany wiarą w jej rozum, drugi obojętnością dla wszystkiego co się do jego osoby odnosiło.

Wkrótce po tej rozmowie, ekwipaż starosty zajechał przed ganek. Starosta ze wszystkiemi czule się pożegnawszy, siadł do karety, ale wedle umówionego planu, zajechawszy przed chałupę ogrodnika, z niej się wysunął, i przez furtę ogrodową przeprowadzonym został do tej części domu, gdzie mieszkały kobiety. I kiedy na wsi i we dworze myślano, że już pan starosta na wielkim gościńcu, jego ludzie dążyli ku Lidzie, a on sam w pokoju kobiecym oczekiwał chwili, kiedy się miał po raz ostatni żegnać z osobą którą kochał, i której wza-

jemności był pewnym. Dopiero o samą północy miał razem z kasztelanową wyjechać.

Kto kochał i był kochanym, ten łatwo pojmie co się z nim dziać musiało, kiedy w samotności oglądał sprzęty, napiętnowane pamięcią Zosi. Siedział zatopiony w marzeniach, lub chodził kroki szybkimi po siedlisku istoty, która już owładała wszystkie zdolności jego duszy. Czasem łzy kipiące wylewał, czasem jakiś promyk nadziei przed nim zabłysnął; skołatany namiętnością o jakiej dotąd wyobrażenia nie miał, cóż go oprócz Zosi obchodzić mogło?— Brat, obowiązki, sumienie, nie już do niego nie przemawiało, a niebezpieczeństwa które go otaczały, ani przelotnie nawet jego uwagi ku sobie nie zwracały. Oczekiwał z niecierpliwością gorączkową chwili, w której jeszcze raz miał oglądać Zosię. Całkowite jego jestestwo było uwiązane do tej chwili, po za którą nie umiał, nie chciał nic przewidywać.

Już dziesiąta uderzyła, kiedy weszła kasztelanowa z Zosią i łowczanką; jeszcze więc pozostawało dwie godziny, w których Ludwik mógł oglądać, mógł rozmawiać z władczynią myśli swoich.

—Przyznaj Ludwiku odezwała się kasztelanowa, że umiem chodzić koło interesów. Oświadczyłem że jutro o piątej z rana wyjeżdżam; uprosiłam nawet ojca Kleofasa, żeby o czwartej wyszedł ze mszą, bo z Bogiem pragnę każde moje przedsięwzięcie rozpoczynać. Będzie jutro czekał xiądz wiatra w polu, bo za furką ogrodową przed samą północą będzie moje kareta we wszelkiej gotowości, a my przez ogród do niej trafiemy. Teraz odprowadzę ciocię łowczankę do jej łóżka, bo ciocia zmęczona twoim frasunkiem Zosiu, i przyporuczę jej żeby po naszym wyjeździe ciebie jak może pocieszała.

Jak tylko ciocię uśpię, powracam do was, by dowiedzieć się o czém wy z sobą mówili.

Zofia i Ludwik zostawszy sami— Zofio, zaczął Ludwik, czyż już nie do ciebie nie przemawia, czy w chwili rozstania się ze mną nazawsze, nie masz mi nie do powiedzenia?

—Cóż ci powiem Ludwiku o czém byś już dawno nie wiedział, coż ci mogę innego powiedzieć, jak tylko że jestem nieszczęśliwa.

—Nie Zofio, to co cierpisz jest niezém; ty się litujesz nademną, dusza twoja anielska nie może patrzeć na moje katusze bez jakiegoś udziału w moich cierpieniach. Ale coż za porównanie z tem co się dzieje we mnie. Czémże jest litość obok miłości, i takiej miłości?

—Ludwiku, coż ci przyjdzie z tego że ci powtórzę to, cobym życiem rada okupić, a co ei jednak tyle razy powtarzałam— kocham ciebie nad wszystko, ty wiesz o tem— przy naszym rozstaniu, po raz ostatni jeszcze ci to powtarzam, ale to wyznanie w niczem nie odmieni mojego przeznaczenia. Nie myśl bym nie czuła, że tem wyznaniem okrywam się hańbą przed tobą samym, ale jednak w niej się nie zanurzę tak, żebym aż miała zapomnieć com winna Bogu, ojcu, samej sobie. Bądź szczęśliwym Ludwiku, zapomnij o mnie.

—Ja miałbym ciebie zapomnieć, kiedy twój obraz w mojem sercu wyryty, już został najszlachetniejszą częścią mojego jestestwa! ja bym się oddalał, kiedy ty mnie żadnej nadziei nie zostawujesz! ja bym się oddalał, wiedząc że jesteś nieszczęśliwą, że wkrótce będziesz we władzy tego, którego nienawidzisz, wiedząc że każdą

myśl o mnie, nawet przelotną wyrzucać sobie będziesz jako zbrodnię. Ach tysiąc śmierci wolałbym ponieść. Zofio, zaklinam ciebie, miej litość i nademną i nad sobą! powiedz mnie że twoje połączenie z Michałem nie jest pewne, zostaw mi jakąkolwiek nadzieję.

— Bądź szlachetnym Ludwiku, bierz przykład z biednej dziewczyny, wszystko poświęcam powinności, ale Bóg na mnie patrzy; czy myślisz że wyrzucie siebie ze szczęścia, ze swojego jestestwa dla ocalenia sumienia, nie zasługuje na jego nagrodę? Pośrząd nocy bezsennych we łzach przepędzonych, czasem takie marzenie kołysze duszę moję— myślę, że Bóg wymaga odemnie tej ciężkiej, tej krwawej ofiary, ale po jej spełnieniu, albo jakimś cudem uspokoi duszę moją, albo ją zabierze do chwały swojej: tę myśl przyjmuję za natchnienie.

— Więc po moim wyjeździe zostaniesz żoną Michała, i ty to możesz przedemną wyrzec?

— Nie inaczej; żebym się sprzeciwiła woli ojca, żebym się zaparła słowa przez niego danego, ojciec-by tego nie przeżył, a jego przeklęstwo ścigałoby mnie nawet po za grobem: nie Ludwiku, siebie samą poświęcę, ale nie powinność moją.

— Zofio, powiedz że będziesz moją, że dobrowolnie nie chcesz być dla mnie nazawsze straconą, a wszystko da się przerobić— Krola, prawa, gwałtu, wszystkiego użyję żeby ciebie otrzymać; ale nie! tyś mnie nigdy nie kochała— gdybyś nie była obojętną na to wszystko co cierpię, nie odbierałabyś mi nadziei.

— Jakąż nadzieję dać ci mogę?

— Słuchaj Zofio, ty mnie jeszcze nie znasz, daj mi tylko nadzieję że twoje serce mnie się nie zaprze, a

będziemy razem jeden dla drugiego żyli; ja się wydałę, lecz za dni kilka powrócę— wpadnę, ciebie porwę, a wszyscy wasi Albeńczyki nie zdołają wydrzeć ciebie z rąk moich: ojciec tobie przebaczy—jako ofiarze gwałtu, a ja wszystkich sprężyn użyję żeby potem twój ojciec nas po-błogosławił.

— Ach Ludwiku, cóż śmiałeś wyrzec! żebyś uległa twojej woli, do czego skolatane serce moje aż nadto jest skłonne, żebyś siebie dała wykraść, czyżby by się nie znalazła kara gotowa? ty byś mnie wydarł ojcu i bratu, wywiozłbyś w dalekie strony, niczego byś nie zaniedbał żeby przygłuszyć wyrzuty sumienia, uspiłbyś mnie tém wszystkiém co wielkość, bogactwo, znaczenie, życie wielkiego świata mieć mogą powabnego, ale jakież potem nastąpiło by okropne przebudzenie. Miłość twoja, nieoparta na szacunku, jakąż rękojmię trwałego szczęścia by mi dała? przestałbyś mnie kochać, a twoja wzgarda była-by następstwem konieczném mojej zbrodni. Ludwiku, żegnam cię, odejdz, błagam ciebie broń mię odemnie samęj, weź w opiekę sławę moją.

— Zofio, jedno słowo tylko; poprzysięgam ci na ten honor który jest Bogiem moim, że chyba na moim trupie oddasz rękę bratu mojemu.

— Okrutny! wzdrygnął-byś się życie mi odebrać, a nierównie większą krzywdę chcesz mi wyrządzić! Czyż w obliczu tego honoru do którego się odwołujesz, nie jestem twoją siostrą? czyż nie zdradzasz twojego brata? czyż mnie nie nakłaniasz do współnictwa zbrodni?

— Ach Zofio, utapiasz pugiuał w serce moje, a zostawujesz mi życie, na to tylko, bym piekielne cierpiał męczarnie: niemów tego że będziesz żoną Michała; w imię

honoru zapytuję ciebie, czy możesz mu zaprzysiąc miłość, którą dla innego czujesz?— czy taka przysięga nie jest zdradą?

— Nie Ludwiku, nikt nie jest obowiązany działać nad możność; po moim nieszczęśliwym ślubie z bratem twoim, wszystko mu wyznam; oddam mu w straż moją sławę, moje zbawienie, a to wyznanie wynagrodzę mu poświęceniem nieograniczonem; przymuszę go by mnie szacował, a jeżeli ta walka rychłą śmiercią się zakończy, jeżeli umrę, to przynajmniej umrę siebie godną.

— Piękna myśl, przerwała kasztelanowa wchodząc do izby, wszystko słyszałam, jakże ty niezdolna Zosiu z swojemi romansowemi myślami; kochasz Ludwika, a chcesz być żoną Michała, dla tego tylko że twój ojciec jemu ciebie przyobiecał. A wszakże xiądz Prosper, chociaż jaki skrupulat, przecie sam wyznał, że układy rodzicielskie bynajmniej dzieci nie obowiązują, co do ich osoby; a ta spowiedź, którą masz po szlubie zrobić Michałowi, jest także myślą piękną; i swoje i Ludwika szczęście nazawsze zabijesz, a do tego wzniesiesz wieczną niezgodę między braćmi. Czy wojski odpuści kiedykolwiek staroście, że go wyrugował z twojego serca? wszak on jest przekonany, że szalałeś za nim, wprzód niż Ludwika poznałeś; tym kontuszowym na dobrej opinii o sobie niezbywa. Zrobisz z siebie ofiarę, ale jaką? ty tego niepojmujesz; tą ofiarą nawet zgody familijnej nie utrzymasz, chyba że, o czem nie wątpię, Ludwik do grobu będzie złożony, bo on tego nie przeżyje. Ty wiesz siostruniu ile jestem do ciebie przywiązana, czyżbym mogła dać tobie złą radę— prawdziwie ja twojego sumienia nierozumiem— odwlekać od dnia do dnia twoje zaślubiny pod różnemi pozorami, aż przyjazna dla kochanków

gwiazda zabłyśnie, to wedle ciebie nie jest rzeczą uczciwą, a ślubować w obliczu Boga miłość, temu do którego wstręt nieprzełomny się czuje, to ma być rzecz godziwa— oddać komuś serce napiętnowane cudzym obrazem, to ma być rzecz szlachetna, bogobojna, zasługująca na jakieś nadzwyczajne względy u Boga. Zosiu droga, nie odbieraj wszelkiej nadziei temu, co umiera z miłości ku tobie. Patrz jakie gorzkie łzy wylewa ten sam, który prawie w obecności twojej, strzał śmiertelny przyjął bez zmrużenia oka— i tak to ty jego miłość odpłacasz— daj tylko słowo że zwlekać będziesz, że nie pójdziesz za Michała, że chcesz siebie powierzyć czasowi i nam; nie odbieraj wszelkiej nadziei Ludwikowi, a obaczysz że to co ludzie robią, to ludzie i przerobią.

— Ach siostró, do czego ty mnie nakłaniasz— i ty, i Ludwik, i ja sama, wszyscy przeciwko mnie.

— Zofio! wykrzyknął Ludwik w największym uniesieniu, nie zabijaj mojego szczęścia, mojego jestestwa, zostaw mi choć małą isierkę nadziei, a pozwól czasowi i miłości mojej ją rozżarzyć— czy chcesz bym w przytomności twojej życie sobie odebrał?

— Zosiu, dodała kasztelanowa, daj się ubłagać. Czyż okrucieństwo, którym przerażasz serce tak szlachetne, tak do ciebie przywiązane, jest cnotą? Czyż opór woli Najwyższego jest pobożnością?

— Ach okrutni! czegoż po mnie żądacie.

Tu Ludwik padł do nóg Zosi, ich oczy wzajemnie wlepiły się wejrzeniem; Zosia pozbawiona przytomności przychyliła się do Ludwika; ich usta się spotkały, a na tych ustach zdało się że ich dusze z sobą się złąły....

W tém drzwi się rozwarły, i wojski stanął przed nimi— Starosta zerwał się, ale stanął jak wryty. Zosia

wrzasnęła głosem przygłuszonym, chciała coś wymówić, ale słowa zlodowaciały w jej ustach. Kasztelanowa śmiało się odezwała— czemu mamy przypisać te nawiedziny pana wojskiego o tak późnej porze?

Wojski ją przeszył spojrzaniem tak pełnem pogardy, że go zniesć nie mogła, i poniewolnie oczy spuściła. Po chwilach kilku wojski przerwał okropną ciszę— Jestem gościem niespodzianym, nieprawda mości starosto?

Starosta stał osłupiały— Michał odezwała się Zosia, słuchaj.

— Milez nikiemna, wyrodne plemie najenotliwszego starca. Między nami już odtąd niema nic wspólnego; ale Wpan, który nikiemną zdradą, nadużywając mojej ufności, odważyłeś się potargać najświętsze obowiązki, Wpan, który mnie w jednej chwili wyzułeś ze wszystkiego co mnie do życia przywiązywać mogło....

— Bracie, przerwał starosta, wiem ile się winnym okazuję przed tobą; jednak posłuchaj, jeszcze się odwołać mogę do twojej sprawiedliwości...

Przerwał mu mowę Michał— przestałeś być moim bratem, żegnam cię nazawsze, może gdzieś się spotkamy; odchodzę, bo zniesć dłużej nie mogę widoku wiarołomstwa i podłości— żegnam cię, jednak wyrzekając się wszystkich związków, które mnie łączyły z tobą i z tą nieszczęśliwą ofiarą twoją, i tej podłej kobiety, którą widzę między wami, jeszcze ci ostatnią daję przestrozę— uciekaj, oczyść to siedlisko starodawniej cnoty z twojej niecznej obecności— uciekaj najspieszniej, po godzinie już może być zapóźno— za godzinę może byś opłacił wszystkie twoje zdrady. Łatwo-by mi było pomścić się we krwi twojej, ale wolę ciebie zostawić zgryzotom sumienia— zapewne że z nich teraz żartujesz, ale kiedyś brzemie

ich przywali ciebie.— To rzekłszy oddalił się z pośpiechem.

Już Michał był zniknął, a pozostali jeszcze czas jakiś do siebie przyjść nie mogli. Potok łez wytrysnął z oczu Zosi, i w tém jakiejś ulgi doświadczyła— Ludwiku, odezwała się, uciekaj z siostrą, słyszałeś groźną przestrogę twojego brata, zaklinam cię, uciekaj.

— Co, ja bym miał uciekać, ja miałbym ciebie zostawić na pastwę zemście ojca, prześladowaniu brata— Nie, nie, czekam śmiało rozwiązania mojego przeznaczenia, nie już mojej niedoli powiększyć nie może— odjedź kasztelanowo, a mnie tu zostaw.

— Ludwiku, przerwała Zosia, czy pragniesz bym do nóg twoich upadła, błagając cię, abyś siebie ratował; na mnie się spuść, może przyszłość jeszcze nas połączy, zachowaj siebie dla tej przyszłości.

— Nie, nie, już rzeczy zaszły nadto daleko— Zosiu, masz tylko dwie drogi przed sobą; nie pozostaje ci jak albo razem ze mną uciekać, albo być świadkiem haniebnej śmierci dla mnie przygotowanej, a którą jednak za największą łaskę przyjmę.

— Ludwiku, cóż powiedziałeś!

— Powiedziałem to, co się stać musi— poprzysięgam na honor szlachecki, że bez ciebie ani pół kroku wstecznego nie zrobię.

Milcząca dotąd kasztelanowa odezwała się— ani chwili nie mamy do stracenia. Zosiu, ruszaj z nami przez ogród do chałupy ogrodnika, tam już moja karetka musi czekać, inaczey twój Ludwik będzie wisiał na tym dziedzińcu; będziesz mogła napawać wzrok twój jego haniebną śmiercią, i powiedzieć sobie żeś go zabiła, bo ja ciebie ręczę, że żadna potęga ludzka nie skłoni go do

tego by te miejsca opuścił bez ciebie— i nie dawszy Zosi czasu opamiętania się, rzuciła na nią salopę futrem podszytą, wzięła pod rękę, Ludwik wziął ją z drugiej strony, i drżącą, nieprzytomną, więcej martwą niż żywą, powlekli przez ogród do chałupy ogrodnika, gdzie już zastali karetę kasztelanowej. Tam z największą szybkością do niej wsiedli, usadowili Zosię, i cwałem puścili się w drogę.

Około półgodziny już leciała karetka ku Kojdanowu, a Zosia jeszcze nie przyszła do siebie. Strach, wstyd, czułość, wyrzuty sumienia, wszystko razem tak nią miotło, że nie mogła przed sobą zdać sprawy ze swoich uczuć, nie wiedziała nawet co się z nią dzieje. Napróżno towarzysze podróży usiłowali balsam słów pociechy wlewać do jej ran serdecznych, by jakąś ulgę im przynieść; ona słyszała słowa, ale na najmniejszą odpowiedź zdobyć się nie mogła. Ile razy zdawała się odzyskiwać zdolność rozpoznania i siebie, i swojego położenia, lzy obfite zraszały jej jagody, i to niby jej jakąś chwilową ulgę przynosiło, ale ledwo oczy wysychały, zaraz wracała do tego stanu biernego, gdzie przy jestestwie traci się samopoznanie tegoż jestestwa. To milczenie, niekiedy przerywane łkaniem, więcej trapiło podróżnych, niżeli niebezpieczeństwa które ich otaczały. Kasztelanowa i starosta zatapiali się w marzenia o środkach jakie-by obmyśleć trzeba było, dla jakiegoś jej uspokojenia, kiedy tentent koni, i przeraźliwe krzyki raptownie ich przebudziły. Wkrótce ujrzeli się otoczonemi od hufca zbrojnego; dowódzca tego pocztu krzyknął— stój! i przybliżył się do karety. Po głosie i po postawie kasztelanowa poznała Wazgirda; nie tracąc przytomności, spuściła okno od karety, a zakrywając osobą swoją towarzyszków

podróż, głowę wychyliła i rzekła— Co za niespodzianka kochany kuzynku, i czemu mam przypisać twoje nawiedziny na wielkim trakcie?

— O tém się Wpani zaraz dowiesz, bo i do niej mam osobny interes; ale niech no jejmość tak nie zasłania swoich kompanów, wiemy co się święci. Nie chowaj tak swojej głowy mości starosto, a i pannie generałównie się kłaniam, w dobrém i uczciwém Wpanna towarzystwie, z ludźmi bogobojnemi; bardzo się ucieszy pan generał jak się o tém dowie. Z przeproszeniem państwa ich plan musi być nieco odmieniony.

— Cóż to! na to kasztelanowa, Wpan z kobietami wojujesz?

— Moja pocziwa pani, odemnie zaraz wezmiesz różgami na niezabud, i zostaniesz z panną generałówną w karecie, póki ze dworu po was nie przyjadą, bo ja konie zabieram bez ceremonii; zdadzą się one do czegoś lepszego, niż do wykradania panienek, a pana starostę mam honor prosić z sobą, jest dla niego koń przygotowany— no, no, niema gadania, zaraz mnie konie odprzęgać.

Ludzie kasztelanowej, jak łagodne baranki, wszystko zrobili co im rozkazał.

— Panie starosto, dalej rzekł Wazgird, proszę wyśiąć, jeżeli nie życzysz sobie być ściągniętym.

— Pan widzę ludzi bezbronnych na wielkim trakcie napadasz, rzekł starosta, winszując szlachetnej zabawy.

— Panowie umiecie, odparł Wazgird, we własnych domach imać i więzić większych panów niż my obadwa. Pan umiesz wykradać panienki z rodzicielskiego domu, i tém odpłacać gościnność którejs od nich doznał; a więc

godzi mi się z panem pokwitować. Będiesz panie świadkiem kary przeznaczonej dla pani kasztelanowej, a co się z panem stanie, o tém się później dowiemy— a obracając się do swoich— Kubusiu, Gerwazeńku, i ty Jalućku, zsiąść mi z koni, i powyciągać z karety co tam znajdziecie żywego.

Piorunem skoczyli bojary i już zabierali się gospodarować około karety, kiedy Skołuba zbliżywszy się do swego pana rzekł— a niech-no pan obejrzy się w prawo od siebie, ta to chmura jakiegoś wojska pędzi ku nam.

— Ach do kroć djabłów prawda, krzyknął Wazgird, na koń bracia, szykuj się do boju!

— Co panu do głowy przystąpiło, odrzekł Skołuba, czy pan oszalał, nas piętnastu, a tamtego ćma, noga nasza nie ujdzie, wolemy rzecz na poczekawszy odłożyć; wygodniej na koniu niż w trumnie, a w lesie niż w dybach; niech pan na drogę pistoletem poczęstuje pana starostę, a potem w las, za nami się nie puszcza.

— Masz słuszność Skołubusiu— Ciąg-się w lewo, marsz!— a dobywszy pistolet i odwiódłszy kurka— jeżeli ciebie żywcem porwać nie mogę łotrze, krzyknął na starostę, to przynajmniej łeb ci roztrzaskam— i przez okno wyrzucił rurę na starostę. Ale Zosia, odzyskawszy przytomność, rzuciła się na starostę, robiąc mu tarczę ze swojego ciała. Napróżno chciał ją starosta powoli odepchnąć, ona go tak ramionami zacisnęła, że nie mógł się z nich oswobodzić; Kasztelanowa gwałtu wrzeszczała.

— Panno Zofio! krzyczał Wazgird, Wpanna do tego się nie mieszaj, puść-że pana starostę, bo ja do Wpanny gotów wypalić; ustąp się!— A to djabeł nie dzie-

wczyna— już ci dziewczyny zabić nie mogę— niech-że was trojga wszyscy djabli porwą!— do obaczyska mości starosto, a gałganie! a! psie podły! Pan Bóg sam wyrzekł że na Wpana szkoda ładunku, zda się on na nieprzyjaciela, a na zdrajcę ^wstryczek— nie tracę nadziei Wpana do niego uczepić. To wyrzekłszy, zniknął ze swojemi jak błyskawica.



IV.

Sługa Dawnych Czasów.

Już od lat trzech konfederacya Barska walczyła ze stronnictwem Królewskiem. Były czyny wielkie, czyny znakomite odwagi; ale w rzeczy samej ścieśniona w kilku województwach Małej Polski, wszystkie jęj usilności by rozprzestrzenie się po całym kraju, zawiedzione zostały. Litwa, która stanowiła największą siłę rzeczypo-
spolitej, lubo dzieci swoje wysyłała ku Karpackim gór-
rom, dla podsycania hufców konfederackich, ogołocona
z swoich naczelników, była nieczynną. Nakoniec Ogiń-
ski, hetman wielki litewski, po długiem wahaniu się,
podniósł zbutwiałą chorągiew. Władza hetmańska jeszcze
nie była wyczerpana z swoich przywilejów: ogiński swoim
akcessem nie małą siłę przynosił konfederacyi, zwłaszcza
w tém, że pierwszy w osobie swojej okazywał władzę
legalną, niezaprzeczoną; a Litwa była właśnie prowinc-

cyą, która największą wagę przywiązywała do form legalnych. Przybył więc Ogiński, porozysłał wszędzie więc hetmańskie, powołujące do pospolitego ruszenia rycerstwo litewskie, i wkrótce stanął obozem pod Stołowiczami na czele kilku tysięcy szlachty. Wielu Litwinów przedarło się było z Małej Polski, by jemu ułatwić powstanie; i bez wątpienia, gdyby jeszcze przynajmniej kilka tygodni mu pozostało czasu, ogromne wojsko mogłoby się zebrać na rozkaz hetmański. Lecz sam hetman, człowiek dowcipny, ogładzony wychowaniem zagranicznym, nawet odważny osobiście, z drugiej strony lekkomyślny, zarozumiały jak każdy człowiek miernych zdolności, otoczony pochlebcami, pasibrzuchami z bruku warszawskiego, był jak najmniej sposobny do kierowania obszernem poruszeniem. Licząc na nieomyślne zwycięstwo, wszystkiego zaniedbał co mu je zjednać mogło; a na większe nieszczęście swoje, kiedy lada wódz doświadczony już by był zdolnym do pokonania jego, miał do czynienia z największym bohaterem owego czasu. Suworów dowódca, wojsk posiłkowych Króla Stanisława, stał natenczas w Lublinie. Zkąd miał wyruszyć ku Podgórzowi, by zadać cios ostatni konfederacyi Barskiej, gdy nagle uwiadomiony o powstaniu Litwy, postanowił przemienić plan kampanii. Wyruszył z Lublina ku Litwie, i z tą nadzwyczajną chyżością, która zawsze cechowała jego poruszenia, w dwóch dobach stanął blisko Stołowicz. Siły jego co do liczby nie mogły się równać z temi, któremi dowodził Ogiński, ale z niemałym zadziwieniem przekonaawszy się, że niedołączny jego współzawodnik, ani czał, ani placówek nie porozstawiał, chwili nietraci, znużonemu żołnierzowi nie pozwala odpocząć, i o samej północy uderza na obóz. Nie była to bitwa, bo nie było

prawie krwi rozlewu: porozbieranych, sennych, w niewolę zabrał, z całego wojska litewskiego niespełna czterysta koni, pod dowództwem generała Bielaka, tatar, zdołało się uratować; reszta wpadła w ręce zwycięzców, lub rozsypała się pojedynczo po okolicznych lasach. Sam hetman winien był swoje ocalenie poświęceniu się Michała Strawińskiego, który mu podał własnego konia, a nawet oddał swoją alfę i omegę, a sam bezbronny i spieszony schwytany został. Kassa, ogromne zapasy, bogate sprzęty hetmana i panów pod jego rozkazem będących, wszystko to zostało własnością zwycięzców. Tak konfederacja rozpoczęta na Litwie, na samym wstępie stłumioną została.

Po tak świetnem i stanowczem zwycięztwie Suworow czasu nie marnował; pokrzepiwszy dotąd słabe stronnictwo Stanisława Augusta, kilkaset żołnierzy zostawił dla utrzymania Litwy w spokojności, a sam trzy dni odpocząwszy, wrócił do Lublina, żeby ztamtąd ścigać Puławskiego, najdzielniejszego z wodzów konfederacyi, gdyż on jeden umiał utworzyć jakąś karność, w tłumie złożonym ze szlachty, i ich sług domowych. W Litwie, po Stołowieckiej klęsce, taki był popłoch, że natychmiast cała prowincya uległa Królowi. Jak to zawsze bywa w podobnych okolicznościach, każdy się oświadczał za królem, każdy się zapierał postępków jakich się przeciw niemu dopuszczał, a jeżeli ich nie mógł zataić, składał je na bojażń, na mus, głośno potępiając tych, na których losem w skrytości duszy ubolewał. Tym czasem jeńcy zalegali gościńce; wielu udawało się ratować ucieczką, gdyż poczty co je prowadziły, były słabe. Czasem dwóch kozaków kilkudziesiąt branców prowadziło, a po większej części ich straż chłopom była powierzona. Często rozbity blakające się po lasach oskrzydłających

gościńce, zbierały się w większe kupy, i małemi drogami z przodu im zabiegały. Chłopi, za lada napadem, odrzekali się swoich niewolników, i sami uciekali do wsi swoich; nieład był wielki, ile że posiłkowi królewscy nie będąc w sile, a już nieodzownie zniszczywszy działalność przeciwników, mało dbali o pojedyncze ucieczki. Jednak ci którym jakąś przewagę w działaniach przyznawano, jako otaczający Hetmana, lub dowodzący oddziałami, byli pod ściślejszą eskortą trzymani; i takich kilkudziesiąt, między któremi znajdował się pan wojski, pod eskortą dwudziestu kozaków królewskich było prowadzonych.

Kiedy generał Bielak zdołał zebrać swój oddział, pan Jan Wazgird i jego Skołuba byli z liczby jego podwładnych; ledwo kilkaset kroków zrobili, a prawdę powiedziawszy nikt ich nie ścigał, pan Wazgird opatrzył się, że jego drogi przyjaciel pan wojski nie był z niemi.

— Skołubo! powiedział słudze, pan wojski na kwaterze hetmańskiej nocował, pewnie musiał wpaść w niewolą; ruszajże sobie pod Bożą opieką, żeby go odszukać.

Ani mi się bez niego pokazuj.

A jak go wykradniesz, razem będziecie wiedzieli gdzie mnie znaleźć.

Skołuba, posłuszny na rozkaz pański, rzucił broń, rozsiadł konia; i oklep odłączył się od pana, jak zwyczajnie masztalerz, a nie konfederat. A miarkując że jakiś czas upłynie nim jeńców wyprawia, bo potrzeba było nie jednego, ani dwóch wozów po tylu ludzi, co się w jednej chwili nie przygotuje, puścił się do Nieborowszczyzny, do domu pana swojego o mil cztery od Stołowicz. Tam stanąwszy o świcie, przez kilka godzin go-

spodarował; wszystkie sreberka pańskie upakował w łubianém pudle, opatrzył się w szpiżarni chlebem i wędliną, dwugarncową flaszę skórzaną napełnił starą gorzałką; z piwnicy kazał wynieść beczkę stoletniego miodu spadkowego, którą pan Wazgird strzegł jak oka w głowie, a wybrawszy dwie najlepsze szkapy jakie mógł wynaleźć w stadninie folwarcznej, zaprząkł je do wózka niepokaźnego, ale dobrze okutego; na nim ułożył beczkę, pudło, i zapas żywności, do tego rydel i siekierę; i wziął w imieniu pańskiem kilkaset złotych należnych za ratę od arendarza. Jeszcze na waletę kilka butelek wina wypróżnił z podstarościm, i czule się z nim uściskawszy, siadł na obładowany wózek i puścił się w podróż *corde laeto et animâ impavidâ*. Wkrótce zanurzył się w puszcę świtezka, łączącą się z kołdyczowską i korelicką, puszcę, której od niepamiętnych czasów siekiera nietknęła, a która rozciągała się po nad wielkim gościńcem. Jak się dostał do puszczy, gdzie tyle lat polując znał każdą drożynę, lepiej może niż niedźwiedzie, których była ojczyzną, był spokojnym, bo wiedział dobrze, że żadna potęga ludzka tam go nie wytropi. Ruszał sobie blisko wielkiego traktu, by niewidziany, mógł swoje strategiczne kombinacye do skutku doprowadzić; miał żywność i dla siebie, i dla koni, miał zapas gorzałeczki, nadewszystko, czyste sumienie, któremu zawsze ufność w Bogu towarzyszy; czegoż mu więc było potrzeba. Pierwszy jego nocleg był w borze, pod rozłożystą lipą, a przy pierwszych brzaskach jutrzeńki, posiłwszy się wódeczką i wędliną, puścił się w drogę. Pod wieczór ukrywszy wózek w gęstwinie, i spętawszy konie, odziany w chłopską siermięgę z chodakami na nogach, wyszedł piechotą na wielki gościniec, i zaszedł do

szlakowej karczmy; tam nabrawszy wiadomości, z których umiał korzystać, wcześniej wrócił do swojego wózka, i w swojej głównej kwaterze przenocował, a dopiero po wschodzie słońca, dogodnym marszem, bo stępą, posunął się dalej, zawsze nie więcej jak o kroków kilkaset od gościńca.

Ujechawszy parę mil litewskich, jakież widowisko zatrzymało go raptownie: leżał koń zdechły, a przy nim śpieszony jezdziec, porządnie ubrany, który załamywał ręce, głośno płakał, i tak był zatopiony w swoim frasunku, że nie spostrzegł zbliżającego się wózka. Skołuba zawsze przezorny, wstrzymał konie, ale pomyśliwszy sobie, że to być musi jakiś rozbit Stółowickiej porażki, tej samej barwy co i on sam, odezwał się głośno:— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, mości płakso!

Młodzieniec zadrżał na głos ludzki, odpowiedział jednak:— Na wieki wieków,— i obrócił głowę ku Skołubie.

Skołuba parschnął ze śmiechu:— Kłaniam waszeci mości panie Szatny, a co Wpan tu porabiasz?

—Co porabiam mości panie Skołubo, co porabiam oto trzeci dzień już w gębie kawałka chleba nie miałem; a oto koń mniej odemnie wytrzymały, padł jak Wpan widzisz, koń pański, na którym z bitwy uszedłem.

—No, no, mości Cesławie Buńczukiewicz, Pan Bóg nas sprowadził jednego dla drugiego; twój pan wzięty, a ja na to posłany by go odszukać. Cztery oczy lepiej widzą niż dwa; a że Wpan głodny, napij się tym czasem wódki; nie żałuj zęba, mamy chleb i szynkę; a jak się posilemy, trzeba skórę zdjąć z waścinego konia: w pierwszej karczmie możemy za nią dostać przynajmniej sześć

tynfów, i tego szkoda; ja odkąd żyję, jeszcze szeląga nie znalazłem na drodze. Do Wpana panie Cesaławie, i nadchyliwszy flaszę do gardła, oddał mu ją; a pan Cesaław trochę wypiwszy, przypytał się do szyuki.

Jak się najedli, a co, odezwał się Skołuba, przyznaj się mój Cesaławeńku, że jak mnie poznałeś, stanąłem tobie jak Anioł przy śmierci. Teraz trzeba nam się wziąć do roboty, myślałem że panu mojemu dowiozę to pudło ze srebrem, ale nie, rozmyśliłem się że bezpieczniej je zakopać, a w swojej porze odszukać. Wpan masz rydel, kop-że mi jamę pod tym jesionem, a ja się wezmę do zdjęcia skóry, bo ja na to majster.

Zaczęła się robota, i trzeba wyznać, że Cesaław, choć szatny, wziął się do niej rzesko; jama się wykopała, skóra się zdjęła. Skołuba rzucił skórę na wózek, a łubiane pudło spuścili w jamę, którą ziemią zasypali, a kobylinę ze skóry obdartą, zawlekli na zasypaną świeżo ziemię; po czym odezwał się Skołuba rzucając rydel opodal od siebie:— Teraz on nam niepotrzebny, daj Boże żeby poczciwy człowiek go znalazł; a ty Cesaławeńku, zrzuć z siebie swoją kapotę nieco za wykwintną i szablę, bo nam tu nie bronią wojować, i bóty swoje zzuć bez ceremonii, a nałóż na nogi chodaki; nie wstydź się, bo to dla ciebie nie nawalia, czy raz w nich chodziłeś na bekasy z panem wojskim, i z księdzem Nowochackim, i brnąłeś po naszych błotach. Oto masz i drugą siermięgę, bez czapki się obejdiesz, bo u mnie drugiej niema. A wszystkie swoje ubiory, trzeba gdzie w gęstwinie rzucić, na szczęście komu dobremu; bo nam niekiermaszować między panienkami. Mój pan z JW. Bielakiem poszli w świat, a twój gdzieś w sieci, ale ja go z niej wypłaczę, chyba że się nie nazywam Skołubą; srebra

mojego pana cudzemu się nie dostaną. A beczka miodu wiele nam pomoże, ona Króla Jana Kazimierza pamięta; byleś jęj szklanę wypił, a kto ci powie: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus», zaręczam że nie wyraźnie odpowiesz: «na wieki wieków.» Teraz dążmy tam gdzie nam nocleg wypada, a jak staniemy na niem, na Wpana zdam kienie, a sam wysunę się piechotą na wielki trakt, z dwóma uszami, i jednym językiem. Jutro zaś przed zachodem słońca da Bóg doczekać, staniemy na nocleg w Bortnicach, i zajedziemy prosto do karczmy; a wkrótce po nas do dworu zajadą nasi pod dobrą strażą: pamiętaj Cesławku, że to o twojego pana chodzi, o twoją skórę. Czy będziemy się smucić, czy weselić, to nam w niczem położenia nie odmieni; nam myśleć tylko o tém trzeba, jakby twojego pana wybawić.

— Myśl sobie Wpan panie Skołubo, bo już ja myśleć nie umiem; a czy mnie powiesz ksobie, czy od siebie, zrobię jak każesz.

— Pamiętaj-że, odprzągłem konie, żeby je napoić, teraz Wpan je zaprzęgnij. O tak dobrze się bierzesz, aż miło, widzę że chociażęś szatnym, do furmaństwa masz zdatność; będziesz tedy powoził, a ja siądę na wózku; waszeci oddam lice, a waszec mi oddasz język. Żebyś nie gadał jak kogo spotkasz, bo słuckiego pasa sobie nie wygadasz, a stryczka jak najprędzej; bo jak nas broń Boże poznają, bez ceremonii powieszą, do tego wcześniej się przygotuj.

— Ja mam się odzywać przed ludźmi, ja ich się teraz tak obawiam, że trzy dni nie jadłem, żeby się z nimi nie spotkać; żeby nie Wpana łaska, to umarłbym z głodu; a wolę umrzeć z głodu, niż na szubienicy.

— Starajmy się żyć, ruszaj a powoli.

I tak pod sterem baczego Skołuby, młody Buńczukiewicz powoził wózek, ale takimi krętaninami, że to były wytwory woźniczego kunsztu.

Wędrowali w milczeniu przerywanem niekiedy wyrazami: ksobie, od siebie, a batem-że naręcznego, które często wychodziły z ust Skołuby. Czasem spotykali węglarzów lub siabrow, każde takowe spotkanie na chwilę przynajmniej przerażało szatnego, ale Skołuba z każdym choć parę słów zamienił. Częstował ich tabaką, i ofiarował targ na kobyłą skórę; a najczęściej pytał o drogę do miejsc, do których ani myślał dążyć, lubo lepiej znał drogę od nichże samych; a że się ciągle tłumaczył narzeczem rusko-litewskiem, nikt się domysleć nie mógł, że mówi z szlachcicem. Tak tedy przybyli na jedno miejsce, gdzie były jeszcze szczątki pieca, gdzie przed laty kora brzożowa w gęsty płyn się destylowała. Skołuba kazał się zatrzymać, w około się obejrzał, i wyskoczywszy z wózka: «Cesławienku, powiedział, jestem w domu, chociaż wcześniej jednak tu nocować będziemy; ja pójdę przed końmi, a waść za mną noga za nogą, bo tu mamy przebyć gęstwiny niepospolite.»

I w samą rzecz, chociaż z niemałym trudem, przeprowadził jednak ekwipaż, aż na miejsce odkryte, mające kilkadziesiąt łokci wzdłuż, tyleż w szerz, a zewsząd otoczone gęstwiną ledwo że nie nieprzebytą.

— O tu będzie nasz nocleg przedłużył Skołuba; piąty rok temu, jak na tém samém miejscu, jednym wystrzałem dwie sarny położyłem i dostałem za to, od pana Rejtana Tadeusza podkomorzycy nowogródzkiego, sześć tynfów na na piwo. Widzisz że całe życie umiem pamiętać, gdzie raz byłem; tu trawa dobra, nikt niepotrzebny nie zajdzie, a choć komary trochę dokuczają, na to okurzelisko; do

wielkiego gościnea niema nad pół mili, tam jest karczma traktowa, nazywa się Wygnanka, zaraz muszę pójść do niej, a za godzin parę mniej więcej powrócę. Wpan, jak konie się napasą, napoisz ich w tej rudzie, a potem parę garney owsa im zasypiesz. Czekażże na mnie wesołej myśli; trzeba mnie i tę skórę zanieść, i tytuniku dostać w karczmie, bo mój się wysypał, a nie zdrowo zasypiać nie trzymając fajki w zębach; jakbyś ty się popisał, żebyś mój kapszuk przedziurawiony załatał; masz kłębek, igłę i łatkę do przyszycia.

Potem wyrąbał gruby kij z dzikiej jabłoni, skórę włożył na plecy, i stroną przeciwnoległą drożynie którą wjechali, znikł w zaroślach; a pan Cesław spętawszy konie, wziął siekierę i zajął się przygotowaniem ogniska, którem pod wieczór miał odstraszyć roje natrętnych komarów.

Dobrze się zmęczywszy rąbaniem i rozłożeniem polan, podszywszy jak umiał kapszuk i niezaniebawszy opatrzyć konie, a sądząc że zasłużył na posiłek, łyknął haust starki ze skórzaney flaszki i z apetytem młodzieńczym nadziawszy się półbochenkiem chleba, i porządnym zrazem wędzonej słoniny, nie tkuwszy miodu powierzonego jego wierności, razem ze swojemi końmi w rudzie pragnienie ugasił. Póki słońce zsyłało rozweselające promienie, póty Cesław był dość spokojny, ale gdy już się znacznie pochyliło, samotność coraz więcej dla niego traciła powabów. Nie można powiedzieć żeby pan Cesław był tchórzem, owszem w rozmaitych potyczkach przy boku pana swojego, szlachectwa nie skaził; ale nie był on z liczby tych co umieją wziąć inicjatywę odwagi: przy Skołubie naprzykład, dziesięć uzbrojonych przeciwników niezdoliby go zastraszyć, ale lada baba samego jednego mogłaby zmieszać; był on jak godzinnik, który idzie kiedy kto

go nakręci; sam sobie oddany, żadna siła moralna poruszać nim nie umiała. Ztąd okazywał w sobie dwa sprzeczne żywioły, szlachetnej odwagi, obok najnikczemniejszej bojaźliwości. Zatopiony w ponurych marzeniach, próbował we śnie szukać ratunku, ale sen uciekał z jego powiek, ile że roje komorów wypowiedziały mu były wojnę; zerwał się, wziął się do krzesiwa, wykrzesał ognia, i za pomocą płuc rozdymał płomień; nieco spokojniejszy ze strony komarów, napróżno jednak szukał spoczynku. Niestety pana, niepewność własnego losu, bojaźń szubienicy na wypadek wpadnięcia w nieprzyjaźne ręce, to wszystko tak go zaczęło trapić, że rzewnie płakał, a chociaż dla ulgi udawał się kilkakrotnie do skórzanéj flaszy, ta nie tylko że nie zmniejszała, ale powiększała owszem jego frasunek. Kiedy Skołuba powrócił do towarzysza podróży, z niemałym zadziwieniem zastał go siedzącym przy ognisku, a płaczącym jak bobr.

— Dobry wieczór Wpanu mospanie szatny; dobre nowiny, skóra się sprzedala, oto dostaliśmy za nią spory woreczek miedziaków, jest i tytunik, i nawet gościnka przynoszę dla Wpana, luleczkę; jutro będziemy w Bortnicach, i tam zjedziemy się z komendą prowadzącą jeńców. Wszystko o czém wczoraj wiedziałem dziś się potwierdza; a jutro albo kapucyn, albo starosta, czy żeby się jaśniej wytłómaczyć, albo uwolniemy pana wojskiego, albo będziemy wisieć.

— Najprędzej będziemy wisieć.

— Jeżeli tak się stanie, to przynajmniej w dobrej kompanii, wszak ludzie mówią, że Cygan dla kompanii dał się powiesić; a Wpan płaczesz, at wstydzilibyś się takiego babstwa panie Cesławie, cō łzy komu dobrego poradzą.

— Co poradzą! ani łyzy, ani nie nam nie poradzi, obaczysz Wpan, że wcześniej, czy później, nie wykręcimy się od szubienicy.

— Co się z Wpanem stało? pfe! opamiętaj się Cesławenu! Tać to do szubienicy jeszcze daleko, a gdyby mnie nawet do niej ciągniono, i w takim razie wstydziłbym się płakać.

— Jaki Wpan szczęśliwy panie Skołubo, że ci bieda dopieć nie może, a ja ją tak czuję, tak czuję, że tego opowiedzieć nie mogę, tylko płaczę nad sobą z żalu. Ach czemu to ja w żywocie macierzyńskim nie zaśniedział!

— Nie bluźń Cesławenu, nie narzekaj że cię Bóg jeszcze przy życiu zachowuje, a jeżeli ci źle z nim, przeżegnaj się, i proś go żeby było lepiej.

— Ale już ja nigdy modlić się nie będę; wszakże to ja w stołowickiej farze przed wielkim ołtarzem leżałem krzyżem, i spowiadałem się na intencję nas wszystkich; a patrz Wpan w co to my się nazajutrz obrócili.

— Oto mi gracz, teraz pretensya do Pana Boga, że nie stanął na zawołanie, że się odrobinę pomodlił, już wszystko ma iść jak z kłębka; a święci Pańscy i dłużej i lepiej się od nas modlili, a jednak czy to takie biedy jak nasze Pan Bóg na nich dopuszczał. Obacz Wpan w Stoupcach obraz Śgo Onufrego, to był Królewic przecie, a kilkadziesiąt lat na puszczy się męczył, i takich jak my wędzonek nie zajadał; albo Jozafat, pan całą gębą, bo któż u nas Kuncewiczów nie zna, a jednak jak go kijmi okładano. To Pan Bóg ich dotykał, a takich durniów jak my miałyby żałować; wstydziłbyś się narzekać.

— Czy to każdy taki jak Wpan panie Skołubo; Wpanu czy dobrze czy źle, to wszystko jedno.

— Już ci nie jedno: wolę w Nieborowszczyźnie na mo-

jěj pościółce się wyspać, niż pod lipą w assysteneyi komarów, wolę zające gonić, niż samemu być gonionym; ale co Bóg daje, to przyjmuję bez szemrania, a nigdy mu się nie naprzykrzam żeby odemnie biedę oddalał, ale żeby mnie nie odbierał siły i męztwa do jej znoszenia; bo nam koniecznie biedować trzeba. Chłop, jak pańszczyznę odbędzie, ma święty pokój, żyd, choć cały tydzień szwędą się jak czart w wodzie święconej, ale w szabas wylęga się; toż i Niemiec; ale szlachcie ciągle bieduje — a dla czego? — bo szlachcie. Jednak za wszystkie maślacze i piernaty całego świata, mojego szlachectwa nie oddam; wszakże to my chudopachołki, a czy by to nam przystało leżeć do góry brzuchem. Ej nie ciągnij mnie za język, żebym czasem Wpanu nie powiedział żeś głupi; jemu się bieda już naprzykrzyła; a xiążę panie kochanku, jaki pan, a czy on siedzi spokojnie w Nieświeżu! Tłucze się jak cygan po całym Podgórzu; jemu świst kul muzyką, a szablą spisę wytrącać, tańce; toż samo i innym magnatom. Nie wymyślaj Cesławieńku, bo to nie pięknie, nie po szlachecku; wszak waszec nie z neofitów żeby tehórzyć; a potem wiesz co? jak bieda dokuczy, to tém się pocieszyć można, że z kolei przyjdzie i dobre; ale nuż się dobre naprzykrzy, jak sobie wtenczas poradzić?

— Niby to się kiedy naprzykrzy dobre!

— I bardzo, i bardzo Cesławieńku; a Jan Kazimierz, o którym starzy rozprawiają co o nim nasłuchali się od ojców swoich: on krolował w Litwie, w Koronie i w Szwecyi; możesz miarkować jakie z tego wszystkiego płynęły bogactwa; otoż to wszystko tak mu nakoniec obrzydło, że aż Bernardynem został, i gdzieś tam za górami po kweście chodził. Wyśpim się mości panie, teraz pomodlmy się Bogu, żeby nam się udało uchwycić pana wojskiego.

— Aj panie Skołubo, żeby nam to Bóg dał; ja nad sobą często płaczę, ale częściej jeszcze nad moim panem; co bo to za kochany pan! Wszak ja z małego u niego służyłem, on mnie kazał wyuczyć czytać i pisać, on o niczem tyle nie myślał, ile żeby ze mnie zrobić człowieka; jabym wszystką krew moją dał z siebie dla niego wytoczyć. On wart tego; co to za rzadkie serce, żeby jeszcze takiego Pan Bóg nie ratował, to chybaby w nim nie było sprawiedliwości.

— A Wpan ostrożnie z językiem panie Cesałwie, jak Bóg zechce tak będzie, a my swoje róbmy; już to prawdę powiedziawszy, z samego pana wojskiego nie wiele będziemy mieli pomocy; on na to wszystko obojętny, od lat trzech jak przybity. On nigdy nie był nadto wesołym, ale teraz tak tetryczny, że nie do poznania.

— Co to tetryczny! Czy uważałeś panie Skołubo jak osiwał, a przecie jemu dopiero rok trzydziesty trzeci; serce się kraje patrząc na niego; nie można powiedzieć inaczej, i na Podolu, i na Podgórzu, po swojemu się popisywał; ale na naszej Litwie co dokazywał, i Wpan i ja patrzaliśmy na to; wyraźnie szukał śmierci, a ona od niego uciekała. Kiedy z ludźmi, bawi się niby z niemi, z każdym rozmawia uprzejmie, ledwo nie wesoło; ale za to kiedy sam, to albo się modli, albo godzinę i dwie siedzi nieruchomy, głowę oburącz trzymając. Ale to też i doświadczył nieszczęść, nie pod wagą i miarą: co to panie, zdradzony od narzeczonej, i od własnego brata, on co ich obu tyle miłował, a czy na tym koniec! Pan generał po wykradzeniu córki, umarł ze wstydu i zgryzoty, za nim wkrótce poszła i panna łowczanka; a panna generałówna poszedłszy za pana starostę, przysłała umocowanego z Warszawy dla objęcia majątku. Chcieli oni nadal utrzymać

mojego ojca, ale on nie chciał służyć tym, co zamęczyli nieboszczyka pana. To jeszcze szczęście, że przed śmiercią pan generał dał naszemu ojcu porządne dożywocie, bo by nie miał gdzie starych kości położyć. Ojciec Kleofas odrzekł się swojej ulubionej oficyny, i osiadł w klasztorze Mińskim; nawet xiądz Nowochacki słysząc już przestał polować; słudzy się porozbiegali, wszystko jak wymieciono, a gdzie dopiero był dom zamożny i ludny, teraz same pustki. A cóż ma robić pan wojski, on się gryzie, drugi możeby już dawno oszalał.

—Cesławeńku, ja twojego pana pewnie nie mniej od ciebie kocham, a szanuję go jakbym więcej Biskupa nie szanował, ale nie pojmuję, żeby rozumny człowiek, tak żywo brał to na serce. Prawda że szkaradnie zdradzonym został, ale żebym był na jego miejscu, plunąłbym na to wszystko. Mój pan naprzykład, choć ani głową ani mową, z twoim równać się nie może, i samby się obraził, żeby ktoś ich na jednym szczeblu chciał postawić, w tym jednak roztropniejszy: jak mu się przytrafi jakie nieszczęście, podrapie sobie trochę głowę i zaraz do mnie, Skołubo, kiepsko z nami, i zaraz albo do kniei z gończemi, albo z chartami dawaj dławić zające, a jeżeli pole zupełnie nie zdatne, każe mnie bić się z nim w palcaty. Wymacha się godzinę, potem się wyspi, i jak się przebudzi, już mu ani w głowie.

—To prawda że pan Wazgird zawsze wesoły, ale też i wielkiej biedy nigdy dotąd nie doświadczał.

—At gadasz; ta to on za mojej pamięci razy dziesiątek się kochał, a zawsze dostał rekuzę; czy myślisz że to przyjemnie? a długo tem się kłopoce, rekuza z rana, a po obiedzie już co innego w myśli; albo w gospodarce mało doświadczał biedy? pomorek na bydło, gradobicie,

pożar, zalew wody, rabunek domu, ale do szczętu; przez wszystkośmy to przechodzili, a zaręczam, że ja sługa więcej tym się troszczyłem niż on pan. Jeszcze bywało że mnie żartuje że tak to biorę na serce: a w interesach jaki niedbały; dla tego też choć wszyscy mu przyjaciele, żaden mu nie chce oddać córki. Nieboszyk cześnik, jemu i jego starszemu bratu zostawił piękny majątek Raszkiewicz, wieś jakich nie wiele na Litwie; ta to ja tam się rodziłem. Otoż pan Alexy, starszy brat, że wyszedłszy ze szkół zaraz się ożenił, do tego z kobietą rodzajną, powiedział mu — wiesz co panie Janie, Wpan kawaler, a ja żonaty; na co nam się dzielić, gładziej pójdzie na jednym gospodarstwie, niżeli drobić ojcowiznę. Ja za nas dwóch będę roli pilnował, a Wpanu intratę powoli opłacać będę, żebyś miał zawsze świeży grosz.— Zgoda, odpowiedział pan Jan.— Tyle też ma pociechy z swojego dziedzictwa, dotąd od brata złamanego halerza nie dostał; to kiedy go potrzeba przycisnąć, zżyma się na pana Alexego, krzyczy w naszej przytomności, że jak go obaczy, łeb mu rozpląta; i w takich burzach jedziemy do Raszkiewicz. Ja póki nie poznałem całej hramoty, bywało go mityguję w złości, mówię, nie godzi się na starszego brata napadać; jeszcze sam za to coś oberwę. Coż powiesz Cesławienku, pan Alexy jaki papinka, a mój całą gębą szlachcie, bo i lwie serce i lwia siła; otoż jak stanie przed starszym bratem, trzech nie umie przeliczyć, zającując się prosi o swoje, jakby o jałmużnę; a pan Alexy na niego z góry: — U mnie dzieci jak bobu, mnie w głowie jakby to okryć i nakarmić, a ten mnie w uszach trąbi swoje głupie rachunki.— I dobrze zbuczany, pan Jan jeszcze go przeprasza, i jak niepyszny z kwitkiem nazad. Aż mię brał śmiech na to patrząc; i tego dobrego po kilka razy bywało na rok.

—Ale dla tego pan Jan nie bez funduszu; trzyma on z łaski xięcia pana Nieborowszczyznę, to dobry kawał.

—Co to dobry kawał, to złote jabłko: łączka, mączka, ryby, grzyby, wszystkiego znajdziesz po pas, to też żeby nie łaska xięcia, nie mielibyśmy koszuli na grzbiecie; ale cóż, kiedy Bóg wie po jakimuś idzie gospodarka: jak pan przybędzie niby gospodarować, to i gospodaruje po swojemu. Podstarości z nim ciągle musi polować, a chłopci pańszczyznę odbywają chodząc na obławę; kiedy pan w Nieświeżu, to wtedy siako tako idzie w domu. Jak kapnie jaki grosz, to chyba ja z niego coś urwę, na opędzenie niezbędnych potrzeb, bo z tego co wpadnie w kieszeń pańską nie długa pociecha, pierwszemu którego spotka zaraz i wysypie.

—Kto ma wielu przyjaciół, trudno temu mieć zaszytą kieszeń.

—Czy myślisz że mój pan tylko dla przyjaciół jest uczynnym; żeby ci dać o nim wyobrażenie, to ci jedno zdarzenie opowiem. Raz pojechaliśmy do Nowogródka, zajeżdżamy wedle naszego zwyczaju do Mordka Rabinowicza: zacząłem pana przebierać, aż on widzi na drzwiach kredę napisane te słowa: «Ja Szlachcie Grzegorz Samplawski z Województwa Chełmińskiego, przybywszy do Nowogródka na sprawę, a sprawy nie skończywszy, tak się wyniszczyłem, że dwieście złotych zostałem dłużny Mordkowi Rabinowiczowi; jeżeli to przeczyta jaki możny a pocziwy Szlachcie, w imie Zbawiciela go proszę żeby za mnie zapłacił.» Mordko, krzyknął moj pan, powiedz mi, co to ma znaczyć ten napis: jasny panie, odpowiedział żyd, téj wiosny zajechał do mnie jakiś szlachcie, porządną bryką i czterma konmi, i tu u mnie mieszkał, jadł, i koni i ludzi karmił, a to wszystko na kredkę przez dziesięć tygodni,

całą kadencyę. Jak odjeżdżał, ja widzę że mnie nie płaci, chciałem jemu parę koni wyprządz, ale on jak zaczął mnie prosić, i to napisał na drzwiach, obiecując że ktoś za niego zapłaci, mnie żal się zrobiło i puściłem go; wszyscy się teraz śmieją, bo moje dwieście złotych przepadło. — Otoż nie przepadło, odrzekł mój pan. — A któż zapłaci? na to żyd — czy jeden to czytał. — Ja zapłacę, a na biedę kilkaset złotych był wziął dnia wczorajszego zadatku na gorzałkę. Ja na to — bój się Boga panie, to musi być jakiś filut. — A zaraz filut, dla czego? każdemu z nas nieszczęście może się przytrafić. Żyd miałby być uczynniejszym dla szlachcica, niż ja sam brat szlachcie; i nie wiele myśląc, zatarł co było napisano na drzwiach, i dwieście złotych odliczył żydowi; tak, że my dwie doby przesiedziawszy w Nowogrodku, i rozplaciwszy się gospodarzowi, o dwóch tynfach w kieszeni pojechaliśmy do domu. Taki to kalkulator z mojego pana; ażeby się pieniądz jego trzymał, to mógłby być bogaczem świata; bo to pół wsi ojcowizny, a druga wieś całkowita z łaski xięcia, a teraz pula Nieświezka, to dobra wieś, ale wszystko to się rozchodzi kaduk wie gdzie.

— Jakaż to pula?

— Ot pytasz się, abo twój pan raz grał w nią z xięciem panem i z Albeńczykami, szczególnie w czasie wiosny. Każdy stawia coś do płatki, a potem strzela z pistoletu w lot do jaskólek; kto chybi, nie tylko że przepadła mu stawka, ale jeszcze do puli musi dodać, a ci co trafią, między siebie rozbierają pieniądze; czasem mój pan samem złotem obładuje kieszeń, i bardzo wtedy wesoły, ale też nie smuci się kiedy goły, co jeszcze częściej z nami bywa, i tak przystoi szlachcicowi. No panie Cesaławie, już słońce dawno zaszło, odmówmy Godziuki do Niepokala-

nego Poczęcia na cześć Najświętszej Panny, orędowniczki naszego szlachectwa, a potem fajkę w pysk i spać. Wpan jak widzę już wieczerał, a jam swoje odbył w karczmie. Przedawszy żydowi skórę za sześć tyńfów, porękawicznego dostałem porządny traktament, kwaterkę wódki, misę jajecznicy, i cztery dzwonka szczupaka, po żydowsku nadzianego cebulą i pieprzykiem, niewspominając o piwie; czegoż więc potrzeba pocziwemu człowiekowi. No móści szatny: «Zaczniście wargi nasze chwalić Pannę świętą, — «zaczniście opowiadać cześć jej niepojętą» wtórzył pan Cesław; z łona pustyni podniosły się głosy do Tronu Przedwiecznego. Skołuba, który przez zbytnią ostrożność dotąd cicho mówił, na cały głos intonował pieśń do Matki Boskiej; ani mu przez myśl przeszło, by obcując z niebem, jakiegokolwiek ostrożności miał używać przez bojaźń ludzi. Wiara była wtenczas tak silną, że przed jej potęgą wszelka niktęła obawa; ztąd pomimowolnie u naszych ojców weszło w obyczaj, głośno się modlić. Zatopieni w modlitwie, nie oglądali się naokoło; ta modlitwa głośna, była, że tak powiem, machiualnem zaproszeniem całego przyrodzenia, by się łączyło do przewodzącego głosu, ażeby chwalić Pana nad Pany. Łatwo to pojmie każdy, kto rozpamiętywał psalm 148, codziennie powtarzany od tych wszystkich, co mają we zwyczaju modlić się z Rubrycelli. *Laudate dominum de coelis, laudate eum in excelsis*; a dalej, *Montes et omnes colles, ligna fructifera, et omnes cedri. Bestiae et universa pecora, serpentes et volucres pennatae, etc.* Półmędrek z politowaniem zapyta, jak można zapraszać do modlitwy istoty bez duszy, a nawet bez czucia, ale prawdziwy chrześcijanin więcej i gruntowniej się ulituje nad temi nieszczęsnymi, co zdołali zatłumić w sobie zmysł religijny.



V.

U w o l n i e n i e.

Ledwo jutrzeńka z nocnych cieni zaczęła wydostawać drzew wierchołki, już Skołuba był na nogach. Z troskliwością doświadczonego człowieka, opatrzył konie i uprząż nucąc sobie: »Kto się w opiekę odda Panu swemu,» po czém konie do wody poprowadził, przedłużając pacierze. Dalej, stojąc przy wózku przekładał na nim pakunki, patrząc ze szczerym śmiechem na towarzysza podróży, który po tamtej stronie bryki leżał na ziemi zaspany. Był to widok w samej istocie śmieszny; Cesaław spał twardo, a owad latający pokoju mu nie dawał. Wszystkie jego rysy były w ciągłych poruszeniach, najdziwniejsze miny wyrabiał, czasem ręką odganiał nieprzyjaciół swojego spoczynku, ręka jakby martwa opadała z łoskotem o ziemię, a z tém wszystkiem przebudzić się nie mógł. Aż nakoniec Skołuba, naśmiawszy się

do woli, porwał go za rękę i potrząsnąwszy nim całym jak gruszą dla dostania owoców, rzekł— dzień dobry Wpanu panie szatny; wstawaj Wpan: dziś wszystko dobrze nam pójść powinno, bo na piękny dzień się zanosí; patrz jak mgła osiada.

Cesław wytrzeszczył wielkie oczy, ziewnął porządnie, obie ręce wyciągnął, a z takim wyprężeniem, że aż stawy odezwały się z trzaskiem, i zerwał się równemi nogami. Przeżegnał się coś mruczając pod nosem, i boso pobiegł do rudy, przy której się umył; czém orzeźwiony, wrócił do wózka, przywitał się ze Skołubą, wdział chodaki, płócienne szarawary zaciągnął oskurzem, włożył na siebie siermięgę, i przyklękawszy zaczął się modlić, nawet z podniesieniem ducha; bo jeżeli wieczorne modlitwy najczęściej klepał na wpół zaspany, albo myśląc o czém inném, trzeba mu oddać sprawiedliwość, że co się tycze porannych, te mu rzadko kiedy służyły za materyał do spowiedzi. Modlił się gorliwie z dwóch przyczyn, raz że po obmyciu się, już go sen przestał być trapić, powtóre, że się nieco obawiał, bo pierwsza myśl która po obudzeniu nasunęła mu się, była śmierć na szubienicy, haniebna dla szlacheica, na przypadek wpadnięcia w nieprzyjazne ręce, ile że w dniu tym, wedle słów Skołuby, miało nastąpić rozwiązanie ostateczne ich dramatu.

Skołuba nie przeszkadzał mu w modlitwie, zaczął zgromadzać szczątki zgasłego okurzeliska, okrył tlejące ognisko świeżemi polanami, i połą od siermięgi, jakby miechem kowalskim, rozdmuchał ogień. Już przez wszystkie szczeliny płomień się dobywał, kiedy pan Cesław we wszelkiej gotowości stanął przed Skołubą, i z twarzą wy-

pogodzoną jakiej dotąd nie miał, odezwał się— a co panie Skołubo, czy mam już konie zakładać.

—Poczekaj mości szatny, na wszystko pora; do Bortnicy niemamy nad mil cztery, a nam niepotrzeba tam być aż dobrze po południu. Ale cieszę się że przecie Wpana widzę w dobrym humorze, a to dla tego, że rano wstałeś. Nigdy czekać nie trzeba, póki aż słońce nam nie powie dzień dobry, ale wyskoczyć z pościeli na jego spotkanie, by je z życzeniem dnia dobrego uprzedzić, tym sposobem dzień przejdzie wesoło, bo słońce gniewać się nie będzie. Teraz napijemy się kawy, przynies no Wpan naszą flaszę skórzaną i chleba na zakąskę.

Cesław przyniósł i wódkę i chleb.

— Wypij do mnie.

Łyknał młodzieniec i oddał flaszę Skołubie. Skołuba splunął, przeżegnał się, i dobrą porcyą zakropiwszy wewnętrzności— teraz Cesławienku trzeba pomyśleć żeby czémś ciepłym ogrzać żołądek: mamy kociołek i baniak, Wpan w króbeczce znajdziesz worek z jagłami, wykroisz szynki kawał i słoniny wędzonej, mamy wodę w rudzie, a kiedy Wpan' jeszcze spałeś, ja uzbierałem trochę borowików. Obaczysz że będziemy mieli krupnik, który-by się nie powstydział pokazać na stole Nieświeżskim.

— Ani wątpię o tem odpowiedział Cesław, i wszystko co potrzeba wydobywszy z wózka, majster i czeladnik wzięli się do kuchmarzenia. Wkrótce potem, pilnie śledząc oczyma kipiącą sperandę porządnego śniadania, rozpoczęli z sobą gawędę.

Cesław pierwszy zagaił— wiesz co panie Skołubo, jak zacznie się bać, to na koniec się przeboi. Przyznam się Wpanu, że dziś jeszcze przebudziwszy się, byłem w wiel-

kim strachu, na wspomnienie stryczka, aż mrowie po mnie przechodziło; a teraz już się człowiek z tą myślą oswoił; wcześniej czy później, siak czy owak, a umrzeć trzeba. Jak to pięknie napisano w Słonimie na marmurowym grobowcu świętej pamięci pana strażnika, ojca mojego pana, *quod mihi hodie, tibi cras*; on te słowa często w ostatniej swojej chorobie powtarzał. To się ma tak rozumieć: co mnie dziś, tobie jutro. Choć tego jeden drugiemu tu powiedzieć nie możemy, bo broń Boże nieszczęścia. dziś od jutra nas nieprzegrodzi, gdyż wedle wszelkiego podobieństwa, będziemy razem wiśieli. Dla Wpana to nie, a dla mnie jakem rozpatrzył, pół biedy.

— A to czemu?

— Temu, że sam sobie nie dowierzam, gotów jestem stchórzyć; ale przy Wpanu wiem że mnie dobrém słowem pokrzepisz, i nie pozwolisz żebym przed cudzemi na duchu upadł, nieprawda?

— At, młodyś Cesławeńku, czyż to już zaraz i wiśieć! Kiedy wielkie zło, to bieda musi się przesilić, a kiedy nadto dobrze, to bieda grozi. Przypomnij no sobie, jakto w Stołowiczach jeszcze we wtorek wieczór, ziemia się trzęsła pod kopytem naszych koni; nam się zdawało że cały świat podbijemy, a we środę z rana już to wszystko było albo w kozie, albo w lesie; a czy kto mógł tego się spodziewać. Teraz chociaż miną nadrabiam, czuję dobrze że nas okulbaczyła ostatnia nędza, więc z tego wnioskuje że wkrótce coś dobrego nastąpi; bo widzisz Cesławeńku, szczęście i nieszczęście są przy nas, jak skrzydła przy wiatraku, to jedno, to drugie na wierzchu, a tym czasem zboże się miele.

— Jaki Wpan mądry panie Skołubo.

— Ba, a dla czego djabeł rozumny, bo stary. Wpanu rok dopiero dwudziesty, pożycz no prawie lat tyle, jak ja, to także o wielu rzeczach się dowiesz, o których ci jeszcze dotąd ani się śniło. Niezdaje mi się, żeby nasza wyprawa na szubienicy skończyć się miała, tak być niepowinno; ale dajmy na to, żebyśmy się od niej i nie wykręcili, czyż zaraz rozpaczać? oddać się Bogu i być spokojnym. Wszakże to nie za rozbój, nie za złodziejstwo: Pan Bóg dobry i sprawiedliwy; jeżeli tu źle, za to tam będzie lepiej. Mnie to cieszy, żeś i Wpan się uspokoił: mam przeczucie że nam dobrze pójdzie, a broń Boże noga się pośliznie, spuść się na mnie ja Wpanu nie dam stehórzyć.

— Ja się niespodziewam przy Wpanu takiego wstydu, ale pomówmy no z sobą: jakże weźmiemy się do tego, by mojego pana uwolnić, bo musi być dobra straż przy nim.

— Albo ja wiem, tak się zrobi, jak Pan Bóg zrządzi. Wpan zwyczajnie młody, wszystko chciałbyś z kopyta, a na świecie nie tak rzeczy idą; wiem że pan wojski pod strażą, że dziś mieć będzie nocleg w Bortnicy na komissaryi, że Bortnica należy do xięcia Biskupa Massalskiego, że tam ekonomem generalnym jest Pan Oskierko. Ale jaka tam straż, czy ostrożna, czy nie dbała, czy z hulaków, czy z postników, czy straż dziedzińca zdana będzie na kozaków, czy na chłopów, o tém nie wiem, a dopiero jak się dowiem, wedle tego i postąpię; i to jeszcze zostaje do odgadnienia, czy dowódzca komendy stojąc w przyjacielskich dobrach, spuści się na ekonoma z pełną ufnością, czy nie, bo i na tém wiele zależy.

— Ja tu nie widzę różnicy, jaki pan taki kram; czy kozak, czy ekonom xięcia Biskupa, to dla nas na jedno.

— At! powiedział co wiedział, na dwoje babka wróżyła; co to z góry stanowić, i z zawiązanemi oczami szukać czarnej owcy między białemi. Jak godzinę pobędę w Bortnicy, będę wiedział o wszystkim; a teraz tyle tylko wiem, że w dobrach pana co z Królem trzyma, kozaki Króla nie będą tak ostrożni, jak w dobrach tych co się przeciwko niemu oświadczyli. Zresztą co mam gadać, o czém jeszcze nie wiem; ale ty Cesławienku pamiętaj byś zesnurował sobie usta jak staniemy w Bortnicy. Pilnuj koni, leż przy nich, a choć pójdziesz do szynku, nie odzywaj się; pamiętaj że człowiek rozsądny najlepiej wychodzi, kiedy go cudzy mają za gapia.

— Albo ja głupi z kimkolwiek wdawać się w rozmowy; tylko z Wpanem mówić będę.

— I ze mną nie bardzo. Jak się kto waszeci o co zapyta, odpowiedz— ha? to on głośniej się odezwie z pytaniem, Wpan i drugi i trzeci raz powiedz— ha? wezmą ciebie za głuchego, dadzą ci pokój, a tym czasem coś dobrego może ci wpaść do ucha. Ja sam będę do ciebie krzyczał co tchu stanie, uważasz? Ale oto i krupnik gotowy; bądź co bądź, a najeść się trzeba. Przeleli krupnik z baniaka w ostudzony kociołek; Skołuba wyjął z zanadrza dwie łyżek drewnianych, obaj siedli na ziemi, postawiwszy między sobą kociołek, i pierwszy raz od dni kilku posilili się ciepłą strawą.

Po skończoném śniadaniu, po upakowaniu wózka, Cesław zaprzągłszy konie, siadł na miejscu woźnicy, a

Skołuba zajął zaszczytną posadę właściciela. Wędrowali w milczeniu, bo pan szatny już się wprawiał do roli głuchego, co ją miał wygrywać w Bortnicy, a Skołuba niczem się nie chciał odrywać od rozwagi niezbędnej dla sternika: ciągle tylko się oglądał w okół, żeby między tyłu krętami manowcami niezblądzić. Wózek szedł jak okręt pośród wichrów nieprzyjaznych: czasem się zbliżał do wielkiego gościńca, czasem się od niego oddalał; dążył ci wprawdzie do zamierzonego celu, jednak nie prostą linią; ale te wszystkie obręty nie były zrządzeniem ślepego trafu: każde poruszenie bądź uboczne, bądź nawet wsteczne, Skołuba mógłby w potrzebie usprawiedliwić logicznym wywodem. Palił lulkę, myślał, i uważał. Cesaław był jak w rogu, niewiedział gdzie się znajduje, czy się zbliża, czy się oddala od celu podróży; tylko przy krzyżujących się drożynach, wedle komenđerówki Skołuby, zwracał lejce w prawo lub lewo, zacinał tę lub owę szkapę. Tak się posuwając, już byli odbyli jeden popas, i od dwóch godzin po południowym obroku przedłużali swój pochód, kiedy od strony gościńca usłyszeli głosy głuche, a między niemi jeden głos donośny, rozkazujący, jednem słowem szlachecki.

Skołuba kazał stanąć, zlaźł z wózka, podsłuchiwał czas niejaki, nakoniec obrócił się do Cesaława mówiąc—nie to, jednak trzeba się dowiedzieć dokładnie, czy to jest, czego się domyślam, czy co innego.

Kilkanaście kroków gęstwiną przeszedłszy, a zawsze kierując się głosem słyszany, obaczył tabor z kilku ludzi, a z niemi konie juczne i wierzchowe. Między temi ludźmi stał żyd, a jakiś pan czy podpanek w łosim kaptanie, z szablą w jaszczur oprawną u boku, z ładownicą

srebrną na plecach, na niego krzyczał— Rozstąp się ziemio mocium panie, przeklęty żydzie, gdzież ta lasowa karczma, o której od południa mnie pleciesz, umieram z głodu; ktoby mi dał kieliszek wódki, byłby moim największym dobrodziejem, czy długo żydzie myślisz mnie morzyć.

— Jaśnie panie odezwał się żyd, za półgodziny przeprowadzę państwa do Korelicz, tylko co ich nie widać, o tu, pokazując ręką od strony wielkiego gościńca.

Po dumnej postawie, po ogromnych wąsach, a szczególnie po przysłowiu, Skołuba poznał pana Chłusowicza, chorążego wołkowyskiego, który był do Stołowicz przyprowadził z sobą do kilku-dziesiąt szlachty i ludzi dworskich uzbrojonych, i na dzielnych koniach. Wysunął się gładko z gęstwiny do swojego wózka; tam w jedną rękę wziąwszy pudło z wiktuałami, w drugą flaszę skórzaną, z tém stanął pośród dworu pana chorążego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, krzyknął chorąży na jego widok, a co waść za jeden?

— I ja go chwale, wielmożny chorąży, panie i dobrodzieju.

— Rozstąp się ziemio mocium panie, waść mnie znasz, i mnie się zdaje żem waści gdzieś widział, kto waść taki?

— Jestem gajowym z korelickiej puszczy, i strzelcem J0. xięcia pana.

— Rozstąp się ziemio, teraz rozumiem zkąd data naszej znajomości: czy to ja raz z xięciem Wojewodą polowałem w waszej puszczy; witam waści mocium panie, ja przyjaciel, a waść sługa Radziwiłłowski. My z jednego sklepu, a co to masz waść w rękę.

— Słyszałem jak wielmożny pan skarżył się, że mu głód dokucza, niechże wielmożny pan pozwoli służyć sobie tém co Bóg dał.

— Rozstąp się ziemio mocium panie, waść pocciwy człowiek jak widzę, bylebym się spotkał z xięciem panem, moja głowa w tém, żeby waści na podłowczego postąpił; i gorzałkę masz, o toś mi brat. Powiedz no waść szczerze, czyś szlachcie, czy nie?

— Szlachcie wielmożny panie, choć ubogi, ale tak zacny jak pan stolnik litewski.

— Niewielka to filozofia mocium panie, być tak dobrym szlachcicem jak on. Pij-że waść do mnie, bo na waszecine sumienie się spuszczam żeś szlachcie.

— Skołuba trochę łyknąwszy, podał flaszę; chorąży dobry haust połknąwszy— rozstąp się ziemio mocium panie, wódeczka kapitalna, ażem się orzeźwił, i zaczął zajądać wędzonki, unosząc się nad ich zaletami.

— Niech wielmożnemu chorążemu ta króbkka i ta flaszka służą, jest kilka bochnów chleba, słonina, szynka, kilka łokci kielbasy z czosnkiem; pan leśniczy wyprawił mnie z Korelicz do Słucka, wziąłem z sobą zapas, właśnie jakbym przeczuwał, że się nim przysłużę tak znakomitemu panu.

— Rozstąp się ziemio mocium panie, nie wiem jak się waść nazywasz i o to nie pytam; a zdjawszy sygnet z palca— słuchaj waść panie bracie, oto masz mój sygnet herbowny, przyjedź do Dziewiątkowicz, żebym mógł waści odwdziżyć za traktament traktamentem, a jak mnie zwrócisz ten sygnet, przez całe życie tego żałować nie będziesz.

— Skołuba ucałowawszy kolano chorążego, zapytał

go, z jakiego wypadku zbił się z wielkiej drogi, aż w bezdroże leśne.

— Rozstąp się ziemio mocium panie, a co to waść za górąmi siedział, że mnie o to pytasz: pięćdziesiąt chłopców na koniach zaprowadziłem do Stołowicz, ale mocium panie, co poradzisz na zdradę; rozbili nasz obóz, ja ledwo z tém co waść widzisz umknąłem w lasy, i piąty dzień w nich się błąkam, i to wszystko przez Ogińskiego. Ja przybywszy radziłem żeby od tego zacząć by go powiesić. Jak mu wierzyć, kiedy jego żona jest cioteczną siostrą pana stolnika litewskiego; on się niby z nią rozstał, ale to tylko na oko. Zdrada mocium panie; abym się dostał do domu, w nim kąta nie zagrzeję, rozstąp się ziemio, a muszę znaleźć Ogińskiego, żeby go powiesić, i tém skończę sprawę graniczną, co z nim toczę od lat dwudziestu; a jak po nim buława litewska dostanie się xięciu Wojewodzie, dopiero będzie dobrze na Litwie. Żeby to ja był prowadził konfederacyę pod Stołowiczami, to by nieprzyjaciel błdził teraz po lasach, a nie swoi; ale władza hetmańska wszystkim głowy była pozawracała. Każdy mówił pan hetman, pan hetman, a pan hetman zdrajca; co to z męztwem zrobisz naprzeciwko zdrady! Musiałem uciekać, i tak nakoniec zabłądziłem, że ani ja, ani ta garstka moich ludzi, nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Na szczęście spotkaliśmy tego żyda, która ma nas do samych Korelicz przeprowadzić, a ja mu za to obiecałem sto tyńfów jeżeli mnie tam całego doprowadzi. No, moje dzieci, wiem że wasze żołądki próżne, obdzielcie się tym bochenkiem jak możecie; a wódki wam nie dam, bo już jej nie wiele.

Skołuba przybliżył się do chorążego, i skłoniwszy

się— Oj wielmożny panie, coś temu żydowi z oka nie dobrze patrzy; wielmożnego pana ma przeprowadzić do Korelicz, a dąży zupełnie w przeciwną stronę ku wielkiemu traktowi; on wielmożnego pana chce wprowadzić między nieprzyjacielskie komendy.

— Rozstap się ziemio mocium panie, znowu zdrada! Żydzie, a to waśc jesteś szpiegiem jak widzę?

— Nie Jaśnie panie, ja pocziwy żydek, mnie wszyscy znają, bo ja wszystkim obywatelom służę.

A Skołuba na to— a gałganie, ty niby pana prowadzisz do Korelicz, a czy tam Korelicze? Ty go prosto wabisz do Bortnicy, gdzie dziś jeszcze nieprzyjaciół silny oddział ma stanąć.

— Rozstap się ziemio, damże ja tobie niecnoto. Moje dzieci, weźcie tego hultaja, i przyczepcie go szyją do gałęzi.

— Co jaśnie pan żartuje?

— A to się wkrótce dowiesz mocium panie, czy to są żarty, czy prawda. Waśc szpieg, a szubienica jest choroba na której szpiegi kończą, jak hulaki z dobrej szlachty na podagrze.

— Gwałtu jaśnie panie, to on sam szpieg, co w prostej siermiędze chodzi, a wozi jedzenie pańskie.

— Mocium panie, próżne słowa, waśc wisieć będziesz, moje dzieci, oddajcie mu zgrabnie tę ostatnią posługę.

— Gwałtu, ja wszystko powiem, ja niewiem gdzie droga do Korelicz, ale jak jaśnie pan chciał dać sto tyńfów, ja bidny zid chciałem zarobić, u mnie żona i dzieci.

— Mocium panie nie naprzykrzaj się.

Zaczął wrzeszczyć żyd tak przeraźliwie, że aż Ce-

sław przybiegł na ten głos, i miał czas przypatrzeć się, jak ludzie chorążego brzozę pochyliwszy, na jej wierchołku uczepili żyda za szyję, z tyłu mu ręce związawszy, i brzozę puścili. Żyd się jeszcze długo trzepotał, nim się nakoniec uspokoił, a ludzie aż się kładli od śmiechu.

— No mocium panie gajowy, rzekł P. Chłusowicz, dzień szczęśliwy; z łaski waści nakarmiłem się, zdradęśmy wykryli i ukarali, dotąd wszystko dobrze; ale *sunt bona mixta malis*. Żyda zdrajcę powiesiliśmy, ale żaden z nas drogi nie wie, a jak waść nas odjedziesz, gdzie my się podziejem?

— Wielmożny pan niech tak zrobi: ja koniecznie muszę zaraz jechać do Bortnięcy, ale choć późną nocą to jeszcze wrócę. Niech wielmożny pan tu na mnie czeka, a jak będzie zmrok, niech każe dobry stos zapalić bo noc ciemna, trzeba żebym miał się do czego kierować, a jak powrócę, to potem sam wielmożnego pana doprowadzę do Korelicz.

— A na jaką godzinę mam się waści spodziewać?

— Wkrótce po północy.

— A jak nie przybędziesz?

— To wtedy niech wielmożny pan za mną i za tym moim woźnicą który tu stoi każe zmówić anioł pański, a jeżeli łaska da co na mszę: bo już oba nie będziemy żywi.

— Rozstap się ziemo mocium panie, z waści desperat jak widzę. No ruszaj sobie waść zdrow, a powracaj jeszcze zdrowszy, a jak mnie przeprowadzisz do Korelicz, możesz być spokojnym o swój los, bo już ja o nim pamiętać będę. Czy waść gajowy, czy strzelec, czy

kto inny mnie nie do tego; wiem tylko żeś dobry człowiek i kwita; zdaje mi się że waści gdzieś widziałem, ale mniejsza o to; ruszaj-że sobie z Bogiem panie bracie, a jak się tylko zmierzchnie, ogień będzie rozpalony. Oj żeby ten Ogiński dyndał obok żyda, nie tak-bym tęsknił za waścią, ale co się odwlecze to nie uciecze.— Skołuba pożegnał chorążego ściśnieniem za kolano i siadłszy na swój wózek puścił się dalej w drogę.

Godzina w zupełności nie upłynęła, a już nie tylko Skołuba z Cesławem dostali się do wielkiego traktu, ale nawet do wsi wjeżdżali. W jej środku, stała karczma obszerna murowana a pod karczmą siedziały baby sprzedające mięsiwa, nabiał i inne wiktuały. Nie mało fornałek stało przed karczmą, bo chociaż Bortnica nie była miasteczkiem, ale na wielkim gościńcu położona, częste miewała kiermasze, i właśnie nasi podróżni na takowy trafili. Był to dzień świetny dla arendarza, gdyż nie tylko że do większej połowy był wypróżnił zapas gorzałczany, ale pokupował za becen mnóstwo drogocennych rzeczy, co je ludzie przynosili ze Stołowickiego popłochu: nie jeden ratujący się ucieczką, zarwawszy naprędce pas lity, lub jaką inną sztukę z odzienia swego pana, za kilka tyńfów go sprzedawał pierwszemu żydowi co go napotkał. I arendarzowi Bortnicy kilka podobnych faciend udało się zrobić; ztąd ręce założywszy za pas, przechadzał się około swojej karczmy, z oznaką największego zadowolenia. Kiedy Skołuba wjechał do sieni, arendarz zaczął pytać woźnicy, wedle kategorii Arystotelesa, z kąd, dokąd, z kim, za czyją pomocą. Ale Cesław, choćby samo z siebie nie pamiętał o roli głuchego, na niego nałożonej od Skołuby, widok dyndającego żyda na gałęzi, tak mu był utkwiał w pamięci że bez

trudności okazał się jakby rzeczywiście głuchy. Skołuba za niego odpowiedział, że jest gajowym w puszczy xięcia Wojewody, i że wiezie od leśniczego korelickiego, beczkę sytego miodu do komisarza słuckiego. Arendarz radby może był szukał z nim napaści żeby prawem kaduka do téj beczki się zaintromitować; ale imie Radziwiłła było tak straszne, że chociaż xiążę tułał się po Podgórzu, każdy żyd bał się jego sług zaczepiać, żeby, jak już to bywało, na przypadek powrotu xiążęcego, na okropną zemstę nie być narażonym. Nie tylko tedy że mu przykrości nie wyrządził, ale go nawet potraktował kwartą piwa, i wzięwszy na stronę, oświadczył przed nim swoje przywiązanie do xięcia pana, na którego gruncie się rodził w Lubczu, i że po wszystkich kahałach modłą się za najrychlejszy jego powrót do Nieświeża. A tym czasem zabierał się pójść do ekonoma generalnego, by go uwiadomić, że do karczmy zajechał jakiś obszarpaniec Radziwiłłowski i że beczkę miodu z sobą wiezie, kiedy sam ekonom kolebką parokonną zajechał przed karczmę.

Pan Oskierko ekonom generalny xięcia Biskupa w kłuczu Bortnickim, nie był zupełnie złym człowiekiem, choć służąc xięciu Biskupowi, tém samém musiał popierać jego stronnictwo; jednak ile razy to mógł uczynić, bez narażenia siebie na podejrzenie, przez szpary patrzył na zabiegi strony przeciwnéj. Chciał zachować ufność swojego pana, ale obok tego nie życzył sobie wywołać na przeciw siebie nienawiści zażartych, w czasach które po kilkakrotnie okazywały przykłady, że tułacz i wywołaniec wczorajszy, wracał nazajutrz i do majątku i do dawnego położenia towarzyskiego. Bogaty jak każdy, który się dotknął interesów xięcia Biskupa, pragnął jeszcze mieć

wziętość jakąś w obywatelstwie: a trudno było ją otrzymać, nie wchodząc przynajmniej w tajne kompromissa z partją Radziwiłłowską. I tak, ile razy pan Oskierko wyprawiał jeńców konfederackich, krzyczał na nich, odgrażał się prawie z wściekłością; ale im dodawał straż złożoną z największych gapiów jakich mógł wynaleźć, tak że jeńcy bez wielkiej trudności ratowali się ucieczką. Prawda że potem włosy rwał sobie niby ze złości, że katował różgami nieroztropnych strażników, że dla okazania gorliwości sam wyjeżdżał dla odszukania zbiegów, ale zawsze udawał się w stronę przeciwnoległą téj, którą jeńce uciekali. Jednem słowem, święcie się trzymał axiomu, żeby tak postępować, by i wilk był syty, i koza cała. Zajechawszy przed karczmę, rozkazał dyspozytorowi, którego ujrzał, kręcącego się na koniu świeżo nabytym pod czas kiernaszu, żeby czterdzięci podwód wiejskich, stanęło o świcie na kommissaryi dla przewiezienia jeńców, gdyż co chwila oczekuje komendy wojsk królewskich z jeńcami; a spostrzegłszy Skołubę zaczął go wybadywać zkąd i dokąd jedzie; Skołuba odpowiedział rusko-litewskim narzeczem, zwyczajną antyfonę że jest gajowym korelickiej puszczy, i że wiezie beczkę miodu kommisarzowi słuckiemu.

— No mój kochanku, powiedział pan Oskierko, cieś się mocno z tego, lada moment będę miał gości, kozaków królewskich, pana kommisarza słuckiego przeproszę, a moich gości jego miodkiem potraktuję.

— Budzie kryuda panoczku.

— Co nie twoje bratku, o to niedbaj, a potem prosić nie będę, a obracając się do dyspozytora: mospa nie Kluskiewicz, miej waść na oku beczkę, którą znajdziesz na wozie tego franta, żeby w szkodę nie poszła,

a jak goście przybędą, to ją zaprosić do mnie. Ledwo wymówił te słowa, a już beczka przeniosła się na fornalnię dworską. Skołuba zaczął kolana całować ekonomowi.

— Ach panoczku, dajcież-że liściec kaby nie było kanfuzyi w Słucku.

— Bądź spokojny dobry człowiecze, wasz komisarz dobry mój przyjaciel, porozumiemy się z sobą, a jak powrócę do domu, każę mojemu manualiście list dla wasci napisać, a ja go podpiszę, jeszcze wasci zrobię wygodę u siebie. Gdy to mówił, przyleciał jego pisarczyk od kołowrotu wiejskiego, ale co koń mógł wyskoczyć, z oznajmieniem, że już transport jeńców czołem dotyka się wioski. Pan Oskierko wyprawił pisarczyka nazad do komendy, żeby ją przeprowadził na komisaryą, a sam w swojej kolebce kazał sobie do domu odwiedzić, dla przyjęcia gości, i pożegnał Skołubę, mówiąc mu, bratku, przyjdź na komisaryę, tam ciebie w piekarni napoją i nakarmią.

W jednej chwili wszystkich jakby wymieciono z karczmy, bo wszystko to hurmem tłoczyło się ku kołowrotowi, dla spotkania kozaków. Zostali tylko, stara żydówka przy drobnych dzieciach w swym szynku, a w sieniach Skołuba z młodym Buńczukiewiczem. Pierwszy drugiego na bok odprowadziwszy rzekł.

— Patrz-no Cesaławienku jak wszystko dobrze się kartuje; obaczysz że i kozacy, i sam pan ekonom tak się popiją miodem, że będą leżeć jak zabici. Ty dosypuj koniom owsa, a jak się zrobi noc, ty z drugimi idź na komisaryą; nie nie gadaj a na mnie uważaj: jak tobie dam znak, zaraz konie zaprzęgaj i stań za bramą; poczem przyjdiesz na dziedziniec, żebym wiedział że go-

towe: wtedy z tobą pójdę za bramę i powiem ci co masz robić. Pójdź teraz wraz ze mną na komisaryą żebyśmy się z miejscem obeznali. Poszli i zobaczyli na dziedzińcu kilka wozów obładowanych szlachtą, otoczoną od kilkunastu kozaków; poznali zdaleka i pana wojskiego, ale przez myśl im nie przeszło do niego się zbliżyć. Szlachtę zaprowadzono do furdygi, a dwódziestu pięciu chłopów z drągami postawiono przy bramie dziedzińca. Dziedziniec był w koło opasany głębokim rowem, nad którym gęsto sterczały ostrokoły: nie było sposobu wejść do dziedzińca jak przez wrota, ale obok rezydencyi ekonoma rowem przedzielone było gumno napełnione zbożem w snopie, pośród którego stała obszerna stodoła, a dalej trochę śpichrz. Między gumnem a komisaryą był most zwodowy dla ułatwienia komunikacyi, ale ten most od dawnego czasu się nie podnosił, bo łańcuchy były znacznie uszkodzone. Komisaryą jak wszystkie rezydencye owych czasów, była prawdziwą forteczką, nawet na jej wałach pokazywało się kilka armatek żelaznych bez lawetów.

Pan ekonom u drzwi mieszkania swojego przyjął gości, ze wszelkimi powierzchownemi oznakami i uszanowania i radości; co chwila im się kłaniał, dziękując że przecie kraj oswobodzili od swawoli i rabunków konfederatów, i zapytywał czém może im służyć. Że noc była piękna, a zrazy, kasze i pieczenie gotowe, kazał na podworzu pozastawiać stoły, żonę swoją przedstawił oficerowi dowodzącemu oddziałem, i po uczęstowaniu ich gorzałką zaprosił do stołu, za którym, wedle obyczaju kozackiego, i starszyzna i szeregowi razem usiedli. Między dworską czeladzią wcisnął się i Skołuba, a pan Oskierko okiem nań rzuciwszy, roześmiał się serdecznie,

i odezwał:— ale, ale, o to i gajowy mojego serca, zapomniałem o jego miodzie, to on przecie nas częstuje mości panowie. Dyspozytor przybliżył się do ekonoma i powiedział mu do ucha: o to panie na dziedzińcu stoi mój wózek, a na nim beczka.

— No, no, pogospodaruj-że Wpan koło niej, każ zaraz na początek garniec jeden wytoczyć, pokosztujemy go. Przyniesiono garniec, nalano szklanki: zdrowie Króla jmc! krzyknął pan Oskierko, i wychyliwszy szklankę do dna, ach, odezwał się, przedni miód, kozaey także nie mogli się nachwalić.— Wypij waśc mości panie Kluskie-wiczu. Niknęły szklanki jedna po drugiej ze zdradliwym trunkiem, tak że godzina nie upłynęła, a już wszyscy byli bez przytomności, nawet pani komisarzowa była zadrzemala. Aż Skołuba widzi zdaleka snującego się Cesaława; i jak się tylko przekonał że starszyzna dworska i kozactwo leżą bez przytomności, odezwał się do chłopstwa stojącego na warcie.

— A sztoż, kali moj miód wsi pijuć, paprabujmy i my; a bo my nie takie ludzie jak i ani.

Chłopstwo się natychmiast rzuciło do beczki. Skołuba ani kropli nie liznął, bo wiedział co się dzieje z tym który szklankę odważy się wypić, ale udawał że pije, a chłopstwo piło do upadłego. Zostawiwszy więc ich przy zabawie, przybliżył się do szatnego, i wyszedłszy z nim po za bramę, przy której już nie zastali nikogo.

— A co, czy wózek zaprzężony.

— O to go Wpan widzisz.

— Słuchaj-że Cesaławienku, widzisz to gumno za rowem, o to masz siarkę, krzesiwo i kłaki, wszysej z gumna przyszli tu gawronić i pić, więc nikogo w gumnie

nie zastaniesz. Idź-że tam i podpał snopki, wietrzyk idzie z gumna prosto na komisaryę. Jak płomień buchnie, kto żywy na wsi pobiegnie do gumna; a ty swoje zrobiwszy, zaraz do mnie powracaj: Cesaław oddalił się, a Skołuba dopajał strażników furdygi. Chociaż pan Oskierko dał rozkaz żeby przed dziesiątą podnieść most zwodowy, ale ten rozkaz utonął w miodzie. Już ostatki przytomności były zniknęły w garnizonie, kiedy Cesaław przybiegł zadyszany, a wkrótce taki blask uderzył, że chociaż noc była ciemna, na dziedzińcu komisaryi szpilki można było zbierać. Skołuba ani chwili nie tracąc, siekierą odbił drzwi od furdygi, rozbudził szlachtę krzyząc: panowie, panie wojski, Bóg z nami uciekajcie. Wszystko piorunem wyszło na dziedziniec, a tu dzwony wiejskiej cerkwi słyszeć się dały: nie ma czasu do tracenia przedłużył Skołuba, za mną panowie do stajni, tam są konie ekonomiczne i kozackie, a o to szable niepotrzebnie uciepione do tych sennych ptaków. Szlachta rzuciła się do szabel, i zaczęli się opasywać; i nad nadzieję Skołuby, wojski nie był ostatnim do uzbrojenia siebie, jak piorun wpadli do stajni, było tam kilku stajennych, ale ci obudziwszy się, nie tylko że oporu nie czynili, ale sami pomagali kielzać i kulbaczyć. Trzydziestu jeźdźców dzielnych pokazało się na dziedzińcu, dwudziestu pięciu z szablami, a pięciu ze spisami, bo szabel nie dla wszystkich wystarczyło. Jednomyslnością kolegów pan wojski wziął nad niemi dowództwo, i przeprowadził ich za bramę, gdzie jego wierny szatny, czekał ich siedząc na swoim wózku.

— W którą stronę iść mamy Skołubusiu, zapytał wojski.

— Do karczmy za wózkiem, odpowiedział Skołuba,

trzeba wózek żywnością naładować, bo ze trzy doby iść może wypadnie lasami gdzie niczego nie dostać, nim się dobijemy do Korelicz, a w lesie nas czekają nasi.

Zbliżając się do karczmy spostrzegł z radością wznoszącą się łunę z nad lasu; przed karczmą zastali arendarza patrzącego na pożar pańskiego gumna.

— Żydzie, rzekł Skołuba, oświadczaleś mi dopiero swoje przywiązanie dla xięcia Wojewody, teraz możesz go dowieść; zaprzęgaj twoje siwe konie do bryki i naładuj ją owsem.

— Co panowie chcecie, gdzież u mnie tyle owsa, a te konie nie moje.

A gałganie, krzyknął Skołuba, przywitawszy go parę razy nahlką, dopiero zdobytą na kozaku, niedawnośmy powiesili do ciebie podobnego żyda, i tego jak widzę tobie się chce. Tym czasem zapalić mu karczmę.

— Aj panie, gwałtu, bierzcie sobie i brykę i konie.

Na rozkaz wojskiego sześciu szlachty zsiadło z konia, i poszli za Skołubą i Buńczukiewiczem, którzy szli przodem trzymając między sobą żyda żeby im nie uciekł: zaprzęgli, a czterech z nich poszło na górę, zrzucić worry z owsem na brykę. Naładowawszy brykę worami, wyprowadzili ją z sieni.

— Już większa się rzecz zrobiła, przedłużył Skołuba, wygodą koni zabezpieczona, teraz o swojej pomyśleć trzeba: żydzie, do spiżarni.

Żyd pokorny jak baranek, poszedł przed niemi do składu: co było chleba, bułek, krup, masła, przeniosło się ze spiżarni na wózek Skołuby; ale wychodząc ze spiżarni Skołuba obaczył wielki kufer zamknięty.

— Żydzie, krzyknął, otwórz no kufer.

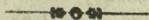
— Na co panu ten kufer, tam nie ma nic do jedzenia.

— Jeżeli zaraz nie otworzysz, to nie nahajem, ale siekierą po łbie dostaniesz.

Żyd na w pół umarły otworzył kufer, kilka pasów li-tych zaraz uderzyło Skołubę—aha, żydzie, to pasy które dziś pokupował od tych co je ukradli, ale ja je odkupuję, może Bóg da że znajdę ich właścicieli—Zabrawszy pasy i baryłkę gorzałki, Skołuba pożegnał żyda temi słowy.

— Bywaj zdrow i wesół miły arendarzu, i jutro waszemu ekonomowi kłaniaj się odemnie: przeproś go że sam nie służyłem mu z pożegnaniem, ale powiedz że na wiwat piękną mu sprawiłem iluminację.

To wyrzekłszy, siadł brykę powozić, jak Cesław wózek, a szlachta otoczywszy swoją amunicję, powolnym krokiem ciągnęła ku łunie dobywającej się z puszczy.



VI.

Spotkanie się Kolegów.

Waleczny poczet dążący do lasu, spotykał wieśniaków zbiegających się na rażący blask pożaru; spoglądali oni z zadziwieniem na to nowe wojsko. Skołuba ich czasem zatrzymywał, zapytując kędy droga do tej lub owej wsi, o której nazwisku nikt nawet nie słyszał, albo: jak ci się zdaje dobry człowiecze, zkąd ta łuna która się wznosi tam, pokazując palcem ku stronie lasu. Takowe pytania robił z wesołości, że mu wszystko tak dobrze poszło, a nie z obawy. Gdyż w rzeczy samej nie było czego się obawiać: wojsk prawie nie było w całej okolicy, a chociaż pojawiały się poczty na wielkim gościńcu, nie były one tak silne, żeby trzydziestu szlachty uzbrojonej, i to pod dowództwem naczelnika tak odważnego i tak przeźornego jakim był pan wojski, nie mogło im dać rady. Nawet prawie wszyscy pragnęli podobnego spotkania, żeby

zaraz działać zaczepnie. Całemu hufcowi był znanym Skołuba, można więc łatwo wystawić sobie, jak jego imie przechodząc z ust do ust szlachetnych wyzwolenców, wzrosło raptownie, jakie oznaki wdzięczności i radości objawiały się po szeregach.

Kiedy już się zbliżali do lasu, wojski kazał jednemu ze szlachty, oddać swojego konia Skołubie, a samemu siąść do powożenia bryki; gdyż prowadząc oddział drogami krętymi, i to nocną porą, potrzebował mieć tuż przy sobie przewodnika. Skołuba skoczył na konia, a wojski o kilka kroków naprzód jadąc przed oddziałem, kazał mu się zbliżyć i postępować obok siebie.— Skołubo, powiedział, dobrze się wysłużyłeś naszej sprawie, niech Bóg i ludzie ciebie za to chwalą. Generalność swojego czasu wiedzieć będzie, żeś tylu pocziwym biedę ukroił; widać że Bóg tobie pomagał: wszystko teraz rozumiem, zapoiłeś wartę, odbiłeś nasze więzienie, opatrzyłeś nas końmi i bronią naszych strażników, i to z taką łatwością, że chyba ślepy tu nie pozna palca Bożego: jednak ci muszę jedną rzecz zganić. Domyślam się że to sprawa twoja, podpalenie całego gospodarstwa Bortnickiego.

— A moja panie, nie inaczej.

— Otoż to było bez potrzeby; sam widzisz, że ten pożar żadnej rzeczywistej pomocy nam nie przyniósł. Wieśniacy co na ratunek pobiegli, i bez tego nie mieli możliwości nas zatrzymać, ani by się o to pokusili.

— To pan się obawiasz żeby xięciu Biskupowi chleba nie zabrakło? Ma on tego jeszcze więcej, niż my wszyscy razem co tu jesteśmy: będzie i dla niego do jedzenia i dla jego officialistów do ukradzenia; o to niech pan będzie spokojny.

— Mój kochany, ty to w żart obracasz, a nie godzi się w śmiech puszczać cudzą krzywdę. Przyjacielowi nie szkodzić to i poganin potrafi, ale chrześcijańska rzecz, być i dla nieprzyjaciela umiarkowanym. Żeby w czasie odwrotu gumno przedzielało mnie od ścigającego nas wroga, nie pytałbym kto jego właścicielem, choćby to było moje własne, choćby pana Jana Wazgirda, kazałbym go zapalić; bo żadne gumno tyle nie waży, ile ocalenie choć jednego człowieka. Ale pastwić się nad nieprzyjacielem, do jego krzywdy niezbędną, przydawać jeszcze drugą ze swawoli, żeby tylko mieć powód do śmiechu, wierz Skołubo, że to jest ciężki grzech.

— Pan mówisz jak kaznodzieja, pan kiedy się jeszcze uczyłeś w konwikcie Nieświezkim z moim panem, to już wtedy się zanosilo, że pan będziesz i wielkim obywatelem, i wielkim świętym; a ja sobie zwyczajnie prosty szlachcic, ani pisać, ani czytać, a jednak nigdy nie poszkapilem się na mojem sumieniu. Ja pana przekonam, że to co mi pan wyrzucasz jako ciężki grzech, z tego nie mam potrzeby prosić xiedza o rozgrzeszenie. I ja się na to piszę że nieprzyjaciela krzywdzić bez potrzeby, tylko żeby się z niego naśmiać, to ciężki grzech, ale kiedy z potrzeby ta mu się krzywda stanie, za cóż do bre mu człowiekowi się nie zaśmiać.

— I o tém byłoby do pomówienia; ale powiedz przynajmniej, jakąż miałeś potrzebę pracę ludzką podpalać, co ci ona zawadzała.

— Mógłbym na to tak odpowiedzieć: a czy pamięta pan, jak to my przeszedłszy Zbrucz z panem Puławskim, stanęliśmy obozem w Jezierzanach; jak to pan pięknie dowodziłeś, że w czasie konfederacyi, sądowe jurydyk-

cye w takich zamieszaniach działają tylko o tyle o ile, co złych ludzi do bezprawia zachęca. A że więc na każdym miejscu gdzie się znajduje oddział konfederacyi, a niema juryzdykcyi sądowej przytomnej, tam dowódzca jest w prawie założyć swoją, żeby dla sprawiedliwości nie było bezkrólewia; otoż w Bortnicy, nimeśmy panów uwolnili, cała konfederacya była przy mnie i panu Ciesławie Buńczukiewicz, a ja że starszy, władza sądowicza była przy mnie; ile że juryzdykcyi sądowej nie było: a widzi pan, że pańska nauka w las nie poszła.

— To dobrze, ale w czém-że pan Oskierko zawinił?

— Jak to w czém, a jużci kto sprzężaje dostarcza, by uwięzić szlachtę, takiego ukarać należy.

— To zła racya, mój kochany: on spełnia rozkazy jakie mu dają i nie może ich nie spełniać; jakże karać nieprzekonanego o winę.

— Ja więcj powiem, nawet w potrzebie dam mu na to świadectwo przed generalnością, że on choć spełnia rozkazy mu dane, to jeszcze nie tak jak-by mógł je spełniać, gdyby był takiego samego sposobu myślenia, co jego pan; nawet o to bywał turbowany.

— Sam przeciwko sobie mówisz; za cóż więc tak strasznie pomściłeś się nad nim.

— A panie, czy pan pamiętasz ten stary miód, co go mój pan w spadku po swoim ojcu dostał. Niech no pan sobie przypomni, jak to w Nieborowszczyźnie mój pan przez swawolę pana jedną lampeczką tego miodu potraktował, a pan ruszyć nie mogłeś, ani ręką ani nogą, jeszcześ się nazajutrz trochę pogniewał na mojego pana za żart. Oto ja jedyną może beczkę stoletniego miodu na całej Litwie, przewoziłem na moim wózku

przez Bortnicę, a pan Oskierko, gwałtem zabrał mi tę beczkę dla traktowania swoich gości. Chociaż poprawdnie powiedziawszy wielcem się z tego ucieszył w duchu; pomyśliłem sobie: będzie tobie miód. Oj żeby nie ten gwałt, panowie nigdybyście z furdygi nie wyleźli. Ale gwałt zawsze gwałtem, i choćbym go za to tylko ukarał, już byłbym czysty.

— A mój kochany, zmiłuj się, za beczkę miodu chociażby starego, podpalać szlachcica, a w jakimże naszym statucie to wyczytałeś. Wszakże i juryzdykcyę konfederackie nie wedle innych praw sądzić mają, tylko wedle tych, które u nas są w używaniu.

— Zaraz panie, ze wszystkiego się wytłomaczę; niech no pan pozwoli parę słów powiedzieć swojemu szatnemu, bo już las, a droga nieosobliwsza. Cesławieńku wpuść koła w koleje; noga za nogą, blask oświeca, patrzaj na mnie i z oka mnie nie spuszcza. Panie wojski, niech no pan każe kilku panom zsiąść, i piechotą iść koło bryki. Bryka żydowska wązko idzie, żeby się czasem nie wyróciła; byłaby bieda na nowo ją ładować. Broń Boże oś się złamie, to i amen, przepadnie owies, a mamy kilkadziesiąt koni do karmienia; a daj Boże, żebyśmy za dwa dni stanęli w Koreliczach. Wojski stosowne zrobił rozporządzenie.

Szlachta, chociaż to wszystko byli dziedzice osiedli, majątni, niektórzy z nich nawet urzędnicy, tak umieli się brać do tego, jakby całe życie byli sługami; i w istocie tryb życia dawnego szlachcica, choć najbogatszego, usposabiał go do wytrzymania wszystkich pocisków biedy: dla niego bogactwa były jakby stanem przypadkowym, do którego trwałości niewiele przykładał wiary.

Bogaty nad ubogim nie brał pierwszeństwa, ubóstwo było szanowane, tak dalece, że wyobrażenia nie było, o bogaczu chępiącym się z swoich dóbr 1). Było w powszechnym obyczaju że bogaty jeżeli nie w trybie życia, to przynajmniej w mowie przybierał wszystkie cechy ubóstwa. Xiążę Radziwiłł panie kochanku, nazywał siebie chudym pachółkiem, jakaś dziwna pokora cechowała rozmowy możnych; jakaś dziś już niepojęta delikatność, zaprawiała ich obcowanie: zapewne że bywały chwile gwałtownego uniesienia, kiedy namiętności były poruszone, ale te były przechodnie 2). Wszakże nie było zgromadzenia biesiadującego, gdzieby się w czémś nie wyrażały zasady chrześcijańskie, a że szlachta uboga oddawała się usługom bogatej, tém samém obowiązki służebnictwa się uszlachetniały. Najmożniejszy obywatel poczytał by sobie za krzywdę, gdyby nie umiał zaprządz do pojazdu, okulbaczyć, otroczyć i objuczyć konie, oczyścić odzież i obuwie; tém się często popisował. Samego xięcia wojewodę nieraz widziano jak w stajni nieświeżkiej sam szczotkował swojego wierzchowca. Pan pomagał słudze w usługach własnych. I to nam tłómaczy całą tajemnicę stosunków między panem a sługą,

1) Dotąd widzimy ten obyczaj w części przynajmniej zachowujący się. Nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć chępiącego się z swoich bogactw, potomka starożytnego rodu. Jeżeli jaki twój znajomy, zacznie szeroko gadać o swoich intratach, o swoich dobrach, śmiało idź o zakład że to jest syn jakiego dorobnika, z niebardzo wonném szlacheństwem.

2) Gwałtowność nie wyłącza grzeczności. Ludzie gwałtowni bywają do zbytku grzeczni. Nie trzeba mieszać dwóch rzeczy odrębnych, gwałtowność i grubiaństwo. Dawniej było wielu ludzi gwałtownych, teraz jest wielu grubiańców.

stosunków które umiały zachować między niemi zasadę równości szlacheckiej. I kiedy książę Karol Radziwiłł, klecąc swoje genialne kłamstwa, odwoływał się do epoki mniemaniej kiedy był kuchcikiem u jakiegoś pana Gałęckiego, to kłamstwo było jednak uroczystym wyznaniem tej równości, około której krążą nieroztropne dzisiejsze teorye, a która niegdyś istniała u nas praktycznie 1). Trudno już dziś zrozumieć tę rzeczpospolitą szlachecką, która była jedynym zjawiskiem w swoim rodzaju, jak ten spiż koryncki w czasie pożaru dawnego grodu, przypadkiem z rozmaitych kruszców jednoliny, a który odtąd przez sztukę nie mógł być nigdy naśladowany. Ta rzeczpospolita nieodzownie zniszczona, jak wszystkie fenomena dziejów ludzkości, żyje jednak w historii. Radziłbym dzisiejszym teoretykom politycznym nieco ją rozpamiętywać, żeby się przekonać, że to, co się tak świetnie odbija w poezji, w bycie rzeczywistym ani trwałości ani szczęścia nie zawsze podaje rękojmię.

Pan wojski przywoławszy na nowo Skołubę, rzekł:— słucham:— końca twojego usprawiedliwienia Skołubusiu, bo radbym tak pocziwego szlacheica jakim jesteś, widzieć czystym na sumieniu jak bursztyn.

1) Równość może być między szlachtą, nigdy między ludźmi, bo szlachta jest *concretum*, które orzeczyć można. Ludzie są owszem abstrakcją; bo zawsze trzeba zapytać; jacy ludzie? Jakże orzeczyć stosunki między obiektami, które same potrzebują jeszcze orzeczenia, i o których zachodzi wątpliwość, czy dadzą się orzeczyć? Ztąd w różnych społecznościach równość szlachecka objawiła się w bycie praktycznym. Równość między wszystkimi ludźmi była zawsze tylko hipotezą, prowadzącą do absurdum.

— I tak jest panie w samej rzeczy, jestem tu czysty jak bursztyn; to co się mówiło o dostawieniu sprzężai, o gwałcie na naszym miodzie, to się mówiło, at zwyczajnie, żeby się wygadać. Nie było mi w głowie ukarać pana Oskierkę, broń Boże, ale zrobiłem mu owszem największą przysługę; on mnie całe życie dziękować powinien, za to że kazałem podpalić jego gumno.

— Ciekawy jestem, jak-że mi tego dowiedziesz.

— Nic łatwiejszego. A czy pijane kozactwo jak się obudzi, a obaczy się i bez koni, i bez broni, (a pan wiesz co ich za to czeka); czy pierwsza myśl mówię, co do nich zawita, nie będzie, że padli ofiarą zdrady? »Tłómacz się no przed nami, powiedzą, mości ekonomie jeneralny, jak to my w rezydencyi obronnej, takiego sromu mogli się doczekać; wszakże nie kto inny jak waszeć gospodarzem. Co to jest! To waśc na dwóch stołkach siedzisz: póki słońce świeci, królewskie komendy częstujesz, a w nocy na nich konfederatów naprowadzasz? A wszakże to szubienicą pachnie!« Chociaż-by może siebie nie dał powiesić pan Oskierko od ludzi bezbronnych, mając po sobie wiejskie posłuszeństwo, ale by go oskarżono przed xięciem Biskupem Wileńskim; a pan wiesz że on tak nas miłuje, jak czart wodę święconą. Ani by mu wyperswadować, tak byłby pewnym że to zdrada była, tak by to wziął na kieł, że koniec końców możeby i wisiał pan Oskierko. Ale podpalenie gumna na wstępie ze wszystkiego go usprawiedliwi: żaden ekonom gumna nie podpali zaraz po żniwach; o tém wszyscy wiedzą; pan Oskierko jak się obudzi, resztę włósów wyskubie sobie z głowy. A łajdaki, krzeczyć będzie, a rozbojniki, a psułaty Barskie, żeby noga wasza nie uszła, musieli opium do miodu dosypać; a moja praca,

mój dobytek, moja krew w popiół się obróciły, i nie ma co powiedzieć, tém przed panem swoim okaże się prawnym: a co panie, prawda że mu się pokazałem życzliwym, że mu po przyjacielsku usłużyłem?

— Prawda Skołubusiu, nie ma co mówić; wylegitymowałeś siebie tak, że ani ludzie, ani Bóg ciebie potępić nie mogą.

— A widzi pan że Skołuba ani zły ani głupi. Teraz niech no pan każe zaspiewać pieśń konfederacką, jakoś weselój nam chodzić przy śpiewie; a potem trzeba pamiętać o panu chorążym wołkowyskim, który bardzo za mną musi tęsknić przy swoim ognisku. Jak usłyszysz naszą pieśń, to mu serce ledwo nie wyskoczy z radości; na rozkaz wojskiego wszyscy jednym głosem odezwali się:

»Stawam na placu, z Boga ordynansu« i t. d.

Po odśpiewaniu téj pierwszej strofy, zastanowili się nieco wedle zwyczaju, azali ludzie lub aniołowie, nie odpowiedzą; jakież było ich zadziwienie kiedy kilka głosów donośnych, właśnie od strony z kąda ogień oświecał las, odpowiedziały:

»Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie łupem« i t. d.

Zadziwienie było ich tém większe, że oprócz pana wojskiego, któremu dopiero coś o tém był bąknął Skołuba, żaden nie wiedział że swoich znajdzie przy tém ognisku. W tém poznali pana chorążego zbliżającego się ku nim, na czele kilku jeźdźców.

I ci i tamci, stanęli o kilkanaście kroków od siebie, i razem odśpiewali trzecią zwrotkę.

»Krew z ran wylana, dla mego zbawienia.« i t. d.

Po jej odśpiewaniu, pan chorąży wysunął się naprzód:— a to nasi, rozstąp się ziemio, mocium pa-

nie; pozdrawiam was bracia moi: przy kim z was jest władza?

Skołuba zabrał głos— Pan Michał Strawiński wojski Słonimski tu rozkazuje, a wszyscy go słuchają.

—I ja chcę mu być posłusznym, odpowiedział pan chorąży: rozstap się ziemio, a to waćpan panie wojski. Jeszcze żyje konfederacya na Litwie, kiedy my żywi: zapraszam panów braci do mojego ogniska. Przyczem wszyscy zsiadli z koni, i zaczęli się całować; pan chorąży z panem wojskim uściskawszy się, mości chorąży odezwał się wojski:— Wpan dobrodziej i wiekiem i zasługami i urzędem odemnie starszy; pozwól żebym jemu złożył dowództwo.

—Nic z tego nie będzie mości wojski, jakem szlachcie, jakem *sodalis*, na to nigdy nie pozwolę: staję z mojemi pod rozkazy pańskie.

—Ale mości chorąży, ja czuję że mi nie przystoi dawać panu rozkazy.

—*Verbum nobile debet esse stabile*. Słowo się rzekło mocium panie, kobyłka stoi u płotu; mam sobie za wielki zaszczyt być panu wojskiemu posłusznym. Hetmani zdradzają, ale szlachta zawsze poczeiwa. Rozstap się ziemio mocium panie, a to i pański adjutant, co nas karmił swoim chlebem: on mnie był w pole wyprowadził; od razu przypomniałem sobie żem go gdzieś widział. Ale gracz, jak zaczął mnie pleść że jest gajowym z Korelicz, myślę sobie, może go i spotkałem w puszczy polując z xięciem wojewodą; ale jak mnie żegnając do obaczyska, powiedział, jak nie wrócę po północy, proszę zmówić za mnie Anioł Pański, rozstap się ziemio, mocium panie, pomyśliłem sobie, tak mądrze gajowy by się nie odezwał. I przypomniałem sobie za-

raz że u mnie bywał z panem swoim panem Janem Wazgirdem: poznawszy całą hramotę, powiedziałem tylko niech Bóg waści prowadzi, niby go jeszcze nie poznałem: czy to zaraz ogłaszać co się wie. Ze mną i szlachta, i nie szlachta, a żyjemy w takich czasach, że zdrada mocium panie z przodu i z tyłu, i na prawo i na lewo. No mocium panie, nie wiem waścinego nazwiska, ale aż nadto mnie przekonałeś żeś prawdziwy szlachcic.

— Skołuba, do usług pańskich.

— A mocium panie Skołubo, gdzie się teraz pan Jan Wazgird obraca.

— Udało mu się umknąć z panem generałem Bielakiem, który w kilkaset koni ciągnie ku południowi. I ja byłem przy moim panu; ale jak obaczył że pana wojskiego nie ma, kazał żebym go odszukał. A ja z wernością sługi i przy pomocy Bożej dopełniłem nad moją nadzieję rozkaz pański; bo za szczęściem pana wojskiego, tych panów, co ich pan chorąży widzi przed sobą, udało się nam uwolnić.

— Roztąp się ziemio mocium panie, łebski z waści szlachcic panie Skołubo.

— Niech-że pan chorąży pozwoli bym mu oddał ten sygnet, coś mi go pan powierzył, a który może mi dał szczęście, wszak razem jakiś czas będziemy.

— Nie mocium panie, dopiero w Dziewiątkowiczach go wykupię. Mości wojski, i wy panowie bracia, proszę panów z sobą, tylko ogniem was poczęstować mogę; bo to co miałem z łaski pana Skołuby, już się zjadło. Cieszę się, jak przy śmierci na widok Anioła Stróża więcej się cieszyć nie będę, że was panowie bracia oglądam; ale czem będziemy żyli, tego nie wiem.

— Skołuba wszystko opatrzył, odpowiedział pan wojski, bo nie tylko że nas żywych wyprowadził, ale jeszcze brykę obładowaną owsem zdobył, a jego wózek aż się ugina pod wiktuałami, które prawem kaduka zabrał ze spiżarni arędarza bortnickiego.

— Rozstap się ziemio mocium panie, z waści złoty człowiek panie Skołubo, jak się dostaniemy do Dziewiątkowicz, kolejnym kielichem Wpana zdrowie wypijemy, i to starym węgrzynem.

Po tej rozmowie, przy gościnnem ognisku chorążego, roztaşowała się szlachta obozem. Chociaż nie można było spodziewać się napadu, jednakże wojski, jako wódz przezorny, nie zaniedbał użyć wszelkiej ostrożności. Zludzi pana chorążego, jako niezmęczonych pochodem, porozstawiał placówki, ile że oni jedni mieli broń ognistą, czém na każdy wypadek, mogli dać ostrzeżenie obozowi. A sam je rozstawiawszy, później po kilkakrotnie sen przerywał, żeby opatrzyć czy robią swoją powinność; i chorąży do tego mu pomagał, bo chociaż to nie był człowiek wielkiego zdania, jednak przyrodzoną zmysłnością, i doświadczeniem jakie nabył w ostatnich wojnach domowych, pojął rzemiosło rycerskie. Ale nim się udali do spoczynku, długo jeszcze rozmawiał chorąży z wojskim, rozwijając przed nim najdziwaczniejsze plany, do ożywienia konfederacyi w Litwie, plany których słuchał wojski z budującą cierpliwością.

— Mości wojski, mówił, wszystko pójdzie dobrze, tylko bez tego nie, trzeba nam dostać hetmana Ogińskiego, i kazać go powiesić jako *reum criminis status et perduellionis*; od tego nam zacząć koniecznie trzeba.

Wojski niepostrzeżenie się uśmiechnął.

— Widzisz mości chorąży dobrodzieju, że na wstępie rzecz się rozbiła; wszakże pan hetman już dziś musi być w Prusiech, jakże go dobyć ztamtąd.

— Rozstąp się ziemio mocium panie, to sęk; jednak mam znajomość i dobrą, z umocowanym pana Kurfirsta: on mieszka w Tawroniach, póki skarb Radziwiłłowski do ostatniego grosza nie wypłaci to co jego panu winien. Otoż czy by nie można przez tego umocowanego jakoś trafić do pana Kurfirsta żeby nam wydał Oginskiego. Co Wpan na to mówisz mości wojski, może by się to nam udało?

— To napróżno mości chorąży, lepiej to odłożyć *ad feliciora tempora*. Po stołowickiej porażce już niema co robić na Litwie; niech się pan chorąży zgodzi z wolą Pana Boga, i ulegnie Królowi; niech sobie siedzi zdrów w domu, zachowuje swoich przyjaciół, ma w pilnem baczniu wychowanie dzieci, a w majątku swoim załata te dziury, których mu narobiły, jego szlachetne poświęcenie się i nieszczęśliwe ich rozwiązanie. Niech się pan chorąży w niczem nie naraża Królowi, i czeka cierpliwie jak nami Bóg rozrządzi.

— A pan wojski co myśli z sobą robić?

Będę się starał przedrzeć do naszych w Krakowskie.

— Rozstąp się ziemio mocium panie, ja z Wpanem tam pójdę.

— Nie mości chorąży, Wpan masz inne obowiązki; masz żonę, dzieci, nie godzi się ich na los szczęścia puszczać: co do mnie, moje życie nikomu niepotrzebne, żadna powinność nie każe mi go oszczędzać. Wyjawszy chwil krótkich, cały żywot mój był pasmem cierpień i wielkich cierpień; własnych myśli, własnych przypomnień

więcej się obawiam niż tych niebezpieczeństw które-by mnie mogły zagrażać utratą majątku, życia, swobody. Takie jest moje przeznaczenie, i chociaż najmniejszej nie mam nadziei cieszenia się kiedyś powodzeniem moich przedsięwzięć, postanowiłem do końca im się poświęcać. Zdaje mi się że Bóg na to mnie powołał bym cierpiał, i tak silną w tém mniemaniu pokładam wiarę, że jeżeli nie cierpię, zdaje mi się że wykraczam.

Zamyślił się chorąży i westchnął kilkakrotnie: poczem zbliżyli się wszyscy dla modlitwy wieczornej. Obóz rozdzielił się na dwa chóry: jednym przewodniczył wojski, drugim chorąży; i na cześć Najświętszej Orędowniczki grzeszników, Najjaśniejszej protektorki szlachectwa, zain-tonowali pobożnie godzinki Niepokalanego Poczęcia; a po odbytych modłach, z tą ufnością w Bogu, osładzającą wszystkie złe przygody, na nieco zroszonej ziemi, rycerstwo udało się do spoczynku.



VII.

Wyjazd do Warszawy.

Obóz ze świtem wyruszył do Korelicz, dokąd bez przygód dostał się trzeciego dnia. Tam go spotkało szczęśliwe zdarzenie: pan Paweł Przecławski, cześnik słonimski, sędziwy starzec, a któremu wiek podeszły nie dozwolił czynnie służyć konfederacyi, innego rodzaju poświęceniem wysłużył się ziomkom. Zaraz po stołowickiej klęsce osiadł w Koreliczach, i zniosłszy się z panem Mikołajem Ancutą, rządcą generalnym tych dóbr Radziwiłłowskich, ułatwiał błąkającym się niedobitkom środki bezpiecznego dostania się do ich domów, zrecznie usuwając przeszkody, jakie by im mogli stawić stronnicy Królewscy. Tym sposobem i pan chorąży i towarzysze pana wojskiego wrócili do gniazd swoich. Sam wojski zawsze stateczny w zamiarze raz powziętym złączenia się z konfederacją walczącą w Województwie kra-

kowskim sporządził w Koreliczach testament, który uprawnionym został podpisanem świadectwem pana cześnika i pana Ancuty; a pana chorążego uprosił, iż zezwolił na naznaczenie siebie exekutorem testamentu. Majątek odziedziczony po ojcu, bez żadnych wykrętów prawnych, jako na przykład obciążania summami jego wartość zmniejszającemi, odkazał rodzonemu bratu, przyrodzonemu spadkobiercy, oświadczając że żadnego przeciw niemu nie zachowuje żalu; że jeżeliby nawet brat względem niego coś przewinił, to mu z całego serca odpuszcza, prosząc go nawzajem o przebaczenie, jeżeli by w czem obraził, czego sobie jednak nie przypomina. A swojemi kapitałami jako własną pracą przysporzonemi, rozrządził już nie wedle krwi, ale wedle skłonności własnych; i tak znaczny legat zrobił panu Janowi Wazgirdowi, nie mniej zapisał summy Dominikanom i Bernardynom słonińskim, żeby mieli staranie o jego duszy. Skołąbie zabezpieczył porządną kęs chleba, nie zapominając ani o Buńczukiewicz, ani o innych sługach. Powracając do swojej ojcowizny na Słoniń, w Grodzie ten swój testament opieczętowany złożył. Pan wojski, szlachcic zasobny, oprócz kapitałów co je miał w skarbie Radziwiłłowskim, a któremi rozrządził testamentem, miał jeszcze kilkadziesiąt tysięcy reponowanych u Dominikanów Słonińskich; tę sumę podniosłszy, zamienił ją na złoto, dla łatwiejszego przewozu, i nią napchał trzy trzosi, któremi opasał siebie, Buńczukiewicza i Skołąbę.

W majątku swoim znalazł u wiernego rządcy kilka tysięcy gotowych, oprócz znacznych remanentów: pieniądze zabrał z sobą, a zbożowym remanentem poobdzielał szlachtę czynszową na jego ziemi osiadłą i poddanych; a swojemu rządcy zapewnił folwarczek do żywota, i zo-

stawił mu najobszerniejsze zakwitowanie, żeby na przypadek śmierci swojego pana, od jego spadkobierców o kalkulację nie był turbowany, dodając słownie, że go prosi, by i nadal opiekował się jego majątkiem z równą troskliwością. Tak tedy wywiązawszy się z obowiązków do których się poczuwał jako chrześcijanin, przyjaciel i pan, zaczął się wybierać do podróży.

Wybrał choć niepokazną, jednak jak najlepiej opatrzoną brykę ze swojej wozowni, do niej kazał zaprządz cztery konie także niepokazne ale doświadczone i trzy-nastego tygodnia po wypadku Stołowskiemu opuścił Litwę. Skołuba i Buńczukiewicz naprzemian powozili, już nie ubocznymi drogami, ale wielkim gościńcem warszawskim, raz, że jadąc wielkim traktem, tém mniej wzbudzał podejrzenia, powtóre że chciał być w Warszawie, dla zasiągnięcia tam wiadomości, któremi by mógł oświecić generalność. Oszczędzając konie, a do tego bojąc się zbytnim pośpiechem obudzić podejrzenie, po kilka mil tylko robił na dzień, tak że konie z tuszy nie spadały; przeciwnie, w czasie podróży, zdarzali się na nie kupcy; ale pan wojski tém się składał, że mu koniecznie trzeba być najrychlej w Warszawie, gdzie już naprzód wyprawił kilka fur słoniny na sprzedaż, że więc koni za nic zbyć nie może. Odziany w kapocie sierakowej, w bótach jałowicznych, w czapce z krajowego jagnięcia, łatwo uchodził wszędzie za jednego z tej szlachty handlującej słoniną, co ich spotykano ledwo nie na każdym kiermaszu w Koronie i w Litwie.

Już ich tylko kilka mil oddzielało od Warszawy, kiedy zajechali na nocleg do karczmy obszernej, samopas stojącej przy wielkim trakcie; przy niej było mnóstwo fornałek obładowanych żywnością różnego rodzaju,

które nazajutrz miały wyruszyć do Warszawy. Pan wojski w szynkowej izbie zabrał znajomość z podlaskim szlachcicem, który z Warszawą handlował słoniną, i miał właśnie z sobą dwie fornalek z tym towarem; za poradą Skołuby, zaprosiwszy szlachcica na kufel piwa, jak zwyczajnie słoniniarz litewski słoniniarza podlaskiego, z dyskursu taką mu zrobił propozycję.

— Panie bracie, jak uważam jesteśmy z jednego cechu: wyprawilem przed sobą dziesięć fur słoniny, które na mnie czekają na Pradze; Wpan ich masz z sobą dwie: jeżeli mnie je odstąpisz, będzie tuzin okrągły, liczba szczęśliwa, a przy hurcie może i łatwiejsza sprzedaż. Masz Wpan ze mnie kupca.

— Mój Mospanie, Wpan co się także tém bawisz, wiesz z doświadczenia, że my handlarze i koszulę z grzbiotu zrzucimy, byle za nią nam dobrze zapłacono. Ja otwarcie powiem mospanie, że mnie zręczniejsz zład powracać piechotę do Mordów, gdzie mam kawałek dziedzicznej ziemi, niż z prózną furą iść do domu wyexpensowawszy się w Warszawie i na swoich koniach. Bo jużci kupując towar, musisz Wpan zabrać i to co go dostawia, wszak moich dwóch fornalek na swojej bryce Wpan nie zabierzesz.

— I na to zgoda, byle się Wpan nie drożył.

— Wpan mospanie nie fryjer, te rzeczy musisz mieć na pamięć, zapłać mi Wpan za każdą fornalkę słoniny po złotych ośmset, a za cztery konie po złotych dwieście za każdego: konie cztery lata na piąte, Wpanu wolno w zęby zajrzeć, bo to niedarowane. Summa dwa tysiące czterysta złotych; jeszcze wasągi darmo Wpanu przyjdą, a ja z moim czeladnikiem, szlachcicem

jak ja z Mordów, z biczem w rękę, do swojej baby powrócę.

— Tu się Skołuba wniósł do dyskursu:— To Wpanie nie potracasz expensy, jaką byś miał w Warszawie, nie wchodząc, w to, że i to jeszcze pytanie, czy się uda sprzedać słoninę, bo już jej bardzo wiele z Litwy wyruszyło.

— Mój mospanie, jak towar dobry, znajdzie on i kupca; a i waszeci pryncypał u mnie by go nie targował, żeby go się sprzedać nie spodziewał. Co do expensy, jam z góry do tego się przyznał, że bez niej ani opędzić Warszawy; a czyżbym sobie dał gadać o sprzedaży towaru przed samą Warszawą, gdyby nie to że człowiek rad by sobie umniejszyć expensy. Ale z drugiej strony mospanie, warto przecie porachować biedę, która na mnie czeka w domu, jak swojej babie gościńca nie przywiozę; a i to mospanie coś warto, że piechotą pielgrzymkę odbędę, za co odpustu nie dostapię.

Targ w targ, szlachcie sto złotych spuścił, wymawiając sobie porękawicznego, traktament od strony kupującej. Na co się pan wojski zgodził i dwa tysiące trzysta złotych Podlasianinowi wyliczył; a Skołuba, jako pierwszy minister, natychmiast zaintronił się do koni i fornałków: postawił je koło swoich, dobrze je wprzód opatrzywszy, i dopiero powrócił do szynku.

Wojski kazał postawić na stole kwartę królewską anyżówki, garniec piwa i misę jajecznicę. Podlasianin swojego czeladnika, wojski swoich dwóch przywołali do stołu, i wszyscy pospołu zaczęli się bawić anyżówką. Wszystko szło gładko; jednak pan Cesaław, jako młody, gorzałki przy panu swoim nie pił, tylko piwo; a i te-

go nie użył do woli, gdyż na znak dany jemu od Skołuby, wysunął się za nim do sieni.

— Cesławeńku, powiedział mu Skołuba na osobności, kładnij się zaraz, i wyspij, bo ze świtem naprzód pójdziesz z temi dwoma fornalkami, a my ciebie napędzimy; dobra noc, ja muszę panu pomagać do traktowania braci Podlasian.

¶ Tak też się stało: Cesław się położył koło koni, a Skołuba i pan wojski uradowali się z Podlasianami jak się należy, tém więcej że z dyskursu się pokazało, że szlacheć, który się nazywał Lechnicki, był klientem pana Kuczyńskiego podkomorzego Drohiczyńskiego, męża wielce poważanego od xięcia Wojewody; a tém samém sprzyjał konfederacyi Barskiej. Nawet powtarzał na Króla że jest podejrzanego szlachectwa, że dziada swojego nie pokaże, jak to mu dowodzili na dworze JW. podkomorzego.

Przy pierwszych blaskach jutrzeńki, biesiadnicy dobrze podchmieleni zaprzestali zabawy. Skołuba pomógł wojskiemu rozebrać się i położyć na bryce, a sam, pamiętny na wszystko, rozbudził Cesława, założył mu nowo kupione konie do fornalek, i wyprawił na wielki trakt do Pragi. Nakoniec położył się na tém samém miejscu, które dopiero zajmował pan Cesław.

I wojski i Skołuba aż dobrze podziesiątej z rana się obudzili, chcieli się jeszcze pożegnać z panem Lechnickim, ale ten już od dwóch godzin z swoim czeladnikiem stępał ku Podlasiowi; puścili się i nasi w podróż. Cesław miał przed niemi kilka godzin, ale szedł noga za nogą, a brykę ciągnęły konie kłusem; ztąd przed wieczorem dopędzili fornalki o milę przed Pragą, tam

przenocowali, i przed świtem jeszcze wyprawili Cesława, a sami parę godzin wypocząwszy jeszcze, złączyli się z nim przy rogatkach Pragi. Zajechali razem do żydowskiego domostwa, ulokowali konie i powóz; a pan wojski, zdawszy na Skołubę sprzedaż swojego towaru, wziął na siebie kapotę, jak zwyczajnie handlarz, i kilkanaście złotych w kieszeń; przeszedł piechotą mostem łączącym Warszawę z Pragą i puścił się Bednarską ulicą do tej stolicy, gdzie lat dwie się uczył, a którą w dzieciństwie opuścił.

Już było po dziesiątej. Wojski nie lękał się żadnego spotkania; w Warszawie nie było nikogo z takich, z którymi był w zażyłości, a co się tyczy tych co ich znał przed laty, on tak był osiwiiał, tak podstarzał, że chyba po wymówieniu swojego nazwiska byłby poznanym.

Gdy wszedł na Krakowskie przedmieście, mnóstwo pojazdów angielskich, mnóstwo lokai lśniących się złotem, mnóstwo laufrów okrytych sztucznymi kwiatami, nietyłe go uderzyło obrazem przepychu, ile przekształcenie obyczajów narodowych, na wzór zagraniczny. Rzucił wzrok pogardy na tę wystawę zbytku, zwiastującą upadek kraju, a pobudzającą nędzę, która zawsze obok zbytku się wylęga: nigdzie na prowiacyi nie widział podobnego ubóstwa; nie tylko że się ono pokazywało w łachmanach, ale nawet co kilka kroków spotykał ludzi niegorzej odzianych, a jednak wyciągających rękę.

Cywilizacya terażniejsza, rozprzestrzenieniem świeckiej nauki, pobudziła przemysł i zbytki bez żadnej przeciw-wagi religijnej; ztąd powstała jakaś wyuzdana wolność myślenia, przy największej niewoli potrzeb osobistych, których namnożyła. Na tém najgorzej wychodzi

klasa uboga, lub zbliżona do ubóstwa, to jest masa narodu, której ledwo cząsteczkę składają bogaci. Ta cywilizacja ogłasza teoryje demokratyczne, a w rzeczy samej jest arystokratyczną, bo wyłącznie sprzyja jak najmniejszej części narodu. Bogacz ma teraz nierównie więcej wrażeń przyjemnych niż dawniej, ale ubogi jest daleko uboższym, gdyż cywilizacja zwiększyła jego potrzeby, bynajmniej nie powiększywszy środków ku ich zaspokojeniu; nawet odjęła mu wsparcie miłosierdzia chrześcijańskiego, niszcząc jego zakłady, a zastępując ściśle i obowiązujące do praktyki wierzenia, przez jakieś abstrakcyjne filozoficzne.

Pokąd była w swojej sile arystokracja, oparta na podaniach, a mająca mało potrzeb osobistych, zbytek zasadzał się jedynie na ilości sług, klientów, obowiązanych przyjaciół: takowy zbytek był rzeczywiście opiekuńczym dla klasy uboższej. Teraz arystokracja pieniężna, bez tradycji, bez obowiązków dla bliźnich, bez żadnego wyobrażenia równości z potrzebnymi, tém tylko zwraca ku sobie oczy, że wyczerpuje dla własnego pożytku wszystkie wymysły cywilizacji, a tém samém obojętnie musi patrzeć na cierpienia ludzkości, które, owszem sama pomnaża. Ubogi i bogaty, pan i sługa, w wielkiem stowarzyszeniu szlacheckim byli rzeczywiście członkami jednego ciała: teraz gdy samolubstwo, prawem konieczności, zostało stanem normalnym społeczeństwa, czy może być jaki bądź stosunek równości między bogatym i ubogim 1).

1) Upraszam łaskawego czytelnika, żeby mnie ten ustęp przebaczył; uznałem go potrzebnym w czasie, kiedy wielu pisarzy, upojonych mniemaniami wieku, powstaje na dawną

Bez wątpienia podobnych uwag nasz wojski nie robił, bo dusze cnotliwe nie są wiele rozumujące 1). On patrzył na każdą rzecz dobrą z zamiłowaniem, odwracał się od tego co było złem, nie troszcząc się o skutki jakie się z tego wywiązać mogły. Uczuć swoich nieczłowieczy, oddawał się im swobodnie, bo droższemu życiu nie był skrzywił nieomyślną zmysłowości serca.

Przechodząc mimo Kościoła Świąt Krzyża, przy którym już stało wiele pojazdów, wszedł do Kościoła, a sam

arystokrację, jak by jakakolwiek obawa mogła być z jej strony. Niech raczą się przekonać, że innej równości być nie może, oprócz takiej, która z wyobrażeń arystokratycznych pochodzi. W większej części Europy to tylko dokażano, że arystokracja rodu, pełna poddań, udzielająca się dla ziomków, wierna tronowi, świadoma wszystkich tajemnic historii swojego narodu, zastąpiona została przez najohydniejszą, najsamolubniejszą, najpyszniejszą, arystokrację pieniędzy, której przedstawicielami są dorobnicy i syny dorobników.

Wszakże dawna arystokracja nie niszczyła szlacheckiej równości; ale tam gdzie tylko arystokracja pieniężna panuje, bogacz dorobnik nigdy nie uzna ubogiego szlachcica być równym.

1) Jest jeden zarzut z którego filozofia oczyścić się nie może; a ten jest, że ona nigdy nie objawia się w społeczeństwie pełnym tej dziewczęcej, czerstwości, gdzie cnota jeszcze jest obyczajem. Przebieżmy dzieje świata, a przekonamy się że systemata filozoficzne mnożą się w społecznościach, które już utraciły wszelką ważność polityczną. I w samej rzeczy, ci co wiele rozumują, są właśnie, ci którzy jak najmniej działać umieją; niech mnie ukażą choć jeden naród potężny, w którymby filozofowie ważną rolę wygrywali.

Cześć dla poetów, a obojętność dla filozofów, jest cechą narodów silnych.

ubogo odziany, wmieszał się między rzeczywiście ubogich, którzy klęcząc przed wielkim ołtarzem, obojętność i pogardę możnych składali u nóg tego, który siebie nazywa ojcem ubogich, a który przebywając na ziemi, nie miał gdzie głowy położyć dla spoczynku.

Zatopiwszy się w modlitwie, nie doczesnego nie żądał od Boga, cała jego modlitwa była ściśle jednocześnie woli własnej, z wolą Stwórcy i Zbawiciela swojego. Rozpamiętywał wielką tajemnicę okupu naszego, a cierpienia swoje zanurzwszy w cierpieniach które Bóg-człowiek znosił na ziemi, uczuł jakiś pokój serca, jakąś błogość duszy, któremi Bóg nawet wiernych sług swoich rzadko obdarza, a które gdyby grzesznicy zdołali poznać, obmierzili by sobie ten świat, którego zostali niewolnikami; ale wkrótce jakiś szmer go przebudził.

Dwóch lokai sążnistych, bogato ubranych, zaczęli z trzaskiem lud rozpędzać, chociaż zgiełku nie było. Jeden z nich niósł mały kobierzec, drugi składane krzesło. Wojski okiem na nich rzuciwszy, poznał barwę Strawińskich i godło swojego rodu.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie, kiedy za niemi obaczył idącą tę niegdyś Zosię, którą ubóstwiał, na którą długo patrzył jak na towarzyszkę żywota daną mu od Boga, a której obraz dotąd w jego sercu nie był zartym.

Prowadził ją za rękę, widać jakiś pan dworu, bo jeszcze młody, a już gwiazda orła białego błyszczała na jego piersiach i oczy jego dumne rozsiewały pociski na lud ustępujący mu z drogi.

Zosia była piękniejszą niż kiedykolwiek, i powszechny szmer uwielbienia przywitał ją w całym kościele.

Za niemi szedł paż złotem i szkarłatem błyszczący, który wysunawszy się przodem, podał pani swojej xiążkę do nabożeństwa. Ona lekkim skinieniem głowy i uśmiechem pełnym wdzięków podziękowawszy swojemu przewodnikowi, klękła przed wielkim ołtarzem, podniosła w Niebo swoje szafirowe oczy, potem usiadła, i z xiążki wykwintnie oprawnéj zaczęła się modlić.

Jéj kawaler, nie przeżegnawszy się nawet, stanął za nią o parę kroków, i dobywszy z kieszeni lornetkę, strzelał przez nią roztargnionym wzrokiem po wszystkich kierunkach kościoła, dopóki nie zbliżył się do niego inny młodzieniec, zaszczycony także orderem chociaż niższym, który go powitał ukłonem pełnym uniżoności.

Kawaler orła białego, po zamianie z nim kilku słów, oparł się na jego ramieniu, oba cofnęli się po pod konfessionał, i zaczęli z sobą rozmawiać, dyalog swój zaprawiając częstym, a głośnym śmiechem.

Zosia modliła się szczerze, i czasem łza wydobywała się z jéj źrenicy, i sączyła po jagodach.

Wojski przez jakiś urok, nie mógł oczu oderwać od tego przedmiotu, który go nazawsze szczęścia pozbawił: westchnawszy z głębokości serca, tak do siebie przemówił:— Mój Boże, brat wszystkie obowiązki potargał, żeby ją ojcu, bratu, sławie odebrać, a teraz jéj straż porucza jakiemuś możnemu wierzepięcie, który nieprzyzwoitością swoją gorszy lud korzący się przed Bogiem. Żeby, jak być miało, była moją, czyżbym wszędzie, a zwłaszcza w domu Bożym nie był jéj nieodstępnym towarzyszem? O Zosiu, widzę jednak łzy sączące się po twarzy twojej, pomimo tego pozoru, nie zupełnie być musisz szczęśliwą; ale nie, to jakieś ulotne przypomnie-

nie twojego sędziwego ojca, twojego rodzinnego domu: po tym uśmiechu którymś podziękowała swojemu przewodnikowi, widzę że te łzy wspomnienia, lada powiew wielkiego świata wysuszy. Bądź jednak szczęśliwą o Zosiu, jużś dla mnie stracona na zawsze, już mi nawet myśleć o tobie nie wolno. Oby Bóg ciebie ani za mnie, ani za twojego cnotliwego ojca nie karał; bądź szczęśliwą o Zosiu!— i śpiesznie wyszedł z kościoła.

Błąkał się po mieście bez celu, obojętny na gwary zawsze i wszędzie głupiego pospolstwa, na zuchwałstwo liberyi, na te stroje zagraniczne, któremi próżniaki stolicy zacierali narodowość swoją. Spotykał często kontuszowych, którzy jak goście wyglądali wśród wynarodowionego grodu. Rozpoznawał jednak z jakąś uwagą rozmaite godła na facyatach pałacowych; ominął szybko pałac, który po orle czarnym na nim wyniesionym poznał być Radziwiłłowskim, a to z obawy żeby się nie natknąć przypadkiem na jakiego sługę xięcia Wojewody, gdyż w Warszawie chciał być dla wszystkich nieznajomym. Ale zastanowił się nieco za żelazną bramą, przechodząc po pod pałac, jak widać świeżo wyniesiony, poznawszy, na jego facyacie połączone herby Strawińskich i Kunickich: tu jest, rzekł do siebie, mieszkanie mojego brata i jego żony; żebym wstąpił do niego, dowiedziałbym bratu że przeciw niemu nie piastuję żalu, że zapomniałem o krzywdzie którą mnie wyrządził, byłby to z mojej strony krok wielce chrześcijański, on by mnie dobrze przyjął; ale nie, stanę mu się tylko powodem zgryzoty, on mojego oblicza nie zniesie, nie jest to człowiek bez sumienia; on zawsze był szlachetnym, lepiej go ominąć, on może jest nieszczęśliwszym odemnie— i ciebie bracie żegnam na zawsze— bądź szczęśliwym!

Kilka godzin będąc na nogach, nieborak się zmęczył, i zabierał się szukać miejsca skromnego, gdzie by się mógł posilić stosownie do swojego powierzchownego ubóstwa, kiedy blisko kapucyńskiego klasztoru obaczył idącego przed sobą jakiegoś szlachcica, w mundurowej kontusinie wytartej, i z szerpetyną u boku. Zrównawszy się z nim spostrzegł że miał wielki kitajkowy plaster na czole. Wszakże szlachcic miał głowę odwróconą w stronę przeciwną, więc wojski nie mógł się przypatrzeć jego twarzy, ale coś w ruchach jego przeczuwał jakąś dawną znajomość; aż gdy nakoniec obrócił się ku niemu, zaraz wojskiemu się zdało że to twarz znajoma, i bardzo znajoma. Upatrywał jakieś podobieństwo z Wazgirdem, ale to go wstrzymało, że Wazgird miał ogromne wąsy, z którymi za nic w świecie by się nie rozstał. Tak tedy się wahał, kiedy nieznajomy przyskoczywszy do niego, wziął go pod ramie, i cichym głosem szepnął mu w same ucho:— Nie prawda Michasiu, że nie łatwo mnie poznać.

— Ach to ty mój drogi Jasiu!

— *O ter beata illa dies*, kiedy ciebie oglądam swobodnie przechodzącym po ulicach stolicy; gdzież stałeś?

— Na Pradze, gdzie twój Skołuba, który z łaski twojej mnie oswobodził z utrapienia, sprzedaje moją słoninę. Bo wiesz że zostałem handlarzem, na to tylko żeby do was prędkiej trafić.

— Powiedzże mnie Michasiu jakież są w tej chwili twoje zamiary.

— Oto cierpię głód, bo obiegłem nogami ledwo nie całą Warszawę; szukam skromnego obiadku, stosownego do mojej odzieży.

— Ja ciebie proszę na obiad.

— A dokąd?

— Do siebie: kwateruję i stołuję się, od trzech dni co tu bawię, u stariej wdowy blecharza kapucyńskiego, z której synem teraz koleguję. Jej syn, jest to poczciwy konfederat, szlachcie, a nawet towarzyszy chorągwi JW. podczaszego Litewskiego; dał on mi list do swojej matki; a jaka poczciwa babina, jak zablakana w tej Sodomie, jej by u nas żyć. Chodź, będziemy mieli obiadek szlachecki, i będziemy go jedli *semotis arbitris*.

Stanawszy po pod kamienicą, poleźli aż pod strych, gdzie otworzywszy drzwi, pan Wazgird pozdrowieniem chrześcijańskim powitał staruszkę siedzącą nad ponczoszką, i dodał:— Moja jejmość, przedstawuję wpań mojego dawnego przyjaciela, poczciwego jak ja Litwina, który handlując słoniną, pierwszy raz do waszej Warszawy zawitał. Jemu daleko iść na Pragę, zaprosiłem go na obiad do jejmości, niech-że jejmość się stara, żeby nie wstał głodnym, o to parę złotych, ale żeby obiad mógł być zaraz, bo obadwa jesteśmy głodni.

— A dobrze moje państwo, odpowiedziała staruszka, niech pan ten, którego honoru jeszcze nie wiem, siądzie za stołem na mojem miejscu, a ja jakoś pożywię moje stare kości tem co się zostanie.

— Nazywam się Poraj, odezwał się wojski, który w samej rzeczy tym herbem się pieczętował.

Staruszka nisko się ukloniwszy, otworzyła szafę, z niej wyjęła sztof gorzalki i talerz szynki, to postawiła na stole okrytym chędogą bielizną, a sama wyszła zastawić obiad już gotowy.

Wojski już przy wódeczce zaczął pytania robić, ale Wazgird mu przerwał temi słowy:— Po obiedzie ba-

beczka nas zostawi; wszystko sobie opowiemy jak zostaniemy sami.

Staruszka przysła z obiadem, przyjaciele siedli za stołem, ona im usługiwała, a oni zawsze grzeczni, z nią tylko rozmawiali, bez zdradzania swojej niecierpliwości by samymi zostać: ale kiedy staruszka wyniosła za drzwi obiadu szczątki, obaj goście, siadłszy obok siebie pod okienkiem strychu, zaczęli wzajemnie otwierać sobie swe dusze.

Wojski opowiedział wszystkie szczegóły prawie cudownego swojego oswobodzenia, dalej pochód przez bory nim się dostał do Korelicz, i nie zapomniał o podróży swojej do Warszawy.

— A co! mój Skołuba czy nie zuch? tego mi się popisał, jak go obaczę, upiję się z nim.

— Ja ci go przyszlę tej nocy.

— Dobrze, a ja ci go po świcie odeszlę; przyznam ci się, że gdybym nie wiedział ile on tobie musiał być potrzebnym, byłbym za nim tęsknił. Tu bez sługi się obchodzę, gdyż nie myślę kąta zagrzać, ale w obozie źle mi z luzakiem, bo choć on wiernie służy, i ma staranie o moich koniach, ale cudzy; nie mogę jakoś się wdroić do jego usługi. Swoje robi to prawda, ale ani mi się sprzeciwia, ani się umie poznać na moich żartach, nie tak jak Skołuba, co to mu się gęba nie zamknie: a nienaprzykrzył się tobie czasem panie Michale?

— Gdzie tam, ja go pokochałem jak przyjaciela.

— Ale! ten cisawy koń, co go miałem z twojej łaski, a który mnie wyprowadził z pod Stołowicz, podziękował mi za służbę pod Lanckoroną; kartacz mu pierś rozdarł podemną, my oba padli, tylko żem ja wstał, a on dotąd leży.

— Jakże idą wasze interesa w Małejpolsce?

— Albo ja wiem; rozumni ludzie mówią że źle, ale ja tego nie widzę. Prawda że nie jednemu bieda musiała się naprzykrzyć: co to panie Michale od dwódziestu prawie tygodni, jak my się z tobą rozdzielili, odtrąciwszy ten tydzień co mi go połknęła Warszawa i podróż do niej, a drugi co go zjadł pochód od Stołowicz do Niepołomicy, codzień prawie mogłem się obaczyć z świętą Trójcą. Kto słabego serca, to mu takie życie dokuczy; zwłaszcza koroniasze, co to z kopyta cudu dokazują, ale aby przeciwność, ciérpliwosć tracą i stygną. Prawda że znalazł się taki co nas odstąpił, że nie o jednym mówią, że chociaż z nami chodzi tam gdzie trzeba, chociaż stara się o zgodę z panem stolnikiem; ale czy to zaraz wierzyć, kiedy ludzie co złego o kim mówią. Jest to w naturze koroniaszów na bliżnim czci ni wiary nie zostawiać: dość że tych, o których najgorzej mówiono, widziałem na własne oczy tam gdzie było dość kręto, a przecie żaden nie stchórzył. Prawda że pan Sawa zginął, że pan Szye dostał się do niewoli, ale mamy pana Walewskiego, pana Rzewuskiego chorążego Litewskiego, pana Dzierżanowskiego, pana Zarębę, pana Demuliera, o którego szlachectwie czart wie, bo to Francuz, ale po szlachecku naciera z pałaszem w rękę, a nad wszystkimi pan Kazimierz Puławski, przy którym i tchórz musi zostać odważnym. Za cóż więc ręce opuszczać? oto tylko nie dobrze że naszego xięcia trzymają w Proszowie, on by chciał bić się, a jemu każą ministrować; a ty wiesz jak nam Litwinom źle bez niego. Jakkolwiek się dzieje, on zawsze mówi, ku lepszemu idzie panie kochanku.

— Po cóżeś tu się dostał panie Janie?

— Po co! a czemu się nie pytasz gdzie się podziały moje wasy, co to ich cała Litwa zazdrościła, których bym za dygnitarstwo nie oddał; wszak ty wiesz panie Michale, że dwa razy niemi uszy okręcałem; kiedyż to się ja ich na nowo dohoduję! A jednak złożyłem te wasy, ten skarb mój, na ołtarzu ojczyzny.

— Nie uwierzysz w jaką ciekawość mnie wprowadzasz.

— Oto generalność postanowiła wezwać Króla do siebie, żeby sam stanął na czele konfederacyi, z groźbą że jeżeli nie stanie, odsadzony będzie od korony, za niedotrzymanie Paktów Konwentów. Najpierwszych prawników wezwano do tego aktu, ale cóż, trzeba mu pozew położyć, i to we własne ręce, jako Królowi; tobie o tem nie mówić, bo prawo umiesz na pamiętać.

— Cóż dalej?

— Poczekaj, pan Puławski zebrał nas z dziesiątek ale takich których odwagi doświadczył, i taką zaśpiewał antyfonę.

— Panowie bracia, kto z was zechce się podjąć, ten papier oddać w rękę Królowi? ale tego przed wami taić nie mogę, że jeżeli go złapią, niezawodnie podciągną go pod prawo *de laesa Majestate*, i ten swój krok gardłem przypłacić może. Sami byli Koroniasze, ja jeden Litwin między niemi; żaden się nie chciał podjąć, rozumie się, rzecz nie najsmaczniejsza. Mnie ambicya ruszyła o honor prowincyi: ja biorę to na siebie, odezwałem się. Pan Puławski serdecznie mnie uściskał; przyznam się tobie panie Michale, że później nie małą miałem pokusę od wszystkiego się jakoś wycofać, ale klamka zapadła, szlacheckie słowo; wstyd, pfe. Poszedłem do spowiedzi do xiędza Marka, i zaraz pokusa ustała;

djabłu nie wojować z xiędzem: oto masz pozew, od-
czytaj go sobie.

Wojski zaczął go czytać z najgłębszą uwagą, poczem odrzekł:— Przesłiczny pozew, gruntowny, na prawie o-
party, przez całe moje życie nie równie pięknego nie czy-
tałem; poznaję pióro pana Bohusza, on jeden u nas na
coś podobnego zdobyć się może: jaka głęboka praw na-
szych znajomość! Przedłużaj opowiadanie swoje; jako
przyjaciel, jako obywatel nie mogę ciebie nie słuchać
z największą uwagą.

— Pan Kazimierz między czterema oczami dał mi in-
strukcyę, a nawet na piśmie inwentarz obywatelów, do
których po drodze miałem zajeżdżać, ale pisany tajemni-
czym językiem, na co dał mi klucz. Oni mój przejazd
ułatwili, bo jak się pokazuje, że oprócz Warszawy, któ-
rą się z nim dobrze dzieje, po wszystkich Wojewódz-
twach szlachta nie sprzyja panu stolnikowi: i te same
domy co mnie ułatwiły przejazd do stolicy, ułatwią i od-
wrót jeżeli mi się uda z głową na karku zostać. Ale
jak widzisz musiałem wąsy ogolić, bo bym niemi wzrok
ludzki ściągnął, a moją podwójną kresę na czole zakry-
łem czarnym plastrem.

— Wszystko to dobrze panie Janie, tylko cała rzecz
idzie o to, żebyś miał trzech świadków szlachty, jak
pozew Królowi położysz, inaczej mogą zaskarżyć rela-
cyę pozwu.

— A to prawda, a mnie to ani przez myśl nie
przeszło.

— Panie Janie, trzeba koniecznie żeby ten pozew
był położony Królowi, jakibykolwiek los miał spotkać od-
dawcę. Niema wątpienia że jak Król pozew odczyta, na-

tychmiast rozkaże schwytać zuchwalca; ale tu nie idzie o śmierć oddającego, ale o to, żeby relacya pozwu była zeznaną, a jak pójdziesz na rusztowanie, kto zezna twój pozew?

— Można iść o zakład, że Król tego pozwu czytać nie będzie; wczora byłem świadkiem jak wychodzącemu z fary Królowi, mnóstwo suplik podano, to on na kilkadziesiąt takich suplik, ledwo kilka odczytał, a resztę oddał szambelanowi na służbie będącemu.

— Słuchaj panie Janie, ty wiesz że jestem prawnikiem, do mnie ta rzecz należy. Woźnemu prawo nie zabrania innemu woźnemu zdać pozew, byle tylko był położony. Ja się lepiej od wpana sprawię, ja pozew Królowi położę, a będę miał was trzech świadków z rodowitej szlachty: ciebie, Skołubę i Buńczukiewicza; każdemu z was dam kopię pozwu, ażeby, broń Boże na mnie nieszczęścia, był taki, co by mógł uczynić przed generalnością relacyę pozwu. Wmieszany między pospółstwem, wręcze Królowi pozew, niby jako suplikę, a wy, jeżeli mnie porwą, uciekajcie co tchu do swoich, żeby relacyę zeznać z tego coście słyszeli i widzieli.

— Ja miałbym ciebie narażać.

— Tu nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie, ale o to, żeby wola generalności spełnioną była. Jako obywatel, domagam się tego od wpana, ażebyś się mnie nie sprzeciwiał.

— Ty masz odemnie więcej rozumu panie Michale, winienem tobie ustąpić. Ale pamiętaj, że jeżeli Król, odebrawszy twój pozew, a nie przeczytawszy odda go w ręce swojego szambelana, ty wmieszaj się w pospółstwo, i ruszaj piechotą do Falent, o półmili od roga-

tek Jerozolimskich, do tamecznego plebana, dokąd i my trafimy. Ten pleban, który się nazywa Skrzepicki, ułatwia wszystkie porozumienia pana Kazimierza ze stolicą, i miałem list do niego. To człowiek z porządną głową, a jakkolwiek zausznicy dworu go podejrzewają, nie mogą mu nic zrobić, bo ma największą łaskę u pani krajczyny koronnej, teraźniejszej faworyty królewskiej. On nam ułatwi odwrót, w tém jego głowa.

— Niema czasu do tracenia— dla Boga, daj mi pióro, kałamarz, i trzy arkusze papieru, żebym dla nas spisał relacyą pozwów.

Gdy Wazgird przyniósł mu co było potrzebném, wojski zasiadł, i z wprawą doświadczonego jurysty, w przeciągu godziny na trzy ręce napisał relacyę. Jedną z nich wręczył Wazgirdowi, a dwie drugie, i sam pozew oryginalny, schował w kieszeń swojej kapoty, w tę kieszeń co pokrywała serce. Po czém odezwał się.

— Panie Janie, dziś jeszcze musisz mnie zrobić jedną wielką łaskę.

— Rozkaż.

— Dziś w kościele Śgo Krzyża, widziałem moją bratową.

— Niemianuj ją tak panie Michale, bo się wstydzę, że ją ktoś mieć może za moją siostrę, ale przynajmniej nigdy jej widzieć nie będę.

— Dziś jeszcze musisz z nią pomówić.

— Do tego żadna potęga ludzka mnie nie skłoni.

— Potęgą nie, ale przyjaźń do tego ciebie zobowiąże: ty dla mnie to musisz zrobić. Ona była ze mną zaręczona, oto jest obrączka, co z jej rąk w przytomności tylu świadków i twojej odebrałem. Nie zwróciwszy mnie znaku mojej obietnicy, nieodebrawszy swojego, in-

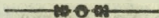
nemu wiare przysięgła, i odważyła się przed Bogiem wyrzec, że nikomu nie ślubowała małżeńskiej wiary.

Idźże więc do niej, oddaj jój ten pierścionek, i poproś o zwrot mojego, żeby już jój nie mnie nie przypominało. Powiedz jój, że ją uwalniam od dotrzymania danego mi słowa, i że jój z serca wszystko odpuszczam.

— Trzeba być tak jak ja od ciebie zawojowanym, żeby się podejmować podobnego zlecenia; co chcesz to ze mną robisz: gdzież ona mieszka?

— Mają swój własny pałac za żelazną bramą, herby Strawińskich i Kunickich na nim się wznoszą; ale ja przed pałac sam ciebie zaprowadzę, i tam pożegnam, bo trzeba mnie śpieszyć na Pragę, ażeby się przygotować do jutrzejszej wyprawy.

To wyrzekłszy, wziął przyjaciela pod rękę, i obaj wyszli na ulicę.



VIII.

Wielki Świat.

Pan wojski z panem Wazgirdem w milczeniu przeszli Krakowskie przedmieście; idąc koło Saskiego pałacu, puścili się ogrodem ku żelaznej bramie. Było już po drugiej, dzień był prześliczny: wiele osób pierwszego tonu, i tłumy narodu przechodziły się pod cieniem kasztanów Saskiego ogrodu. Nic dziwnego że w tym zgietku, dla nich obcym, nasi Litwini nie napotkali im znajomej twarzy; ale pan wojski spostrzegł na ławie siedzących kilku paniczów, starownie ufryzowanych, a między nimi i tego kawalera orderu Śgo Stanisława, na którym z rana, w czasie nabożeństwa, opierał się przewodnik pani starościны wieluńskiej w kościele Śgo Krzyża. Zbliżywszy się ku nim, gdy wymawiane nazwisko Strawińskich kilkakrotnie obito się o jego uszy, pobudzony ciekawością, pan wojski z przyjacielem, wmieszawszy się w gmin otaczający ławkę, następną usłyszał rozmowę.

— *Ma foi*, odezwał się jeden z tej młodzieży, trzeba przyznać *que pour un gentillâtre* 1), pan starosta wieluński jest nadto szczęśliwym. Pojechawszy na Litwę, jakby na jakie wygnanie, wywiózł ztamtąd *une femme délicateuse* 2), która wznieca rozpacz wszystkich szar-mantek naszego dworu. Trzeci rok zamężna, *et chaque année lui ajoute de nouveaux charmes* 3), a do tego tak zakochana w mężu, że zabiegi naszych ptimetrów są nadaremne.

— Ba! odezwał się drugi młodzieniec, trudno tak nisko schylać się tej, która widzi, u nóg swoich i brata królewskiego i samego Króla. Nieprawda szambelanie?

— Król, odpowiedział orderowy, *est trop connaisseur du beau sexe* 4), żeby jej wdziękom nie oddawał czci należnej, za każdym spotkaniem; jest dla niej grzecznym i nic więcej; ale jego brat, książę podkomorzy koronny, zakochany jak piętnastoletni młodzieniec. Że moja żona jest kuzynką starościny, książę nam pokoju nie daje, błagając naszej pomocy.

— *Il est même devenu bigot par amour* 5), odrzekł pierwszy interlocutor. Co dzień, słyszę, chodzi do kościoła.

— Nie pewniejszego, odparł szambelan. Dziś jeszcze mój hrabio, musiałem mu assystować do Śgo Krzyża: czekał na naszą kuzynkę u drzwi kościoła, żeby jej rękę podać, i nie wyszedł póki ona nie wyszła. Więcej

1) Szlachciura.

2) Kobięta najmiłsza.

3) Każdy rok jej przydaje nowych wdzięków.

4) Nadto jest wielkim znawcą płci pięknej.

5) Został nawet bigotem przez miłość.

dwóch godzin męczyliśmy się między nabożniami. *Je n'en pouvais plus* 1).

— Jest to cud oczywisty; rzekł hrabia. *J'admire monsieur le grand chambellan* 2), bo nikt jego wprzód w kościele nie widział. Wszak musicie pamiętać jaką burzę przeszłego roku wytrzymał od Króla, za to że się nie znajdował na konsekracyi ich brata *Monsieur de Płock*.

— A jakże nie, dalej mówił szambelan, przy mnie Królowi przecie się tłómaczył, że śpiew kościelny daje mu spazmy. Z czego nasz prawowierny pan bardzo nie był kontent.

Mais c'est une conversion tout à fait édifiante 3), na to hrabia. Wasza kuzynka mój szambelanie *est une thaumaturge* 4). Ale niema czego się dziwować: żeby się jej podobać, ja bym codziennie krzyżem leżał przed wielkim ołtarzem, *pourvu qu'elle m'en recompense* 5).

A propos nagrody, jakże ci się zdaje szambelanie, czy w domu Strawińskich krew królewska pomiesza się z krwią szlachecką? tobie najwłaściwiej o tém stanowić, raz że masz więcej niż ktokolwiek wiatr dworski, powtóre że jesteś krewnym starościny.

— Mości stolnikowiczu koronny, Saturn wszystko pożera, nawet własne płody. *Pourquoi ne dévorerait-il pas la résistance d'une femme vertueuse* 6).

1) Nie mogłem już wytrzymać dłużej.

2) Podziwiam podkomorzego koronnego.

3) Ale to zupełnie budujące nawrócenie.

4) Jest cudotwórczynią.

5) Byle ona mnie za to wynagrodziła.

6) Czemuż by nie miał pożreć oporu kobiety cnotliwej.

„Czas zdołał lwy uczynić człeku posłusznemi
„Woda przeszywa skały, nurtami cichemi.”

Jednak myślę że to długo potrwa, *car c'est une femme à grands principes* 1).

— Chyba że się źle do tego weźmie, odezwał się hrabia, *car elle n'est nullement indifférente aux hommages* 2). W czasie karnawału, tańcowałem z nią menueta na balu u xieżnej strażnikowej, mojej ciotki. Przypominam sobie jaki to był entuzyazm, a trzeba przyznać, że chociaż nigdy nie była w Paryżu, *elle danse à ravir* 3). Otoż odprowadziwszy ją po tańcu, siadłem koło niej, *et je lui ai conté fleurette* 4). *Je ne suis pas fat* 5), ale jak uważałem mógłbym pusować interes, bo otrzymałem takie spójrzenie, że xiążę podkomorzy za nie grubo by zapłacił.

— I dla czegoż nie pusowałeś interesu? rzekł na to stolnikowicz.

— Albo ją konfederat barski, stawać na drodze mojego pana, lub jego rodzonego brata. Mnie w głowie uchwycić z ich łaski siakie takie starostwo, a nie przeszkadzać im w zamysłach; ile że Król niema zbytecznego przywiązania do nazwisk historycznych. Nam trzeba być bardzo ostrożnymi, bo tu tylko parweniuchy popłacają. A muszę rad nierad zasługiwać się Królowi: w Paryżu tak się wyszastałem, *que quand je songe à mes dettes, je frémis* 6).

1) Bo to kobiéta surowych zasad.

2) Wcale nie jest obojętną na hołdy.

3) Tańczy cudnie.

4) Umizgałem się do niej.

5) Nie chwale się.

6) Kiedy pomyśle o moich długach, to drzę.

— Głos jest powszechny, odrzekł stolnikowicz, że ona adoruje swego męża; a starosta chociaż ma nadto wiele taktu, żeby się z tém wydawać, *au fond* 1), jest zazdrośny. Niema dwóch tygodni jak obiadując z niemi u pani starościны opeskiej, miałem po obiedzie *une conversatian fort animée* 2) z panią starościna wieluńską: utrzymywałem przeciwko niej, że obowiązki kochanki są nierównie większe od obowiązków żony. Ztąd dyskussia, a trzeba żebyście wiedzieli, że ta kobieta *manie la langue avec autant de grace que les pieds* 3): my rozprawialiśmy trochę opodal od towarzystwa, które na nas patrzyło, ale nie mogło nas słyszeć. *Eh bien, j'ai surpris des regards inquiets, de la part de son mari* 4).

— Ale mój stolnikowiczu, odrzekł szambelan, to się tobie tak przywidziało. Zaręczam że staroście więcej w głowie błękitna wstęga i senatorskie krzesło, niż wszystkie zabiegi czy to Króla, czy jego brata, czy kogokolwiek z dobrego tonu, około jego żony; jak możesz myśleć, żeby tak rozumny człowiek, mógł dbać o wierność żony, jakby jaki parafigjanin.

— Ale mój szambelanie, wszakże on ją orężem zdobywał, jak nasi Częstochowę: jakiś gbur litewski na wylot go przestrzelił jak Kazanowa naszego Branickiego. Kogo zdobycz tyle kosztuje, ten nierad ją sobie da wyrzucić.

— Niby xiążę podkomorzy chce jemu ją wyrzucić:

1) W gruncie.

2) Rozmowę żwawą.

3) Włada językiem, z równym wdziękiem jak nogami.

4) Schwycilem niespokojne spojrzenia jej męża.

wszak masz na dziedzińcu swojego pałacu studnię, i nie bronisz sąsiadom z niej czerpać; a powiedz-że sam stolnikowiczu, czy tą powolnością osłabiasz własny użytek, lub prawo własności.

— To doskonale, odezwał się hrabia, *le bon sens du maraud, quelquefois m'épouvante* 1).

— *Merci du compliment* 2), odpowiedział szambelan. Ale *à propos* poezii, ożenienie starosty mogło by służyć przynajmniej za ośnowę romansu: staroscina już była zaręczona z jego bratem. Nie mam honoru znać tej facyaty, ale moja żona o nim mnie nagadała: ma to być jakiś melancholik, fanatyk, prawnik, pijak i głupiec. Dość powiedzieć, jeden ze szczekaczy psiarni xięcia pannie kochanku. Trudno było pozwolić żeby hajdamaka, barbarzyńiec albeński, został wyłącznym właścicielem *d'une céleste créature* 3). A jak widzicie starostę, on się w niej kochał jak *Saint-Preux* 4) i jak on był kochany; a jednak pamięć jakichś obligacyj co je miał względem brata, tak silnie na nim działała, że gdyby nie moja żona, byłby z siebie i z kochanki uczynił ofiarę, chciał uciekać; ale w imieniu cywilizacyi, moja żona tego nie dopuściła. Wszakże ona ich wykradła. Tam wszystko znajdziecie: brat go podchodzi u nóg swojej narzeczonej, pojedynek, wykradzenie, napad, ślub błogosławiony przez xiędza pod kurkiem pistoletu. *C'est sublime* 5). Muszę namówić kolegę Trembeckiego, że-

1) Rozsądek gbura czasem mnie przestrasza.

2) Dziękuję za komplement.

3) Anielskie stworzenie.

4) Bohater romansu Russa.

5) Jest to szczytne.

by z tego ułożył poemat dla Króla. Ale w poemacie, w romansie, kiedy się kochankowie pobiorą, już ostatnia kartka się doczytuje, a w życiu rzeczywistém historia się jeszcze nie skończyła. Co to jest miłość w małżeństwie? musi to być rzecz nie wiele interesująca, kiedy się jeszcze tego przedmiotu żaden autor dotąd nie chwycił.

— No, no, żartuj sobie jak chcesz mój szambelanie, odezwał się stolnikowicz, a ja wam powiem otwarcie, że gdyby mi się dostała żona, zupełnie taka jak staroście wieluńskiemu, i żeby mnie kochała, na honor kawalerski poprzysięgam że na żadną kobietę bym nie patrzył.

— Tak to ci się zdaje, przerwał hrabia; codziennie kuropatwy przejeżdżają się nakoniec. *Ce qu'on desire, vaut toujours mieux, que ce que l'on possède* 1).

— Chciałbym mój stolnikowiczu, dalej mówił szambelan, widzieć ciebie z twoją Penelopą, nie w trzecim roku małżeństwa jak starostę, ale w drugim: widzisz jak jestem mało wymagającym. Co to za bieda, mieć żonę kochającą *ex officio*, i domagającą się miłości równie urzędowej. Od czasu Króla Salomona, przysłowia są mądrością narodu: a co mówi przysłowie: »wierna jak Lukrecya, i nudna jak Lukrecya.«

Tu się wmieszał do dyskursu, jeden z paniczów, który dotąd się nie odzywał— kiedy tak, to twoja żona może szambelanie nigdy ciebie nie musiała nudzić.

Wszyscy parsknęli od śmiechu, a szambelan niemniej od innych.

1) To czego człowiek pragnie, jest zawsze lepsze od tego co posiada.

— Patrzcie odezwał się, na jaką się zdobył epigrammę mój małomówny kolega. Ale srodze on to odpokutuje, bo ja ją powtórzę mojej żonie, a ona mu wojnę wypowie. U niej jak wiecie strzał po strzale, a szambelan Dunin, jak wystrzeli dowiecipem, to czekaj cały tydzień nim broń na nowo nabije: jednak tą razą ci się udało, niema co mówić. A ja wam powiem, epigramma na bok, nie było małżeństwa szczęśliwszego od naszego: *rien ne nous manque, tout nous sourit* 1). Nigdy siebie nie dręczymy, bo prawdziwa i rozumna przyjaźń nas łączy; jestem powiernikiem mojej żony, jej doradczą, ona nic niema dla mnie tajnego. Więcej wam powiem, nigdy nie byłem tak szczęśliwy do kobiet, jak odkąd mam sam żonę bogatą, rozumną i piękną. *C'est une position sociale* 2), która zaraz zwraca oczy innych kobiet. Wy kawalerowie jesteście zawsze do wzięcia, żadnej ciekawości nie wzbudzacie, dla tego kobiety o was mniej dbają; ale niech no ja się pokażę, zaraz między sobą gwarzą, a to szambelan Gintowt, *cela doit etre un homme de grand mérite* 3), kiedy kasztelanova inflancka, taka konesorka, dla niego porzuciła męża i jego aż sakramentem związała; co to jest, trzeba go zbliżka poznać. Opływam w roskoszach jak pączek w maśle.

— *En vérité*, odezwał się hrabia, *l'eau m'en vient à la bouche* 4). Pogodziłeś mnie szambelanie z ciasnym gościńcem zbawienia. Byłe się zdarzyła panna bo-

1) Nic nam niebraknie, wszystko się nam uśmiecha.

2) Jest to posada towarzyska,

3) Musi to być człowiek wysokich zalet.

4) Aż ślinka mi idzie do gęby.

gata i nadobna: *je suis capable de glisser sur la naissance* 1).

— Otoż nie uwierzycie ile nasz starosta przypiekl gotowych romansów, dla tego tylko że jego żona w nim dotąd zakochana. *Toutes nos dames devant lui sont sous les armes* 2). Sami na to patrzycie, że odkąd żonę przywiozł do Warszawy, niema na dworze damy, co by nie była rada głowy mu zawrócić. Co to za efekt ona zrobiła, kiedy się pierwszy raz pokazała u Króla na balu. Pani krajczyna spazmów dostała, z czego Królowi zrobiło się markotno. Myśleliśmy że starosta już przepadł, *le Roi l'a tellement battu froid, pendant deux jours* 3). Ale ileż to on tryumfów opuścił, dla tego że jego żona, nikim nie będąc zajęta, chciałaby z mężem ciągle gruchać.

— Ale i on ją kocha, rzekł stolnikowicz, bywam u nich często na obiadach, i wieczorach: amant kochance czulszych rzeczy nie mówi.

— Ja, odparł szambelan, codziennie z nim pracując w gabinecie Króla, lepiej go znam niż wy wszyscy. On kocha żonę, ale jak, nie sercem, ale miłością własną; on siebie kocha w żonie swojej. Bawi się jęj wdziękami, ledwo nie szaleje z radości, kiedy ją widzi tańczącą na balu; bo oznaki uwielbienia, spotykające ją na każdym kroku, upajają jego próżność. Niech by ją świat przestał wynosić, obaczylibyście, jak zaraz byłby dla niej obojętnym. A teraz choć niby ją kocha, tak mało jest zazdrośnym, że nie tylko Królowi i xięciu

1) Gotów jestem mniej dbać o urodzenie.

2) Wszystkie nasze panie, przed nim stoją pod bronią.

3) Król był tak dla niego zimnym przez dwa dni.

podkomorzemu nie przeszkadza, ale w duchu może był by rad, żeby jeden, albo drugi, albo oba razem zapisali go do bractwa rogalów; i to z dwóch przyczyn: raz, że byłby sam swobodniejszym względem pani krajczyny, *pour la quelle il a toujours conservé un faible* 1); powtóre, że prędzej by się doczekał senatorstwa, do czego nie przestaje aspirować. A jak wiecie, rogi na głowie, a nie tam, gdzieby siedzieć w krześle przeszkadzać mogli.....

Na to huczne śmiechy z całego grona się odezwały.

Tu ścisnął wojski swojego towarzysza, uciekajmy, szepnął, nie mogę dłużej znieść tego powietrza podłości, i beczelnej rozpusty. A odszedłszy o kroków kilkanaście— patrz panie Janie, jacy to panice, którym przeznaczono w tém nowém panowaniu wpływać na nasze losy; otoż to potomkowie naszych dawnych bohaterów.

— Aj panie Michale, cóż to za bieda, nie móżd sobą rozrzadzić. Wierz mi że dopiero większą jeszcze zrobiłem ofiarę dla naszej sprawy, niż rozstaniem się z mojami wąsami, w tém, że nie przypłaszczyłem nosa temu orderowemu, którego żona omal odemnie chłosty nie dostała. Aż pięty mi się trzęsły, taką miałem ochotę dobyć szablę i to wszystko porządnie wyplazować. A uważałeś jak ten stolnikowicz, czy hrabia, nazwał mnie gburom litewskim; oj żeby rozkazy generalności nie zmuszały mnie być ostrożnym, zapoznałbym ich z tym gburom. Albo ciebie jak lżył ten szambelau! Może da Bóg, że gdzieś się im przypomniemy; chociaż podobnych wiercipiętów ani pod Lanckoroną, ani pod Częstochową nie spotkać. Jak stanie pokój w rzeczypospolitej, umysł-

1) Dla której zawsze zachował jakąś słabość.

nie przyjadę do Warszawy, żeby z niemi zabrać znajomość.

— Jak-że moja bratowa żyć może w podobném towarzystwie!

— Co to żyć?— czy nie słyszałeś jak każdy z nich jest z nią poufałym: ten z nią tańczy, tamten obiaduje, inny na osobności dysputuje, a ten szambelan najpodlejszy z nich, jak widać od niej nie wyłazi, kiedy do niej bratu królewskiemu faktoruje. Kto z kim przestaje, podobnym się staje. Spodziewam się Michasiu, że przecie o niej zapomnisz, i o drugiej pomyślisz, bo tobie nie żyć w bezzeństwie.

— Ona w położeniu swoim, rada nie rada, musi być nimi otoczoną, ale przekonany jestem, że w duszy nimi gardzi.

— A ja inaczej trzymam. Moja niegdyś siostrzyczka, z początku musiała się nimi gorszyć; ale że trzeci rok jak z nimi przestaje, już się opatrzyła. Człowiek póki się nie zanurzy w gorącej łaźni, to go piecze, ale potem sam rad. Poszedłbym o zakład, że bez mała, musi być już dziś takim łotrem, jak i oni, mając zwłaszcza do tego tak dobre przygotowanie.

— Niech ją Bóg od wszelkiego szwanku strzeże, bo z ich mowy nawet pokazuje się, że jest cnotliwą; i mój brat nawet, wszak słyszałeś co mówił ten szambelan, że nie chciał mi krzywdy robić. Kasztelanowa do wszystkiego złego ich namówiła; ale widzisz na tym gmaczu i mój herb i twojego wuja. Jest to pałac mego braterstwa: idź, staraj się sam na sam widzieć z siostrą, i w imię Boże spraw się z mojem zleceniem, a ja

ruszam na Pragę, by uradować Skołubę twojem przybyciem.

Pan Wazgird przed samą bramą pałacu spotkał starca wychodzącego z dziedzińca. Starzec trzymał w ręku zawiniątko; przechodząc koło Wazgirda nisko się uklonił, i chciał iść dalej, ale ten go zatrzymał temi słowy:— a zkąd to idziesz dobry staruszk?

— Od mojej dobrodziejki wielmożny panie, od JW. pani starościny Wieluńskiej, niech ją Bóg błogosławi; nas jest kilku ubogich, co jedynie jej łaską żyjemy; a nie dość że nasze potrzeby opatruje, ale nawet każdego czasu daje nam przystęp do siebie. Tak wielka pani rozmawia z nami jakby z równymi sobie. My biedni chodzimy do niej przez garderobę; tam jedna z jej fraucymeru ma rozkaz, żeby nas do pani prowadzić, bo przez pokoje gdzieżby liberya nas przepuściła. Oto w tém zawinięciu mam bieliznę, którą dopiero z jej łaski otrzymałem, żeby okryć moją żonę, biedną kalekę, od dziecięciu lat paraliżem rażoną.

— A mąż pani starościny?

— I JW. starosta pan dobry, wspaniały, ile razy ubogi go poprosi o wsparcie, zawsze mu coś rzuci z kieszeni, ale z nim nie rozmawia się jak z samą; zwyczajnie pan. Niech i jemu Bóg daje czego tylko zapagnie!

— A czy zastanę pana starostę w domu?

— To chyba wielmożny pan z dalekich stron, że mu nie wiadomo, że JW. starosta codziennie z Królem coś pisze, że najwcześniej o piątej po południu powraca do żony, żeby z nią obiadować, jeżeli obiada u siebie.

— To tu po piątej dopiero obiada.

— A tak to pany tutejsze wymyślili. Jeżeli Wpan ma do JW. starosty interes, to godzinę i więcej na niego wypadnie poczekać; a jeżeli samą widzieć, to teraz pora. Ale niech Wpan idzie kędy ja chodzę, to jest od prawego skrzydła pałacu, żeby z liberyą się nie spotkać; bo choć wielmożny pan szlachcic, jak widzę po jego szablach, ale z przeproszeniem honoru pańskiego, po wytartym kontuszu sędzę, że Wpan nie najlepiej się masz. A liberya jak zwietrzy że kto potrzebny, broń Chryste Jezus jak mu dokucza.

— No, no, mój kochany, czy ubogi, czy bogaty tobie nie do tego. Ja sobie prosto pójdę do pałacu, bo nie spodziewam się żeby liberya tutejsza chciała ze mną pożartować. Ażebyś nie miał do mnie żalu, żem ci darmo trochę czasu uchwycił, masz srebrny grosz, który możesz przepić za moje zdrowie.

— To wyrzekłszy prosto poszedł do pałacu, nie oglądając się na opasłego szwajcara. Puścił się temi schodami, które widział przed sobą, ale że szwajcar już był zadzwonił, zastał podwoje od przedpokoju otwarte, a przy nich stojących kilku lokai.

— Czy jest pani starościna w domu? zapytał lokai patrząc na nich z góry.

— A Wpan jaki masz do niej interes? zapytał jeden z lokai.

— To do ciebie nie należy, ja sam z nią o interesie jaki mam pomówię, a ty mnie do swojej pani zaprowadź.

Lokaje na siebie spojrzeli, jeden z nich najwyższy wzrostem odezwał się— trzeba wprzód żebyś pani zameldował, co Wpan jesteś za jeden, i czego żądasz, a dopiero wróciwszy, powiem Wpanu czy przyjmuje lub nie.

— Melduj trutniów do ciebie podobnych, chłopie czy mieszczuku w liberyi, a szlachcic jak ja, wszędzie sam siebie melduje. Zaraz mnie otwórz hultaju!

— Lokaje salon otworzyli, bo liberya ówczesna, chociaż bardzo zuchwała, obawiała się porywczosci szlachty kontuszonej. Często bywały przykłady, że lokaj pański bywał skrzywdzony od szlachcica, a nawet świeży był wypadek, głośny w całej Warszawie, jak dwóch braci Putkowskich z Podlasia, w przedpokoju xięcia Biskupa Płockiego dobywszy szabel, wyplazowali liberyę, która ich nie chciała puścić do pana; o co się i wytoczyła sprawa w sądach marszałkowskich.

Poszedł więc dumny szlachcic, drzwi po drzwiach otwierając przed sobą, przez obszerne salony które przeplechem ubrania bynajmniej go nie zastanowiły, aż natrafił na drzwi ze środka zamknięte, i do nich zaczął szturmować. Otworzyły się, i jakaś młoda dziewczyna stanęła na progu, i skromnie zapytała czego żąda, i jak ma go mianować przed panią swoją.

— Moja panno, bo domyślałam się że musisz być pokojówką pani starościny, jestem szlachcicem litewskim, proszę oświadczyć swojej pani, że mam do niej ważny interes, tyczący się jej samej, a że dłużej kwadransu pozostać nie mogę.

Pokojówka zniknęła, a wkrótce sama pani się pokazała.

Jakkolwiek Wazgird był przeciwko siostrze uprzedzony, w jej obliczu, w jej spojrzeniu było coś tak łagodnego, tak wpraszającego się do życzliwości, że mu raptem serce zmiękło— czy pani mnie poznajesz? odezwał się.

Po głosie starościna go poznała— ach! to ty kochany braciszku, jakie szczęście dla mnie że mogę cię

przyjąć w moim domu. Spodziewam się, że pokąd zabawisz w Warszawie, ten dom będziesz uważał jako swój, i od tego zaczniesz, że się do nas przeniesiesz.

Skłonił się Wazgird—gdzież mnie szlachecowi mieszkać w tych pańskich pokojach.

—Cóż to! czy zapominasz że jesteś moim bratem, żeśmy część żywota razem przepędzili, że byłeś zawsze dla mnie najtkliwszym przyjacielem. Zapomniałeś już o tem, lecz ja to zawsze zachowuję w pamięci.

—Nie mnie piąć się do waszego towarzystwa, żeby mnie tu spotkał pan starosta, wątpię by jęj życzliwość dla mnie pochwalił.

—I owszem, i owszem braciszku, nie znasz mojego męża. Omal nie zginął z twojéj ręki, a jednak nie tylko że przeciwko tobie nie zachowuje niechęci, ale wspomina ciebie zawsze z największym szacunkiem, a ty nie przestajesz być jego nieprzyjacielem.

—Jestem przyjacielem pana Michała, i nim być nigdy nie przestanę.

Starościna spuściła oczy, i zamyśliła się. Wkrótce podnosząc oczy nieśmiało—bracie drogi, rzekła, może być że ci los nie sprzyja, doszły mnie wieści że przystałeś do konfederacyi Barskiej; lecz jeżeli los ciebie zawodzi, jeżeli czegokolwiek potrzebujesz, bądź pewny że chwila w której zażadasz mojej pomocy będzie jedną z najszcześniejszych dla mnie. Wszystko co mam, wszystko co mogę, jest na twoje zawołanie.

—Daję pani dowód niemałego szacunku, że ośmielałam się stanąć przed nią. Jestem konfederatem Barskim, jakim by pewnie był i mój wuj, a jęj ojciec, gdyby się Bogu nie podobało zabrać go do chwały swojej. Gdybym w téj stolicy był poznany, utraciłbym natychmiast

wolność, a jednak z jej strony zdrady się nie lękam. Pomimo pozornego mojego ubóstwa, wsparcia pieniężnego nie potrzebuję, ale mam inny a ważny interes do pani.

Tu weszła do pokoju piastunka z dzieckiem, które wyglądało jak anioleczek. Starościna z rąk piastunki wzięła dziecię na ręce swoje—Nie bój się braciszku, odezwała się, jest to szwajcarka dopiero sprowadzona, nie rozumie mowy naszej. A przybliżając się z dzieckiem do Wazgirda—patrz braciszku jak moja córeczka do ciebie się uśmiecha, a co, czy nie ładna dziewczynka? Ludwisiu moja, wszak to twój wujaszek, proś go za swoją mamą, żeby się na nią nie gniewał, ona i tak biedna. Bracie kochany, żądaj odemnie czego, żebym poznała że mi wracasz dawną twoją życzliwość. Nie obawiaj się nikogo u mnie, żadna potęga z domu mojego ciebie nie dostanie. Daj-że mi rękę bracie, na znak że mną nie gardzisz.

—Prawdziwie z temi kobietami oszaleć trzeba. Jestem żołnierzem, a mnie Wpani rozczulasz bez potrzeby. Co się stało, to się stało, a ja choć na Wpani czei ni wiary nie zostawiam, pokazuje się, że mam do niej słabość. Wpani mnie z rozumu wywodziś, a bez potrzeby, bo już nasze światy tak są przeciwnoległe, że jak stanę za jej progiem, to chyba na Jozafatowej dolinie się zobaczymy. Wolę przystąpić do interesu, bo czas upływa—Oto jest pierścień coś go dała Michałowi w naszej przytomności przyrzekając mu dozgonną przyjaźń; nie odebrawszy tego zakładu, nie otrzymawszy zezwolenia tego, który na jej słowo się spuszczał, wiarę jemu należną innemu przysięgłaś. Zwracam pani ten zakład z rozkazu Michała, który po to umyślnie mnie tu przysłał, i oświadczam jej w jego imieniu, że zwracając go do rąk

z których wyszedł, rozgrzesza ją z krzywdy jemu wyrządzonej, że najmniejszego żalu do was obu nie zachowuje, że wszystko z całego serca wam odpuszcza, że wszelkiej pomyślności wam życzy. To mnie wyraźnie powiedział, a wiesz co znaczy jego słowo; a prosi o zwrot pierścienia, który dał w zamian tego co go teraz odsyła, żeby on Wpani już żadnego wyrzutu nie czynił.

Starościna, wzięwszy pierścione, oddała dziecię piastunce i wyszła, ale wkrótce wróciła z pierścieniem wojskiego. Piastunka z dzieckiem za nią była wyszła, więc sami byli w pokoju.

— Bracie, rzekła starościna, oddaję ci ten pierścień. Bóg nas słyszy, na jego wielkie imię poprzysięgam, że nie jestem tak winną jak myślisz. Może już tak mną pogardzasz, że i ta moja przysięga nie zasługuje na twoją wiarę; ale winnam tobie wyznać, że jakkolwiek serce moje nie było zdolne oprzeć się Ludwikowi, z poświęceniem mojego szczęścia chciałam być godną siebie, godną mojego ojca. Żegnałam Ludwika na zawsze, kiedy Michał zastał brata klęczącego przedemną; byłam nieprzytomną; ale byłam niewinną. Lecz czemże bym mogła jego przekonać o mojej niewinności? Michał mówić do siebie nie pozwolił. Wyszedł, a co się później ze mną stało, co ze mną zrobiono o tem nie wiedziałam. Oddaj bracie ten pierścień Michałowi, i powiedz mu... tu łyzy jak dwa strumienie puściły się z jej źrenic, i Wazgirdowi łyzy stanęły w oczach. W tem drzwi raptownie się rozwarły, i jakiś pan w sukni haftowanej, z wstęgą błękitną stanął przed niemi.

— *Belle Comtesse*, powiedział orderowy, nisko się skłoniwszy, jestem przystany do niej od jej męża, żeby

ją uwiadomić by pani dziś go nie czekała, bo Król na cały dzień zatrzymuje go u siebie. *Il dine avec le Roi en tête à tête* 1); a starosta kazał mnie go zastąpić u stołu mojej pani. *Quoique premier sujet du Roi* 2), większy mnie dziś honor spotyka niż ten, który dziś spotkał jej męża. *Mais que vois-je, je romps un tête à tête fort serieux* 3). Pani płaczesz, *ce quidam* 4) także poruszony, pierścionek w jego rękę; jakaś tajemnica sentymentalna. Nie mogę wyjść z zadziwienia.

— Mości xiążę, odpowiedziała staroscina poważnie łyzy chustką otarłszy, dotąd xięciu nie dałam prawa ani wglądać w moje postęпки, ani wchodzić do mnie bez mojego pozwolenia.

— Ten mości pan, jak widzę, jest szczęśliwszym ode mnie, kiedy się pani obrażasz, *comme une coupable* 5).

— Bogu i mojemu mężowi winnam się tłumaczyć z tego co czynię, a więcej nikomu.

— *Quelle noble fierté madame* 6). Chyba od tego mości pana się dowiem czegoś. Co waśc za jeden?

— Szlacheć równy panu urodzeniem, odparł Wazgird.

— Czy wiesz z kim mówisz?

— Nie wiem i w to nie wchodzę, a jeżeli pan chcesz mnie pomiatać swoim orderem, to mu powiem, że zaszczytam się łaską i przyjaźnią większych od niego panów.

1) Obiaduje z Królem sam na sam.

2) Lubom piérwszy poddany Króla.

3) Ale co widzę, przerywam rozmowę ważną na osobności.

4) Ten ktoś.

5) Jak winowajczyni.

6) Co za szlachetna wyniosłość u pani.

— Naprzykład, odpowiedział xiążę z przekąsem, czy znasz wielu panów, co by wyższemi byli od rodzonego brata waszego Króla?

— Mości xiążę, w rzeczypospolitéj nie znamy xiążąt krwi królewskiej: jako szlachcie, mogą być jutro tém, czém dziś jest Najjaśniejszy brat waszój xiążęcój mości. A jeżeli xiążę jako pan do mnie przemawiasz, to powiem mu otwarcie, że xiążę Karol Radziwiłł, Wojewoda Wileński, jest większym panem od braci królewskich, a jednak do mnie mówi z poufałością.

— *Mais c'est unique* 1). Dom pani starościny jest przytulkiem buntowników. U żony szefa gabinetu królewskiego, w obliczu brata Najjaśniejszego pana, śmia się popisywać protekcyą Radziwiłłowską. Mości szlachcicu na zagrodzie, równy wojewodzie, wiesz, że gdyby nie uszanowanie jakie mam dla téj damy, mógłbym waści nauczyć uszanowania, jakie mnie się należy.

— Mości xiążę, ostróżnie z groźbami, odrzekł Wazgird, noszę przy sobie to, co już mnie nie od jednego niebezpieczeństwa zasłoniło; a chociaż nie mam zaszczytu być bratem królewskim, jeszcze się taki nie urodził, któremubym dał się pokrzywdzić.

Tu starościna wzięła brata za rękę, i zaprowadziwszy go do swojego pokoju, przed nim stanęła na progu, i dumnie mierząc xięcia okiem pełném gniewu:

— Mości xiążę, rzekła, nie przystoi mi dłużej pozostać z gościem, który w mojej przytomności śmie się zapominać, aż do obrażania moich przyjaciół. Jestem najniższą sługą waszój xiążęcój mości, a dalsze xięcia

1) Ale to wybornie.

postępki oświecą mnie, czy mogę nadal go przyjmować
uprzejmie w domu moim jak dotąd bywało, czyli raz na-
zawsze unikać jego towarzystwa.

To wyrzekłszy, zamknęła za sobą drzwi swojego apar-
tamentu, zostawując xięcia skonfundowanego i nie wie-
dzącego co ma z sobą zrobić.



IX.

Król Stanisław August.

Nazajutrz około jedenastej przed południem, był wielki zgilek przed farą. Każdy chciał oglądać Króla, wracającego ze mszy do swoich komnat. Wielu było widać szlachty, u niektórych wyglądały rogi od suplik z po za kontusza, wielu było rzemieślników, między niemi i artyści, a najwięcej było tych brukowych próżniaków, zawsze i wszędzie wciskających się, gdzie tylko spostrzeżać się daje tłum ludzi. Stanisław lubił przyjmować supliki publicznie, tém wygrywał rolę panującego, bo prośby podane jemu, były wyznaniem jego panowania nad temi, których nie dawno był równym. A lubo proszący rzadko kiedy otrzymywał skutek w żądaniu swoim, Król każdego tak umiał pocieszać jedwabnemi słowy, że się opędzić nie mógł od suplik.

W tym tłumie wciśnięci byli Wazgird, Skołuba, i Buńczukiewicz, ale jeden odosobniony od drugiego. Pierw-

szy trudniejszy niż kiedykolwiek do poznania, bo w niemieckim stroju, z peruką gęstą, upudrowaną, i zakrywającą jego osobliwszą kresę; dwaj drudzy w kapotach, jak zwyczajnie służebna szlachta. Żaden z nich z oką nie spuszczał wojskiego, który naprzód wysunięty, odziany w kurtkę i szarawarach zielonych, stał pod kruchtą kościoła, trzymając w ręku papier złożony.

W tém okrzyk— niech żyje Król!— wznoszące się z całego tłumu, oznajmiły ukazanie się królewskie.

Król stanął na krużganku, a za nim szambelani, adjutanci bokowi, dworzanie, i niektórych dworów posłowie.

Zbliżyła się naprzód do niego jakaś młoda i przystojna kobieta, a ta do nóg mu upadłszy, oddała suplikę. Uważano że Król, papier szybko przebiegłszy oczyma, pocieszał ją łagodnymi słowy, i ten papier wręczył stojącemu za sobą szambelanowi Gintowtowi, w dniu tym będącemu na służbie.

Wielu innych z kolei podawało mu supliki. Niektóre odczytywał, inne nie czytając oddawał szambelanowi, ale z każdym mniej więcej rozmawiał, nikogo bez jakiejś nadziei nie zbywając. Wszakże widać było, że już nieco był zmęczony, jedno a jedno powtarzając, kiedy wojski przybliżywszy się, klęknął przed Królem, oddając mu papier.

Król go zapytał łagodnie, co on za jeden, i czego żąda.

— Szlachcie, poddany, i sługa waszej królewskiej mości, odpowiedział wojski. Nazywam się Poraj, i tuzin lat służąc za gajowego w Białowieskiej puszczy, od lat trzech dosłużyłem się podleśniczostwa; teraz nie wiem z jakiego powodu oddalił mię dyrektor ekonomii biało-

wieskiej. O nie nie proszę, tylko o zrobienie indagacyi, bo siebie nie mogę obwinić; wiem że indagacya przekonana o mojej niewinności i mam nadzieję, że i nadal jeść będę smaczny chleb mojego miłościwego pana.

Tych słów słyszeć nie mogli Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz, ale pojąć łatwo, jak gwałtownie serca im bić musiały, kiedy Król z wojskim mówiąc, suplikę w ręku obracał, i jaka była ich radość, gdy obaczyli, że Król nie otwierając wręczył ją szambelanowi, róg w niej zagiąwszy 1).

Wojski natychmiast utonął w pospółstwie, by ztamtąd dostać się do plebanii Falentowskiej, gdzie towarzysze jego mieli z nim się złączyć, i dokąd w nocy jeszcze Skołuba był zawiózł jego brykę.

Król dawszy posłuchanie narodowi przed domem panna nad pany, gdzie wedle zwyczaju swojego, szczególną uprzejmość okazywał dla kobiet, i był równie przystępny dla mieszczan, jak i dla braci szlachty, poważnie z orszakiem go otaczającym powrócił do swojego pomieszkania. Po mszy zawsze się przebierał. Przechodził przez obszerny pokój, garderobą nazwany, gdzie zastawał pełno domowników i obywateli, radych codziennie ukłonem powitać Najjaśniejszego Pana.

Było we zwyczaju, że każdy obywatel z prowincyi, po przyjeździe, szedł do garderoby, pewnym będąc że tam znajdzie znajomych, i zasiągnie wiadomości mu potrzebnych.

Gabinet, gdzie Król się przebierał, był przedzielony od garderoby małym pokojem; ale kiedy szlachta w gar-

1) Zagięcie rogu u supliki, był to znak, że Król ją rozważać będzie z szczególną pilnością.

derobie się rozgada, czasem taki szmer powstaje, że w gabinecie królewskim słyszeć siebie nie można. Na ten czas szambelan dzienny wychodzi do garderoby, i zaczyna potrząsać chustką nad klatką z kanarkami, przy oknie wiszącą, mówiąc— a cicho kanarki, tak hałasujecie, że królowi przeszkadzacie czytać suppliki jemu podane— szlachta na jakiś czas ucichnie, ale nie nadługo. Czasem szambelan w jednym poranku pięć i sześć razy wychodzi z admonicą do kanarków.

Kiedy Król przechodził przez garderobę, wszystkie głowy czy ogolone, czy ufryzowane, ledwo że nie do samej ziemi się pochylily. Każdy z upragnieniem oczekiwał z ust jego chociażby jednego słówka, a to słówko, jakkolwiek obojętne, z nie kończącemi się komentarzami rozchodziło się po rodzinie i przyjaciółach szczęśliwego męża, który go otrzymał.

W dniu tym, Król był nadzwyczaj wesoły, bo kurjer z zagranicy przywiózł mu listy, których z niecierpliwością oczekiwał. Jeden był od pani Geoffrin, napełniony plotkami wersalskimi, drugi od innej znakomitej damy, której niegdyś serce wyłącznie posiadał, a do której nie przestawał romansowych listów pisywać. Trzeci od Corticellego, agenta swojego w Rzymie, który mu donosił, że kilka obrazów najpierwszych mistrzów szkoły włoskiej, i kilka kameów wieku Peryklesa, nabył dla niego za sześć tysięcy czerwonych złotych, od jakiegoś cavaliere Antonini; że Król znany w całej Europie za najpierwszego znawcę sztuk pięknych, jak obaczy ten nabytek, przekona się, że za bezcen go dostał, i że nigdy-by nie dobił tak pomyślnego targu, gdyby Antoniniemu nie był obiecał wyrobić od Króla gwiazdę św. Stanisława, a dla je-

go syna kanonij Warmińską; że zatem ośmiela się prosić Króla, by raczył uiścić tę nadzieję, którą on zrobił. Czwarty list był od Woltera, datowany z Fernéj; ten list w zachwycenie Króla wprowadził. Był on odpowiedzią na list Królewski na czterech stronicach zapisany, a niemniej był długim. W tym liście Wolter nazywał Króla Salomonem Północy, wyglądając chwili, jak druga królowa Saby przybędzie do niego z zamorza, wyuczyć się od niego rządzić własnemu państwu, a potem cieszyć się u siebie jego żywym obrazem. W tym liście żartował z Polaków, jako z pijaków i barbarzyńców, wszakże dodał: pokazali się oni rozumniejszymi od Opatrzności, kiedy wynaleźli Króla, jakiemu równego traf urodzenia nigdy nie okazał. Że gdyby prawo wyboru swojego panującego było udziałem wszystkich narodów, on by, w osobie swojej urzetelnił marzenie Karola Cesarza o monarchii powszechnej, bo wszystkie narody chciały by go mieć swoim Królem. Temi podchlebstwami, co je Stanisław August przyjmował za gotowe pieniądze, wywiązywał się jemu za przysyłaną mu coroczną gratyfikację trzech tysięcy czerwonych złotych, o których jednak nie wspominał, mając to za uiszczenie haraczu, jemu należnego od wszystkich głów koronowanych. Prócz tych listów, jeszcze otrzymał kilka listów od różnych dam swojego dworu, dam, co je codziennie widywał, a z którymi jednak korespondował— jako pani krajczyny, xiężny strażnikowej, xiężny generałowej, i pani Lullier, awanturnicy francuskiej, która mu do wszelkich intryg pewnego rodzaju pomagała, a tém samém głęboko była wkorzenioną w jego względach.

Król był promienistym, kiedy do gabinetu przechodził przez garderobę. Kilka figur przybyłych z prowincji

oyi powitał najuprzejmiej, każdój z nich rzucając słowa za serce chwytające.

Bo zaprzeczyć nie można, że jeżeli w kierowaniu rządu, aż nadto dowodził, że nie był z rodu wdrożonego do panowania, że, jeżeli zamiast szerokiego działania w interesach publicznych, zajęty był wyłącznie drobnymi intrygami, za to wygrywał doskonale część reprezentacyjną roli monarchy. Był nawet do tego usposobiony przyrodzeniem, bo i monarcha z krwi królewskiej spłodzony nie mógł by mieć powierzchowności więcej majestatycznej.

Gdy przez garderobę przeszedł do gabinetu, tam go oczekiwał fryzjer angielszyk, Philipsborn nazwany, który oprócz rodowitego, żadnego języka nie umiał. Król go lubił, raz że był doskonałym w swém rzemiośle, powtóre, że z nim rozmawiał po angielsku, językiem najwięcej mu ulubionym, między tylu innemi co je posiadał 1).

Ryx, kamerdyner królewski, a razem starosta krasnostawski z niemałym zgorszeniem zakutój szlachty, rozebrał Króla, i gdy nałożył na niego pudermantel, nie nie przeszkadzało Philipsbornowi rozpocząć pracowite ubieranie królewskiej głowy.

Było wielu dworzan w gabinecie, bo Król zwyczajnie fryzował się w assysteneyi, a obracając na to około dwóch godzin, te godziny przepędzał często w uczonych rozmowach, nawet kazał sobie czytać coś z nowości przysyłanych mu z Paryża.

1) Król mówił ósmiu językami jakby rodowitym, a temi były: łaciński, francuzki, niemiecki, angielski, włoski, hiszpański, rossyjski i turecki. Brat jego cioteczny, książę generał ziem Podolskich, oprócz tych języków znał jeszcze doskonale arabski, hebrajski i szwedzki.

Dnia tego było więcej przytomnych niż zwykle, bo właśnie Xawery Branicki, łowczy koronny, zostawszy regimentarzem partyi Ukraińskiej, był u Króla na pożegnaniu, wybierając się tego samego dnia do swojej komendy. Między wielu innemi dworzanami znajdowali się xiążę podkomorzy brat królewski, xiądz Krasicki nominat Warmiński, Byszewski i Orłowski generałowie adjutanci, Poniński kuchmistrz koronny, Bacciarelli malarz, Sio, doktor nadworny, hrabia Siedlnicki, Gintowt, Trembecki szambelanowie; Bielawski, Boscamp i Camelli dworzanie, Golejewski buńczuczny koronny.

Król siedział w krześle, trzymając ręczne zwierciadło w którem często się przeglądał. Szambelan Gintowt rozkładał z chustki pliki suplik, w dniu tym podanych królowi, na stolik opodal od królewskiego krzesła postawiony, przy którym usiadłszy staranie wypisywał treść odebranych suplik, by je potem przełożył królowi.

Król najpierw do pana Branickiego się odezwał— Przecie mości łowczy wyleczyłeś się zupełnie z téj rany co ci ją Casanova zadał, daj Boże byś równie szczęśliwie przebył i te nowe niebezpieczeństwa, na które masz się narażać; bo na Ukrainie masz się spotykać z morowem powietrzem, i ze zbuntowanem chłopstwem.

— Tak jest Najjaśniejszy Panie, wczora wyprawilem tam Stempkowskiego, a dziś wieczór sam wyjeżdżam, przyszedłem pożegnać waszą Królewską mość, i ją o błogosławieństwo prosić.

— I rana już się czuć nie daje?

— Najmniejszej rzeczy Najjaśniejszy Panie. Pernet, doktor waszej Królewskiej mości moim kosztem sławę sobie zjednał, ale kłamie Francuz, bo wszystkie jego le-

karstwa przez okno kazałem wyrzucać, a po swojemu się kurowałem.

— Sam byłem tego świadkiem, odezwał się xiądz Krasicki, jak pan łowczy, zaledwo go opuściła gorączka, zamiast klejku na którym Pernet chciał go trzymać, zjadł całego kapłona.

— Ale dodaj waszeć mości xiężu, że tego kapłona popilem dwiema kwartami mojego dekoktu.

— Jakiż to dekokt? zapytał Król.

— Dekokt węgierski, odrzekł pan łowczy. Pernet chciał mnie zapajać pęrzem, ale ja jemu parschnąłem w żywe oczy, jak mnie wspomniał o tym studenckim napoju. Niech mnie djabli wezmą Najjaśniejszy Panie, jeżeli tym doktorom piątęj klepki dostaje. Żeby nie miał tyle doświadczenia, a ich posłuchał, nie wystarczyłoby mi pojazdów na przewiezienie tych prezerwatyw od morowego powietrza, któremi chcieli mnie obdarzyć: ale już ja od dwóch tygodni wyprawilem na Ukrainę moją prezerwatywę od wszystkich chorób; kilka beczek masłacz. Stempkowski tak jak ja wierzy w moją medycynę: niczego się nie bój, niczém się nie martw, a dobrze pij, będziesz żył póki zechcesz.

— Szczęśliwy, odezwał się Król westchnąwszy, kto ma tak wesoly humor jak wpan mości panie łowczy. Jednak nie nadużywaj odwagi; śmierć niespodzianie przychodzi. Niema sześciu tygodni jak sam omal że życia nie straciłeś.

— Ani trochę Najjaśniejszy Panie. Czyż bym siebie narażał na strzał awanturnika, którego przez moich kozaków mógłbym być wychłostać, gdybym nie rachował na moje szczęście, gdybym nie był pewnym że lat dzie-

wieǳdziesiąt dożyję. W czasie siedmioletniej wojny, służąc pod marszałkiem de Broglie, śmiałem się idąc na chmury kul, bo wiedziałem dobrze, że żadna z nich nie złego mi nie zrobi. Toż samo i teraz na Ukrainie, bez obawy spotkam się i z hajdamakami, i z morowem powietrzem, bo jeszcze więcej pięćdziesiąt lat mam przed sobą.

— Mój łowczy, rzekł Król, gadałeś nie raz przed nami o jakiejs kabale, którą gdzieś wpanu ciągnęli, ale do tych rzeczy trudno przykładać wiarę.

— Jak to kabała! to były wyraźne przepowiednie Najjaśniejszy Panie, a że kilka z nich już się sprawdziło, więc i reszta sprawdzić się musi. Kiedy to byłem przy królewiczu Karolu, co go dla waszej Królewskiej Mości opuściłem, chociaż on mi był bratem, ojcem, a nie panem: byliśmy razem w Lipsku w czasie jarmarku. Ja właśnie wybierałem się na siedmioletnią wojnę. Całą moją ojcowiznę już byłem stracił, nie miałem innego funduszu prócz pary tysięcy czerwonych złotych w szkatułce, i łaskę królewica; ale ten fundusz nie bardzo był szeroki, bo królewicz nie najlepiej stał w interesach. Owoż tedy w Lipsku głośno mówiono o jakimś czarnoksiężniku, który się tam miał znajdować, nazywano go Schöpfer: nadzwyczajne rzeczy o nim mawiano; królewicz chciał go koniecznie poznać. Raz około północy, tylko we dwóch poszliśmy do niego *incognito*. Niepodobna do wierzenia to cośmy tam widzieli: powiem tylko że pokazywał nam takich, co już oddawna pomarli; oni chodzili przy nas, i z nami rozmawiali.

— Przyznaj się mości łowczy, na to Król, że trochę haftujesz na tle może i rzeczywistém.

— Niech mnie djabli porwą Najjaśniejszy Panie, niech wszyscy mają mnie za podłego człowieka, jeżeli jedno słówko dodaję do tego co rzekłem, i o czém dalej mówić będę. Królewicz chciał widzieć babkę swoją, żonę Króla Augusta II, na której kolanach nie raz w dzieciństwie spoczywał. Ona stanęła przed nami, i powiedziała wnukowi że otrzyma wkrótce udzielne księstwo na północy, ale że go zaraz i utraci; że się ożeni z prostą szlachcianką, czém się narazi Królowi; że po śmierci Augusta III. Polska wyjdzie z domu Saskiego. Mnie także ruszyła ciekawość widzieć się z nieboszczykiem moim ojcem, kasztelanem Halickim: i on stanął przed nami z ogromnym swoim brzuchem, i powiedział mnie— Panie Xawery, choć już zjadłeś to, co z taką pracą całe życie uzbierałem, jednak nie masz potrzeby oglądać się na przyszłość. Z każdego niebezpieczeństwa bez szwanku wyjdiesz, otrzymasz najwyższy urząd w kraju, a przeszedłszy rok dziewięćdziesiąty życia twojego, umrzesz najbogatszym panem w całej Polsce. A czy już wiele rzeczy niesprawdziło się Najjaśniejszy Panie?— Królewicz otrzymał inwestyturę księstwa Kurlandzkiego, a długo się tęp cieszył?— Ożenił się potem z panną Krasińską, czém się ojcu naraził, że mu tego do śmierci nie odpuścił. Dom Saski przestał nad nami panować, kiedy jego miejsce szczęśliwie dla nas wasza Królewska mość zastępujesz.— A co do mnie, całkowitą siedmioletnią wojnę bez szwanku odbyłem, i mam od waszej Królewskiej mości zapewnioną dla siebie wielką buławę, więc i reszta musi się sprawdzić. Tak jestem pewny siebie, że kiedy ten włoch utrapiony na wylot mnie przestrzelił, mocno to mnie zadziwiło, ale pomyślałem sobie, rana nie śmierć, z niej się jakoś wyliżę, a swoje dożyć muszę.

Nie mi niepozostaje jak pożegnać waszą Królewską mość, by spełnić jej rozkazy. Niech Najjaśniejszy Pan będzie spokojny: Hajdamaczyznę przyduszę, a morowemu powietrzu nie dam się szerzyć 1).

I pocałowawszy rękę Króla odszedł, bo miał tego dnia u siebie na śniadaniu mnóstwo szlachty, gdzie miał się potykać kielichem z Konarzewskim 2).

Kiedy Branicki odszedł, Trembecki pierwszy się odezwał— nasz łowczy ma zdatność do poezii: dał tego dowód opowiadaniem swoim; kto by takim baśniom uwierzył.

— Nie mów tego Trembecki, odpowiedział Król: są w naturze takie tajemnice, że najgłębszy rozum ich nie docieknie. Nie mogę wątpić że Branicki ufa swojemu przeznaczeniu na mocy jakiegoś wyroczni, bo miałem tego dowody. Kiedy byłem jeszcze w stanie rycerskim, znajdowałem się z Branickim w jednem mieście zagranicznem; tam przepędzałem najszcześniejsze chwile mojego żywota: kochałem najpiękniejszą, najrozumniejszą kobietę na świecie, a ona mnie odpłacała wzajemnością: Branicki był naszym powiernikiem. Ale potężny współzawodnik odkrył naszą tajemnicę, i zabierał się do strasznej zemsty. Los nasz okrył się był kirem śmiertelnym, z największą niespokojnością oczekiwaliśmy uderzenia piorunu. Branicki, któremu powlerzaliśmy naszą obawę, śmiał się

1) To proroctwo Szepera, Królewiczowi Karolowi i Branickiemu zrobione, jest faktem niezaprzeczonym. Słyszałem jak nieboszczyk hetman to opowiadał. Całe życie swoje, wielce ufał swojemu szczęściu na mocy téj przepowiedni.

2) Konarzewski sławny pijak, przyszedł do tego, że mógł cztery tuziny butelek wina węgierskiego wypić bez stracenia przytomności.

z trosk naszych, i wtedy, ile sobie przypominam, pierwszy raz wspomniał o tej dla siebie szczęśliwej wieszczbie, co ją dopiero w szczegółach opowiadał.

— Ciekawy jestem, odrzekł Trembecki, coby Wolter na to powiedział, gdyby usłyszał relację naszego łowczego.

— Byłby tego samego zdania co ja, odparł Król. On nie raz przedemną mówił, że gdybyśmy tylko to uważali być [prawdą, co jasno pojmujemy, summa wiadomości ludzkich była-by zbyt szczupłą. Ale *à propos* Woltera, powinszuj mnie Trembecki, odebrałem, dziś dowód jego pamięci: przeczytaj głośno ten list, niech wszyscy wiedzą, jaką mam u niego łaskę.

Jak Trembecki odczytał list, xiądz Krasicki wyrzekł— Najjaśniejszy Panie, to co Wolter pisze, cała Europa czuje i myśli. Cała jego zaleta w tém, że nikt oprócz niego tego powszechnego uczucia nie umiałby równie pięknie wyrazić.

— Najjaśniejszy Panie, przydał Trembecki, nigdy się lepiej Wolterowi nie udało powiedzieć, jak to co mówi, że nasz naród pokazał się mędrszym od Opatrzności, wynosząc ciebie nad sobą. Nigdzie traf urodzenia nie sprostał naszemu wyborowi; ale do razu sztuka, podobnych cudów trudno spodziewać się powtórzenia. Jako poeta sięgam w przyszłość, i widzę w niej, że wasza Królewska mość będziesz ostatnim Królem Polskim wybranym, a pierwszym dziedzicznym.

Król się uśmiechnął, a wszyscy przytomni razem odezwali się:— amen!

Xiądz Krasicki po krótkim i powszechném milczeniu ożywił rozmowę.

— Najjaśniejszy Panie, jako kapłan i nominat, muszę z obowiązku stanąć w obronie Opatrzności, przeciwko Wolterowi i panu szambelanowi: nasz wybór nie był zrobiony na przekór Opatrzności, ona wyrokowała, a my ten wyrok spełniali. Dzień siódmy września 1) był prawdziwie dniem natchnienia. Najgłupszy sprostał najrozsądniejszemu, kiedy jednomyślnie jedni i drudzy ogłosili ciebie Królem.

— Najjaśniejszy Panie, odezwał się Trembecki, wasza Królewska mość jesteś słońcem; nie tylko że własnym blaskiem oświecasz, ale jeszcze go używasz planetom swoim, że i one błyszczą na horyzoncie. Czy by kto uwierzył, że i ja dnia dzisiejszego odebrałem list od Woltera; oto go składam u stóp waszej Królewskiej mości, bo zaszczyt mnie zrobiony, do mojego Króla należy.

Król, przebiegłszy list oczyma, powiedział— wiesz Trembecki że masz z czego być dumnym. Rodak większej sprawiedliwości nie mógł by wymierzyć twoim wierszom, nad tę, którą otrzymałeś od mędrca Fernejckiego.

— Miłościwy panie, odparł Trembecki, Wolter, jak to bywało, *juravit in verbum magistri*. Król zanadto łaskawe zdanie o mnie ogłosił; Wolter więc myślał nie bez słuszności, że powtarzając wyrok waszej Królewskiej Mości, można uchodzić za nieomylnego. Ale że niema reguły bez excepcyi, jego łaskawe zdanie o mnie o tém przekonywa.

— Zbyt wielka twoja skromność Trembecki. Woltera pochwała tém sprawiedliwsza, że zdaje mi się, iż przed

1) Dzień elekcyi Stanisława Augusta.

laty byłeś jego szczęśliwym rywalem koło margrabiny du Châtelet.

— Nie tak było Najjaśniejszy Panie: owszem z mojej łaski, Wolter dostał celu swoich życzeń. Byliśmy razem w Cirey, zamku pani du Châtelet, której mąż gdzieś odbywał inspekcję wojskową; bo oprócz swego kapralstwa na niczem się nie znał, nawet na swojej żonie nie umiał się poznać. Margrabina nie była to regularna piękność, ale była najsmaczniejsza na świecie kobieta: bo to tłusciuchna, biała jak pszenna klusieczka, włos czarny jak pióra krócie, noszek zadarty, oczki błękitne, choć małe ale żywe, ząbki ledwo nie takie jak u waszej Królewskiej mości, a rozumna, że gdyby się zebrało siedmiu mędrców Grecyi pogańskiej, i wszyscy ojcowie Soboru Trydentskiego razem, jeszcze by mogli od niej czegoś się nauczyć. Było nas trzech mężczyzn razem w Cirey.— Margrabia de Saint-Lambert, autor Czterech Pór Roku, jej kochanek uwieńczony; Wolter, który aspirował do tego by go odsadzić, i ja trzeci, wielbiciel rozumu pani du Châtelet, ale bynajmniej nieroszczący sobie prawa do jej wdzięków. Tym czasem gospodyni, czy z ciekawości, czy z kaprysu, czy to może z próżności, żeby jej podboje rozciągały się aż do naszej hyperborejskiej strefy, tak się mną zaczęła zajmować, że aż wznieciła niespokojność w duszy Saint-Lamberta. Ja w to nie wchodziłem, naturalnie dobre za nadobne; ale cóż? kiedy już nasz romans przybliżał się do rozwiązania. Saint-Lambert dostał tak silnego paroxyzmu zazdrości, że chodził jak zwarjowany. Co do mnie, dość obojętnie patrzałem na stan jego umysłu, ale kiedy zaczął mnie dokuczać wymówkami i przymówkami, dałem mu takie *ad intende*, że zaraz zaprosił mnie na przechadzkę z sobą za zwie-

— rzyniec zamkowy. Domysliłem się co to ma znaczyć: rezultat tego spaceru, że moja szpada na cztery cale wlała mu w bok. Nie czekając ani jego kuracyi, ani pogrzebu, pobiegłem co tchu do Spa, nie pożegnawszy gospodyni. Saint-Lambert kilka tygodni leżał w Cirey, nim do zdrowia przyszedł, a Wolter, sam jeden zostawszy na placu, umiał z tego korzystać; tak, że kiedy tamten pokazał się na pokojach pani du Châtelet, przekonał się że już niema po co siedzieć w Cirey. Mnie było lat dwadzieścia, Saint-Lambert zaczynał rok trzydziesty, a Wolter zbliżał się już do piątego krzyżyka. On tak zrobił jak weterani Cezara, co zawsze pod koniec bitwę rozstrzygali. Widzisz miłościwy Królu, że Wolter ma dla mnie pewne powody wdzięczności.

— Wyborna historja, rzekł Król, obracając się do księdza Krasickiego. Czy uwierzyłbyś mości nominacie, ale temu przyświadczy pan starosta wieluński, który się znał z Trembeckim w Wersalu, że jak tu widzimy Trembeckiego łagodnym i umiarkowanym, tak on we Francyi był siarką i saletrą. Nazywano go w Wersalu *le tueur des Marquis* 1). Kilku dworzan zabił w pojedynku, a co tego nakaleczył, o tém i nie wspominam.

Podczas kiedy tak wesoło rozmawiali, pan szambelan Gintowt raptownie zerwał się ze stołka, a w rękę trzymając jakiś papier, przybliżył się do Króla w największym pomieszanu, tak że Król mu powiedział— a co to się stało z wpanem mości szambelanie, że jesteś jakby zdjęty z krzyża.

— Okropność Najjaśniejszy panie, zgroza! między su-

1) Zabójca Markizów.

plikami, jakiś bezecnik, jakiś potwór, śmiał wcisnąć paszkwil przeciwko waszej Królewskiej mości.

— Czy wierszami, rzekł Król uśmiechając się, jeżeli paszkwil dowcipny, nabawiemy się nim, jeżeli sprawiedliwy, będziemy się starali z niego korzystać.

— Gdzież tam wierszami, odrzekł szambelan, nie-mniej, nie więcej, tylko pozew we wszelkiej formie po-łożony waszej Królewskiej mości, żebyś się stawiał oso-biście przed konfederacją.

Król porwał papier z rąk pana Gintowta, i zaczął go czytać cicho. Spostrzegli że pobladł. Nieskończywszy czytania, wstał silnie poruszony, i zaczął się przecha-dzać po gabinecie, potem stanął i do otaczających tak przemówił:

— Patrzcie mości panowie na zniewagę wyrządzoną waszemu Królowi; cierniową koronę włożyliście mnie na głowę. Nad sobą kazaliście mnie panować na to tylko, żebym nawet tego pokoju nie miał, jaki najuboższemu obywatelowi prawem jest zabezpieczony. Moja krzywda jest waszą krzywdą, do was się więc odwołuję. Mości szambelanie Gintowt odczytaj Wpan głośno przed ichmo-ściami ten mniemany pozew; niech ichmościowie wiedzą jakie potwarze znoszę.

Pan Gintowt zaczął czytać ten cierpki i obelżywy po-zew, ale co okres przerywanym był przez okrzyki przy-tomnych, okrzyki zgrozy i czułości za cześć monarchy.

— Najjaśniejszy Panie, odezwał się Poniński, ku-chmistrz koronny, żadnego między nami niema tak wyro-dnego Polaka, żeby nie umiał czuć krzywdy całemu na-rodowi wyrządzonej, w osobie jego pomazańca. Żeby ja-kikolwiek ślad powziąć o tym, co się odważył być jej

sprawcą! Będziemy ścigać zuchwalca, który się targnął na majestat naszego Pana.

— Nie umiem zgadnąć, kto w tym tłumie proszących oddał mnie ten paszkwil, bo w rzeczy samej innego niegodzien nazwiska. Do was mości panowie należy szukać go w mieście: musi to być jakiś Barski spiskownik ukryty, trzeba go odkryć koniecznie.

— Ba, odezwał się książę podkomorzy, czy to jeden nieżyczliwy waszej Królewskiej Mości bezkarnie przesieduje w Warszawie. Nie dalej jak wczoraj, natknąłem się na jakiegoś Barskiego konfederata, który się przedemną popisywał przyjaźnią i łaską xięcia panie kochanku.

— Bracie, rzekł Król, jako brat i poddany, winieś nas objaśnić, gdzieś się z nim spotkał, u kogo, co ci powiedział, i jak wygląda. Każde doniesienie jest ważne, kiedy w mojej stolicy spiski się knują przeciw mojej osobie.

Tu książę podkomorzy się zastanowił; z prędkości był się wymówił, ale rozważywszy nieco położenie rzeczy, nie życzył sobie dać biegu dalszego swoim słowom, by na kogokolwiek nieszczęścia nie ściągnąć. Książę podkomorzy był prędkim, ale ani mściwym, ani uraz pamiętnym: jakkolwiek go była ubodła zuchwałość pana Wazgirda, on byłby rad ją poskromić na gorącym uczynku przez służalców swoich; nawet będąc osobiście odważnym, nie był od tego, by własnej szpadzie poruczyć zemstę swojej obrazy; ale był dalekim od tej nikiżemności, by dla osobistej sprawy używać pomocy zwierzchności krajowej. Tém więc że się kochał zapamiętałe w staroście Wieluńskiej, a poznał dobrze, ile-by ją i jej męża naraził przed Królem, gdyby wspomniał o tém, co go spotkało w ich domu.

— Domyślam się Najjaśniejszy Panie, że musiałem wczora mieć doczynienia z jakimś Barskim urwisem, kiedy jadąc do Powązek spotkałem się w ciasnym dość przejściu, z jakimś szlachcicem siedzącym w obszarpanej bryce, a mającym czapkę na bakier, a ten za nic nie chciał mi z drogi ustąpić. Mój stangret krzyczał,— to brat Królewski, a ten odpowiedział,— mniejsza z tem, nie ustąpię, szczycę się łaską xięcia Wojewody Wileńskiego.

— Ta relacya mości xiążę, rzekł na to pan kuchmistrz koronny, w niczem się nie łączy do tego co nas zajmuje. Musiał to być jakiś szlachcic podpiły; bo czy między spiskowemi, czy to między wiernymi poddanemi waszjej Królewskiej Mości, ani na pijaństwie, ani na zuchwalstwie szlachcie nie zbywa.

Xiążę podkomorzy rad że mu się udało wycofnąć z tego, z czém w prędkości był się wymówił, i że to samo z siebie upadło, wyszedł do garderoby królewskiej, żeby baraszkować ze szlachtą, a Król z innemi pozostał, i z niemi zajął się wynalezieniem środków do odkrycia tego, kto mu się poważył pozew położyć.

Król posłał natychmiast po marszałka nadwornego koronnego, przy którym była policya miejska 1). Bieśliński marszałek wielki koronny tak ją był dobrze urządził, że żadna zbrodnia długo ukryć się nie mogła. I następcy jego tymże szli torem.

Król miał nadzieję za pomocą margrabi Wielopolskiego marszałka nadwornego, i swoich stronników poufa-

1) Laska wyższa od śmierci Jerzego Mniszcha, aż do konferowania jej xięciu Stanisławowi Lubomirskiemu, ze trzy ata przynajmniej wakowała.

łych, odkryć winowajcę. I jeżeli tém się zajmował z taką gorliwością, to nie dla tego żeby był poduszczony żądzą zemsty, ale że był przekonany iż jakiś obszerny spisek knuł się przeciw niemu, i podejrzewał że do niego wpływały niektóre otaczające go osoby. Gdyż będąc sam dość bojaźliwego serca, nie mógł przypuścić, by ktoś siebie tak dalece zaryzykował, nie licząc na jakieś poplecznictwo, skore do dania mu ratunku.

X.

C z ę s t o c h o w a.

Podeczas gdy Król z powiernikami swojemi niczego nie opuszczali, żeby wysledzić tego, co mu tak dotkliwy pozew położył, Wojski, wysunawszy się z pospólstwa, zaszedł na kwaterę Wazgirda, gdzie zastał Skołubę.

— Panie, rzekł wierny sługa, niech pan nie tracąc czasu, zrzuci kurtkę i szarawary, a weźmie na siebie swoją kapotę. Mój pan i pański szatny już muszą nas czekać w Falentach u proboszcza.

Wojski się przebrał, odzież dopiero zrzuconą, nogą wepchnął pod łóżko gospodyni, i włożył jęj pod poduszkę kilkanaście talarów bitych, a wzięwszy po wierzchu odzieży czujkę, wyszedł ze Skołubą, i puścił się za Jerozolimskie rogatki.

Babeczka nie domyślała się, że swoich gości traci nazawsze, wszystko pod jęj okiem się robiło, a ona o niczem nie wiedziała.

Wojski, zawsze ze Skolubą, bez szwanku trafił do plebanii Falenckiej, gdzie już zastał Wazgirda, Buńczukiewicza, i brykę tylko co przez nich zaprzężoną.

Wojski ledwo miał czas przedstawić się xiędzu i jemu podziękować, bo xiądz sam ich napędzał by natychmiast wyjechali, gdyż lada chwila może być pogoń za niemi.

Jakoż w samej rzeczy, jak zaczęto brać na rozum u dworu, kto mógł podać Królowi suplikę, P. Gintowt przypomniał sobie, że był jakiś podleśniczy Białowieskiej puszczy, w kurtce zielonej który mówił z Królem o interesie swoim, jakoby nadał chciał wrócić do posady którą był utracił, i że o to doprasza się w swojej suplice. A że tej supliki nie stawało, więc wątpić nie można było że zamiast jój, pozew wręczył Królowi.

Rozesłano opis mniej więcej dokładny jego powierchności, a kruki marszałkowskie i agenci policyi tajnej, biegali po Warszawie z taką pilnością, że to długo nie mogło się utaić.

Jak tylko gruchnęła wieść, że szukają człowieka wzrostu słusznego, włosów jasnych, przyprószonych siwizną, a odzianego w kurtkę jasno-zieloną z czarnym kołnierzem, i w szarawary tejże barwy, z zaleceniem, pod nagrodą i groźbą, każdemu co by go gdzieś spotkał, by natychmiast dał o tém wiedzieć zwierzchności, policya zarzucona została najdziwaczniejszymi doniesieniami. Nie było ulicy, na której by go nie widziano, wielu przyznawało się że z nim rozmawiali. Jedna baba zeznała, że jakiś człowiek, zupełnie taki jakiego opisali, kupił u niej kiełbas za dwa srebrne grosze, które zapłacił, ale że te grosze były tak świejące jakby świętojańskie robaczki, że ona je w osobnem miejscu schowała, ale że kiedy nie-

znajomy znikł jej z przed oczu, a chciała pochwalić się przed sąsiadem błyszczącemi groszami, na ich miejscu, znalazła dwa węgle zgaszone.

Drugi o czwartęj z rana widział jak człowiek zielono ubrany przechodził Wisłę od strony Pragi, nie mostem ale powierzchnią wody, w której się nie zanurzał, ale chodził po niej jakby po bruku.

Inny zeznał że po nabożeństwie farnego kościoła, wracając do domu, spostrzegł na kopule luterskiego kościoła siedzącego człowieka, właśnie takiego jak go policya opisuje. On siedział, i z góry patrząc na miasto, nawiązywał węzłki na chustce białej; a kiedy, uderzony tym widokiem, zwoływał drugich by na to patrzali, człowiek zielony zniknął.

Zgoła, że policya rady sobie z początku dać nie mogła.

Jednak z kolei przyszły i ważniejsze doniesienia. Jeden tandeciarz wyznał, że po wschodzie słońca przyszedł do niego młody człowiek, nie mający lat dwódziestu, że kupił u niego kurtkę i szarawary jasno zielone, i pas z palonéj skóry; że choć sam był odziany po chudopacholsku, zapłacił mu spieszenie co tylko zacenił, chociaż potargowawszy się, może połowę ceny byłby spuścił.

Wielu zeznało, że widzieli przed Farą człowieka zielono ubranego, który chodził zamyślony, a potem ten sam człowiek rozmawiał z Królem, i podał mu jakiś papier.

Ale najważniejsze zeznanie było uczynione od staréj blecharzowéj. Przestraszona staruszka wyznała że przed kilku dniami jakiś szlachcic, w średnim wieku, w kontuszu, i z plastrem na czole, do niéj przybył, że u niéj

sypiał i stołował się. Że dnia wczorajszego, przyprowadził z sobą jakiegoś nieznajomego szlachcica w kapocie, że ten się nazwał przed nią Porajem, że oba u niej zjedli obiad, a potem jak wyszli razem, to aż dopiero w nocy powrócił do niej szlachciec co u niej mieszkał, a drugi dopiero nazajutrz, że ten był ubrany zielono jak go opisała policya. Że z jakimś drugim człowiekiem zabawiwszy u niej może przez dwa Zdrowaś Marya, wyszedł, ale w czujce, gdyż niebo było zachmurzone. Opisanie téj czujki żadnego światła nie przydało, gdyż w Warszawie takich można było w czasie deszczu widzieć secinami.

Staruszka złożyła odzież swojego gościa znaną pod swoim łóżkiem, odzież, którą tandetnik od razu poznał. Nie zapomniała i tego wyznać, że znalazła pod poduszką swoją kwotę pieniężną, jak dla niej znaczną, domyślając się, że to był upominek złożony od jej gościa, wynagradzający sowiec expens, jaki zrobiła dla nich.

Później przybył i pleban z Falent, który zeznał, że do niego zajęchało czterech ludzi nieznajomych, dwóch niby panów, dwóch niby sług, że półgodziny u niego niespełna zatrzymawszy się, wyjechali w porządną bryce. Opisał i konie, i powierzchowność tych nieznajomych.

Po tych doniesieniach, nie było wątpliwości że agencji konfederacyi Barskiej znajdowali łatwość i do przybycia, i do goszczenia w Warszawie. Ale kiedy te zeznania zapisywano, i to więcej doby po wydarzeniu, nasi przyjaciele już mieli tyle czasu przed sobą, że żartować sobie mogli z tych wszystkich układów, przedsiębranych w Warszawie dla ich schwywania.

Policya za złe nie mogła wziąć staruszcze, że przyjechała do mieszkania swojego nieznajomych, w czasie gdzie paszportów nie znano; a jeszcze mniej plebanowi, którego było obowiązkiem wedle ówczesnych wyobrażeń, każdego przyjąć i ugaszczać, nie pytając co on za jeden.

Wszakże opyt urywał się w Falentach, bo w nich kończyła się juryzdykeya marszałkowska.

Jeżeli po miastach, *in vim directi dominii* Króla, jaka taka policya była urządzona, za to po wsiach żadnej być nie mogło. Szlachcie mieszkający na swoim gruncie lub nawet na gruncie innego szlachcica, żadnej policyi nie ulegał. Nie można było urzędowie przemówić do szlachcica tylko pozwem lub przypozwaniem, a żadnej innej juryzdykeyi nie ulegając tylko sądowej, na żadne zapytania nie był obowiązany odpowiadać.

Policya domyslała się do jakich domów po drodze wstępowali ci, których ściagała; jednak ani się kusiła robić indagacyi po domach, wiedząc dobrze na jakie nieprzyjemności, a nawet gwałtowności bezkarne, dobrowolnie by się naraziła 1).

Stracono w Warszawie nadzieję dostania winowajcy, usiłowano tylko odkryć jego rzeczywiste nazwisko. Ale i to było trudno, gdyż chyba w obozach konfederacyi można by było o tém się dowiedzieć, a przystęp do tych obozów był niepodobny; konfederaci byli ostrożni. Gdziekolwiek jaki oddział konfederacyi Barskiej się znajdował, a do niego się przybliżył szlachcie, jeżeli między konfederatami nie znajdował kilku poręczycieli, jako szpieg

1) Dotąd w Węgrzech szlachta z niczego nie jest odpowiedzialną policyi królewskiej.

do pierwszej gałęzi był uczepiony za szyję. A żydzi w tej wojnie domowej byli najnieszczęśliwsi: fanatyzm religijny kojarząc się z widokami ostrożności, i jedno i drugie stronnictwo bez miłosierdzia ich wieszało. Przyszło do tego, że nie można było spotkać żyda na wielkim gościńcu, gdyż żyd podróżujący, choćby dla własnych interesów, co kroku napotykał niebezpieczeństwa. Na tym stanie rzeczy kraj nie mało cierpiał, gdyż najmniejszego handlu być nie mogło w tych częściach Rzeczypospolitej, gdzie stronnictwa ścierały się między sobą: to posłużyło szczególnie Królowi by naród zniechęcić do konfederacyi, która same tylko klęski jemu przynosiła.

Kiedy więc nasi przyjaciele tyle narobili kłopotu w stolicy, oni sami, zajeżdżając od komina do komina, stosownie do instrukcyi danej Wazgirdowi, wesoło dążyli do Częstochowy.

Jasna Góra, opasana troistym wałem, opatrzona w dostateczną amunicyę, broniona przez załogę dzielną, była środkiem wszystkich działań konfederacyi. Nie można jej było opanować tylko regularnem oblężeniem, ale trzeba było mieć na to działa grubego kalibru, a na tych zbywało oblegającym. Wprawdzie Król z niemałym trudem sześć dział takowych był wyprawił do Częstochowy, ale o kilka mil od niej, spotkał je pan Franciszek Dzierżanowski, jeden z najdzielniejszych partyzantów konfederacyi: napadł na assekuracyę, która te działa przeprowadzała, rozproszył ją, harmaty zabrał, a nie mogąc ich uwieść z sobą, kazał je pozagważdzać i zatopić 1). Oblężenie więc szło dość opieszale, wycieczki z Często-

1) Ten znakomity partyzant umarł w wieku podeszłym w Pohrebyszczach w gubernii Kijowskiej, roku 1812.

chowy czasem o mil kilka cofały oblężenców, a często partyzanci nie dopuszczali im porządnego odwrotu. Częstochowa, w rzeczy samej nie była twierdzą oblężoną, ale wielkim placem bojów, między którymi były takie, co przypominały śpiewy Homeryczne. Bywało z jednej strony rycerz wyzywa na bój pojedynczy rycerza strony przeciwniej; bitwa odbywa się w przytomności obu wojsk, i zwycięzca wraca przy okrzykach uwielbienia dwóch obozów. Wiadomo, że sam dowódzca twierdzy, zostawszy wyzwany od kirysyera wojsk posiłkowych Królewskich, przyjął wyzwanie, i zabił przeciwnika olbrzymiej postawy i siły. Podobne bitwy często się powtarzały. Nawet z tych bojów zawiązywały się czasem stateczne przyjaźni. Xiążę Dolhoruki, dostojny młodzieniec, będąc przy poselstwie dworu swojego w Warszawie, przywiązał się do jednej pięknej i słynnej xiężny polskiej, zapalonej stronniczki Króla Stanisława: kiedy domagał się jej wzajemności, ona mu odpowiedziała, że na jej względy pod Częstochową tylko zasłużyć można. Zakochany i waleczny młodzieniec, nazajutrz poszedł na ochotnika do oblężenców i cudami odwagi się odznaczył. Nakoniec młody hrabia Wielhorski, zamknięty w Częstochowie, wyzywał go na bój pojedynczy; obaj potykali się pieszo, na szpady, w przytomności dwójga wojsk. Bili się więcćj godziny, z tak równą zręcznością, że chociaż pokilkakrotnie spoczynkiem przerywali bitwę zaciętą, jeden drugiemu nie nie mógł zrobić. Oba obozy jednomyślnie kazały im poprzestać: szlachetni szermierze uściskali się pokilkakrotnie, zamienili z sobą orężę, i na zakład przyjaźni dali sobie obręczki. Xiążę Dolhoruki gdy wpadł w ręce jednego partyzanta Barskiego, hrabia Wielhorski sam mu ułatwił środki do ucieczki. Ale później, kiedy

większa część Polski wcieloną została do państwa Rosyjskiego, xiażę Dołhoruki nie jednokrotnem wstawieniem się swoim za hrabią wywiązywał się z przyjaźni, którą mu przyobiecał; a nakoniec hrabia ożenił się z nadobną Rossyanką, i obaj przyjaciele spokrewnili się z sobą 1).

Ale jak wodzowie strony Królewskiej przekonali się, że w podobnych bitwach zwycięztwo było najczęściej na stronie konfederatów, nie zważając na powszechne nieukontentowanie, zabronili swoim przyjmować podobne wyzwania. I tak wkrótce wojna zupełnie prozaiczna, zatęlała pamięć tych poetycznych ustępów.

Nasi Litwini jechali w takim porządku: Wojski z panem Wazgirdem siedzieli w budzie, Buńczukiewicz powoził, Skołuba siedział obok niego; ale często przełaził z kozła naprzód od bryki, i tak siedząc z nogami wiszącymi nad kołami przednimi, rozmawiał z panami. Ledwo jednak spostrzegał że z daleka wznosi się kurza-wa, szybko powracał na dawne stanowisko.

Jakkolwiek szczęśliwie wysunęli się byli z Warszawy, jakkolwiek uprzejmie byli przyjęci gdzie tylko po drodze wstępowali, jeszcze nie byli w zupełném bezpieczeństwie. Mogli po drodze być napadniętymi przez jaki oddział wojsk królewskich lub posiłkowych: nawet miewali podobne spotkania, jeno że przytomność Skołuby od napaści ich chroniła. Bo na zapytania: co są za jedni, dokąd jadą, i co słyhać w Warszawie, Skołuba odpowiadał zawsze tak prawdopodobnie, i z taką prostodusznością, że oddział zostawiał ich spokojnymi w pewności, że to jest

1) Historyczne.

ekwipaż obywatelów przyjaźnych królowi, i dobrze u niego położonych.

Dopiero pod Szkalmerzem, spotkawszy komendę pana Zaremby, jednego z dzielniejszych wodzów konfederacyi, mieli siebie za zupełnie bezpiecznych, i ztamtąd udali się do Częstochowy; gdyż właśnie przed kilku dniami pan starosta Warecki, z całkowitą swoją załogą zrobwszy wycieczkę, wydał był oblegającym generalną bitwę, a tak pomyślnie, że ci zbici odstąpić musieli od oblężenia, które aż po dwóch miesiącach dopiero na nowo się rozpoczęło.

W Częstochowie było wielu wodzów konfederacyi, których ostatnie zwycięztwo najświetniejszymi nadziejami pocieszało. Jeden tylko, sam dowódzca, pan starosta Warecki nie podzielał ich w zupełności. Czuł on wiotkość położenia konfederacyi; a chociaż i Francya i Austria jej sprzyjały, on sprawiedliwie wnosił, że i te mocarstwa zniechęcą sobie nakoniec stronnictwo walczące przeciw swojemu Królowi, uznanemu za takiego od całej Europy, a który rzeczywiście jednomyślnie był obrany.

Jest jakiś tajemniczy związek między narodem a panującym, który starganym nie bywa bezkarnie. I kiedy niektórzy wodzowie konfederacyi na wstępie chcieli odsądzić Króla od korony, pan starosta Warecki zawsze się temu opierał i przekonywał ich, że obelga wyrządzona koronowanej głowie, jakiegokolwiek zresztą były jej wady, nie może nie ściągnąć gniewu Boga, który wcześniej czy później karze narody za nieczęść swoich pomażników. Myśl tego wodza była nierównie głębsza. On usiłował rzeczy przyprowadzić do tego stopnia, żeby sam Król stanął na czele konfederacyi; i z największą

stałością trzymał się tego planu. Chociaż, dla wznie-
cenia obawy w sercu Króla, kazał mu pozew położyć,
w uniwersałach swoich nieprzesławał ogłaszać, że Król
w duchu im sprzyja, ale że obleżony stronnictwem ze
złych obywatelów złożonem, zostaje w Warszawie jakby
w niewoli; a że każdy wierny poddany wszelkimi spo-
sobami starać się powinien z tej niewoli go oswobodzić.
Niecierpliwie wyglądał powrotu pana Wazgirda, i właśnie
o tém rozmawiał z panem Bohuszem sekretarzem gene-
ralnym konfederacyi obojga narodów, który to pan Bo-
husz przed dwoma dniami przybył był z Proszowa, gdzie
generalność zasiadała; a to dla znoszenia się z panem
starostą Wareckim, który choć nie z tytułu, ale z istoty
był rzeczywistym naczelnikiem konfederacyi Barskiej, i
nią obracał wedle woli swojej 1).

Rozmawiali z sobą o środkach jakich-by im użyć wy-
padło dla ściągnięcia Króla do Częstochowy, bo prze-
widywali słusznie że choćby pozew posłany i doszedł rąk
królewskich, Król nie opuści dobrowolnie Warszawy, gdzie
go intrygi i rozkosze zatrzymywały.

Wszczęła się między niemi względem tych środków
żwawa rozprawa, kiedy ją przerwał przybyciem raptow-
nym pan półkownik Wereszczaka, trzymający w dniu
tym deżurstwo w załodze. Wszedł, i zameldował do-

1) Marszałkiem konfederacyi Barskiej od korony był pan
Kraśiński podkomorzy Rożański, od Litwy Pac starosta Zio-
łowski. Ale oni siedzieli bądź na Bilsku, bądź w Proszo-
wie. A istotnym sprawcą poruszeń wojennych był Pan Ka-
zimierz Puławski starosta Warecki. Ztąd nie bez pewnej
słuszności zagraniczni pisarze mają go za naczelnika konfe-
deracyi Barskiej.

wódcy że pan Wazgird, wróciwszy z Warszawy, chce się stawić przed nim z raportem; że ma z sobą drugiego Litwina, który z nim razem przyjechał, i że ten także ma jakieś ważne rzeczy do komunikowania.— Niech wnijdą, powiedział pan Kazimierz, dowiemy się co dobrego nam przywieźli.

Jak próg przestąpili— a co nam powiesz panie Janie? zagaił naczelnik.

— Mości starosto, odpowiedział Wazgird, rozkaz generalności mnie polecony, został już spełniony, ale nie moją sprawą. Wszystko to działał przybyły ze mną pan Michał Strawiński, wojski słonimski.

— Pan wojski przecie nasz znajomy i wielce zasłużony konfederacyi. Jakimże cudem Wpana oglądamy? Wszak mówił nam generał Bielak żeś się był dostał do niewoli pod Stołowiczami.

— Nieinaczej, rzekł pan wojski, ale jeżeli nadal mogę być posłusznym rozkazom pańskim, to jedynie z łaski pana Wazgirda, który swojemu słudze polecił żeby mnie odszukał. Jest to szlachcic, nazywa się Skołuba; śmiały, roztropny, przytomny; on mnie z kilkudziesiąt jeńcami oswobodził, a prawdziwie cudownym sposobem. Naszą straż upoił, że bez przytomności na dziedzińcu leżała, nas odbił z więzienia; uzbroiliśmy się bronią naszej straży, i na jej koniach udało się nam umknąć.

— Skołuba, Skołuba, odrzekł wódz, to nazwisko jest mi znane, wszakże kiedyśmy przeprowadzili się przez Zbrucz, jakiś Skołuba zdobył nieprzyjacielską harmatę.

— Tak jest, odezwał się Wazgird, jeszcze to wtedy pan chciałeś go mianować chorążym w swojej chorągwi, ale mój Skołuba wymówił się od tego zaszczytu, dla tego że ani pisać, ani czytać nie umie.

— Pamiętam, pamiętam, nie umie pisać ani czytać, ale umie działać, takich nam potrzeba. No może wojski, jakże się Wpanu udało zbliżyć do Króla?

— Skromność pana Michała, mówił dalej Wazgird, jest tak wielką, że ja muszę za niego głos zabrać. On mnie przekonał że jemu jako prawnikowi wypada położyć pozew Królowi, a nam przyświadczyć relację pozwu. A było nas trzech szlachty do świadectwa: ja, Skołuba, i Buńczukiewicz, szatny wojskiego. Każdy z nas jeżeli nie *possessionatus*, to pewno *bene natus*. Mnie wojski polecił pójść do mojej ciotecznej siostry, która była mu zaręczoną, ale brat wojskiego pan starosta wieluński ją jemu odkochał, wykradł i sam się z nią ożenił. Odesłał jej przezemnie obrączkę, którą w czasie zaręczyn z jej rąk dostał, a prosił o zwrot swojej. Ja czułem żal do mojej siostry za osławienie domu naszego, bo jużci jeżeli można sobie żartować z uroczyscie danej obietnicy, cóż będzie świętego między ludźmi. Nie mogłem utać mego gniewu; wszakże wyznać muszę, że moja siostra, chociaż bałamutka, ale kobieta z niej czepka. Bo kiedy z nią rozmawiałem, wpadł brat królewski, xiążę podkomorzy, a jak się pokazało nieproszony ani dziękowany, i ni ztąd ni z owąd przyczepił się do mnie, chcąc mnie upokorzyć. Tak mnie zniecierpliwiał, że mnie wyszło z pamięci, iż mi wypadało w baranią skórę się obszyć. Chciałem dobyć szabli, i byłbym mu dał taki niezabud, że choćby wyszedł z biedy, testamentem by zalecił dzieciom żeby Litwinów omijali, ale interes publiczny był bym utopił. Pani starościna taka przytomna, że zaraz mnie porwała za rękę, za sobą do swojego pokoju wciągnęła, a stanawszy na progu przedemną, takie *verba veritatis* wypaliła xięciu, że on

stał jak żak przed regensem. A potem, bojąc się o mnie, przebrała mnie po niemiecku: i peruka, i kusa suknia, i wszystko piorunem znalazło się. Dość że kiedy pan wojski niby suplikę, a w rzeczy samej pozew, kładł Królowi, ja, ubrany jak cechmistrz szlifierzów, na to patrzałem. Serce mi biło, że ledwo nie wyskoczyło, kiedy Król rozmawiał z wojskim. Szczęście nasze że Król tak był znękany tylu suplikami, że już pod koniec nie otwierając wręczał je swojemu szambelanowi. Taki los spotkał i nasz pozew; a tym sposobem mieliśmy czas dostać się do plebana w Falentach, gdzie te wszystkie niemieckie paskudztwa i z głowy, i z siebie zrzuciłem, i na nowo ubrałem się po ludzku, jak mnie pan widzisz przed sobą. Od plebana, z komina do komina wstępując wedle pańskiej instrukcyi, lubo rzemiennym dyszłem dostaliśmy się jednak do Częstochowy, zawsze gotowi na rozkazy pana i generalności.

— Mości wojski, na to pan Puławski, wywiązałeś się dzielnie z obowiązków rycerza i ziemianina. W imieniu generalności oświadczam Wpanu podziękowanie. Może da Bóg, że wkrótce konfederacya połączona z Królem zamieni się w sejm; na ten czas te moje dzięki w obliczu całego narodu odnowię. Dziś tyle tylko powiem, że waszmościowie tak się popisali, że odtąd w każdym ważnym a niebezpiecznym przedsięwzięciu, zawsze na was liczyć będę.

— O to prosimy, odrzekł z zapalem pan wojski, a mamy w Bogu nadzieję, że pan na nas się niezawiedziesz.

— Tego jestem pewny, tak jak tego że teraz jesteśmy w Częstochowie. Co się odwlecze, to nieucieczce. Tym czasem trzeba poradzić o tem, co jest pod ręką. My się ułożymy, jak, niewspominając waszych nazwisk,

relację pozwu ogłosić narodowi: to już pana Bohusza rzecz. A Wpanowie że musicie być nieco zmęczeni podróżą, która się nad nadzieję naszą odbyła, macie wszelkie prawo do wypoczynienia. Pan Półkownik Wereszczaka, wasz ziemianin, dziś jest na służbie i zaprowadzi was tam, gdzie i pożywienie i spoczynek znajdziecie. Do obaczenia się, a pamiętajcie, żeście otrzymali moje słowo, że odtąd nic ważnego nie przedsięwezmę bez waszego uczestnictwa.



XI.

Wyprawa do Warszawy.

Pozew położony Królowi, a ogłoszony uniwersałem generalności, nie otrzymał tych skutków, jakich się po nim spodziewał pan Puławski.

Stronnicy królewscy zapalili się gniewem za obelgę wyrządzoną panującemu; nawet ludzie obojętni, w owczesnym rozdwojeniu narodu, ten krok głośno potępiali.

Król otrzymał z prowincyi mnóstwo adresów, oświadczających niezłomną wierność obywatelów, i ich współczucie.

Przeciwnicy Króla związani w konfederacyą, znużeni po większej części bezkorzystnym a długotrwałym oporem, dość obojętnie ten uniwersał przyjęli.

Mało jest na świecie dusz takich, których zapal ciągłym niepowodzeniem nękania, nakoniecby nie ostygł.

Król, kierowany rozsądną polityką, natchnioną mu

od przyjaznych dworów, wszystkim konfederatom zniechęconym pięcioletnim oporem, sam ułatwiał środki jednawcze. Ile razy który z konfederatów przychodził do niego z prośbą o przebaczenie, nie tylko że go Król nie odpychał, ale owszem pozyskawszy go dla siebie, osypywał łaskami. Do tego łączyły się klęski wywracające z gruntu wszystkie widoki Puławskiego. I tak trzy miesiące niespełna upłynęły od powrotu naszych Litwinów, a już pan Kwilecki, któremu się szczęśliwie było udało ożywić konfederacyę w Wielkiej Polsce, wszedł w umowę z dowódcą wojsk królewskich, broń złożył, i reces urzędowy od konfederacyi uczynił. Jeszcze dotkliwsza przyszła wiadomość o poddaniu się Królowi twierdzy Lanckorony. Mężny Viomenil w niej się bronił do upadłego. Wszystkie szczury wyjedli oblężeni, głód coraz więcej dokuczał, a gdy pan Zaremba, jeden z najznakomitszych wodzów, a któremu szczególnie pan Puławski ufał, idąc oblężonym na odsiecz, zdał się na łaskę królewską pod samą Lanckoroną, już nie było sposobu odmówić kapitulacyi. Otrzymał ją Viomenil tak zaszczytną na jaką zasługiwał, kiedy już od dwóch dni ludzie składający załogę nie mieli nic w ustach.

Litwa i Ruś uspokojone, zupełnie uległy Królowi. Zgoła konfederacya już się ścisnęła w Częstochowie i jej okolicy, oprócz garstki partyzantów krążących w Karpackich górach, którzy grabieżą zmuszeni byli się utrzymywać, czém obywatelów tamecznych odstręczali coraz więcej od siebie.

Nie podobna było tać przed sobą, że już konfederacya dogorywała.

Położenie pana Puławskiego było rozpaczliwe: inni wodzowie mogli się spodziewać, że przy powszechném

uspokojeniu Rzeczypospolitej, z przebaczeniem otrzymanem, wróćą do tego samego stanowiska, na którym stali przed rozpoczęciem wojny domowej; każdy z nich albo-
 wiem miał w stronnictwie Króla potężnych krewnych, którzy za nim skutecznie przemówić mogli. Jeden Puławski niczego spodziewać się nie mógł. Trzój jego bracia polegli śmiercią walecznych, czwarty, dostawszy się do niewoli, nie wiadomo gdzie się obracał. Król o wszystkich przeciwnikach swoich mówił z umiarkowaniem, oświadczał że niczego nie pragnie jak przytulić do ojcowskiego łona dzieci obłąkane; że swe objęcia ma zawsze dla nich otwarte. Jednego tylko pana Kazimierza Puławskiego wyłączając ze swojej łaski, nazwiska jego nie wspominał bez uniesienia, i ciągle powtarzał, że jemu jednemu, jako najwinniejszemu z pomiędzy wszystkich, nigdy nie przebaczy. I nie zaniedbywał dodawać: Puławski walczy jak człowiek w rozpacz, i innych chce gwałtem z sobą w przepaść pociągnąć. A te wyrazy królewskie, szerząc się między konfederatami, coraz drażliwszém robiły jego położenie.

Jednak nie widać było po nim rozpacz. Owszem nie przestawał między swojemi wzniecać nadziei, której sam nie podzielał. Nigdy nawet nie był weselszym jak wtedy, kiedy jego najściślej przyjaciołom zdawało się, że już mu żadnego niepozostaje ratunku. Doświadczenie nas naucza, i to pocieszać powinno wszystkich co są skłonni rozpaczać, że tylko mierne nieszczęścia dają się czuć gwałtownie. Ciekawą by była statystyka sprawiedliwa wszystkich samobójstw, a samobójstwo, wyjąwszy zupełnego obłąkania umysłu, jest najwyższém wyrażeniem rozpacz. Wszakże mało jest ludzi, którzy by choć raz w życiu swoim niedoświadczyli jakiejś pokusy

do samobójstwa. Taka statystyka przekonała by, że nigdy rzeczywiste nieszczęście, nieszczęście w całej rozciągłości tego wyrazu, nie było powodem do téj zbrodni; ale jakieś upokorzenie miłości własnej, jakiś upadek fortuny, jakieś niepowodzenie w skłonnościach serca, zgola obawa skutków nieszczęścia często pozornego, więcej niż samo nieszczęście, przyprowadziły słabą duszę do zniszczenia. Prawdziwe nieszczęście nie tylko że nie prowadzi do rozpacz, ale wydobywa niesłychaną energię, która dotąd była w otrętwieniu: wielkie nieszczęście oczyszcza duszę, jak mierne ją kazi; wielkie nieszczęście jednoczy nas z Bogiem tak jak mierne nas od niego odwraca. Co tylko jest mierném, poziomém, nie jest godném naszego jestestwa. I nic prawdziwszego nad to, co wyrzekł jeden wielki filozof pogański, że Bóg lubi patrzeć na walkę sprawiedliwego z niedolą: a ten tylko może się nazwać sprawiedliwym, kto w życiu swoim umiał walczyć z niedolą 1).

1) Spółczesna filozofia, pod jakąś barwą spirytualizmu, będąc rzeczywiście materyalną, bo wyraża wiek teraźniejszy, lubiący wiele rozprawiać, a niepokładający wiary tylko w to co życie może uprzyjemnić, nie jest tego zdania. Ona niepowodzenie potępia, utrzymując że komu nic się nie wie dzie, ten jest bez pożytku dla ludzkości, i na poparcie tego twierdzenia kleci rusztowanie dość pozornych rozumowań. Jednak śmiem zapytać, dla czego czujemy wstręt pomimo wolny od wszystkich ulubieńców fortuny, a przeciwnie doświadczamy jakiegoś pociągu do ludzi losem pokrzywdzonych? Na to odpowiedzą: że to pochodzi z zawiści; wszakże uczucie powszechne tłómaczyć przez złe skłonności natury ludzkiej, nie zdaje mi się rzeczą sprawiedliwą; trzebaby tu wynaleźć koniecznie jaką przyczynę dodatną. Niechże mnie powiedzą, dla czego ludzie szerokich dostatków, (a wedle te-

Między tylu niepowodzeniami, które zewsząd sypały się na pana Puławskiego, jedno z najdotkliwszych dla niego była choroba pana Rzewuskiego, chorążego wielkiego litewskiego, a generalnego regimentarza barskiej konfederacyi. Syn hetmana, brat starszy Dolińskiego posła, którzy uwięzieni zostali, już tém samém wielce ważył w konfederacyi, gdyż osobiste krzywdy kojarzył w sobie z krzywdami publicznemi. Nadto, w czasie siedmioletniej wojny, tak się był wstawił w wojsku cesarskiem, że na żądanie Laudona hetmana cesarskiego, otrzymał krzyż Maryi Teresy. Rana co ją był dostał prowadząc konfederatów do Krakowa, od dwóch lat zagoniona, otworzyła mu się była; i zmuszała go do zupełnej bezczynności.

To było tém boleśnieszce dla pana Puławskiego, że kiedy się był otworzył przed panem chorążym że chce porwać Króla, by go stawić na czele konfederacyi, gdyż widzi to być ostatnim ratunkiem, wystrzałem ostatniego naboju z ładownicy swojej; chorąży nie tylko że pochwalił to przedsięwzięcie, ale podjął się prowadzić sam

rażniejszych wyobrażeń oni jedni są szczęśliwi), są tak złe otoczeni? Dla czego ludzie cnotliwi, którzy pewnie są wolni od nikczemnego uczucia zawiści, stronią od bogaczów i widoczny sobie gwałt czynią do nich się zbliżając; tak dalece, że bogacz musi albo żyć osamotniony, albo w najnikczemniejszym towarzystwie.

Jeden bogacz, ale szlachetnego sposobu myślenia, raz przedemną ledwo że nie ze łzami skarżył się, że ludzie cnotliwi z nim jednoczyć się nie chcą, i że jest skazany na ciągłe obcowanie z takimi, co tylko z jego dóbr chcą korzystać, a którzy są wyzuci z wszelkiej moralności. Na to nie umiałem jemu poradzić.

tę wyprawę. Co tém więcej pocieszało pana Puławskiego, że pomimo niezaprzeczonych zdolności rycerskich chorążego, on przydawał do tej wyprawy wielką siłę moralną, gdyż na wypadek niepomyślnego skutku, odgłos jego cnót był tak powszechny, nawet w stronnictwie przeciwném, że nikt by przypuścić nie śmiał, by wyprawa przez niego kierowana mogła mieć na celu wyrządzenie jakiegokolwiek krzywdy Królowi.

Ale cierpienia pana chorążego do tego stopnia się wzmogły, że leżał na łożu boleści w klasztorze ojców Paulinów Częstochowskich, gdzie mu ranę opatrywał brat Remigiusz, zakonnik, doskonały chirurg.

Już tedy pan Puławski, straciwszy nadzieję by mógł użyć dostojnego kolegę, zdał tę wyprawę, wymagającą najspiesniejszego działania, panu pułkownikowi Łukawskiemu, żołnierzowi pełnemu odwagi i zapału, a w którym wielkie pokładał zaufanie.

Stan zdrowia pana chorążego litewskiego, nie pocieszał go nie obiecywał. Gorączkę miał tak wielką, że lubo przytomności umysłu mu nie odejmowała, jednak z trudnością obracał się na łóżku; a brat Remigiusz oświadczył, że przed kilku tygodniami wyleczonym być nie może.

Właśnie tylko co mu opatrzył nogę braciszek, kiedy pan Puławski przybył nawiedzić przyjaciela i kolegę.

Chorąży usiłował podnieść się, ale pan Puławski zaraz go uprosił, żeby zaniechał wszelkich ceremonij, i usiadłszy na brzegu łóżka, tak zaczął mówić.

— Oj panie Stanisławie, jakimże ciosem, wpana chorobą, Bóg nas wszystkich dotknął. Zamiast wpana, pan pułkownik Łukawski zatrudni się wyprawą, która ma

koniec położyć cierpieniom publicznym. Łukawski, powszechnie znany pod przydomkiem Zadora, i mężstwem i przytomnością wślawił się niejednokrotnie, jak wpanu wiadomo. On, że tak powiem, był osią na której się obracała nasza konfederacya w Wielkiej Polsce; i kiedy teraz pan Kwilecki złożył broń Królowi, i jego podwładni wyżebrali dla siebie przebaczenie, on jeden z wodzów nie chciał złamać przysięgi swojej, i w kilkanaście koni z po za Kalisza, aż do nas zdołał się przedrzeć. On się podjął przywieźć Króla do Częstochowy, i żądał mieć z sobą tylko dwódziestu ludzi doświadczonej odwagi: wybrałem dla niego co miałem najlepszego w obozie. W imię Boże tej nocy jeszcze pójdzie, żeby Króla drżącego o tron swój do sławy przymusić. Naszemi pierściami panie Stanisławie będziemy zasłaniałi Króla byle tylko był z nami; nie będzie miał z nas podłych dworaków, ale wiernych poddanych. Nie znajdzie między nami takich, jakimi teraz jest otoczony, co ciągle mówią—daj, daj; ale takich, co majątki, życie, wszystko swoje będą mieli na jego usługi.

—Niech im Bóg dopomaga panie Kazimierzu odpowiedział nieco bolejącym głosem pan Rzewuski, żeby się już ta nieszczęśliwa wojna domowa skończyła. Mam nadzieję tu Króla oglądać, i pewnie więcej ode mnie poświęconego dla siebie poddanego nigdzie nie znajdzie. Ale chociaż sam ten krok wielce pochwaliłem, chociaż podejmowałem się osobiście prowadzić ten poczet walecznych, przyznam się wpanu panie Kazimierzu, że czuję jakąś niespokojność, której nigdy nie doświadczałem.

—Nie dziwnego, że gdy wszystko na jedną kartę stawiamy, niespokojność musi nas dręczyć; ale nie pozostał nam inny środek ratunku. Bijemy się codziennie,

i do czego to nas prowadzi? Trudno nam utaić przed sobą samymi, że stojemy nad przepaścią. Duch we wszystkich albo ostyga, albo już ostygł; kto może, ten nas odstępuje, a ta garstka, która dotąd nie rozpacza, codziennie się zmniejszając, na koniec musi się stopić. Nad kilka tygodni trzymać się nie mogą. Bóg świadek, panie Stanisławie, że już wyczerpaliśmy wszelkie środki ratunku, jeden nam tylko pozostał, trudno się jego nie chwycić, jak tonący brzytwy.

— Masz słuszość panie Kazimierzu, ale jedna rzecz mnie zatrważa. Nuż się wyprawa nie uda, jakąż plama na nas spadnie! Jeżeli który z tych, co ich wysyłaś, wpadnie w ręce stronników królewskich, jeżeli wyzna że on się tego podjął z rozkazu generalności, wtedy wiesz co nastąpi? oto bądź pewny, że ogłoszą po całym świecie, żeśmy zrobili zamach na życie Monarchy i nasze imię ze zgrozą będzie wszędzie wspominane. Żeby naszych nazwisk nie nacechowali haniebném piętném królobójstwa, zbrodni niesłychanej w dziejach naszych.

— Nie panie Stanisławie, chociaż by się wyprawa nie udała, czego jednak przypuścić nie mogę, choćby wszyscy co ich wysyłam wpadli w ręce nieprzyjaciół naszych, jakkolwiek by tam usiłowano wystawić to przed Europą za królobójstwo, nasze nazwiska wymówione nie będą, sława naszej konfederacyi ocaloną zostanie. Wysyłam dwódziestu mężnych, a między nimi czterech tylko jest takich, przed którymi w zupełności się odkryłem: półkownik Łukawski, jako dowódzca wyprawy i trzech Litwinów; Wojski Strawiński, Wazgird, i ich Skołuba. Znam ludzi panie Stanisławie, dla tego otworzyłem się przed nimi z całą ufnością; inni tyle tylko wiedzą, że idą

na wyprawę ku Mazowszu, jako zwyczajnie partyzanci; ale gdzie, po co, tego się nawet nie domyślają. Kosiński, który z nimi idzie, który sobie powszechną sławę zjednał jednego z najwaleczniejszych naszych partyzantów, który pokilkakrotnie wciskał się do stolicy, i ułatwiał wszystkie moje z nią stosunki, a jednak i jemu w zupełności nie chciałem się powierzyć. Tyle wie tylko, że musi być posłusznym Łukawskiemu; bo choć ufam jego odwadze, wiem że nie jest pobożnym, a więc żadnej nie mam rękojmi, by miał tę stałość ducha, co ją tylko gorąca wiara dać może, a przy pomocy której, człowiek bezbrowny, uwięziony, męczony, nie przestaje być odważnym. Ale co się tyczy tych, którym się w zupełności zwierzyłem, bądź pewny panie Stanisławie, że każdy z nich tysiąc śmierci w męczarniach wytrzyma, a nie zdradzi tajemnicy. Dziś z rana, w kaplicy klasztornej spowiadali się, i przyjmując ciało i krew Zbawiciela, wykonali przysięgę: prócz nich, xiędza Marka, i mnie, nikogo nie było. Nie jestem miękiego serca panie Stanisławie, tak jak wpan wychowałem się w obozach, ale po krótkiej exorcie xiędza Marka, kiedy każdy z nich, przystępując do najświętszej uczty, wyrzekł te słowa:— »Jeżeli broń Boże nieszczęścia, wpadnę w ręce nieprzyjaciół, a znękany męczarniami, wydam w najmniejszej części tajemnicę mnie powierzoną; jeżeli czyjekolwiek nazwisko wymienię, niech ta krew Zbawiciela mojego na mnie spadnie, niech na wieki będę potępiony" łez wstrzymać nie mogłem. Na ich obliczach wyrażała się taka rezygnacya, takie poświęcenie, coś tak przypominającego pierwsze wieki chrześcijaństwa, że tego wypowiedzieć nie umiem. Bądź spokojnym panie Stanisławie, nasza sława jest bezpieczna, żadna potwarz nie zdoła jej zachwiać;

może Bóg uwieńczy pomyślnością nasze przedsięwzięcia, w przeciwnym razie, nie sobie nie będę miał do wyrzucenia. Sam widzisz, że nad kilka tygodni trzymać się nie mogę. Na czémże się opieramy? Francya, która nas ciągle podjudzała, jak tylko my się podnieśli, jakąż nam dała pomoc, jakież było ziszczenie jej obietnic? kilka garści złota, i kilku oficerów; a i ta licha pomoc jej cięży. Szoazel oddalonym został, a jego następcą czeka tylko z upragnieniem okoliczności, żeby uroczyście umyć sobie ręce od naszej sprawy. Nie porwanie Króla, znajdzie co innego. Bóg nas słyszy panie Stanisławie, jego na świadka biorę, że żadna prywata, nawet chęć osobistej sławy, mną nie kierowały; szedłem za przekonaniem, i za siebie nigdy się nie oglądałem. Jeżeli Król będzie z nami, wszystko nam się uda; jeżeli i ta ostatnia nadzieja spełźnie, nie na tém nie straciecie, Król wam wszystkim przebaczy. Sam widzisz, że kto mu się poddał, nie miał powodu tego żałować. A co się ze mną stanie, na to jestem obojętny; wiem dobrze, że na mnie jednego wszystkich winy złożą. Opuszczę ziemię mych przodków: na drugiej połowie świata jest lud zabierający się do walki, tam pójdę szukać dla siebie przytułku, tam sławę mojego plemienia zaniosę. Ostatni konfederat barski odepchniętym nie będzie od szeregów amerykańskich!

Pan Rzewuski wziął go za rękę, i ścisnąwszy ją z uniesieniem odrzekł— poznaję ciebie panie Kazimierzu, zawsze mężny, zawsze nieustraszony. Co do mnie, jeżeli nasze nadzieje nas zawiodą, bądź pewny że żadnego przebaczenia nie przyjmę 1). Dobrze żałować za grzechy

1) Skutek formy rządu republikańskiego, że powinności

przed xiędzem, bo sekretu nie wyda, ale człowiek przed innym równym sobie człowiekiem niczego nie powinien żałować. Życie nasze jest za nadto krótkie, żebyśmy dla niego aż sławę poświęcali. Nie mam potrzeby przenosić się za morza. Mam sąsiedniego Monarchę, w jego obozach nabyłem niejakich zasług, których świadectwo na piersiach noszę; jemu ofiarować będę na nowo moje usługi 1). Stary Laudon za mną przemówi, mam nadzieję że Cesarz Rzymski niemi nie wzgardzi.

Pan Puławski pożegnał chorążego litewskiego, by się zająć wyprawieniem tego pocztu, na którym się opierały wszystkie nadzieje.

Wątpliwości nie podpada, że wszystko jak najroztropniej było obmyślane, by pożądaný skutek otrzymać.

polityczne nie są ściśle określone dla nikogo, każdy się kieruje pociągami osobistych skłonności. W tém jest wyższość rządów samodzielnych i jednowładnych, że wszystkie obowiązki będąc przepisane, poddany, któryby zbłądził, niczém wymówić się nie może.

1) Przy rozwiązaniu ostateczném Barskiej konfederacyi, wszyscy z kolei od niej uczynili urzędowy reces. Trzech tylko do śmierci recessować nie chcieli. A temi byli: pan Pac starosta Ziołowski, marszałek generalny na Litwie, który umarł w Strazburgu, na dobrowolném wygnaniu. Pan Puławski starosta Warecki, który zginął pod Sawanah, dowodząc całą jazdą Amerykańską i pan Rzewuski chorąży wielki litewski, który umarł Feldmarszał-Lejtenantem wojsk cesarskich w wysokich względach u Cesarza Józefa II. Wyrzucali mu że on, który był tak zapalonym republikaninem, później był najgorliwszym wykonywaczem rozkazów Cesarza: on postępował całe życie jak człowiek honoru; urodzony w Rzeczypospolitej, był wzorem republikanów; ale gdy z woli Opatrzności został poddanym monarchy jednowładnego, został wzorem poddanych.

W samą Warszawie był na ten czas pan Przyszychowski, który dostarczał koni dla jazdy Elektora Saskiego. Remonter uprzywilejowany ciągle się znośił po tajemnie z panem Puławskim; a był wolny od wszelkiego podejrzenia; bo najpierwszej młodzieży warszawskiej przedawał konie najczęściej na borg, czém miał u niej największe zachowanie. A u xięcia podkomorzego, brata królewskiego, był tak dobrze jak domownikiem. Kilkadziesiąt koni które zawsze miał w swojej stajni, były na usługach Puławskiego.

Prócz tego, o lekką milę od Warszawy mieszkała w swoim zamku pani Wojewodzina Rawska, bogata wdowa, żyjąca w najściślejszych stosunkach przyjaźni z faworytami Króla. Pani krajczyna co tydzień przyjeżdżała do niej w lecie, żeby oddychać wiejskiem powietrzem. Częste bywały u niej bale, gdzie można było widzieć cały wielki świat stolicy. U niej się zawiązywały intrygi miłosne pierwszych matedor dworu. Inaczéj ją nienazywano, tylko nasza kochana Wojewodzina. Król sam ją zaszczycał zaufaniem, któż by na świecie ją śmiał podejrzewać; a tymczasem babeczka, duszą i ciałem przywiązana do domu saskiego, ciągle korespondowała z panem Puławskim, i jemu o wszystkiém donosiła.

Wojska nie było w Warszawie prócz gwardyi pieszej, i pólku Mirowskich, na których Król nie wiele mógł rachować, gdyż połowa tego pólku jeszcze w początkach konfederacyi podmówioną będąc przez rotmistrza tegoż pólku pana Franciszka Dzierżanowskiego, przeszła na tamtą stronę. Jedyny poczet na którego wierność Król mógł się spuszczać, była chorągiew królewska stojąca w Warszawie, pod dowództwem pana starosty wieluńskiego, który sam ją zreorganizował świeżo, za co mia-

nowany został generał-majorem. Trzeba wiedzieć, że Król był otrzymał roku 1768 konstytucyę pozwalającą mu zaszczycić nobilitacyą kieszonkową dziewięciu plebejuszów, którzy uchodzili za szlachtę, ale niemi nie byli; Król nadużył tego prawa, że więcej dwóchset podpisał takowych nobilitacyj szczególnie w województwach ruskich 1).

Za namową starosty wieluńskiego, z takiej świeżej szlachty złożył towarzystwo swojej chorągwi. Nie więc dziwnego że oni byli przywiązani do Króla, bo czuli dobrze że w razie jego niepowodzenia, mogli być haniebnie strąceni z zaszczytu nieprawnie posiadanego.

Wszakże kilkadziesiąt koni, i to rozsypanych po mieście, nie było to rzeczą tak straszną, by było niepodobnem porwanie zuienacka Króla, nocną porą, w mieście nieoświeconym, którego już o dziewiątej w wieczór ulice były puste.

Nigdy okoliczności nie zdawały się przyjazniejszymi do uskutecznienia powyższego zamiaru.

Ludzie wyprawieni od pana Puławskiego, przebrani jedni za chłopów, drudzy jak szlachta podróżująca we własnych interesach, osobnemi drogami złączyć się mieli w majątku pani Wojewodziny Rawskiej, gdzie już były dla nich przygotowane konie przez pana Przyszychowskiego, który, pod pozorem obroku w późnej jesieni tańszego na wsi, niż w mieście, większą część swojej remonty tam przeprowadził.

Nasi Litwini razem się trzymając na jednej bryce

1) O te nadużycia królewskie częste bywały skargi na sejmach, ale zawsze bezskuteczne, gdyż pod koniec jego panowania weszło było w modę lekceważenie szlachectwa.

którą Skołuba powoził, podróż swoją odbywali, opatrzeni we wszystkie świadectwa potrzebne, żeby nigdzie nikt ich nie zatrzymał. Wazgird i Skołuba byli weseli, ale wojski więcej niż kiedy zdawał się być zatopionym w smutnych dumaniach.

Napróżno towarzyszył podróży, siedzący obok niego, usiłował go rozerwać. Widząc go ponuro milezającym, odezwał się zniecierpliwiony — panie Michale, w innej okoliczności pozwoliłbym tobie siedzieć ztetryczonym, ale teraz, kiedy nam jest poruczone to, co nam niesmiertelną sławę, a krajowi pokój i szczęście ma zapewnić, niegodzi się nie być wesolej myśli. Żebyś miał z innymi ludźmi do czynienia, dalibóg trwogę w ich sercu mógłbyś wzniecić; bo twój smutek coś zakrawa jakby na złowieszcze przeczucie.

— Nie panie Janie, względem naszego przedsięwzięcia złego nie mam przeczucia, owszem mam wszelką nadzieję że rzecz nam się uda. Moje przeczucia tyczą się tylko mojej osoby: Bóg nam dopomoże, ale ja z tego nie długo się cieszyć będę.

— At, porzuciłbyś takie banialuki do głowy przypuszczać; co ciebie to i nas czeka. Zresztą ja Wpana nie poznaję: zawsze z dobrą nadzieją szedłeś na wyprawy najtrudniejsze, a teraz u przystani toniesz. I cóż cię tak zbiło z tropu?

— Śmieję się ze mnie panie Janie jak z zabobonniaka, z głupca, ale jako przed przyjacielem muszę wyznać, że gdyby nasza wyprawa była tygodniem wprzód, albo czterna tygodniami później byłbym zupełnie spokojny; ale teraz Listopad, miesiąc dla mnie najnieszczęśliwszy.

— Wstydziliś się panie Michale w takie bzdurstwa wierzyć; każdy miesiąc jest pod opieką Opatrzności Bo-

skiej: cóż ma być strasznego w Listopadzie niż w Grudniu?

— Dla Wpana nic, ale dla mnie..... wszak wiesz dobrze panie Janie, że nigdy nie byłem szczęśliwym, ale najdotkliwsze nieszczęścia zawsze mnie spotykały w Listopadzie.

— A to co znowu?

— Nieinaczéj, sam osądz: urodziłem się 1go Listopada w dzień Wszystkich Świętych, i dla tego dano mnie imię Anioła, bo mój ojciec nie chciał wyboru robić między świętami pańskimi, żeby się żadnemu nie urazić; oto jest pierwsze moje nieszczęście. W Listopadzie, matka moja mnie, dziecko swoje, opuściła. A pamiętasz jaką szkodę miałem w Listopadzie, kiedy na Niemnie pod Swierżniem, bryka, konie, i sumka, co ją xięciu Wojewodzie odsyłałem, poszły pod lód. A czy nie 4go Listopada przywiozłem do Nieświeża mojego brata, gdzie się poznał z moją narzeczoną? Wierz mnie Jasiu, ja tego Listopada nie przeżyję; mam w tém przeczucie, którego ci objaśnić nie umiem. Wczoraj spowiadając się z wami, dysponowałem siebie na śmierć, i Ciało Pańskie przyjąłem jako wiatyk: jak umrę, czy zapomnisz o duszy przyjaciela?

— Panie Michale, czy wiesz że takim gusem wierzyć, jest to ciężki grzech?

— Nie, kochany Jasiu, to nie jest żadnem gusem, to jest przeczucie silne, bo od Boga pochodzące. Nieboszczyk mój ojciec nie miesiąc, nie dzień, ale godzinę swojej śmierci przeczuł, a ty wiesz że to był mąż wedle serca Bożego. Nie uwierzysz od wielu grzechów to przeczucie moje mnie obroniło; i dziś gotów jestem stać do sądu przed Bogiem. A jednak co to jest świat!

On mnie nie mógł przywiązać do siebie, rozum i sumienie przekonywają mnie, że mi korzystniej umrzeć niż żyć: widziałeś mnie nie w jednej potyczce, powiedz czym schylił głowę, kiedy kule koło niej świstały; ale że się zbliża chwila rozstania się duszy z ciałem, aż mi wstyd, że czuję jakąś trwogę.

— Bądź lepszej myśli panie Michale, wszystko tak dobrze, tak po bożemu obmyślane, że musi się nam udać. Wpan jeszcze dużo lat cieszyć się będziesz pokojem Rzeczypospolitej, i dobierzesz sobie żoneczkę, która się lepiej na Wpanu pozna. Będziemy sobie żyli szczęśliwi, i jeszcze nie jednego łosia i niedźwiedzia ubijemy w Olesinie.

— Nie, nie panie Janie, Wpan to mówisz żeby we mnie ducha ożywić, ale to niepotrzebne: kto jest pewny śmierci, ten w odwadze nie ustąpi temu, który się ma mi nadziejami. Ja tego sto razy doświadczyłem, broniąc inkarceratów, póty tchórzy, póki mu wyroku śmierci nie przeczytają. Obaczycie że na mnie zawodu nie będzie; już odżałowałem swego życia. Natura się trwoży, ale przekonanie górę bierze nad nią. Jakkolwiek bądź, proszę ciebie, jak umrę, pamiętaj o duszy przyjaciela.

— A ja ci powtarzam panie Michale, że w Bogu ufać trzeba, a te wszystkie zabobonne trwogi odegnaj znakiem krzyża świętego. Bóg z tobą Michasiu, ja tak pewny jestem, że wszystko dobrze pójdzie, i że wyjdiesz zdrow z opał, że choć nie czuję w sobie powołania do stanu duchownego, daję ci słowo szlacheckie, że jeżeli w tym Listopadzie zginiesz, wstąpię do klasztoru. A jak zostanę kapłanem, pierwszą mszę zmówię za twoją duszę, a potem co tydzień raz odprawię na tę samą intencję.

— Uśmiechnął się na te słowa rubasznie wymówione pan wojski, i obaj umilkli. Nie będę czytelnikowi opisywał przygód ich podróży. Dość że wszyscy, których wyprawili pan Puławski, złączyli się w umówionym zamku, i tam wmieszani w usługę liczego dworu, czekali na rozkazy pana Łukawskiego. Ten co dzień, a czasem dwa razy na dzień, bywał w Warszawie przez te dni kilka, w których jego poczet bawił w zamku. Powracał z Warszawy zawsze z dobrą nadzieją; a nasi Litwini czekali niecierpliwie hasła, za którym udać się mieli do Warszawy.



XII.

P r z e c z u c i e.

Dzień 17 Listopada został naznaczony na uwieszenie Króla, a to z tego powodu: król od lat kilku był w obojętności z wujem swoim, xięciem kanclerzem; ale obu stron przyjaciele, tyle zabiegami swojemi okazali, że się nakoniec do siebie zbliżyli. Xiążę kanclerz pierwsze kroki zrobił do zgody, i dwa razy był u Najjaśniejszego siostrzana; ale będąc podeszłego wieku, zdrowia nadwątłego, zachorował, a Król postanowił nawiedzić go dnia 17, i cały wieczór z nim sam na sam przepędzić.

Ten zamiar królewski był tajemnicą, lecz żadna tajemnica w tym dworze zachować się nie mogła.

Już w wigilią tego dnia, pani Wojewodzina o tém była uwiadomiona, i stosownie do tego plan ułożył pan Łukawski.

On, wojski, Kosiński, i czwarty żołnierz, powiernik Łukawskiego, w którego odwadze największe pokładał zaufanie, tegoż dnia od samego rana mieli się ukryć w Warszawie. U pana Przyszychowskiego było przygotowanych cztery konie, a piąty dla Króla. W nocy tedy mieli napaść na powracającego Króla od wuja do zamku, posadzić go na konia lożnego, z nim przejść rogatkę, i stanąć w karczmie na połowie drogi do zamku pani Wojewodziny, gdzie Wazgird i Skołuba przybyć mieli w szesnaście koni, i razem Króla zaprowadzić do Częstochowy. Wykradłszy Króla około północy, ledwo z rana by się opatrzone w mieście; więc kilka godzin mając przed sobą, pochlebiali sobie, że ujdą manowcami do celu podróży; ile że na przypadek pogoni pan Łukawski był determinowany Króla przestraszyć chociażby groźbą ognistej broni, ażeby téj pogoni odstąpić kazał.

Napróżno Wazgird się domagał by go nie oddzielano od wojskiego. Pan Łukawski jemu zdawszy dowództwo oddziału, co miał przyjść na ich spotkanie, od swego nie odstąpił; a że pan Puławski rozkazał im wszystkim być posłusznymi panu Łukawskiemu, pan Wazgird nie śmiał się przeciwieć.

17 Listopada między dziesiątą a jedenastą z rana, pan starosta wieluński w szlafroku siedział na kanapie w gabinecie swoim; popijał herbatę stojącą na stoliku przy kanapie, na którym leżało kilka arkuszy papieru zapisanego, i kilka gazet zagranicznych.

Tylko co był wyszedł namiestnik chorągwi którą dowodził; z nim więcej godziny rozmawiał po odebraniu raportu, gdyż od niejakiego czasu wielce się zajmował chorągwią, co ją od Króla był otrzymał, i nie pewniej-

szego że zdołał w niej zaprowadzić porządek i karność na wzór zagraniczny. Pijąc herbatę przeglądał z roztrągnięciem rozmaite bileciki dopiero odebrane. W jednym proszono go o pożyczenie kilkuset czerwonych złotych na dni kilka; w drugim przepraszano że się na termin nie uiszczono, i to tłumaczono ścią dobrych przyczyn, z których jednak ani złamanego halerza wydobyć nie mogli; w trzecim domagano się w imię przyjaźni i koleżeństwa, by raczył zaręczyć u Tepera za jedną damę na tysiąc czerwonych złotych, ale pod wielkim sekretem, żeby jej mąż o tem się nie dowiedział, a dama była w wysokich względach u Króla. Czwarty był najprzyjemniejszy, bo do niego było dołączonych kilkadziesiąt czerwonych złotych długu honorowego, w karty jemu przegranych w dniu wczorajszym. Bilecik był od pana podstolica wielkiego litewskiego, dla którego od dwóch lat darmo pracowali rzemieślnicy warszawscy, ale za to nigdy nie dopuścił upłynąć dwódziestu czterem godzinom między przegraniem w karty, a uiszczeniem się z przegranej. Piąty nie bilet, ale list zakopertowany od jakiegoś prawnika, który mu podawał projekt, żeby *imparitatem* zadał jednemu bogatemu właścicielowi Województwa wołyńskiego. A w tym liście między innemi były te słowa: nie łatwiejszego JWpanie jak wyrobić od Króla dla siebie kaduka na te dobra, a ja biorę na siebie prowadzenie tej sprawy, i złożenie dowodów przekonujących, że ich właściciel jest synem mieszczanina, i że się wkradł do szlachectwa; byle JW. pan zapewnił że mnie przypuści do czwartej części dóbr, które po nim się dostaną. Szósty, siódmy, aż do dwonastego biletu, były solicytacye żeby się wstawił u Króla za proszącemi w prywatnych interesach: i tak w jednym proszono o order Śgo

Stanisława dla syna, w drugim o list instancyonalny do marszałka trybunału koronnego, w trzecim o konferowanie jakiego starostwa, czwarty znówu od jakiejś damy za jednym młodym labusiem, żeby mu opactwo wyrobić u Króla, i tym podobne. Żeby starosta nie innego nie robił tylko odpisywał na listy i bilety, co je codziennie odbierał, już by mu czasu nie wystarczało.

Wyszedł nakoniec z roztargnienia, i szczerze się zaczął niecierpliwić na to marnowanie czasu pismami niezasługującymi na żadną odpowiedź, a których czytanie nawet było dla niego ekliwem, kiedy jego żona weszła do gabinetu.

Była to rzecz wychodząca ze zwyczajnego trybu jej życia, gdyż ona nigdy nie wchodziła do gabinetu.

Starosta powstał, zrobił kilka kroków naprzeciw żonie, w rękę ją pocałował, i posadził koło siebie, mówiąc— co za szczęście niespodziane prowadzi ciebie, aniele drogi, do mojego pokoju.

Zosia była w szlafroczku białym, żółtymi wstążkami ogarniowanym, na głowie miała czepek koronkowy z podobnemiż wstążkami. Były to negliże poranne, ale tak gustowne, tak jej do twarzy, ona sama była tak świeża i piękna, coś tak anielskiego było w jej spojrzeniu, że nie tylko poeta, ale każdy mający oczy zgodził by się, że wyglądała jak jutrzeńka w majowym poranku.

Starosta nigdy ją piękniejszą nie widział. Czas jakiś pozostał w zachwyceniu, ledwo mógł uwierzyć że tyle wdzięków są w jego posiadaniu— Zofio ulubiona, rzekł, powtarzam ci pytanie: czemu mam przypisać moje szczęście. Ty czujesz że każda chwila nie z tobą przepędzona jest straconą dla mnie; ale myślisz że mo-

żesz mnie przeszkadzać w dopełnieniu obowiązków mojej służby, nie chcesz przerywać prac moich, bo wiesz że przy tobie, tobą tylko jedną mogę być zajęty; dla tego twoje przybycie i cieszy mnie, i zadziwia. Powiedz mnie, twojemu przyjacielowi, który ciebie ubóstwia, powiedz co ciebie sprowadza. Moja Zofio, ja widzę że od dni kilku jakaś niespokojność ciebie dręczy.

— Prawda mój mężu, od jakiegoś czasu, trwoga której przed sobą wytłómaczyć nie umiem, jakieś sny trapiące, jakieś przecucia, pokoju mnie nie dają. Kiedy ciebie widzę, jestem spokojna, ale ledwo znikasz z przed moich oczu, zaraz mi się zdaje że już cię utraciłam nazawsze. Ludwiku miły, ty niewątpisz o mojem przywiązaniu; dla ciebie wszystko poświęciłam, a tego nie mam za poświęcenie, byleś ty był ze mną szczęśliwym. Tyś dla mnie ojcem, bratem, rodziną; ty mnie kochasz, ty każdą chwilę życia mojego starasz się uprzyjemnić, dla czegoż nie jestem szczęśliwą.

— Droga Zofio, powiedz czego żądasz, czego ci nie dostaje, czém mogę rozegnać twoje troski; wszystko poświęcę byle żadna chmurka pogody żywota twojego niezasępiła. Powiedz, czy w moich postępkach widzisz co do poprawienia; mów, a natychmiast wola twoja spełnioną zostanie.

— Ludwiku, cóż ci powiem, kocham cię nad życie, a widzę, że moje przywiązanie tobie nie wystarcza, że przeze mnie jedną nie umiesz być szczęśliwym.

— Przebóg Zofio cóżeś wyrzekła?— ty mnie nie wystarczasz! ach Zofio, cofnij te niebaczne słowa, te słowa, rozdzierające serce, ja ciebie kocham nad wszystko, a ty śmiesz mówić że mnie nie wystarczasz!

— Ludwiku, jeżeli mnie umiesz kochać, jeżeli moja spokojność ci jest drogą, opuść Warszawę, opuść ten zgiełk zdradliwy wielkiego świata; przytłum tę żądzę niepokohamowaną zaszczytów. Mamy znaczne dobra na Litwie, mamy tyle poddanych do uszczęśliwienia, mamy krewnych, sąsiadów, którzy teraz źle nas wspominają; żyjąc między niemi, starajmy się zdobyć ich życzliwość. Ja jestem wieśniaczką, mnie ten świat wielki zrazu się podobał, ale już mi tak obrzydł, że bez jakiegoś przymusu w nim żyć nie mogę. Towarzystwo tutejsze, jego rozmowy, jego zabawy, te beczelne zaloty mężczyzn, te beczelniejsze rady kobiet, wszystko to dla mnie nieznośne. Ty nawykły do tego, ty bez wielkiego świata obejść się nie możesz, ubiegasz się za dostojenstwami, za błyskotkami dworu, a chcesz bym wierzyła że tobie wystarczam.

— Zofio, aniele mój drogi, jakże jesteś niesprawiedliwą. Czy myślisz że jest na świecie taka pustynia, w której bym z tobą nie był szczęśliwy; ale powiedz, czy mogę żyć tylko dla siebie? Czy moje jestestwo nie jest własnością ojczyzny, której służyć? Czy wśród zamieszkań publicznych mogę opuścić mojego Króla, Króla tak poświęconego dla niewdzięcznego narodu, bym usuwając się od wszelkiego niebezpieczeństwa, tylko o własnym szczęściu myślał? Zofio, żebym powiedział Królowi: byłeś zawsze dla mnie ojcem i przyjacielem, tyś mię wzbogacał kiedy byłem jeszcze igrzyskiem losu, a teraz że mam żonę, anioła piękności i dobroci, szczęście domowe, dostatki, więc żegnaj cię, bo wszystko co dla mnie zrobiłeś, już znikło z mojej pamięci. Masz troski, zmartwienia, poddani twoi się buntują, najdotkliwsze potwarze na ciebie miotają; szukaj kogo chcesz by

ciebie pocieszał, bo już ja ciebie nie znam: żebym tak postąpił Zofio, czy ty byś w duchu mogła mnie szacować?

— Cóż ci na to odpowiem Ludwiku? Lecz czy sam siebie nie łudzisz, myśląc że tak jesteś potrzebnym Królowi? Wieleż to razy żalileś się przedemną, że tu kobiece intrygi tak wszystko krzyżują, że Królowi służyć skutecznie niepodobna. Ludwiku drogi, jeżeli masz obowiązki dla Króla, czyż się z nich nie wywiązałeś? Wierz mi że tysiąc się znajdzie takich, co twoje miejsce radzi by zastąpić; czyż mało o to jest zabiegów? Złóż w ręce Króla to starostwo, któreś od niego otrzymał; niech niem innego obdarzy; a sam na swoim poprzestając, żyj sobie jak szlachcie niepodległy. Cóż ci przybędzie z tej senatoryi, która jest celem twoich życzeń: ach mój miły, wierz moim przeczuciom, między tobą, a tą senatoryą, jest jakaś przepaść do nieprzebycia.

— Ozdobić życia mojego; jak w tém mało mnie znasz jeszcze. Nie taję się, że pragnę senatorskiego krzesła, że ono mi się należy, że jak tylko sejm nastąpi 1) otrzymać go muszę, i mam na to słowo królewskie; ale czyż tego żądam dla jakiejś osobistej wyniosłości? Cóż mnie ta senatorya dodać może? W młodości mojej, u najpierwszego dworu w świecie, byłem, na takim stopniu znaczenia, że żadne polskie dostojęństwo jemu sprostać nie może; lecz pragnę tego jedynie dla ciebie, Zofio, moja kochana. Oprócz szczęścia domowego którym mnie

1) Ministerya i senatorstwa wakujące, tylko w czasie agitującego się Sejmu, konferowane być mogły; gdyby nie to prawo, przy zrzeczności Królów, sejmy Polskie może-by poszły w zaniedbanie, jak Francuzkie *Etats Généraux*. Same wakanse urzędów wymagały zwołania sejmu.

napawasz, jeszcze sypiesz hojną dłonią wszystkie pociechy, jakich tylko żądać może najwygórowańsza miłość własna. Kiedy się z tobą na jakim publiczném zgromadzeniu pokażę, a słyszę jak cała tłuszcza, upojona widokiem twoich wdzięków, wita ciebie okrzykami uwielbienia, a pomyślę że jestem posiadaczem tych czarujących wdzięków, że wszystkie zabiegi najświetniejszej młodzieży by zachwiać twoje serce są naderemne, bo to serce mi jest oddane nazawsze, ach mój aniele! wyobrazić sobie nie możesz co to jest za roskosz dla mnie. Czy jest na całym świecie dostojęństwo, które by równie mojej dumie pochlebiać mogło. Być kochanym od najpiękniejszej, od najmiłszej, od najrozumniejszej istoty, bo wszyscy tobie to przyznają w Warszawie; pieścić ją, być od niej pieszczonym; jest to szczęście tak wielkie, tak porywające, że niema w żadnym języku wyrazów, które by go wysłowić zdołały. Ale jeżeli chcę być umieszczonym w wyższym stanie mojego narodu 1), to jedynie dla tego, że znieść nie mogę, by jaka kobieta z jakiegokolwiek względu miała siebie za wyższą od mojej Zofii.

— Czyż na tém szczęście zależy! Bylebym była dla ciebie wyższą od innych, czegoż mi więcéj potrzeba?

— Nie, nie, nie mów mi tego. Nie uwierzysz ile mąk znoszę, ile razy widzę te baby nadęte Senatorską godnością, wyżej od ciebie siedzące. Zofio moja, bądź wyrozumiałą na moją nieuleczoną słabość, bo ta słabość pochodzi z mojego przywiązania do ciebie.

1) W narodzie Polskim były trzy stany. 1) Król, 2) Senat, 3) Stan Rycerski.

Tu wpoł ją objawszy, posadził na swoich kolanach, i zaczął pieścić; usta położył na jej ustach, i z tych lubych ust pił zachwycenie. Zosia nie odpychała jego pieścizot; jej lica barwą wstydu i miłości się okrasily, a wzrok rozkoszą zwilgotniały, utopiła w kochanka wdziękach. Oboje splecli się ramionami, dla obojga była to chwila, którą latami goryczy każde radeby było okupić.

— Zofio, odezwał się Ludwik, miłośnie patrząc na żonę, której nowych wdzięków pieścizoty męża przydały. Cóż było w niej tak anielskiego, tak dziewiczego, tak zniewalającego, że Ludwik nie mógł nasycić się jej widokiem. Zofio moja, poprzysięgam tobie, że po zebraniu się sejmu, który jeden wyleczyć zdoła rany ojczyźnie zadane, jak tylko otrzymam od Króla krzesło mnie publicznie obiecanie, a mamy kilka wakujących, zaraz opuszczę i dwór, i stolicę; pojedę z tobą za granicę. Niechaj w Wersalu pochlubię się moim aniołem, niech Zofija tak zaćmi piękności paryzkie, jak zaćmiła warszawskie. Ale niedługo tam się zatrzymamy, powrócimy, i osiadziemy na wsi, gdzie odtąd dla siebie będziemy żyli. Czy w mojej ojcowiznie, czy w twoich dobrach, gdzie rozkażesz, wystawię pałacyk wiejski; sami doglądać będziemy jego budowy. Jak go zamieszkamy, objadę z tobą całe sąsiedztwo, i sproszę je na inkrurowiny. Zaprzyjaźnię się z twojami krewkami, z obywatelstwem powiatu; będziemy gospodarowali, założymy ogród angielski, zwierzyniec, cieplarnię, a nadewszystko będziemy się trudnili wychowaniem naszej córeczki, która będzie tak piękną jak ty, moje kochanie. A może Bóg nas pobłogosławi i dalszém potomstwem, nie prawda moja Zosiu? a tym pocieszającym wyrazom nowych pieścizot przydawał.

— Ludwiku, odrzekła Zosia, przytulając głowę męża do łona swojego, i gładząc rączką pulchną i drobną jego policzki, kocham ciebie, ty wiesz o tém, więc wszystko co zechcesz, zdołasz we mnie wmówić; ale muszę ci wypowiedzieć to, co mię wszelkiej spokojności pozbawia, co jest przyczyną łez które często wylewam. Ludwiku, ty niejesteś pobożnym, nawet nie wiem czy w Boga wierzysz....

— Ja, moja luba? skądże tak źle o mnie trzymasz: ja nie miałbym czcić tego Boga, który mnie tobą obdarzył. Czyż widziałas kiedy żebym był niewdzięcznym?

— Nie Ludwiku, ale nigdy nie widziałam żebyś słuchał mszy świętej, nigdy nie widziałam ciebie modlącego się, i jakże o moją przyszłość nie mam być w obawie.

— Mylisz się moje kochanie. Ja czczę Boga, i często ku niemu wznoszę myśli moje. Cześć Boga podniesieniem ducha, oto jest rzeczywistość wiary, a obrzędy są to tylko poważne formy, które stosownie do czasu i miejsca się utwarzają. Cześć Boga nienaruszenie od początków istnienia rodu ludzkiego się zachowuje, a wyznania religijne ciągle się przekształcają. Turczyn obrócony do wschodu, kiedy powtarza że niema Boga nad Boga a Mahomet jest jego prorokiem; lub mieszkaniec brzegów Gangesu, pobożnie umierający trzymając się krowy ogona, taką samą cześć oddaje Najwyższej Istocie, jak ty, moja droga, klęcząc przed wielkim ołtarzem; bo Bóg jest celem, a wyznania i obrządki są to środki by do niego trafić. Mało jest takich co się umieją jednozyć z Bogiem, czcząc go w nim samym. Ludzie go szukają w jakichś kształtach, bo jest twórcą wszystkich kształtów, i w nich się objawia. Jedni go widzą w słoń-

cu i w gwiazdach, drudzy w poziomych stworzeniach, inni w samym człowieku; i każdy ma słuszość, bo każde stworzenie jest jego objawieniem. Ja Boga czezę w tobie moja Zofio, bo ty jesteś najnadobniejszy twór natury, a natura jest jego pierworodną córą. Czy wiesz o tém, że kiedy się unoszę nad [twojemi wdziękami, kiedy się niemi napawam, to samo jest modlitwą może najmiłszą dla Boga.

— Ach Ludwiku, nie uwierzysz jaką mnie boleść zadajesz, kiedy tak mówisz; ty się uludzasz swoim rozumem. Nie umiem ci okazać co jest błędnego w twojem rozumowaniu, ale od niego dreszcz mię przeszywa; czuję że każde słowo twoje jest grzechem.

— Nie, mój aniele, jestem zupełnie czysty na sumieniu. Chociaż mię nigdy nie widziałaś modlącego się po twojemu, powiedz, czy najmniejszém szyderstwem usiłowałem kiedykolwiek odwracać ciebie od twoich obyczajów religijnych. Szanuję każdą formę przyjętą od narodu dla wyrażenia jego najszlachetniejszego uczucia, to jest czci, wdzięczności, i ufności dla Stwórcy 1). Żeby w tej sferze w której teraz żyję, mężczyźni oddawali się popołu z kobietami tym samym obrzędowi narodowemu, bądź

1) Niczego tu nie mówi Ludwik, czego by mnóstwo xiążek ogłoszonych w wieku XVIII. nie powtarzało. Uważanie praw moralnych, i obrzędów religijnych za wyroby klimatów, było cechą ówczesnej filozofii. Chrystianizm lub Mahometanizm wedle niej, były arbitralnym wymysłem ludzkim, jak kapelusze i zawoje. Biedni ludzie, pojąć nie umieli, że niema nic arbitralnego na świecie, że nawet odzież narodów odnoszą się do jakichs głębokich przyczyn moralnych, tak dalece, że odmiana stroju zawsze jest poprzedzoną jakąś odmianą w obyczajach.

pewną, żebym ich prześcigał nawet w tej ich mniemanej pobożności. Ale teraz było by to z mojej strony dziwactwem; nawet Biskupi dworscy nie uwierzyliby, że to z przekonania pochodzi. W całym mieście obwołano by mnie za hipokrytę, a co najmniej, ogłoszono by, że usiłuję przypodobać się jakiej pięknej i młodej dewotce. Lecz daję ci słowo, że jak osiadam na wsi, będę we wszystkiem stosował się do obyczajów tych, z którymi żyć będę: zostanę promotorem różańca, syndykiem Bernardynów, i żadnego odpustu nie zaniedbam.

— Ty to wszystko co dla nas jest świętym w szyderstwo obracasz.

— Daję ci słowo że nie. Kto żyje w społeczeństwie, a jego praktyk religijnych, o ile jest w niem, nie podziela, ten jest godzien jeżeli nie wzgardy, to przynajmniej politowania. Zawsze starać się będę stosować we wszystkiem do obyczajów tych z którymi żyć mi wypadnie. Jeżeli płytkie umysły odróżniają się od wszystkich powierzchownością, to tylko dla tego, że niczem innem odznaczyć się nie są zdolne 1).

— Ludwiku poprzestań, z tobą się sprzeczać nie my-

1) Jest to rzecz tak pewna, że jeżeli kto urodzony i wychowany w jakim społeczeństwie, a żyjąc pośród niego, usiłuje odróżnić się od innych w ubiorze, w poruszeniach, w zasadach, można iść o zakład że taki, musi być człowiekiem nikiemnym, albo przynajmniej kolosalnie głupim. Oryginalność samorzutna jest cechą wysokiego dowcipu, bo dowcip nie umie prowadzić siebie rozważą; taka oryginalność nawet w dziwactwach swoich nie jest bez wielkich powabów. Ale oryginalność przybrana, szukająca efektów, jest ekliwą, dręczącą, bo jest wyrażeniem głupstwa. To samo bardzo wyraźnie w literaturze widzieć się daje.

ślę, ale w ciągłej jestem obawie. Mężu drogi, nie wiem dla czego mi się zdaje, że Bóg na ciebie się gniewa. Jeżeli moja spokojność jest ci drogą, daj mi słowo, że to spełnisz o co poproszę.

— Dobrze, aniele mój drogi, mów, za szczęście pożyczuję ile razy mogę być sprawcą choćby najmniejszej twojej przyjemności.

Tu Zosia wyskoczyła z objęcia Ludwika do swojego pokoju, i wkrótce powróciła, trzymając obrazek Najświętszej Panny Ostrobramskiej na blasie srebrnej malowany, a wiszący na łańcuszku złotym i rzekła:— Mężu kochany, widzisz ten obrazek, matka odumierając mnie dziećciem, dała mi go pod błogosławieństwem; proszę cię, weź go na szyję, niech twoje piersi zasłania. Będę spokojniejszą jeżeli mnie zapewnisz, że go nie zrzucisz z siebie.

— Dobrze moje kochanie, byleś tylko była spokojną. Rozkaz od ciebie dany jest dla mnie najświętszym prawem; przyrzekam ci, że jak go włożysz na mnie, chyba go sama zdejmiesz. Daję ci na to słowo szlacheckie.

Zosia włożyła obrazek na szyję męża, i sama się zawiesiła na tej szyi:— Mężu drogi, odezwała się, jeszcze o jedną rzecz prosić ciebie będę: tak jestem niespokojna, tak skołatana przeczuciami, że musisz być ciągle dziś ze mną. Jutro naprzykrzać się nie będę, ale dziś nie odstępuj mnie; wierzaj mi Ludwiku, ta moja niespokojność jest głosem Bożym, ostrzegającym że jakieś niebezpieczeństwo nad nami wisi. Ludwiku, prawda, że nie będziesz tyle okrutny byś mnie miał samą zostawić z myślami moimi, prawda, że do jutra będziesz wyłącznie moim, że chociażby Król po ciebie przysłał, ty każesz powiedzieć żeś chory i mnie nie opuścisz?

— Dobrze, moje kochanie. Tyś dla mnie droższa od sławy, od wszystkich marzeń dumy; cały ten dzień będzie tobie poświęcony. Dzisiejszego poranku razem pojedziemy saneczkami do Ujazdowskich koszar, żeby obejrzeć moją chorągiew. Dziś z nami obiadauje twoja kuzynka, ona jest uszczęśliwiona, bo jej Gintowt przecie na dygnitarza postąpił. Dał sto tysięcy Strutyńskiemu za złożenie cześnikostwa litewskiego, a Król jemu ten urząd wczoraj konferował. Dziś miał nasz Gintowt na wieś wyjechać, a żonę swoją oddał w opiekę xięciu Waraginowi, który zapewne z nową cześnikową do nas przyjedzie.

— Ach mój Ludwiku, nie uwierzysz jak mi przykro, że mnie każesz zachowywać stosunki przyjaźni z moją kuzynką. Ja mam słabość do niej, ale ona jest tak lekkomyślna, tak wolna w postępowaniu, że wyrzucam sobie, iż żyjąc z nią w przyjaźni, upoważniam niejako jej postęпки.

— Mój aniele drogi, ty cnotami równie jak pięknoscia nad wszystkich się unosisz. Cześnikowa idzie torem powszechnym; jeżeli dziś romansuje z Waraginem, mąż jej to pobłaża, bo na tém sam najlepiej wychodzi. Wszakże Waragin mu dał pieniądze na nabycie dygnitarzy; a cześnikowa xięciu to wynagradza. U Króla wczoraj o tém mówiono, i nie tylko że Gintowt na sławie nie cierpi, ale wszyscy mu przyznają że wiele taktu pokazał. Gintowt, jego żona i Waragin, są z siebie bardzo kontenci; inni im szczęścia zazdroszczą, co nam być bocianami, by świat czyścić. A że ja Gintowtowej dłużny jestem szczęścia mojego, bo bez niej nigdy byś nie była moją żoną, na wszystko co zrobi zawsze będę mrużył oczy, bo niewdzięcznym być nie umiem.

— Ludwiku miły, ach kiedyż my tę obrzydłą stolicę opuścimy....

— Jeszcze ci powtarzam, że po zwołaniu sejmu już tylko dla siebie żyć będziemy. Dziś więc zupełnie jestem twoim, o krok cię nie odstąpię; jak obaczą nasz pałac oświeconym, zapewne że do nas zawitają. Rób domu honory wedle twego zwyczaju wesoło i uprzejmie, bo ja chcę żeby wszyscy wiedzieli że jestem szczęśliwy.

Zofia znowu rzuciła się w jego objęcia, i nowemi pieśzczytami wyraziła wdzięczność za powolność męża. Wyrwała się raptownie z jego uścisków, zniknęła, ale po chwilach kilku wróciła, córeczkę przynosząc mężowi. Czuły ojciec wziął na ręce swoje nadobne dziecko, i kołysał je, i z nim igrał i cieszył się niedojrzałemi słowami które wychodziły z usteczek tego lubego zakładu wspólnej miłości. I ojciec i matka płakali z radości, jakże szczęśliwemi się czuli!

Zosia się ubrała, żeby towarzyszyć Ludwikowi, który przywdział mundur kawaleryi narodowej, tak zdobiący jego rycerską piękność; sam żonę powoził, a lokaj w bogatej delii stał za saniami.

Przybywszy do koszar, starosta oddał lice lokajowi, a sam lekko wyskoczywszy, wziął żonę w obie ręce, i postawił ją na ziemię.

Towarzystwo chorągwi wybiegło przyjmować swego wodza, a na widok jego żony powstał szmer uwielbienia. Chcąc się przypochlebić towarzyszącej broni, starosta sprawił był żonie szubkę granatową z obszernym spadającym kołnierzem amarantowym, wszystko z axamitu sobolem podszytego. Zosia miała ją na sobie, kiedy ją starosta żołnierzom przedstawił. Wszyscy kochali

swojego dowódcę bo on umiał do ich serc trafić, i bez trudności karność i dobry porządek między niemi zaprowadził; nawet nie potrzebował być surowym, bo nad wszelkie kary bali się go zasmucić. Pierwszy raz żonę swoją im przedstawił i tём do reszty ich zawo-
jował.

Kiedy wszedł z nią do stajni żeby zrobić przegląd koni, stary chorąży powiedział staroście:— Panie generale, woli pan do nas sam przybywać, bo mnie potrzeba panu konie pokazywać, a niesposób oczu odwrócić od pani generałowej.

Zosia zarumieniwszy się oczy spuściła, i kwefem twarz swoją zakryła, z wielkim żalem i chorążego i wszystkich wojaków.

Starosta rzucił na wszystko okiem doświadczonego znawcy. Oświadczył chorążemu zadowolenie swoje i zalecił mu żeby połowa chorągwi zawsze była w pogotowiu do siadania na koń, na każde zawołanie, gdyż żyjąc w czasie niespokojnym co chwila mogą być powołani.

Na znak że rad był z tego co widział, starosta dla towarzystwa chorągwi dał assygnacyę do swojej piwnicy na sześćdziesiąt butelek wina, i powrócił z żoną do siebie, zabawiwszy w koszarach więcej godziny, a cała chorągiew uradowana pożegnała go okrzykami— niech żyje nasz dobry generał! niech żyje nasza piękna generałowa!



XIII.

Wieczór na Wielkim Świecie.

Starosta Wieluński dom swój utrzymywał na wysokiej stopie, stosownie do szerokich intrat swoich. Bo chociaż ożeniwszy się musiał rezygnować Komendoryę Poznańską, zachował starostwo swoje, i nadto, jako naczelnik gabinetu królewskiego, pobierał trzysta czerwonych złotych na miesiąc; przydawszy do tego znaczną ojcowiznę, i znaczniejszy jeszcze posag żony, przychodami swemi mógł się mieścić między możniejszymi panami stolicy, tem więcej, że starościna, trudniąc się i majątkiem, i wydatkami domowemi, rządnością swoją o kilka razy na-sób powiększała mężowskie dostatki. Zresztą bilard i hazardowne gry były dla starosty źródłem niewyczerpanem, dostarczającem na wszystkie jego zbytliwe wydatki. Gdyż chociaż grał uczciwie, i był jak to Francuzi mówią *un beau joueur* (gracz wspaniały), u-

miał być ograniczonym w przegranėj, a w zwyciężkich chwilach korzystał z przechodniego szczęścia 1).

Dom jego był otwarty, obiady i wieczory częste. Powszechnie mówiono w Warszawie że ma najlepszego kucharza, że nigdzie pałac z podobnym smakiem nie jest ubrany, że żadna dama, ani gustownością ubioru, ani tak drogiemi klejnoty, ani pięknością, ani robieniem honorów domu, sprostać nie może starościnie; a ten odgłos wielce pochlebiał miłości własnej starosty. Wiadome było całej stolicy przywiązanie starościny do męża; a lubo w świecie zepsutym wierność i dobre pożycie małżeńskie były przedmiotem szyderstwa, więcej niż szacunku, starosta był tak modnym i odważnym, żona jego tak piękną i słynną, dom ich tak bogaty i miły, że żadne szyderstwo ich dosięgnąć nie mogło. Jeżeli jaki mężczyzna odezwał się przeciwko nim z uszczypliwością, to chyba ciebaczem, bo każdy bał się im narazić, a owszem skarbił sobie przystęp do przyjemnego domu. Damy, to co innego: one nie oszczędzały Zosi w rozmowach swoich; nie mogąc jej przebaczyć właśnie tego, co jej jednalo uwielbienie mężczyzn, a nadewszystko że przywiązana do męża i obowiązków swoich, na te oznaki u-

1) Niema prawideł pewnych do zniewolenia trafu w grach zupełnie hazardownych, jednak jest rzecz niezawodna że w nich są chwile nieszczęścia, a znowu chwile przyjazne. Jeżeli gracz nie zapędza się w nieszczęściu, i nie żałuje miernej przegranėj, a w chwilach pomyślności nieskąpi wygranych kwot, a do tego ma znaczny zasób pieniężny, można pójść o zakład, że takowego gracza w danym czasie gra niezawodnie z bogaci. Rozumie się, jeżeli ci z którymi puścza się na wyścigi losu, nie pomagają sobie do szczęścia.

wielbienia była obojętną. Napróżno usiłowały z początku rzucić ją na tor im zwyczajny, wmawiając jej, że te małżeńskie serdeczności są śmiesznością wiejską, że kobieta wielkiego świata bez amanta, jest bożyszczem bez kapłana. Zosia, wyższa, od nich nie tylko wdziękami ale i rozumem, w żart obracała ich rady z taką godnością, że i to przydawało jeszcze coś do ich niechęci, tak iż miała zaszczyt być powszechnie nienawidzianą od całej prawie białej płci dworu. Lubo czuła wzgardę do tych wszystkich uprzywilejowanych jawnogrzesznic, przez położenie swoje towarzyskie musiała żyć z niemi, i uprzejmie je przyjmować; one cisnęły się do niej, oświadczając jej przyjaźń i uwielbienie z dworską szczerością. Zosia żyła z niemi powierzchownie w dobrych stosunkach, ale umiała unikać ścisłej zażyłości, z tym taktem wielkiego świata, jakiego, że tak powiem, instynktowie nabyła.

Z pomiędzy kobiet tego rodzaju, jedną tylko, niegdyś kasztelanową Inflancką, a teraz cześnikową Litewską, od dawnych stosunków nie odpychała, chociaż często na nią się gniewała. Raz że ona była jej cioteczno-rodzoną siostrą, powtóre że z narażeniem własnego bezpieczeństwa, była główną sprężyną jej połączenia z Ludwikiem. Ubolewała nad gorszącem życiem cześnikowej, nad jej pochopem do poświęcenia wszystkich obowiązków dla pierwszego pociągu co go doświadczała, i skoro tylko go doświadczała, ale miała dla niej słabość przyjaciółki. Starła się ją zwracać na gościniec cnoty, kołatała do jej duszy wyrazami religii: cześnikowa słuchała ją ze łzami, ręce jej całowała, przyrzekała zupełną poprawę, a po tych chwilowych skruszeniach, wracała do swego. Nie można było nie lubić cześnikowej.— Jeden dworski

filozof Francuzki 1) w swoich maxymach twierdzi, że *najmniejsza przywara kobiety łatwej, jest, że jest łatwą*. Bez wątpienia, do rozwiązłości kobiety łączy się taka zawieść do innych kobiet, taka przepaścitość intryg, taka nienawiść sataniczna do wszystkiego co jest cnotliwem, taka obojętność dla własnych dzieci, że w samej rzeczy, sama rozwiązłość staje się najmniejszą jej wadą.— Ale o cześnikowej tego powiedzieć nie można było: ona była rozwiązłą i nic więcej. Oprócz tej słabości była najlepszą kobietą: dobra przyjaciółka, dobra pani, miłosierna, uraz niepamiętna, pełna czci dla cnot których sama nie posiadała, delikatna w postępках; była wedle wyrazów głośnej Ninon de L'Enclos, najpocześniejszym mężczyzną w płci niewieściej. Do tego tak szczerze była przywiązana do Zosi, tak wielbiła jej cnoty, że gdyby kto w jej przytomności powążył się zadrasnąć Zosię nieobaczniem słówkiem, gotowa-by oczy mu wydrzeć. Przez tę łatwość charakteru, przez ten brak zupełny zastanowienia, na usilne prośby xięcia podkomorzego, raz przemówiła za nim do kuzynki, ale raz tylko; bo Zosia tak się na nią oburzyła, że omal z nią nie zerwała na zawsze, aż klęcząc i nogi Zosi całując ledwo przebaczenie otrzymała.

Ale wyjąwszy cześnikową, jeżeli inne szarmentki dworu od ścisłej zażyłości odpychała, staroscina za to umiała sobie skarbić przychylność tych poważnych weteranek, które przeszły dojrzałość wieku, żadnym szwankiem nieskaziwszy sumienia chrześcijańskiej damy. Ona była ulubionem dzieckiem tych godnych matron, które u niej znajdowały uszanowanie i powolność, jakich od własnych

1) La Rechefoucault.

córek nie zawsze doświadczały. Między temi matronami zaszczycającemi Zosię poufałością, była pani Kossakowska, kasztelanowa Kamińska, Potocka z domu, pani obyczajów staropolskich, której noga nigdy nie postąpiła u żadnej damy gorszącego życia, a która cierpkich i dowcipnych prawd, nikomu, nawet samemu Królowi, nie szczędziła. Przyjaźń pani kasztelanowej Kamińskiej dla Zosi wielce pochlebiała miłości własnej jej męża, bo ta dama wielkiej pobożności i najrzadszych cnot była arystokracją wcieloną; cała duma rodu Potockich w każdym jej poruszeniu się wyrażała 1) tak dalece, że tylko u równych sobie urodzeniem bywała, a tej równości mało komu przyznawała. Xiężna Jabłonowska, Wojewodzina Nowogródzka 2) mawiała dowcipnie: wizyta mojej kuzynki pani Kamińskiej jest to kanonia Lyońska, żeby ją otrzymać, trzeba złożyć trzydzieści dwa herby.— Jednak ona często bywała w domu starosty, żeby, jak mawiała,

1) Ród Potockich, szczególnie w linii hetmańskiej, zachował wszystkie tradycje możno-władztwa, bez najmniejszej koncessyi. Ztąd między tylu domami równemi jemu w świetności, on jeden przedstawia dawną naszą arystokrację, on jeden posiada duch familijny. Ztąd chociaż jest ze wszystkich domów magnackich najwięcej rozrodzony, wszakże posiada największe dostatki w kraju. Zarzucają temu domowi wyniosłość, lecz jakież inny ma większe do tego prawa? Mniej więcćj wszystkie nasze domy magnackie poniżyły się przed demokracją, ród Potockich jeden stoi nieugięty. Nie można nie wiedzieć że gotuje się reakcja przeciwko nowym wyobrażeniom, że zaczynają czcić to co dotąd potępiano: jak się ta reakcja zrobi widoczniejszą, dopiero oddadzą sprawiedliwość temu domowi.

2) Żona jednego ze świetlejszych panów owego czasu. Ludwik XV. zaszczycił go orderem św. Ducha.

nacieszyć się jego żoną; zaszczyt, którego mu w duchu zazdrościli ci szczególniej, co głośno z tego żartowali.

Kiedy starosta przywiozł żonę do siebie, wielce się ucieszył znajdując list do niej od pani Kamieńskiej, oznajmujący że się zaprasza do nich na obiad. Tego dnia oczekiwał kilku gości, nie licząc pani cześnikowej Litewskiej, którą uważał za domową; a po obiedzie cały pałac miał być oświecony, żeby każdy wiedział że przyjmuje.

Gospodarstwo po ukończeniu toalety przyszli do salonu. Zosia weszła w sukni z błękitnego axamitu, ogarniowanej koronką bruxelską. Była bez pudru, ale gęste i liczne kosy swoje czarne złączyła szpilką wenecką wielkości sztyletu, w kształcie złotej strzały, ozdobionej bogatemi turkusami. Błękitne trzewiczki zaciskały jęj drobną stopkę; a najbogatszą jęj ozdobą było kolie z trzech sznurków pereł wielkości wielko-grochu, ale tak równych, tak nadzwyczajnej wody, że mogły rozpacz wzniecać w sercu wszystkich szarmantek. Ledwo kilka tygodni upłynęło jak Zosia została ich właścicielką: hrabina Mycielska, owa niegdyś pani de Vermont, przysłała jęj te perły na pamiątkę. Lubo te bratowe z sobą nie znały się osobiście, były w ciągłej korespondencyi; co miesiąc dwa razy do siebie pisywały. Zosia na usilne prośby bratowej, posłała jęj swój portret pędzla Bacciarellego, a hrabina, oświadczając jęj wdzięczność, w liście swoim między innemi, napisała— «twój obraz kochana siostrze teraz ściąga do mnie cały Wersal. Każdy mówi, że to być nie może, by taka piękność była tworem natury, że to musi być wymysł geniuszu malarzkiego. Ja wszystkich świętych wzywam na świadectwo że jesteś jeszcze

piękniejszą, a na dowód tego składam list twojego męża do mojego Bertranda. Wielu tutejszych dworzan wybiera się do Warszawy, jedynie żeby ciebie oglądać; ja ich do tego zachęcam, żeby nie uchodzić za kłamczynię. Posyłam tobie mój nawzajem, także bardzo podobny obaczysz że chociaż z tobą równać się niemogę, jednak jestem nieszpetyne boskie stworzenie. Dołączam do niego trzy sznurki pereł wcale pięknych, zrób im ten zaszczyt, nosić je czasem na twojej białej szyi, żeby ci przypominały przywiązaną siostrę. Muszę się znać na tych rzeczach, bo mam dobra w kraju pereł i brylantów, a powiem ci, żadne perły i brylanty sprostać nie mogą rysem twojej twarzy.«— Starosta, wygrawszy na słowo dwa tysiące czerwonych złotych u podskarbica wielkiego koronnego, kontentował się za nie szpinką z dużego szafiru okrażonego brylantami, która niegdyś służyła podskarbiemu, i tę szpinkę kazał przerobić na fermuar do tych pereł. Starościna przed tygodniem pierwszy raz pokazała się w tych perłach u Króla, i one tak wszystkich zadziwiły, że niektóre szarmentki głosić zaczęły, że nie są prawdziwe.

Pierwsi goście co się zjawili, byli pani cześnikowa Litewska i książę Waragin, jej adorator deklarowany. Książę po odbyciu etykietalnych przywitań z panią starościną, z układem pana, wezwyczajonego do grzeczności wielkiego świata, oddalił się z starostą do okna, i jemu, jako zażyłemu przyjacielowi, zaczął robić różne zwierzenia. A obie damy na sofie usiadłszy między sobą rozmawiały.

— Siostrzyczko droga, zaczęła cześnikowa, naucz nas ubierać się. Nikt ciebie nie spotyka u Diurenelo-

wój 1), nigdy nie mówisz o toalecie, nie naradzasz się z panią Lullier, zdajesz się nie zajmować twojem ubraniem, a zawsze taki ubior dobierzesz sobie, że zdaje się, iż jakaś wróżka dotyka się ciebie swoją czarodziejską laską. Co za smak w ubraniu głowy, ani pudru, ani różu nie masz, któraż-by z nas na to się odważyła. Co za piękność twojej sukni, jakże te koronki odbijają jej błękit: prawdziwie, my przy tobie wyglądamy jak koczodany. Ale jak się cieszę, że te sławne perły masz na sobie— o niczem innem nie rozprawiają w Warszawie; już niektóre twoje przyjaciółki zaczynają głosić że to jest imitacya. Czy wiesz, że krajczyna której perły swojemi zdetronizowałaś, ma być dziś u ciebie na wieczór; chce niby porównać swoje perły z twojemi, a w rzeczy samej chce cię upokorzyć. Miarkuj że pochlebnie jej wmówiły, że twoje perły fałszywe, i myśli że jej się uda ciebie zawstydzić.— Powiedz mnie, jak wam może na wszystko wystarczać?

— Rachuję się jak mogę z mojami przychodami.

— Ale kiedy bo cudów dokazujesz— dom otwarty, ekwipaż nad jaki piękniejszego nie widać, bogata wykwinność w ubiorach, a seciny ubogich z łaski twojej żyją. Prawda że wy bogaci, ale bogatsi od was się rujnują, nie żyjąc tak okazale, a o was nie słyhać byście grosz długu kiedykolwiek zrobili.

— Wierz mi moja siostrzyczko że u nas niema nic szczególnego; jest przyzwoitość, rządność i nie więcej. za każdą rzecz gotówką płacąc, o trzecią część przynajmniej nabywamy ją taniej.

1) Pani Durenel, sławna modniarka w Warszawie, w początkach panowania Stanisława Augusta.

— Ty bo do wszystkiego jesteś zdolna moja Zosiu, dla tegoś też i szczęśliwa; co do mnie, tego o sobie powiedzieć nie mogę. Nieszczególnie żyję, zdaje się że na siebie nie wiele expensuję, mówią że moje dobra to złote jabłko, a jednak grosz spotkać się z groszem nie może. Ja i Albert świecę z dwóch końców zdajemy się palić, aż rozpacz mnie czasem bierze. Miarkuj Zosiu, że niema tygodnia jak sam Król naraił nam nabycie cześnikowstwa Litewskiego: to nam los stanowiło, ale trzeba było odliczyć trzy tysiące czerwonych złotych, a ja ostatnie pięć dukatów oddałam na jeńców Barskich, których tu ranionych przywieźli. Żeby xiążę Waragin nie był pośpieszył na nasz ratunek, cała robota by się rozbiła; a do ciebie nie śmiałam się udać. I tak więcćj roku, jak tobie jestem dłużna kilkaset czerwonych złotych, a nie jestem w możności uiszczenia się. Wczoraj wyprawiłam Alberta na Litwę i powiedziałam mu— przedaj, zastaw, zerwij zkąd możesz, a bez pieniędzy nie pokazuj się przedemną.— Jak powróci, z wami wszystkiemi porozpłacam się. Nie uwierzysz jak my się u kupców zadłużyli.

— O moim długu zapomnij, ale zmiłuj się zwróć xięciu Waraginowi pieniądze, które wam pożyczył. Wszak wiesz że głośno mówią, że on jest twoim amantem.

— Ach moja Zosiu, co gorzej, to że mówią prawdę.

— Jakże u ciebie pstro w głowie siostrzyczko, i po co ty mnie to mówisz. Wszak takich spowiedzi słuchać nie powinienam.

— Moja Zosiu, ty jesteś wyłącznością w naszej płci, ty się umiesz opierać wszystkim ponętom. Nie uwierzysz jak nam jest niepodobna być srogą, kiedy ten co prosi o nasze względy już naszą skłonność umiał pozy-

skąć. Żebyś wiedziała jak mój xiążę mnie kocha, jak umie kochać....

— Proszę cię poprzestań takich zwierzeń, wolisz o czém inném mówić ze mną, bo ja słuchać tego nie chcę.

— Przepraszam ciebie droga siostrzyczko. Ja sama czuję, że jestem szalona. Ale to powinno zjednać twoje przebaczenie, gdyż ciebie kocham nad życie, gdyż dla ciebie bez wahania w ogień bym skoczyła. Chociaż czuję że nie jestem godna twojej przyjaźni, bądź łagodną dla mnie.— Któż u ciebie będzie na obiedzie?

— Będzie xieżna Radziwiłłowa, kasztelanowa wileńska.

— Ach nieoszacowana kobieta. Wiesz, że dowodzi wspaniałomyślności ilekroć bywa u ciebie.

— A cóż ja jój przewiniłam?

— A wszakże xiążę podkomorzy ją porzucił dla ciebie.

— To prawdziwie pomimo mojej woli. Nie uwierzysz jak ten człowiek mi się naprzykrza. Muszę go przyjmować w moim domu, a to jest jeden z krzyżów moich.

— Ach okrutnico, wierz mi że to jest człowiek z sercem.

— O tém jestem przekonana, ale po cóż jest takim natrętem. Ciągłe robi mi oświadczenia uczuć jakichś swoich bez względu że mam męża którego kocham, i sławę która mi jest nad życie droższą. Wczoraj u pani Opeskiej, zostałam przymuszona mu powiedzieć, że jeżeli raz jeszcze odważy się mówić do mnie o rzeczach, których mi słuchać się niegodzi, pomimo jego wysokiej godności, zawsze zastanie dla siebie drzwi mojego apartamentu zamknięte; a jeżeli go spotkam w cudzym domu,

będę od niego stronić jak [od zapowietrzonego. Mówiłam mu to z takim zapalem, że wszyscy mogli to słyszeć.

— A on co na to?

— Siadł w milczeniu, i jak mnie potem mówiono, płakał, ale przyznam ci się że na niego nie patrzałam, tak mnie rozgniewał.

— Biedny xiażę!

— Proszę ciebie siostrzyczko, nie mów mnie nigdy o nim. Będiesz widzieć u mnie pana Trembeckiego, poetę jak wiesz w wielkich względach u Króla, hrabiego Henryka Dorszpinga, twojego wielkiego przyjaciela.

— I ja wzajemnie wielką mam przyjaźń dla niego. *C'est un causeur fort agreable* 1). Roku przeszłego

1) Jest to człowiek który gawędzi przyjemnie. *La cause-rie*— gawęda, zupełnie w naszych czasach upadła. Dawniej na prowincyi szlachta biesiadując, rozprawiała najczęściej o prawnych interesach, rozmowa ta była nie tylko przyjemną, ale nauczającą, i jej się przysłuchując młodzież kończyła obywatelskie wychowanie. Na wyższym świecie gawęda była lekka, dowcipna, pełna wdzięku. Dziś tak się zatarły podania dowcipu towarzyskiego, że niema licznego towarzystwa, któreby nie było nacechowane jawném znudzeniem tych, co jeszcze jakąś wewnętrzną wartość mają. Rozmowy parafijańskie są dziś trywialne, a często sprośne, a ludzie wyższego ukształcenia jak z trojnoga perorują lub rozprawiają o filozofij, polityce, zadaniach socialnych, bez innego zasobu oprócz ogromnej lektury broszurek perjodycznych francuzkich, i haudbuchów niemieckich. Są u nas ludzie dla których rozprawy o rzeczach uczonych stały się niezbędną potrzebą: ci ludzie kapitału umysłowego zebrać nie mogą, bo przychody swoje trwonią w drobnej monecie. Oni to zdołali sprawić, że wyższe towarzystwo u nas zostało do niezniesienia nudne.

podobało mu się ogłosić siebie moim adoratorem, wszakże wkrótce to mu z głowy wywietrzało. Ale odkąd książę generał ziem Podolskich wyjechał do Francyi na dwa lata, znacznie się odmienił humor hrabiego. Wiesz że majątek swój ojczysty przeschastał w Paryżu, że mało co mu z niego należy; lecz książę generał, protektor nauk i podupadłych ludzi wyższego urodzenia, wspiera go ze wspaniałością, a nasz hrabia umie być wdzięcznym. Że książę generał z żoną wyjechali, tak za nimi tęskni, że się wszyscy z niego budujemy. Na instancją księcia Król mu obiecał starostwo, którego doczekać się nie może. Wszak wiesz Zosiu że Król rujnuje się w obietnicach.

— Będzie stolnikowicz wielki Koronny.

— O, ten powinien mieć u ciebie wielką łaskę, bo bardzo dobry chłopiec, a do tego kocha się po bożemu w księżniczce starościance Bolimowskiej, i temi dniami od rodziców miał otrzymać obietnicę jej ręki.

— Ach jakże mnie to cieszy, bo między młodzieżą która bywa w naszym domu, on się odznacza rozsądkiem i skromnością. Jest pełen grzeczności dla dam, ale grzeczności z uszanowaniem; do tego pełen wiadomości. Będzie szczęśliwym z żoną, bo księżniczka bardzo dobrze wychowana.

— I nawet była-by wcale nieszpętną, żeby się lepiej ubierała. Mówią o niej że bardzo ciasno ma w głowie. Przeszłej zimy, kiedy pierwszy raz pokazała się u dworu, Król jej zrobił kilka zapytań zwyczajnych, na które odpowiedziała na opak. Widać było że recytowała lekcję, ale że pytania nie były w takim porządku jak się spodziewała, więc możesz miarkować jakie śmieszne *quid-pro-quo* musiały się robić.

— A czy to słyszałaś sama?

— Nie, moja Zosiu, ale wszyscy o tém mnie upe-wniali.

— Widzisz jakaś skora do uwierzenia plotkom złośliwym; ja wtedy stałam przy niej, i zaręczam tobie, że bardzo roztropnie rozmawiała z Królem. Nic dziwnego że pańienkę skromną i bogatą biorą na języki. Ale zapominam o najważniejszym gościu; kasztelanowa Kamińska będzie u nas na obiedzie; widzisz jaką u niej mam łaskę. Przyznam się tobie, że nieposiadam się z radości.

— A ja wcale nie, ja jej się tak boję, że gdybym przeczuła była, że u ciebie z nią mogę się spotkać, nie byłabym tu przyjechała.

W tem weszli P. stolnikowicz Koronay z P. Trembeckim, a za nimi hrabia Dorszping. Potem xiężna kasztelanowa Wileńska, a nakoniec pani kasztelanowa Kamińska. Pani staroscina tę ostatnią z uszunowaniem pocałowała w rękę, a kasztelanowa ją w oba policzki: i obróciwszy się do starosty, rzekła:

— Wpan musisz mieć u Boga jakieś wielkie zasługi, że ci dał takiego anioła na żonę; jeno pilnuj się naszych elegantek, żeby ci jej nie popsuly.— Starosta się skłonił i odrzekł.

— Jeżeli by kto mógł popsuć moją żonę, to chyba pani kasztelanowa dobrodzika— zawsze na nią tak łaskawa, że ją i za oczami i w oczy chwalisz; ale ona nie jest niewdzięczną, pewnie żeby miała jeszcze matkę, więcój by jej nie kochała. Jak się dowiedziała, że pani tego roku w Warszawie zimować będziesz, myślałam że w głowę zajdzie z radości.

— Co, odezwała się xiężna kasztelanowa Wileńska,

pani z nami zimuje? Jakże Warszawa szczęśliwa, że pani tak dla niej niechętna, наконец się z nią pogodziłaś.

— Nie, mościa xiężno, odpowiedziała pani Kamińska; ja zawsze jedno mówię o Warszawie. Za Króla Sasa ona była rajem, a dziś jest piekłem, obrazą Pana Boga. Onegdaj Król okazał mi niezdziwienie swoje, że w niej zimuję, a mój powrót na Podole do przyszłej, da Bóg, wiosny odkładał. Ale ja Królowi odpowiedziałam.— Miłościwy Panie, już czwarty rok nie mamy sejmu, brzemienność Rzeczypospolitej nad porę się przedłuża, żeby czasem nie urodziła jakiego potwora: ja tu osiadam jak zwyczajnie baba przy położnicy.— Tu wszedł marszałek dworu pana starosty z oznajmieniem, że dano do stołu.

Pan starosta był nieco ambarasowany kogo prowadzić do stołu, czy xiężną kasztelanową czy kasztelanową Kamińską. Za pierwszą mówiły i urodzenie i wysokie krzesło męzowskie, za drugą wiek i urodzenie własne, ale xiężna kasztelanowa, kobieta pełna taktu, z kłopotu wyprowadziła starostę. Powiedziała z uśmiechem pełnym wdzięku.— Mój starosto, przyznaj się że nie wiesz której z nas dać pierwszeństwo. Obejdzimy się bez gospodarza, może-by się omylił i mnie przed panią kasztelanową poprowadził, a ja całe życie sobie-bym nie odpuściła, gdyby Potocka z domu za mną iść miała: to pani, a ja wiem, że urodziłam się w szlacheckim domu. Pani kasztelanowa pozwoli, bym ją zaprowadziła do stołu. Tym krokiem ulagodziła dumną staruszkę i o-biedwie damy podawszy sobie ręce przodkowały innym do sali. Starosta prowadził cześnikową Litewską, starościna podała rękę xięciu Waraginiowi, a pozostali ka-

walerowie już bez żadnych ceremonij za niemi poszli do stołu. Po pierwszém daniu przyniesiono świece jarzące i rozmowa zaczęła się ożywiać. Mówiono o ostatnim balu xieżnėj Sapieżyny wojewodziecowej Smoleńskiej, na którym dziesięć tuzinów par poszło w taniec, o gustownym ubiorze pani starościny Opekiej na assamblach królewskich, o gracyi z jaką panna Pernet kozaka tańczyła u pani hetmanowej Ogińskiej.

— Ale, odezwał się hrabia, czy państwo wiecie jaka awantura się zrobiła u pani hetmanowej *à propos* kozaka?— Państwo co często bywacie u pani hetmanowej, wiecie jaka to święta i przykładna pani. Ma u siebie na respekie kilkanaście panien szlacheckich, które z małeńka wychowuje, potem wyposaża i wydaje za mąż: między niemi jest ta panna Pernet, córka marszałka jej dworu, panienska piękna, zgrabniutka i wcale ładnie tańcząca kozaka. Ile razy się zbiorą u hetmanowej, ona jej każe się produkować, azali tém nie przywabi jakiego konkurenta. *La pauvre fille danse quelque fois à perdre l'âme* 1). Otoż ostatniego razu pan łowczy Koronny przyszedł wieczorem do pani hetmanowej ale trochę pod datą, wedle zwyczaju był pohulał ze swojemi. Podobał mu się kozak panny Pernet, i po tańcu zaczął jej robić komplementa, a potem otwarcie wystąpił z propozycją, żeby się od pani hetmanowej do niego przeniósła, że na szpilki jej dawać będzie pięćdziesiąt czerwonych złotych na miesiąc, a jak się mu naprzykrzy, wyda ją za jakiego moczymordę. *La demoiselle a manqué de se trouver mal* 2). Hetmanowa do niej, *mais*

1) Biedne dziewczę tańczy czasem do upadłego.

2) Panna omal nie zemdliała.

quand elle eut appris ce, de quoi il s'agissait 1), było słyszeć co tu ona mu za to nagadała.

— A on co nato, zapytał starosta śmiejąc się?

— *Il a pris cela très philosophiquement* 2). Powiedział— niech mnie diabli wezmą, tej babie musiała się przyśnić paproć że tak się rozchimerowała, albow ja jej panienkę za łeb brał? To była propozycya a nie impozycya. Chcesz, dobrze, a niechcesz— nikt ciebie nie zmusza. I czy to warto o to robić takie sceny, i wyszedł od hetmanowej ze swojemi do Piskowej, gdzie się spotkał z Dąbskim kasztelanem Kujawskim i z Dłuskim starostą Łukowskim, tam do piątej z rana, zajadali kapłony i raki, i pili do upadłego.

— Pan łowczy Koronny, odezwała się xiężna kasztelanowa, z obcesową szczerością wyraża wiek swój. *Afficher un goût humiliant pour toutes les femmes, ne sentir d'amour véritable pour aucune* 3)— oto jest cecha naszego wieku.

— Bardzo przepraszam xiężnę, odezwał się P. stolnikowicz. I teraz są tacy, którzy umieją kochać prawdziwie.

— O ja ciebie wyłączam mój stolnikowiczu, odrzekła xiężna, już ci winszowałam, żeś swoją miłością zmiękcył serce xiężniczki starościanki, bo trzeba wierzyć, że kto się zabiera do stanu małżeńskiego, ten musi się kochać. Ale jakże można wasze miłości równać do tych, któremi się cechowały dawne wieki, kiedy to błędni ry-

1) Jak się dowiedziała o co chodziło.

2) Przyjął to bardzo filozoficznie.

3) Popisywać się z upokarzającą skłonnością do wszystkich kobiet, a do żadnej nie czuć prawdziwej miłości.

cerze przebiegali świat szeroki z orężem w rękę, zmuszając wszystkich do wyznania, że dama ich myśli jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Jak teraz wszystko się wydaje zimne obok tego co się wówczas działo.

— Na to rzekł hrabia— za pozwoleniem xiężny, muszę stanąć w obronie naszych czasów, i pokażę państwu takiego, co dla swojej damy, temu dni kilka, zrobił *une galanterie* 1), na jakiej równą żaden błędny rycerz by się nie zdobył.

— Proszę nam okazać tego bohatera i powiedzieć co on też tak wielkiego uczynił?

— Ja powiem, byle pani cześnikowa Litewska na to pozwoliła.

— Pozwoli, pozwoli, wykrzyknęła xiężna, ja biorę na siebie że pozwoli.

— Nie, mościa xiężno, rzekł hrabia, ja się nie odezwę, aż ona mnie powie— mów.

— *Ne nous faites pas languir* 2), powiedz mu *ma chère amie*, żeby mówił.

— Kiedy wszyscy tego chcecie, rzekła cześnikowa śmiejąc się, mów hrabio.

— Hrabia obracając się do xięcia Waragina rzekł, pamiętaj xiążę, że jestem posłuszny rozkazom pani cześnikowej. Otoż powiem państwu, że temu dni kilka byliśmy na wieczorze u pani cześnikowej, było nas około piętnastu osób, i nas wszystkich xiążę Waragin zaprosił na jutro do siebie na obiad na sterlety, które mu przysłali z Rossyi, na jakowym obiedzie pani cześnikowa podjęła się być gospodynią. Przy herbacie mówiono o ga-

1) Grzeczność dla damy.

2) Nie dręczcie nas.

stronomii. Xiążę opowiadał, że w czasie ostatniej wojny tureckiej, przez dwa tygodnie innego nie można było dostać mięsa, tylko końskie; ale że, wedle swojego zwyczaju, miał z sobą doskonałego kucharza, ten mu koninę tak przyprawiał pod różnym kształtem, że żadenby łakotniś nią nie pogardził. Pani cześnikowa na to powiedziała.—Żebym wiedziała, że to, co mnie podają jest końskie mięso, nigdy bym się nie odważyła tego półmiska dotknąć; ale żeby kto mnie bez mojej wiadomości koniną nakarmił, pozwoliłabym sobie w twarz pocałować. My wszyscy odezwaliśmy się, że jeżeli taką przeznacza nagrodę, niezawodnie oszukaną będzie, bo kto z nas odtąd o czem innym by myślał, jak tylko by ją tém jaśniej poczęstować. Nazajutrz mieliśmy u xięcia obiad wysmienity i kiedy przy wetach unosiliśmy się nad kuchmistrem naszego Lukullusa, on wstał od stołu i kłękając przed Cześnikową, powiedział jej, że przychodzi upomnieć się o dotrzymanie danego słowa. Jakiego słowa?—zapytała. Wszak pani ogłosiłaś wyrok, rzekł xiążę, że kto cię koniną nakarmi, pozwolisz mu siebie pocałować; otóż państwo innego mięsa nie mieli tylko końskie. Z początku myśmy się śmieli, mając to za żart, ale sami sprawdziwszy to w kuchni, upewniliśmy damy, że tak jest a nie inaczej. Pani cześnikowa *présenta de bonne grâce ses deux joues, sur lesquelles, le prince imprima deux baisers, qui retentissent au fond de nos coeurs* 1), ale po tém, żeby tego zażądał, wszystkie przytomne damy by go ucałowały, jak się dowiedziały o reszcie tej historii.

1) Podając bez przysady oba swe policzki, na których xiążę wycisnął dwa pocałunki, które o nasze serca się odbiły.

— Cóż takiego?— zapytała księżna.

— Wiecie panie jaką to koniną księżę nas nakarmił— Oto jego Betsy, ta klacz angielska, *l'admiration de tout Varsovie* 1), za którą od księcia podkomorzego nie chciał wziąć dwóch tysięcy czerwonych złotych, poszła na nasz obiad. *Le coeur me saigne, quand je pense, que j'ai dévoré une si belle créature* 2). Teraz powiedz księżno, czy błędny rycerz wieków średnich zrobił-by podobną ofiarę dla damy swoich myśli?

— To prawda, na to księżna, że taka *galanterie chevaleresque*, każdy opór zwyciężyć musi. Jak mogłeś księżę na śmierć skazać taki wytwór natury, jakim była Betsy!

— Mościu Księżno, odpowiedział księżę, ponieważ pani cześnikowa pozwoliła zrobić sobie ten żart, chciałem przynajmniej żeby strawa, mająca się dotknąć jej ust, ile możności była jej godną. Betsy była dla mnie najdroższą z rzeczy, któremi rozrządzać mogłem, dla tego z niej zrobiłem ofiarę— kto zna panią cześnikową, temu dziwić się nie może.—

I w samej rzeczy, zadowolenie zwycięztwa, tyle powabów przydawało tej nadobnej kobiecie, że na nią patrząc nie można było temu się dziwić.

— A co, dodał hrabia, obracając się do księżny, niechże księżna powie czy nie umieją kochać w naszym wieku?

Kasztelanowa Kamińska nie podzielała zapału księżnej.— Wariaty jesteście, powiedziała, ubiegacie się tylko za rzeczami nadzwyczajnymi. Żebym była młodą i pię-

1) Uwielbienie całej Warszawy.

2) Serce mi się kraje kiedy przypominę sobie, żem pożałował tak śliczne stworzenie.

kną, a kto dla przypodobania się mnie, kazał zamordować niewinne i zaletne stworzenie, tém by zapewne mnie nie zobowiązał; ale taki to świat terazniejszy.

— Mnie to nie dziwi, rzekł Trembecki, mieszając się do dyskursu: Rossya później od innych przystąpiła do cywilizacji Europejskiej, ale na tém nie straciła— *elle n'a reculé que pour mieux sauter* 1). Odwołuje się w tém do świadectwa pana starosty. Nie uwierzycie państwo, jak panowie Rossyjscy, wędrujący po Francyi pobudzają zawiść dworzan tamecznych.

Dorodni, oświeceni i pełni zaszczytów,

Łączą grzeczność Wersalską z walecznością Scytów.

— Brawo panie szambelanie, odezwał się gospodarz domu, nigdy się wpanu lepiej nie udało powiedzieć: dowiodłeś że poeta może być razem i wielkim i prawdziwym. Wypijmy zdrowie największego poety Polskiego, który tak pięknie wyraził nasze uczucia.

— Mości starosto, odrzekł Trembecki, właściwiej wypić zdrowie xięcia, który mi natchnął te dwa wierszyki.

— *Et haec facienda, et haec non omittenda*, odezwał się stolnikowicz. Uważasz szambelanie, że jeszcze nie styrałem mojej łaciny, nawet między temi pięknymi damami.

Podaj chłopcze, za dawnych Konsulów chowany,
Falern co dymek puszcza z iskrzącemi piany.

— Gwałtu, wykrzyknął Trembecki, pan stolnikowicz Koronny chleb mnie odbiera; od razu moje wiersze zakasował swojemi. Myśl Tybulla *ex abrupto* przepo-

1) Cofnęła się, żeby lepiej skoczyć.

szczył. Za Sasów upijaliśmy się prozaicznie, pod naszym dzisiejszym Augustem, nawet uczyły nasze zaprawia dowcip poetyczny.

Na te słowa pani Kamińska nieco się skrzywiła, ale wszyscy inni głośnami oklaskami okazali, iż podzielają zdanie poety.

— Panowie i panie, rzekł gospodarz, Falernu nie mam, ale jest wino szampańskie, co go nam starożytność mogła by pozazdrościć. Właśnie onegdaj prosto z Sillery przyszedł do mnie transport.

Zaczął krążyć kielich z napojem rozweselającym umysł i serce, że damy nawet za rozmaite zdrowia, usta swoje przybliżały do kieliszków, nawet Zosia, na wielkie prośby męża, pół kieliszka wypić musiała. Było już po siódmej, kiedy biesiadnicy wstali od stołu.

Gdy weszli do salonu, zastali w nim kilku gości przybyłych; ale z wielkim żalem Zosi, pani kasztelanowa Kamińska ją pożegnała, bo zawsze o godzinie ósmej kończyła wieczory, żeby mieć jakąś godzinę przedsenną do ofiarowania Bogu. Wszakże, kiedy wieczór dla niej się kończył, właśnie dla innych się zaczynał. Zjeżdżali się goście, tak że wkrótce salon obszerny został niemi napełniony: co tylko stolica posiadała najświetniejszego, tam się zebrało. Jacy mili kawalerowie, jakiej czarującej piękności damy, jakie bogate i gustowne ubiory! Krzyżowały się dowcipne żarty, harmonijne wierszyki, attyckie koncepta, sentymentalne wystrzały: wszystko to ścisnęło się, jakby około ogniska, przy owalnym stole, przy którym siedząc na kanapie gospodyni, robiła honory domu; a po kątach kawalerowie siedząc przy swoich damach, usiłowali zmiękczać ich serca. I xiążę Wara-

gin przy swojej cześnikowej, chociaż amant uwieńczony, zajmował się ognistą rozmową, o swoich dla niej stałych uczuciach.

W tém oznajmiono przybycie pani krajczyniej: wszystko z sof i krzeseł powstało, a gospodarstwo wyszło ku drzwiom na jej spotkanie. Ona ucałowała starośćcinę, jakby była jej największą przyjaciółką, i z grzecznością oziębłą ukloniła się jej mężowi, który ją zaprowadził do sofy dla niej przeznaczonej. Krajczyna była kobietą uderzającą pięknosci, nawet siedząc obok Zosi, a równy jej miała smak w ubiorze, tem więcej, że ubior był jedyną rzeczą, którą się z jakąś uwagą zajmowała. Ubrana była bez wykwinności: miała czarną morowę suknię, na głowie niepudrowanej nosiła girlandę z drobnych róż, na szyi perły, które dotąd w Warszawie za najpiękniejsze uchodziły, a na plecach rzucony z niedbałością szal kaszemirowy, żółto-gorący, wysokiej wartości; czarna suknia krajczyny odbijała alabastrowy mat jej ciała. Nie można było widzieć talii giętszej, gorsu powabniejszego, nogi i rączki arystokratyczniejszej 1), i coś więcej ujmującego, nad jej uśmiech i spójrzenie. Warszawa wtedy szczególnie słynęła pięknoscią swoich dam, a one prawie wszystkie mieściły się tego wieczora w domu starosty; było tam kilkanaście kobiet, tak pięknych, tak miłych, że trudno było między nimi wybór uczynić. Jednak walka o pierwszeństwo między krajczyną a starośćciną rozstrzygnąć się musiała, między nimi wahała się szala; wszakże ku starośćcinie zdawała się przechylać.

1) Piękność twarzy i talii we wszystkich stanach znajdować się może. Piękność nóg i rąk jest szczególnie przywiązaną do kasty arystokratycznej.

Rozmowy się wszczeły na nowo, jak tylko krajczyna zajęła swoje miejsce, a lokaje niespracowanie roznosili lody, suszone konfitury i frukta. W tém krajczyna postrzegłszy perły owe głośnie na szyi gospodyni, odezwała się.

— *Ma chère amie*, proszę cię, zdejm swoje kolie, niech też twoje perły porównam z mojami. Obie damy zdjęły swoje, ale kiedy je położono jedno przy drugich, najbezczelniejszy pochlebca pani krajczyny, nie mógł nie przyznać, że jej perły i wodą i równością sprostać nie mogły perłom starościny. Krajczyna tak została upokorzona, że już swoich nie chciała wiać na szyję, aby uniknąć niepoehlebnego porównania, a Zosia, jako grzeczna gospodyni, zwyciężkie klejnoty swoje, kazała odnieść swojej pannie 1). Jednak krajczyna nie przestała się dąsać, co wielce martwiło starostę, gdyż to nieukontentowanie krajczyny znacznie wpłynęło na humor całego towarzystwa. Rozmowa zaczęła kulawieć, na szczęście ożywił ją młody książę Sapieha, szef gwardyi Litewskiej, kawaler pełen zalotności i dowcipu.

— Ale, ale, rzekł, mości szambelanie Trembecki, dobrze że przypomniałem sobie Wpana zadanie; muszę je wyprowadzić pod sąd tutejszego tak światłego i świetnego towarzystwa. Miarkujcie państwo, że wczoraj byliśmy razem na czwartkowym obiedzie u Króla: pan szambelan taką powieść ułożył: że temu lat kilkaset, jeden kawaler wielkiego świata, oddał jakąś ważną przysługę wróżce Manto 2), a ona mu w nagrodę dała do wyboru:

1) Fraucymer kobiety wyższego tonu składał się z haftarek, garderobianych, nad którymi rój wodziła panna stołowa, ważna figura a niezbędna dla elegantki.

2) Wróżka Manto, głośna w romansach wieków średnich.

mieć żonę, która-by wszystkim wydawała się tak szpetną jak pani regentowa Koronna, a jemu samemu tak piękną jak pani starościna Wieluńska.

— Mości xiążę, przerwała starościna, naprzód xiążę powinienes o tém wiedzieć, że we wszystkich narracyach, przytomni, a tém bardziej gospodarstwo, mają być zawsze wyłączeni.

— Przepraszam panię, odrzekł xiążę, czyniąc relacyę, muszę opowiadać rzecz jak była. Powtarzam wyrazy pana Trembeckiego, gdybym je przeinaczył, mógłby muie zadać kłamstwo, a przynajmniej niewierność. Otoż powtarzam: dała mu do wyboru mieć żonę z podwójną postacią— dla wszystkich podobną do pani regentowej, a dla siebie jednego do naszej pięknej gospodyni, lub też *vice versa*. I zapytał— jak wam się zdaje, co on wybrał.

Stolnikowicz. A już ci pierwsze, wszak każdy dla siebie a nie dla innych się żeni.

Xiążę Sapieha. Król był tego zdania mój Wacławie, bo on ma także pretensję do sentymentalności. Zresztą, ma prawo o tém sądzić, ale ty wcale nie jesteś *judex competens*, bo za kilka niedziel żenisz się z moją kuzynką. A kiedy kawaler gotuje się do tego niebezpiecznego kroku, czy może mieć tę zimną krew, tę przytomność umysłu, jakich się wymaga od sędziego: nie masz głosu między nami, siedź cicho.

Xiążę Waragin. Ja co już od trzech lat przebyłem ten krok niebezpieczny, a więc mam głos, nie pojmuję jak tu można się wahać. Co by mnie to miało obchodzić, że ta którą ubóstwiam innym wydaje się brzydką.

Hrabia. Odkąd, mój xiążę, nakarmiłeś nas swoją prześliczną Betsy, przekonałem się, że jesteś pod wpływem uczucia, które szczerotę twoją pod wątpliwosć kładzie. Co do mnie, mam niezaprzeczone prawo do ogłoszenia siebie za bezstronnego, bo moje serce jest zupełnie swobodne— a ja wyznam otwarcie, że waszego zdania nie podzielam, chociaż za niem głosował mój Król.

Cześnikowa. Nic dziwnego, bo nigdy nie kochałeś prawdziwie, ani nawet umiałeś kochać.

Hrabia. *Ce n'est pas à vous à le dire* 1). Pani wiesz dobrze; że umiem kochać.

Cześnikowa. A zkąd że mam wiedzieć?

Hrabia. *C'est vrai, que vous avez fait semblant de l'ignorer* 2). Ale wracając do rzeczy— żądze miłości własnej są silniejsze od uczuć serca.

— Ach jaki niegodziwiec, odezwały się razem xiężna kasztelanowa; pani cześnikowa i kilka innych szar-mantek.

Hrabia. Niegodziwiec jestem bo prawdę mówię. Z paniami, jak uważam nie można być szczerym.

X. Waragin. Pozwól sobie hrabio powiedzieć, że wielu mężów odrzekło się od żon swoich, dla tego że inni znajdowali je nadto pięknymi; a nie przypominam sobie by jakie małżeństwo poróżniło się dla tego, że inni nie dzielali pochlebnego zdania męża o żonie.

X. Sapieha. O przepraszam xięcia. Nie jedna żona zaniedbana dla rywalki, tém zwróciła męża do siebie, że wpadła na myśl szczęśliwą innemu się podobać.

1) Nie pani to przystoi mówić.

2) Prawda, że pani udawałaś, że o tém nie wiesz.

X. Waragin. Tak próżny małżonek nie wart, żeby kobieta tkliwa dbała o jego przywiązanie.

Stolnikowicz. Masz słuszość xiążę, kto serce swoje poniża przed miłością własną, ten nie zasługuje na serce kobiety.

X. Sapieha. Wszystko to jest piękne i przykładowe, ale wy robicie ideały a hrabia i ja nie chcemy wyjść ze świata rzeczywistego. Wszakże czujemy potrzebę, żeby nasz wybor był upoważniony przez innych. Alexander Wielki wśród swoich podbojów z niecierpliwością oczekiwał zdania Ateńczyków; jakże chcecie, by człowiek posiadający tę którą kocha, nie pragnął, by inni pochwalili jego wybór.

Hrabia. Włosi mówią, że zemsta jest roskoszą bogów; na to się zgodzić nie mogę; ale że pobudzać winnych uczucie zawiści, jest roskoszą bogów, to jest rzecz niezawodna. *Exciter la pitié, c'est le supplice d'un damné* 1). Żebym się kochał na śmierć, żebym otrzymał wzajemność tej którą ubóstwiam, a żeby wszyscy mówili: »biedny hrabia, przywiązał się do koczkodana, a z tego tak uszczęśliwiony, jak gdyby posiadał wszystkie królestwa świata« oszalałbym ze wstydu i złości.— A jeślibym serca nie mógł uleczyć, pojechałbym z rozpaczą za morze, ofiarowałbym moje usługi buntującym się Amerykanom, *plutôt que de me courber sous le poid d'un amour ridicule* 2).

Stolnikowicz. Pan Trembecki między nami kość niezgody rzucił.

1) Wzbudzać politowanie, jest to męka potępieńca.

2) Zanim bym się ugiął pod ciężarem śmiesznej miłości.

Starosta. Pozwólcie państwo, bym wam jedną uwagę przełożył. Państwo sędzicie nie przywołując kobiet, o które tu szczególnie chodzi. Mężczyzna zakochany, jakkolwiek by pragnął ażeby przedmiot jego miłości dla niego wyłącznie tylko był powabnym, czy może bez zezwolenia téj którą kocha, wyciągać od niej podobnej ofiary, by we wszystkich innych obrzydzenie wzbudziła.

X. Waragin. Starosta trafił w sam punkt kwestyi. W rzeczy samej, sąd należy do dam, bo one tu są najwięcej interesowane.

Cześnikowa. (Spoglądając sentymentalnie na xięcia Waragina). A moje państwo, czy można wątpić by kobietę kochającą prawdziwie, mogło obchodzić czyjekolwiek zdanie o jej piękności, oprócz tego, któremu swoje serce oddała.

Xiężna Kasztelanowa. Ale moja kochana cześnikowo, wszystkim wydawać się brzydką, jest to ofiara, nad którą warto się zastanowić.

Starościna Opeska. Ile że ta ofiara, stałości męża nie zapewnia, a tak mocne wywiera wpływy na tych mężczyzn, że jak wszyscy nieszczęśliwą żonę ogłoszą za szpetną, wkrótce i mąż pójdzie za ich zdaniem.

X. Sapieha. A co pani krajczyna na to powie.

Krajczyna. (Z żywością, patrząc z ukosa na starostę). Mężczyźni są tak zmienni, tak obłudni, tak prędko zapominający przysięg swoich, że na żadne nasze ofiary nie zasługują.

Starosta zbliżywszy się do krajczyny coś jej powiedział półgłosem i siadłszy koło niej przedłużał swój dyskurs; nikt nie słyszał co mówił, uważano tylko, że silniej niż zazwyczaj poruszała wachlarzem. Nie daleko od nich siedział xiążę Waragin zawsze obok swojej cześ-

nikowej: między niemi były jakieś szepty, często przerywane całusami, które książę kładł na jej ręce. Książę podkomorzy koronny dotąd smutny, nie mieszający się do żadnego dyskursu, nie śmiało przybliżał się do starościny, a księżna kasztelanowa, obok niej siedząca, z taktem kobiety wielkiego świata, jakby z niechcenia powstała, a w rzeczy samej żeby im nie przeszkadzać rozmowy, i prosto poszedłszy do księcia Sapiechy, powiedziała mu:— *Cher Prince*, tak mnie gorąco, że wytrzymać nie mogę; zaprowadź mnie na salę, po której przechadzać się będziemy, jeżeli nie boisz się znudzić ze mną. Książę, *en galant chevalier*, ukłonił się jej z wielkimi wykrzyknikami i wzięwszy ją pod rękę wyprowadził do sali, gdzie liberya robiła przygotowania do zastawienia wieczerzy. Miała być nowalia, ostrygi prosto z Hamburga przywiezione. Że już było około północy, rozstawiały się półmiski i blaty z zimnemi potrawami, a beczka ostryg stała w kącie z wiekiem odbi-
tém. Czterej chłopcy doświadczeni, uzbrojeni w nożyki, otwierali ostrygi, i kładli je symetrycznie na ogromnych blatach, które potem lokaje zastawiali. Książę Sapieha, prowadząc nadobną partenerkę po obszernej sali, strzelał do niej sentymentalnemi słowy; księżna ich nie odpypywała, owszem zdawała się do nich zachęcać. Ale kiedy książę już do tego przygotowawszy się należycie, rozpoczął oświadczać jej swoje przywiązanie, i zabierał się domagać jej wzajemności; księżna, nie dawszy mu skończyć rzekła:— Mój książę, gotowi pomyśleć w salonie, że my ich wszystkich obmawiamy, wróćmy, żeby ich z niepokojności uwolnić. Książę rad nie rad, musiał ją na-
zad zaprowadzić, a lubo miał smutek w sercu, nie omieszkął wchodząc do salonu, przybrać minę tryumfatora;

bo w tym wieku, zalotności wyłącznie oddanym, modnym kawalerom nie tyle chodziło o to, żeby rzeczywiście być szczęśliwymi, ile żeby uchodzić za szczęśliwych.

Wróciwszy, zastali te same pary siedzące i rozmawiające z sobą. Żaden natrętny nie mieszał się do ich dialogów; znajomość życia, do najwyższego stopnia posuniętą była w salonach warszawskich, ona zastępowała wszystkie cnoty. Największa niesława spadała, naprzód na człowieka lękliwego serca, powtóre na człowieka bez taktu. Człowiek odważny, a do tego łączący takt i grzeczność w obcowaniu, mógł wszystko sobie pozwalać, ztąd była wielka słodycz w obcowaniu. Każdy wpraszający się do serca kobiety był pewny, nie tylko że od innych nie doświadczy przeszkody, ale owszem zachęty i pomocy. Wielka namiętność dla kobiety do wszystkiego upoważniała, a człowiekowi salonowemu, dawała pewną pozycję salonową, ściągającą powszechny szacunek. Tak dalece, że młody panicz stolicy, jeżeli się w nikim nie kochał, to udawał zakochanego, żeby być dobrze widzianym w towarzystwie. Można sobie wyobrazić ile ten świat był miłym a zarazem niebezpiecznym, jak trudno było pięknej kobiecie zachować hart duszy, kiedy będąc narażona na zaloty kawalera wykwińskiego wychowania, już przez się zdolnego podobać się, jeszcze to wszystko co ją otaczało zachętę i pomoc jej dawało, do zejścia ze stromych ścieżek cnoty. I w salonie starosty, jak zwykle natenczas, każdy był zajęty swoją. Wakujące damy kokietowały swobodnych kawalerów, bo wstyd był dla kobiety nie mieć kogokolwiek zajętym sobą. Xiężna kasztelanowa, zawsze oparta na xięciu Sapiezie, uwagi swoje komunikowała swojemu prze-

wodnikowi, jak to hrabia zaczynał się zalecać staroście opeskiej, która z przymileniem słuchała jego dowcipnych opowiadań o swoich wojażach; jak książę podkomorzy, zawsze zasmucony, coś mówił gospodyni domu, której nieczułości zmiękczyć nie mógł, a która chociaż grzecznie ale dość obojętnie go słuchała. Na środku salonu utworzyła się była gruppa otaczająca Trembeckiego, rozprawiającego o literaturze z uroczym wdziękiem. Oprócz księcia podkomorzego wszyscy zdawali się być z siebie kontenci; kiedy oznajmiono że wieczerza na towarzystwo czeka, wszystko powstało, starosta podał rękę pani krajczynie, każdy wziął swoją damę pod rękę i wszyscy poszli do sali.

Siedli za stołem bogato ubranym i zastawionym, a oświeconym kandelabrami i światłem z pajaków spadającym. Podano ostrygi, jedni rzucili się do nich z prawdziwą ochotą, drudzy, i tych część była nierównie większa, dla mody. Jedna Zosia tylko nie mogła przezwyciężyć swojego wstrętu od tej przechwalonej stawy; ale za to pan szambelan Oldziejewicz, człowiek mało mówiący, niepokąźny, ograniczony, a który wyglądał wieczerzy, jak pola popisów swoich, odznaczył się amatorsstwem: kilkaset ostryg zjadł z miną tryumfującą. I w rzeczy samej, ta możność połykania ostryg bez liku dawała mu jakąś konsyderacyę w towarzystwie znudzonem, i tylko do rzeczy niezwyčajnych przykładającem uwagę. Mawiano o nim— oto ten szambelan Oldziejewicz, który do razu może zjeść pół tysiąca ostryg.

Podczas gdy smaczne i nowomodne jada jedno po drugiem niknęły, a pienisty szampan zaczął krążyć, raptownie przybył do starosty jego sekretarz z papierem w ręku. Starosta odszedł do drugiego pokoju żeby go od-

czytać, a dawszy swoje rozkazy sekretarzowi, powrócił do sali z obliczem jak zawsze spokojném, i powiedział— najmilszą dla mnie zabawę przerwać muszę, posłałem po muzykę żeby państwu bal zaimprowizować, a w momencie kiedy ma się zaczynać, opuścić go muszę, ale za godzinę lub półtóry spodziewam się wrócić do państwa. Moją gospodyni z wami, a xięcia Waragina proszę, żeby do mojego powrotu moje miejsce zastąpił.

— Cóż to jest takiego? zapytali wszyscy.

— O, nic nadzwyczajnego, odpowiedział starosta oziębło, Król przysłał po mnie, ma coś ważnego do powiedzenia.

— Ach jakże z niecierpliwością* wyglądam' poranku, rzekła xiężna kasztelanowa, żeby się o tém dowiedzieć.

— I xiężna ukaraną będziesz za swoją ciekawość, bo pokaże się, że nic bardzo ciekawego, odrzekł starosta, co najwięcej, może poddanie się Częstochowy, albo śmierć jakiegoś Monarchy europejskiego.

— A wszakże Król dziś wieczór miał przepędzić u xięcia kanclerza, odezwała się pani krajczyna.

— Już dawno musiał wrócić do zamku, odparł starosta. Wszakże xiążę kanclerz zawsze o dziewiątej się kładzie, a tu (dobywając zegarek), patrzcie, państwo jak prędko w miłym towarzystwie czas schodzi, już koło drugiej po północy. Ale ponieważ muzyka gotowa, bawcie się państwo i czekajcie na mój powrót, dowiecie się po co Król mię wzywa. Proszę xięcia Waragina jako gospodarza otworzyć bal, i poprowadzić damy do sali tańców.

A przybliżywszy się do żony, powiedział jęj z cicha:— Dotrzymałem tobie słowa aniele mój drogi, cały dzień o krok ciebie nie odstaپیłem; teraz muszę pobiedz do

Króla, a ty staraj się gości bawić do mojego powrotu i to mówiąc czule ją pocałował w rękę i w czoło.

Kiedy towarzystwo ruszyło do tańca, on przeciwnymi drzwiami poszedł do swojej garderoby, najspieszniej przebrał się w mundur swojej chorągwi, a tak ubrany kazał się zawieźć do ujazdowskich koszar, gdzie stał zawsze dla niego przygotowany koń wierzchowy.



XIV.

Karczma pod Marymontem.

O małe pół mili od marymonckich rogatek, stała karczma do starostwa warszawskiego należąca. Ta karczma ciągle nazwisko swoje odmieniała: nosiła kolejno imię Marymonckiej Wulki, Wygody, Podwiki, w roku 1809 nazywano ją Wierzbin, może już odtąd kilka innych nazwisk przybrała. Ale w owym czasie, to jest przeszło siedmdziesiąt lat temu, nazywano ją Bruhlówką, a to z powodu że pan Brühl, starosta warszawski, swoim sumptem kazał ją pokryć gontami, gdyż przedtém z pod słomianej strzechy wyglądała. Ta karczma nie tak pięknie się przedstawiała jak dzisiaj, ściany miała krzywe, komin który się zdawał kłaniać przybywającym na hulankę, okna jak oczy zezowate, a jednak więcej dochodu przynosiła niż piętrowe kamienice stolicy, bo dla taniości gorzałki, zwłaszcza w dni świąteczne, tłumy pospół-

stwa warszawskiego tam się upijały. Gospodarzem był niejaki Kieść, podżyły Kaszuba, długi czas hajduk pana Brühla, starosty warszawskiego; postąpiony nareszcie na karczmarza, tak był wrosł w swoją karcznię, że chociaż inny starosta zastąpił miejsce pana Brühla, niesprawiedliwie wyzutego, Kieść nie dał sobie podkupić, dobrowolnie podniósł cenę, i utrzymał się na swojej dawniej posiadzie.

Kieść o niczem nie myślał, tylko o pomnożeniu swojej brzęczączki, która też w progressyi niemalej się wzmaciała. Jednak dziesiątek lat szynkując, obliczył się, że choć szynkarzowi może być nieźle bez gospodyni, wszakże daleko bezpieczniej z gospodynią, i zaczął przemyślać gdzie by to sobie wybrać towarzyszkę szynkarskiego żywota. Nakoniec w jednej garkuchni na Elektoralnej ulicy, gdzie z starą gospodynią miał ściśle stosunki, jak się później okaże, natrafił na dziewczynę młodą, rażną, przystojną, a która służąc w garkuchni, gdzie na flaki żołnierze gwardyi i lokaje mieyscy się schodzili, była oswojona ze wszystkimi tajemnicami szynkarstwa. Kieścia to nie zraziło że była w zaloty hojną, bo z wielkiem swoim zbudowaniem zauważył, że dla żołnierzy, zawsze gołych z powołania, była srogą jak lwica, ale dla lokai wielce przystępną, jeżeli zwłaszcza w możnych domach usługiwali. Rzecz pewna, że nie jeden z nich więcej talarków na nią przeumizgał, niż przepił na korzyść jej pryncypalki. Pieniądz lub cenny fant zaraz zmięczał jej serce, i tak była pod tym względem powszechnie znaną, że skoro kto nie miał dla niej talarka, ani się kusił jakim bądź przymileniem, skłonić ku sobie jej przelotne affekta. Względem pieniędzy tak była oszczędna, że uzbierała sobie trochę talarków w swojej skrzyn-

ce, i nie było dnia, żeby jaki talar przybysz nie pomnażał ich kwoty. Kieść pomyślił sobie, choć liczę lat pięćdziesiąt siedm, ale jestem zdrów; mnie potrzeba żony, a to właśnie gospodyni dla mnie; ładniutka, ściągając będzie ochotników do mojej szynkowni. Prawda że umizgalska, ale kuta na cztery nogi, na swoje umizgi nie z domu nie wyniesie, jeszcze z nich będzie przybytek. Ona pójdzie za mnie, bo ma rozum, wie że u mnie grosz jest: to wyraźnie dla mnie stworzone.

Tak pomyśliwszy, zaczął ją dość obcesowie w szynku, ale że powszechnie było wiadomo, że dla przypodobania się wszystkim pięknościom świata, nie zdobył by się na ofiarę jednego talarka, Jewka pogardliwym wzrokiem, jego umizg w perzynę obróciła, a dla większego despektu, odepchnąwszy go z łagodnością szynkarki, siadła na kolanach jakiegoś lokaja, by z nim pospołu urągać się ze starego. Kieść ręką kiwnąwszy, na znak że o to nie dba, wyszedł, ale zawsze coś go tam ciągnęło.

Kieść z właścicielką garkuchni był w ściślejszej przyjaźni, często jej podwoził gorzałkę, na czem podwójnie zarabiał, raz że część czopowego tym sposobem pobierał, powtóre że ile razy przybędzie do miasta, darmicą karmi się flakami i napawa dubeltowem piwem. Stara szynkarka wielce go poważała, miała go za człowieka bardzo mądrego, i gdyby się o nią samą oświadczył, z wielką radością oddała by mu swoją rękę; ale Kieść o czém inném myślał.

Raz rozmawiając z sobą w alkierzu, to o gospodarstwie, to o interesach, jak zwyczajnie zażyli przyjaciele, stara, między innemi, rzecze do niego:— Dobrze to ludzie mówią panie kumie, że kiedy Pan Bóg da komu ro-

zum, to go uczyć niema potrzeby; ta moja Jewka choć młoda, a taka mądra, że ja stara przed nią w ką. Wczoraj zaszedł do mnie sługa murgrabiego Saskiego pałacu; kazał sobie podać kufel piwa, i dawaj się zalecać Jewce. Ona jakoś niby się wahała, a ten żeby ją do reszty zmiękczyć dobywa z kieszeni zegarek, i mówi:— Jewciu, co moje to twoje, a co twoje to moje, czy na to zgoda?— ja myślałam że już po Jewce, bo choć dziewczyna jak malina, ale też i zegarek piękny. Ale Jewka na niego z góry— a niepójdziesz precz z swoim zegarkiem— powiadam panie kumie, że przystąpić do siebie nie dała, aż murgrabia jak niepyszny wyniósł swoje manatki. Jak się z nią zostałam, mówię jej:— a co się tobie zrobiło Jewciu, wszakże to zegarek kilkanaście talarów wart. A ona mnie na to— żeby mnie przyniósł zegarek lokaj polskiego pana, to by była pogadanka, bo choćby był i kradziony, polski pan o szkodę w domu niedba, co najwięcej obije ludzi, i na tém koniec. Lecz nuż on u swojego Niemca uchwycił, to by z tego mógł nastąpić taki rejwach, że kruki marszałkowskie do góry nogami miasto by przewrócili, wszystko i wszystkich trzęsąc; a jakby na mnie wybiła zła godzina, to trzęsąc po naszej szynkowni, może by się dopytali do mojej skrzynki. Lepiej się dorabiać cierpliwie, a poczeiwie. I cóż na to powiesz panie kumie; czy wiele spotkałeś takich dziewcząt?

Tém opowiadaniem dobiła Kieścia. Wyszedł zamysłony na ulicę, żeby nałykać świeżego powietrza i chodząc sam do siebie mówił, ale już głośniej niż przedtém:— a to skarb chodzący ta Jewka; z taką żoną i bez wielkiej filozofii można wyjść na człowieka; bo to gospodarność, i zdanie i ostrożność, uszanowanie dla talarów. Musi ona być moją; wszakże trzeba śpieszyć, by

mnie jęj kto z przed nosa nie uchwycił. To być nie może żeby w tak ludném mieście, jam jeden tylko na nięj się poznał.

Kilkanaście kroków zrobiwszy, śpiesznie wrócił do szynku, i zastawszy Jewkę samą, bo stara ugrzęzła już była w swoich betach, od tego zaczął, że ją chciał pocałować w rękę. Ona myśląc że to były preludya do zwyczajnych umizgów, ofuknęła go, mówiąc— idź że sobie stary sknero ze swojemi pieścizotami, także buziaczek! Prędzej byś pozwolił, żeby tobie serce wyrwano niż talarka, a chcesz się podobać dziewczętom.

— Słuchaj Jewko, mnie nie to co myślisz w głowie. Mnie nie umizgow, ale żony potrzeba. Chcesz być moją? będziesz panią, gospodynią w Bruhlówce, to zdaje mi się coś lepszego, niż służyć w szynku choćby na elektorálnęj ulicy.

— Czy Pan Kieść żartuje czy doprawdy? odezwała się Jewka, spuszcżając oczy.

— Ja, broń Boże, ja żartować nie umiem. Chcesz dobrze, nie chcesz, drugie dobrze. Czy to myślisz ja próżniak, żebym konkurował po miejsku; u mnie niema czasu do tracenia. Żeby każdy dzień miał jeszcze po drugich dwadzieścia cztery godzin, ja bym powiedział że i tego czasu mało. Ja się wpannie niby zalecam, a tu mnie aż we łbie trzeszezy, że nie wiem co się robi w Bruhlówce z moim szynkiem: albo jest tam żona, na którą się spuścić można. Tać to mam czeladkę: pachółka co drwa rąbie, babę co jeść gotuje, i wyrostka, com go kiedyś na ulicy z ziemi zdjął i dał mu edukacyę, że teraz mnie niby pomaga; a cała pomoc, że wytoczy z beczki w butel a z butla wleje w kwartę. Czy na

tém kończy się szynkarstwo? Jak ja z domu, to połowy tego się nie wyszynkuje co trzeba; to nie dość nalewać i przelewać. Trzeba gadać z ludźmi, zachęcać ich, jak się pokłóć godzić i na zgodę podsunąć gorzałeczki, trzeba się rachować a jak Bóg da, czasem nadrachować; co mam wiele gadać. Ciebie Jewko w ciemię niebito, ty te rzeczy lepiej znasz odemnie, dość że mnie nie obejść się na starość bez prawdziwej gospodyni; nie takiej, co to ja ją wyjąć mogę z kieszeni, ale takiej co ją wyprowadzę z kościoła.

—Może pan Kieś jest gwałtowny jak mu przyjdzie zazdrość do głowy.

—Ja mam być zazdrośny! a pfe duszeczko, za kogo ty mnie bierzesz? Czy to ja się żenię dla cackania się z tobą. Wszak to po pańskich dworach z maleńkiego służyłem; o te rzeczy co wiesz niedbam. Co to mnie chudemu pacholcowi ma być inaczéj jak wielkim panom? Ja nie wieśniak za piecem chowany, żebym na żonę ciągle patrzył jak żółw na swoje jaja: ja przecie mam adukacyę. Mnie w głowie żebyś dużo szynkowała jak będziesz moją: a zresztą swoje rób, mnie w to nie wchodzić, byle tylko ubytku nie było, bo w takim razie, ja żartować nie umiem. No panno Jewo, proszę się zaraz zdecydować, bo ja innéj pójde szukać.

— Kiedy taka wola Pana Boga żebym została jego żoną, to cóż robić.

— A więc obudźmy starą, i poprośmy ją o błogosławieństwo.

Obudzili babę, jéj trochę się zrobiło markotno, bo Jewka bardzo jéj była potrzebną, ale rada nierada musiała im dać błogosławieństwo.

Poszli do xiędza: jak to bywa, ogłoszono zapowiedzi. Przez te dni kilkanaście Kieść pewny swojego ani się pokazał w Warszawie, tylko pilnował swojego szynku, żeby na rachunek że jegomość zajęty panną młodą, czeladka sobie czegoś nie pozwoliła. A Jewka na wale tę ze wszystkimi swojemi kochankami hulala, i różne upominki lewicą i prawicą chwytala, żeby się potem przed mężem pochwalić, że jeżeli on bogaty, przecie i ją zupełnie gołą nie bierze.

Nakoniec nastąpił ślub. Pryncypalka Jewki z początku chciała żeby ona zostawiła część pieniędzy u niej zarobionych, występując z jakimiś rachunkami, i była o to żwawa przeprawa, bo Jewka broniła swojego grosiwa, jak żadna dziewczyna mężniej swojej cnoty bronić nie może. Ale to wszystko się ułatwiło, jak pan Kieść się wmieszał; gdyż jak stariej oświadczył że jeżeli będzie takie utrudzenia wymyślać, to on z nią rozbrat zrobi nazawsze, i niech sobie kogo innego szuka, coby jej gorzałkę podwoził, baba się zmiękczyła, że nawet sama wesele im sprawiła. A nazajutrz Kieść, żoną i jej skrzynką naładowawszy swój wózek parokonny, a sam powożąc, zawiózł ją na swoje hrabstwo.

Żył z sobą od lat trzech szanowne stadło bardzo przykładnie, bez swarów, bez kłótni. Jeden i ten sam cel mieli oboje, mnożyć pieniądze jak można, i z kąd można, a o resztę nie dbać. Kieść był najszczęśliwszym z ludzi. Lokaje ciągle wykradali się w nocy z miasta, dla odnowienia komitywy z Jewką: czy który co wskórał czy nie, różnie bywało; ale to pewna, że co tylko mieli z sobą, wszystko to przepijali. Nie na tém koniec: Kieść za defraudacyę cla miejskiego wpadł był w taką kabałę, że gdyby był kawalerem, do szcztu by

go zniszczono; a może by się nawet od pręgierza nie wykręcił. Ale jak zaczęła Jewka kręcić się po assessorach sądów marszałkowskich, a zalecać się jako niewinna wieśniaczka przywiązana do męża, a płakać, a padać do nóg, a zobowiązywać jako mogła, bez najmniejszej ofiary wspólnego grosza, li tylko przemysłem własnym, męża z kłopotu wyprowadziła. Czém go tak zawojowała, że została panią samowładną i szynku i całego gospodarstwa. Kieść odtąd był jój uniżonym sługą, jak Sultan Turecki fajkę tylko palił i rachował, a jego wezyr w spodnicy rządził szynkownią. Palenie tytoniu było materyalną częścią czynnego żywota kieściowego, część zaś umysłowa była ascetyczna kontemplacya wysokiego rozumu żony i słodkości pieniędzy wspólnie zarobionych.

W nocy z 17 na 18 Listopada spoczywało małżeństwo w alkierzu, a świeczka pryskając oświecała izbę. Pacholek i wyrostek spali w stajni, a stara gospodyni leżała w szynkowni na przypiecku, gotowa na każde zawołanie. Nikt do karczmy nie zawitał co się rzadko zdarzało. Nie było nie do roboty, dla tegoż gospodarstwo położyło się wcześniej jak za zwyczaj, jednak nie spało, tylko wylegało się; bo wątpię żeby jaki szynkarz lub szynkarka warszawscy w nocy mogli prawdziwie zasnąć.

— Jewko, odezwał się Kieść, nikt na nas dziś nie-laskaw; tęskno, bo codzień jakiś wydatek, a téj nocy nie nie przebywa.

— Cichobyś leżał stary, prawdziwie to grzech tak Panu Bogu się naprzykrzać. Że od wieczora zawierucha, jakiej w życiu podobnej nie pamiętam, trudno żeby z mia-

sta kto do nas trafił; a chcesz każdej nocy mieć gości, to trzymaj szynk w Warszawie. Jednak bywają noce, że jedna za kilka stanąć może, na przykład wczorajsza.

— To prawda moja Jewko że wczoraj dobrze nam poszło. Uzbieraliśmy trzy talary bite, a dydkami czterdzieści jeden złotych; a oprócz tego przepili u nas cztery siekiery, dwie surowe cielece skóry, dwie xiązki do nabożeństwa, jedną nowiutką spodnicę, trzy chustki do nosa cienutkie, szydełko z perłowej macicy, i ostatki świec woskowych prawie na trzy oka. Widzisz że choć stary, a nigdy nie zapomnę o tém co w skrzynkę wpadnie.

— Powiedzże staruszk, czy po takim dniu zyskowym, niemożna dwa drugie odpocząć?

— Ba, ja się do tego tak dobrze jak nie mieszam, bo ty mnie wyręczasz; ale pamiętaj że to cośmy wzięli, to nie tak, jak to co pan chudemu pachółkowi wyświadczy— weź durniu i kwita. Tu dano, ale i wzięto, bo i gorzałka sama nie wypędza się, i za ratę trzeba zapłacić plenipotentowi pana starosty, i prawie drugie tyle mu dać żeby nie wymiółł nas z karczmy jak śmiecie.

— A ty stary nie liczysz najbogatszego naszego akcydensu wczorajszego?

— A co takiego?

— A pięć łyżek stołowych i kochlę, co nam przyniósł stangret pana miecznikowicza koronnego. Nieborak myślał że tém parę tygodni może pohula, aż oto w jednej półgodzinie to wszystko u mnie zostało. Cóż my mu dali za te jego srebro, o to półkwarty gorzałki, i pół garnca maliniaku.

— A prawda duszeczek, a gdzieś to sreberko po-działa?

— At, cieszyłbyś się że wyleżysz swoje stare kości, chociaż i tak niebardzo teraz ich męczysz; ale co do mnie, takie psie życie prowadząc, pewnie twoich lat nie doczekam.

— A jakże odwagę tracisz Jewko, ja stary a wytrzymałszy, przy tobie dopiero zleniwiiałem trochę; albo nie czas? Ale pokąd sam się trudniłem wszystkim, to bywało dzień i noc na nogach; wtedy się nudzę, kiedy śpię. A jak mi się zdaje że już zmęczony jestem, ale tak że ruszyć nie mogę, to jak przerachuję co się zrobiło, jak ręką odjął; już mi się zdaje, że dwie doby leżałem do góry brzuchem. Taki to był ze mnie gracz Jewko.

— Oj prawda, wiele to tych pieniędzy nazbierałeś za twojego kawalerstwa; więcej było u ciebie słów w gębie, niż talarów w skrzynce. Co ty wart bezemnie: jak wszystko weźmiemy pod kredkę, to się pokaże, że odkąd mnie wzięłeś, jest więcej talarów, niż było złotych. Tobie się zdaje, że ty wielki majster do robienia pieniędzy, bo aby tobie pokazać zysk, jak wróble na żer padasz, i nie wchodzisz w to, że jest taki zysk co bokiem wychodzi. A czy dawno oduczyłam ciebie gorzałkę podwozić do miasta. Żeby nie ja, dotąd może-bys bardzo cienko śpiewał. Ale ty zawsze swoją masz naturę; jak nam się dostało sreberko od stangreta, toś się cieszył, i tobie w głowie nie było tylko cieszyć się; a ja jak tylko ranek nastał, tyś spał jeszcze, a ja łyżki i kochłę w tygiel, a tygiel w piec. Myśle sobie, nuż cudze znalazł i tu przebulał, a u nas kiedy to poznają, wstyd, a może gorzej niż wstyd. Widzisz Kieściu, że masz żonę niegłupią.

— A czyż już ja taki basałyk żebym się na twoim rozumie nie umiał poznać. Tobie być wojewodziną, nie-tyle szynkarką. Ja choć po pańskich dworach wziąłem adukację, choć byłem wszędzie, i można mnie pytać nie o to co wiem, ale o to czego nie wiem, a wyznaję przed tobą, i przed drugimi to wyznam w potrzebie, że przy tobie wyglądam jak pacholę, chociaż na mnie sześć krzyżyków gdzieś nakarbowano. W tamtą niedzielę, ty zostałeś w domu, a ja poszedł do kościoła modlić się za dwóch: to kiedy xiądz pleban powiedział na ambonie, że dobra żona błogosławieństwo boskie niesie w dom, ja zaraz o tobie pomyślałem, aż ledwo łzy w oczach mnie nie stanęły. Ty jesteś mój aniołeczek; przybliź się do mnie moja Jewko, niech cię ucałuję.

— Ot czego się staremu zachciało; leżałbyś spokojnie. Tyś mnie sam powiedział przed szlubem, że nie dla pieszczoty ale dla gospodarstwa mnie bierzesz. Mnie w głowie żeby jeszcze odrobinę uzbierać grosza, i porzucić ten szynk; a potem kupić kamieniczkę w Warszawie, i w niej żyć jak Bóg przykazał.

— A z czego żyć?

— Będziemy sobie żyli jak ludzie poczciwi: paniczom pożyczać pieniądze na miejskie procenta, od innych brać fanty na zastaw; zwyczajnie żeby ludziom śmiało w oczy spojrzeć, nie tak jak dziś. Już mnie to nasze szynkarstwo obrzydło. Na ostatniej spowiedzi xiądz mnie takie rzeczy nagadał, że aż włosy na głowie powstają. Tobie staremu nie, chociaż śmierć na nosie; ty za sto złotych duszę byś djabłu zaprzedał; ale ja od Wielkiejnocy rady dać sobie nie mogę. Sama nie wiem czego się boję, a boję się; póki hulam z chłopcami, zdaje mi się żem wesoła, ale jak sama, a z tobą, to taki smutek, taki

smutek. At, co tobie gadać, ty tego nie zrozumiesz; ty do wszystkiego złego mnie podjudzasz, piękny z ciebie mąż.

— A wszakżeś ty się bała żebym nie był zazdrośny.

— Cicho leż stary nie dobrego. Wolisz spać, kiedy sumienie ciebie nie kole; spodziewam się że w taką zawieruchę nikt cię nie obudzi.

I nastąpiła cichość. Ale wkrótce Kieś raptownie poruszył sąsiadkę.— Jewciu, odezwał się, Jewciu, coś się zdaje, że gości mamy.

— To się tobie tak przyśniło, odpowiedziała Jewka ziewając; ale nie, stary ma słuch wprawny, doprawdy ktoś stuka w okienicę.

— Kto tam, otwierajcie, bo do stu par djabłów karczmę każę zapalić!— dał się słyszeć głos jakiś chrapliwy, ale donośny.

— Wstawajże stary hultaju, rzekła Jewka, ruszaj na przeciw gości, i obudź Magdę w szynkowni, ja tym czasem coś wezmę na siebie.

Kieś nasunął na nogi bóty jałowicze, narzucił kożuch i wrota od stajni otworzył.

Czterej jezdni do niej weszli, i zsiadli z koni.

— Gdzie jesteśmy? Co to za karczma?— zapytał pan Łukawski, bo nim był ten, który gospodarstwo tak niegrzecznie obudził, a czytelnik już się domyśla, kto byli jego towarzysze— powiedz no stary, czy daleko ztąd do Celinowskiej karczmy?

— Jest to karczma nazwana Bruhlówka do usług wielmożnego państwa: do Marymonckiego młynu mamy ćwierć mili, a do Celinówki lekka miłka, siakim takim kłusem za trzy kwadranse stanąć można.

— A do stu tysięcy par djabłów, jakże my szkaradnie zbłądzili! No no, jakoś się odlatamy.— To rzekłszy, konie porozstawiano przy żłobie, a wszyscy weszli do izby, prowadząc między sobą jakiegoś pana, zawiniętego w bogatej szubie, a który ciągle milczał. Już Jewka coś była wzięła na siebie, i już ze zwykłym uśmiechem na uściech, a ze świeczką w ręku, zaczęła się szwędac około swoich gości, każdemu z ukosa w oczy zazierając.

Pan Łukawski towarzysza w bogatej szubie przeprowadził do alkierza, i rzekł mu— Pan tu mnie poczekaj, na łóżku gospodarskiem spocząć można, i nawet tak życzę, bo wkrótce pojedziemy dalej.— Tu Kuźmo pilnuj go, masz pistolet w ręku; wiesz jaka twoja powinność na przypadek gdyby chciał ujsć, lub czego się nie spodziewam, żeby kto chciał mu dopomódz. Z oka go nie spuszczaaj. Żebyś się czasem nienudził, zostawuję tobie Jaszczułta (tak się nazywał żołnierz zaufany Łukawskiego), a ja, z panem Michałem, pójdę szukać naszych, i tu ich z sobą przyprowadzę.— A do Kieścia— Mości gospodarzu, waść musisz znać wszystkie tutejsze drogi— waść siądziesz na koń, i poprowadzisz nas do Celinowskiej karczmy, za to dostaniesz trzy czerwone złote. Tylko się nie wahaj, bo zaraz cię tém poproszę, i pokazał mu rurę od pistoletu.

— No stary, odezwała się Jewka, trzy czerwone złote z deszczem nie padają, ruszaj gdzie pan każe.

— A cóż mam robić, odpowiedział Kieść, kiedy tak pięknie proszą.

— Do zobaczenia, rzekł pan Łukawski Kosińskiemu i Jaszczułtowi, i wyszedł do stajni za Kieściem.— Kieść

siadł na konia, toż samo Łukawski i wojski; było około jedenastej w nocy.

Nieznajomy siadł na łożku, wkrótce potem powstał, zrzucił bogatą szubę, uklęknął, i zaczął się modlić. A Kosiński, z pistoletem w rękę, siedział na skrzynce przy drzwiach, patrząc ciągle na swojego jeńca.

Jaszczuł i Jewka wyszli do izby szynkowej. Jewka zabierała się z nim poznać, ale ledwo się w niego wpatrzyła, przybliżyła świecę do swojej twarzy i krzyknęła—Kubusiu! czy już mnie nie poznajesz? czy już tak się zmieniłam od lat czterech?

—Ach Jewka kochana, odkrzyknął żołnierz, i oboje rzucili się w swoje objęcia.

Dla objaśnienia czytelnikowi tego ich poznania trzeba go oświecić, co za człowiek był ten żołnierz: prawdziwe jego nazwisko było Flicz; ale ledwo wyszedł z dzieciństwa już był z niego hultaj zawołany. Kilka razy oświadczony z wyroku Magistratu Wschowskiego, za różne drobne złodziejstwa, uciekłszy z miasta, postąpił na wyższą skalę, bo związawszy się z kilku subjektami podobnego jemu sposobu myślenia, zaczął rozbijać na wielkim trakcie. Imię Flicza, zachowane dotąd w podaniach gminu Wielkopolskiego, wkrótce zostało postrachem całej okolicy: przystojny, dowcipny, nadzwyczajnej śmiałości, wnącał się do domów obywatelskich, i zawsze udawało mu się je okradać. Okolice Poznania, Kalisza, Sieradzia były polem jego popisów, a nawet okrucieństw. Wkradłszy się do Wschowy, miejsca urodzenia swojego, gdzie chciał się pomścić na burmistrzu za chłosty, kiedyś za jego rozkazem odbierane, został zdradzonym od jednego ze swoich współników, który tym sposobem przebaczenie dla siebie otrzymał. Dekretowany na śmierć,

udało mu się wyrwać z rąk tych, co go do więzienia odprowadzali, i uciec do kościoła; a ztamtąd pomimo straży otaczającej kościół, wymknął się z miasta w nocy, rzekę wpław przebył i wkrótce stanął na czele bandy rozbojników, silniejszej niż wprzód, i plądrował okolice Sieradzia, na domy szlacheckie nawet napadając. Pełno było na niego dekretów sądowych, a żadnego na nim spełnić nie można było, dla niesłuchanej jego przebiegłości, obok słabości środków wykonawczych, będących wówczas w szafunku rządowym. Jednak mu się noga powinęła: bo gdy w okolicach Leszna, szedł duży transport, pod eskortą milicyi xięcia Sułkowskiego, Flicz odważył się napasać na ten konwój. Milicya dzielnie się broniła, większa część jego towarzyszy życie lub wolność utracili, i on sam dostał się do niewoli. W Lesznie Magdeburya jego kolegów powiesić kazała, a jego samego pod strażą silną odesłano do Wschowy, żeby na nim były spełnione wszystkie wyroki przez Magistrat tameczny ferowane. Ale właśnie wtenczas wojna domowa szerzyć się zaczynała w Wielkiej Polsce: pan pułkownik Łukawski spotkawszy eskortę rządową rozpędził ją, a każdemu prześladowanemu od rządu sprzyjając bez pytania czy sprawiedliwie czy nie, Flicza uwolnił, i nawet zaciągnął do swojej komendy. Odtąd nowa era nastąpiła dla zbrodniarza. Wykonawszy przysięgę konfederacyi, był jej wiernym, a przytomnością i dziką odwagą ściągawszy ku sobie szczególne względy Łukawskiego, stopniami przyszedł nakoniec do najściślejszego jego zaufania. Pan Łukawski nie tylko używał go w bojach, ale doświadczał jego zdolności w różnych poleceniach, przewzawszy go Jaszczułtem, by zakryć nazwisko splamione wyrokami sądowymi. Pod różnemi nazwiskami Flicz wci-

skął się gdzie mu wódz rozkazał, wszędzie się sprawiał należycie, wszystko wyszpiegował, po zamkach pańskich, po domach szlacheckich, po folwarkach, po chałupach wieśniaczych, po różnych miastach i miasteczkach, a szczególnie w Warszawie; i zawsze powracał na punkt i dzień naznaczony, przynosząc swojemu wodzowi stanowcze doniesienia. Przesiadując często w Warszawie, a pod nazwaniem Kuby wyjednawszy sobie przytułek właśnie w tejże samej garkuchni, gdzie Jewka rozpoczynała swój zawód szynkarski, z nią się poznał, i wkrótce zbałamuciwszy dziewczynę, pierwszy ją rzucił na ten tor rozpusty i nieprawości, w których się potem sama wydoskonaliła. Rzecz dziwna, a jednak nie rzadka między podobnemi istotami: Jewka go kochała namiętnie, i nigdy o nim myśleć nie przestawała. Ile razy Kuba się pokaze w Warszawie, Jewka robi rozbrat ze wszystkiemi swojemi kochankami, i tylko nim jednym jest zajęta; nawet pomimo jej beczelnej cheiwości, nie wahała się często udzielać Kubie jakiejś części zarobionego przez siebie grosza. Zawsze piastowała nadzieję być kiedyś z nim nierozłączną; nawet poszedłszy za Kieścia, ulubioném jej było marzeniem, że pochowa swego obrzydliwego starca, że wtedy drogi Kubuś się pojawi, że zostanie jego żoną, że jego z bogaci, i powróci pod jego opieką na ten gościniec cnoty, co go od lat tylu opuściła. I co dziwniejsza, łotr podzielał te uczucia nierząduicy, chociaż od jej zamążpojęcia, nigdy nie widzieli się z sobą.

Wielka była ich radość, kiedy się z sobą spotkali.—
Cóż moja Jewko, zaczął Flicz, wolałaś sobie dobrać gagacika z łysiną i siwym wąsem, niż na mnie czekać. Z tém wszystkiem jak uważam źle się wam nie dzieje.

— A cóż, zwyczajnie z łaski Pana Boga, jest jakiś grosz, ale szczęścia nie wiele. Ty bywało to się pokazesz, to znikniesz nie wiedzieć gdzie, a dziewczynie nie wiekować dziewczyną, żeby się niedoczekać aż jej ludzie powiedzą— siedź stary grzybie, bo już cię nikt nie zdybie.— Abo to się nie naprzykrzyło z liberyą przestawać; ale jak ludzie mówią, wiele robi kto musi. Kieś stary a bogaty powiada mnie— »Jewko, chcesz być moją, ja z tobą się ożenię.« Trudno mu było odpowiadać— nie, wolę cudze kąty wycierać niż mieć własne gospodarstwo.— Ciebie Kubusiu nie było, Kieściowim się dostała.

— A mąż twój ludziany?

— At zachciałeś, rozbojnik ma więcej sumienia od niego; on Pana Boga się nie boi, u niego pieniądz wszystkiem. Odkąd z nim żyję, złotych nie dał na mszę. Ja chciałem żyć po Bożemu; myślę sobie: chyba Kubuś przybędzie to z nim poszaleję, bo on do mnie ma pierwsze prawo, ale ktokolwiek inny mnie zaczepi, do wścior-naskich, ożogiem mu odpowiem. Albo mój stary ładaco dopuścił mnie pocziwie prowadzić się? on na wszystko złe mnie uaprowadził.

Co ty za szynkarka, prawi, co od ludzi stronisz; to chcesz żeby u nas były pustki, a my z torbą poszli; jam ciebie nie na to wziął. Cóż to? tyś mnie posag wniosła, żebyś miała prawo mówić ten dobry, a ten niedobry. Abo ja bym się z tobą ożenił, żebyś nie miała przyjaciół: oni za tobą i tu lizą, a jak ty będziesz ich odstręczać, to ja pięknie na moim szynku wyjdę. Rób po dawnemu Jewko, uczciwych ludzi nie gniewaj, a tylko się sróż na takich, co mają pustki w kieszeni.

A, powiedziałaś mu, kiedy ty taki pocziwy, to dobrze, co mam sobie żałować.

— Kubusiu drogi, wypij no kwartę maliniaku, ty kiedyś to lubił.

— Nalewaj kochano Jewko, z ręki twojej truciznąbym przyjął. No powiedz-że mnie, kiedy tak, to pieniądze płynąć do was muszą?

— Tak to grzech był-by się skarżyć. Tej nocy zawierucha, więc prócz was nikogo niema, ale jak tylko można nosa pokazać na podwórzu, to koło mnie o tej porze liberyi, jak koło jakiej wojewodziny. A żaden z próżnemi rękami nie przychodzi, ani powraca cokolwiek jeszcze mając w kieszeni; bo oni wiedzą, że tu niczego ani darmo, ani na borg nie dostać. Tobie jednemu to ujdzie Kubusiu, bo jeno ciebie co sama kocham, a drugim pozwalam tylko siebie kochać.

— Ach duszeczko moja, jak że ty o mnie nie zapomniała w takim bogactwie; bo że ja ciebie kocham, nie dziwnego; temu co ciągle bieduje niestałym nie być.

— Ach nie gadaj mnie o twojem biedowaniu Kubusiu, póki się u mnie znajdzie złotówka, zawsze mieć będziesz prawo do srebrnego grosza. Ot wiesz co mi przyłazło do głowy— mój stary niecnota dychawiczny, nie długo pociągnie. Co mnie z tem że ludzie powiadają że go za nos wodzę, kiedy ja jego cierpieć nie mogę, a za tobą szaleję. Jak go pochowam, zaraz pójde za ciebie, a ze mną dostaniesz pieniędzy więcej niż się spodziewasz; i będę żyła tak pocziwie jak xiądz pleban każe, będę pocziwa jak stara, choć dopiero dwódziesty piąty rok zacząłem.

— Mój gołąbeczku, teraz jeszcze pójde w świat, i to już po raz ostatni, a wkrótce wrócę do ciebie Jewko, i przy was osiadę, i będę czekał z wami, aż starego na cmentarz zawiozą.

— A dla czego zaraz mnie chcesz rzucać, czyż tobie tak dobrze bezemnie.

— Obowiązki, moje serce: czy to każdemu jak tobie udaje się robić po myśli swojej.

— Powiedz-że mnie Kubusiu, co to za pan, co w tak bogatej szubie, w alkierzu siedzi, i nie nie mówi; co wy myślicie z nim zrobić?

— O to mnie nie pytaj, to sobie zwyczajnie pan, dobry przyjaciel mojego.

— A hultaju to ty tak mnie kochasz. Cztery lata ze mną się nie widział, i na to przychodzisz, żeby za moje czułe przyjęcie mnie zwodzić; idźże sobie precz odemnie kiedy tak, już ciebie i znać nie chcę.

— Ale mój gołąbeczku, co moje to twoje, ale co nie jest mojem, tego ci dać nie mogę. A wiesz duszeczeko, żebym coś powiedział co nie trzeba, to mnie za to mogą poczęstować szubienicą.

— Już ja ciebie pewnie nie zdradzę Kubo. A czy ty myślisz że mnie oczy zamydlić można; ja tylko z ukosa okiem rzuciłem, a zaraz poznałam co to za jeden.

— Kto?

— Oto sam Król. Zaraz mnie powiedz co myślicie z nim zrobić.

— Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, bo już ci przed moją Jewką kłamać nie będę, my go chcemy zaprowadzić do Częstochowy.

— Czy ty oszalał Kubo! Króla ciągnąć przeciwko jego woli, a co ty myślisz? Szlachcica zacząć strach, pana to jeszcze większy strach, a zrobić gwałt Królowi ma na sucho ująć? W szkaradną rzecz dałeś się zaplątać Kubusiu, a jeżeli od tego się nie odplącesz, wspomnisz moje słowo, że wisieć będziesz. Wolałbyś kościół

okraść niż się zahaczyć o Króla. Czy ty wiesz co to znaczy Król, to więcej niż Biskup, bo Biskupi go w rękę całują; to coś na świętego zarywa— Na takiego się porwać— aż włosy na głowie powstają, aż mrówie po ciebie przechodzi. Bywaj-że zdrów Kubo, ja uciekam z domu, dopiero nieszczęście na mnie naprowadziłeś.

— Ale Jewciu moja, za godzinę najdalej nasi powrócą, i nas z sobą zabiorą; a tak i nieszczęście ztąd wyniesiem.

— Ale jaki z ciebie cap Kubo.— Królem wedle swojego widzi mi się obracać, to tak łatwo jak fryjerowi kieszeń oderznąć.— On w ręku waszém będzie, a jak zechce, wy osłepniecie, a jemu nie się nie stanie.

— Gadaj sobie zdrowa co chcesz, a już nie mnie się cofać. Czy wiesz, że tyle jest na mnie dekrétów, że gdybym miał dziesięć szyj a za każdą mnie powiesili, to jeszcze bym nie odwisiał tego wszystkiego co się mnie należy. Czy tak, czy inaczej ginąć mnie na jedno.

— Otoż to właśnie, że na taki kłopot jeden tylko Król poradzić może, jak mu pomożesz do wyratowania siebie; co on zresztą i bez ciebie dokaże. Tać to ja Warszawianka, z małeńka na Królów patrzałam, znam się lepiej na nich niż wy, co to którego z nich raz w rok widujecie. Ja głowę daję w zastaw, że jak ty zawczasu o sobie nie pomyślisz, to na to wyjdzie że Król jak jest tak będzie Królem, a ty w dobrej kompanii nogami dyndać będziesz; ja ci to mówię.

— A z kąd-że taka przepowiednia?

— Oto ztąd, że wy chmyzy, charłaki, a on Król, pomazaniec Boży; a posłuchaj-no co o nim mówią xięża z ambony. A czy to go nieświęcili w kościele? Ja sama pamiętam jak wychodził z kościoła, mając złotą ko-

ronę na głowie, a na sobie płaszcz karmazynowy piękném futerkiem podszyty, a jak to wszystko było mu do twarzy. Miej litość nad sobą Kubusiu. Tać to on jest Królem naszym, jak Pan Bóg jest Królem Nieba; jak jemu się okażesz wiernym, to on cię zrobi szczęśliwym. Mówisz że na ciebie są dekreta, a któż cię z nich odlepi? Jużci nie twoi Konfederaci? ale Król czegoż nie może zrobić? On jak zechce, to mój stary rozwód będzie musiał wziąć ze mną, a ty zostaniesz moim mężem; on ciebie robi nie tylko niewinnym, ale nawet szlachcicem kiedy mu w myśl trafisz. I wtedy będziemy mogli mieć własną wiośczynę, bo na to u mnie się znajdzie grosza, a czego nie dostanie, to Król doda; bo czego nie będziesz miał prawa wyprosić, jak go wyrwiesz z rąk tych oprawców co ciebie opętali.

— Ale jakże to zrobić moja Jewko, bo ty wiesz że u kija dwa końce.

— Nie łatwiejszego: są tu sanki i chabety nasze w stajni, czyż go nie można zawieść do Marymonckiego mły-na. Oświadczmy Królowi naszą pomoc, i posłuchajmy co on nam na to powie— on i sobie i nam poradzi.

Tu Jewka siadła na kolana Flicza, zaczęła go pieścić i całować, mówiąc— o biedna Jewa, kiedy Kuba się waha, i siebie i ją chce zaprzepaścić.

— Niech i tak będzie gołąbeczku drogi. Niech tylko mnie Król oczyści, żeby ani żaden grod, ani magistrat do mnie nie miał prawa, a z resztą niech da co jegołaska, a ja go już ztąd wyprowadzę.

— Tylko rób ostrożnie Kubusiu, bo tu nie ty jeden, jest tam jakiś drugi co Króla pilnuje, żeby się on czasem tobie nie sprzeciwił.

— At co ty mnie gadasz, ja trzech się nie boję, a

jednemu bym nie miał dać rady. Wielkie mi święto pan Kuźma Kosiński: będzie ze mną trzymać, to mu powiem Bóg zapłać, a zechce robić po swojemu, to mu tak dam po łbie, że twardo zaśnie, a że to dla Króla, będzie o to pokój z Grodem. Tylko widzisz Jewko, co mnie teraz w głowie— Póki Król w jamie, to siła będzie obiecywać, ale jak go wyciągnę z jamy, żeby mnie potem nie opuścił.

— Jaki ty głupi Kubusiu; tobie się zdaje że to z wójtem lub rajeją sprawa. Szlachcicowi połgać się wstyd, a chcesz żeby Król puścił się na oszusta. Niby to dla niego wielka sztuka dotrzymać obietnicę; jemu łatwiej uszczęśliwić chudego pacholka, niż tobie plunąć; a list żelazny dać na uspokojenie wszystkich Magistratów, na to cały zachód żeby piórem pociągnąć po papierze. Ta czy to jeden tym sposobem wyrwał się od szubienicy, za to tylko że jakaś pani przed Królem udygnęła; a ty wyratowawszy go, byś się miał obawiać stryczka, i to za takie grzechy, o których już zapomnieli. Co to? ty myślisz że Króla uwolnić to piechotą chodzi; wszakże pany i szlachta same z siebie nie wyrosły jak grzyby. Wszyscy z początku byli prostaczkami, a jakiś Król zawsze był nad nimi, bo i Pan Bóg jeszcze nie myślał zostać człowiekiem, a już był Królem na Niebie. Otoż jak jaki prostaczek zrobił przysługę Królowi, ten go postąpił na szlachcica, a jeśli jeszcze większą to na pana; a czy kto zrobił kiedy Królowi większą przysługę, niż ta która się tobie nadarza. Tobie szubienica w głowie, a w to nie wchodzisz że co najmniejszego cię spotka, to że zostaniesz szlachcicem, a jak się potem ożenisz z Jewą, to ona w kościele będzie w ławce siedzieć między szlachciankami.

— Każżę Jewciu twojemu wyrostkowi założyć chabety do sanek, a ja pójdę sprawić się w alkierzu. Tylko nie trać minuty, żeby nasi [nie] powrócili przed czasem. Dwadzieścia koni, [to nie z jednym robota, a między niemi są Litwini, co kiedy który z nich się odezwie, zdaje się że śpiewa, aż śmiech, a takie zuchwałe że jeden na dziesięciu się rzuci— No ruszaj Jewciu, a daj mi buzi na szczęście.

— Poczekaj, każę zaprzęgać wyrostkowi, i pójdę z tobą do alkierza.

Obaczmy co się w alkierzu dzieło.

XV.

Majestat Królewski.

Zostawiliśmy Króla modlącego się pod bacznym wzrokiem swojego strażnika. Stanisław August był głośnym wyznawcą filozofii XVIII wieku; więcej dbał o szacunek Woltera, niż o przychylność własnych poddanych. Okazywał wstręt od wszystkich tych, co nie zboczywszy ze staropolskiej pobożności, nowym wyobrażeniom do siebie przystępu nie dawali. Otaczał siebie libertynami, wolno myślącemi, rozpustnikami pełnemi dowcipu, którzy nie przestawali w jego obliczu szydzić z tych co ich nazywali nabożnisiąmi, zabobonnikami, Sarmatami; potakiwał ich żartom, obsypywał ich łaskami. Żaden Monarcha nie przyczynił się tyle do rozpowszechnienia niedowiarstwa w narodzie; a jednak przez tę sprzeczność, którą tajniki serca ludzkiego częstokroć okazują, nie tylko że nie był bezbożnym, ale nawet był skłonny do tych wszystkich powierzchownych oznak, do tych wszystkich podrobnych praktyk, coby je można nazwać zdawko-

wą monetą pobożności. Po wieczorze przepędzonym z powiernikami obojęd płci, gdzie słyszał z upodobaniem najwyższymi pociski miotane na wiarę ojców, do czego własnych szyderstw nie szczędził, widziano go, samego sobie oddanym, rzucającego się o ziemię przed obrazem Najświętszej Panny, zalewającego się łzami na widok ukrzyżowanego Zbawiciela, modlącego się ze wszystkimi oznakami jakiegoś zachwyty. Co piątku zamykał się na parę godzin z ojcem Wargackim Paulinem; spowiedzi, lub inne ćwiczenia duchowne z nim odbywał, a nazajutrz oddawał się tej samej lekkomyślności w mowie, tej samej rozwiązłości w nałogach.

Też sprzeczności okazywał i w sprawowaniu rządów; pierwszy rzut jego oka był zawsze mądry i zbawienny, każda czynność następna była ledwo nie zawsze nieszczęsną. Ile razy zawakuje urząd, pierwsze jego oświadczenie bywało za takim, co go i opinia powszechna sądziła być najgodniejszym jego piastowania, a w końcu powierza go jakiemuś zausznielowi, jakiemuś dworakowi nieznanemu lub źle znanemu od narodu, ale popartemu wstawieniem się jakiejs damy. Pan łagodny, nie mogący zniesć obojętnie nie tylko widoku, ale nawet opowiadania cudzego cierpienia, w ciągu swojego panowania dopuścił się kilku czynności tak okrutnych, że władzca z twardem sercem nad nimi nieco by się zastanowił, i to względem osób niewinnych, i nawet bez cienia istotnej potrzeby. Nie mściwy, uraz niepamiętny, kilka osób co przeciw niemu zawińczyły, niezmordowanie prześladował aż do wzniesienia w ich sercu rozpacz, i to nader poziomymi środkami 1), cho-

1) Naprzykład, jeżeli kto się kiedyś naraził Królowi, a miał z kim prywatną sprawę, Król listami obsypywał człon-

ciaż te ofiary wiernością późniejszą o kilka razy nasob starały się przeciw-ważyć niechęć kiedyś mu okazaną. A znowu obsypywał łaskami jawnych i nieubłaganych swoich nieprzyjaciół: jednem słowem, całkowity zawód tego Króla był zagadką nie trudną do rozwiązania, on był lęklivego serca. Odwaga może przeważać niedostatek wielu cnót, ale wszystkie cnoty razem połączone, nie są zdolne zastąpić niedostatek odwagi. 1)

Lecz jeżeli natura w tém okazała się dla niego skąpą, czém niezaprzeczone jego cnoty i przymioty po większej części na nieczynność, lub nawet złą czynność wskazane były, z drugiej strony była dla niego rozrzutną, w tém zwłaszcza, co na ludzi działać może. Dźwięk mowy czarujący, powierzchowność zachwycająca; szlachcie prosty,

ków juryzdykeyi sądowych, zalecając im stronę przeciwną. Człowiek z najczystsza sprawą, jeżeli Król był jemu niechętny, w Trybunale po cierniach i głogach przechodzić musiał. Temi intrygami w sądownictwie, szczególnie utracił szacunek poddanych.

1) To nam objaśnia część, że tak powiem bałwochwalczą, pospolicie oddawaną odwadze. Ledwo nie każdy wołałby między ludźmi uchodzić raczej za niepocziwego, niż za tchórza; żaden występki tak starannie się nie ukrywa jak bojaźń. Umierający ze strachu nadstawia się jak może, a lubo tém nie oszuka wzroku przenikliwego, prawdziwie męznego człowieka, jednak tą usilnością pogardzać nie można; jest-to wyznanie, że bez pewnego stopnia odwagi nie można być pocziwym człowiekiem. Gdzie tylko szerzyć się zaczynają szachrajstwa, fabrykacye, nie rzetelności, w takim społeczeństwie w równym stosunku zmniejszać się będzie liczba męźnych, tak dalece, że nakoniec wszyscy mogą tchórzami zostać. Przekonany jestem, że z duszą bojaźliwą nie można być gieniuszem, w żadnym zawodzie.

wcale nie długiej parenteli, a było w nim coś tak królewskiego, coś tak majestatycznego, że najzajadlejszy jego nieprzyjaciół, zbliżywszy się ku niemu, nie mógł nie przyznać, że dla niego w Polsce oprócz tronu, nie było właściwej posady. Ta jego postać, na pospólstwie szczególnie, nadzwyczajne robiła wrażenie; na którym żeby jakiegolwiek wrażenie działało, musi się wprzód okazać przed nim w sposobie plastycznym 1). Ztąd Stanisław August,

1) Każda idea wyrażona plastycznie ma swój rodzaj piękności, której prawidła bynajmniej nie są dowolne. A że największe wyrażenie plastyczne idei jest mąż który ją przedstawia, musi on mieć w powierzchowności swojej coś takiego co się odnosi do tej idei. Głowa Platona w swoim rodzaju tak jest piękną, jak Alexandra Wielkiego. Pod żadnym względem forma nie może być rzeczą obojętną: w twórcach kunsztu, zawsze skażenie myśli zdradzi się skażeniem formy. Błąd klasyków nie w tém, że domagają się piękności w formie, ale w tém, że nie umieją poznać, że dla wyobrażeń zupełnie innej natury, i dla wyrobu myśli w sposobie dawniej nieznanym, dawniejsze formy nie będąc właściwemi, nowe formy są niezbędne. I samo z siebie, nowe wyobrażenia wyrabiają dla siebie najwłaściwszą formę. Co nas często zwodzi, to że nam się zdaje, że my tworzymy, kiedy rzeczywiście tylko naśladujemy: twórczość nie jest ani naśladowaniem, ani pogardzaniem formy; twórczość jest twórczością, i swoje prawa dopełnić musi. Jakakolwiek idea, czy polityczna, czy religijna, czy moralna, jeżeli nie może być działawczą jedno wcieleniem się w potężnej indywidualności, ten człowiek idea mieć będzie koniecznie piękność w swoim kształcie zewnętrznym, chyba że ta idea, co ją przedstawuje, nie zasługuje na to, by aż mogła stanowczo działać na massy. Każdy wielki człowiek był pięknym w swoim rodzaju. Jeżeli zaś natura tej idei jest taka, że tylko w piśmie może się wyrazić, a ta idea jest żywotną, ma wkorzenić się w sercach czytelników, i ich do czegoś dobrego doprowadzić, oczywiście że musiała dobrać dla sie-

jeżeli szlachta z rodów starożytnych była mu przeciwną, w pospólstwie nigdy nie przestawał być popularnym. Mamy tego dowód w roku 1794, kiedy kierownicy ludu zdolali go popchnąć ku ostatnim krańcom nieładu i wyuzdania, a jednak tego na nim wyjednać nie mogli, by w czém uchybił czci i przywiązaniu dla Króla 1).

Kuźma Kosiński, ubogi szlachcic, urodzeniem i wychowaniem swoim, stał moralnie na samém pograniczu między stanem uprzywilejowanym narodu, a motłochem gminnym, i naturalnie skłonniejszy był do podzielenia wrażeń instynktowych ostatniego, niż do przejęcia siebie aż do niezachwiania wyobrażeniami stanowiącemi żywotność pierwszego.

Jak Król, modlitwę skończywszy, łagodnie na niego spojrział, doświadczył natychmiast uczucia pomimowolnego uszanowania, do którego przymieszało się coś nakszałt bojaźni. Pistolet co go dotąd w rękę trzymał, położył na skrzynce obok siebie. Gdyby był w towarzystwie kilku, byłby może względem Króla zuchwałym, nieczułym, okrutnym; ale że był sam jeden, że nie było nikogo do podbudzenia jego namiętności, uczuł w sobie coś, czego

bie, i sama z siebie, najwłaściwszą piękność w formie. Wiem że znajdą się tacy, co mi zaprzeczą temu twierdzeniu, że będą pracowicie wyszukiwać jakichś mężów, których nazwą wielkiemi, a których kształt zewnętrzny nie był powabnym; jakichś dzieł uczonych które obok wielkiego pożytku dla ludzi, i w formie i w stylu nie celowały — cóż to wszystko będzie znaczyć przeciwko prawdzie oczywistój.

1) Uszanowanie i miłość dla Królów swoich jest cechą narodu Polskiego, to historycznie dowieść można. Ale wiele rzeczy dzieje się w imieniu narodu, przeciwko narodowi.

sobie wytłómaczyć nie umiał, ale takiego że chciałby być o kilkanaście mil od miejsca gdzie się znajdował 1).

Król śledził go oczyma, a Kuźma baczył żeby jego własne oczy nie spotkały się z oczami królewskimi. Czas jakiś trwało milczenie, Król go przerwał pierwszy temi słowy.

— Mości panie, i cóż ze mną myślicie zrobić?

— Nie wiem, odpowiedział Kuźma zawsze z oczami spuszczonemi, ani przewiduję co starsi z Najjaśniejszym Panem postanowią.

— Powiedzże wpan, co za powód żeście napadli na waszego Króla, na pomazańca Bożego, żeście go gwałtem porwali w środku jego stolicy, i wyrządziliście mu krzywdę, jakiej nie odważyłbym się dopuścić względem najpośledniejszego z moich poddanych. Prawo kardynalne narodu, *neminem captivabimus nisi jure victum*, prawo wszystkim służące; czyż jeden tylko Król wasz ma być z niego wyzutym?

— Najjaśniejszy Panie, co to do mnie należy! jeżeli

1) Jest w Królach najłagodniejszych nawet, coś takiego, co miesza tych, co zwłaszcza pierwszy raz do nich się zbliżają; rozumie się w Królach chrześcijańskich. Jest coś tajemniczego w tym uroku majestatu królewskiego, którego sama władza nie tłumaczy. Napoleon szukał pomazania, chociaż to do jego władzy nic już dodać nie mogło. Król, jest to pasterz ludowiznaczony od Boga; jest to pośrednik między nim i człowiekiem w społeczeństwie politycznym; godność królewska jest to kapłaństwo polityczne, stąd modlitwy Królów są prawie zawsze skuteczne. Jeżeli w jakim społeczeństwie miłość i cześć dla Królów się zmniejsza, jeżeli z upodobaniem pozwalają sobie rozszerzać się nad słabościami panujących, jest to oznaką, że tam duch chrześcijański znajduje się w upadku.

w tém co złego, niech się wstydzą ci co rozkaz dali, a nie ci co go spełniają.

— Ale mospanie, nie jesteś niewolnikiem, będąc szlachcicem jesteś sędzią spraw narodu; bez przekonania posłusznym być nie możesz. Zapytuję Wpana co mnie zarzucić można? jaka jest wina moja, bym ja, panujący, mógł być wyzuty z opieki prawa zaręczonęj każdemu obywatelowi? *Popule meus, quid tibi feci.*

— Oto zarzucają Najjaśniejszemu Panu, że z jego łaski obcy żołnierz kraj nasz plądruje, że pokoju niema Rzeczpospolita, że obywatel jest zniszczony, gdzie wojną, gdzie głodem, gdzie morowem powietrzem, gdzie zbuntowaniem chłopstwem. A że wszystkiego tego złego nie było za nieboszczyka Sasa, tylko to wszystko nastalo od kąd Najjaśniejszy Pan zostałeś Królem.

— I cóż ja temu winien mospanie? czym to ja rozkazał ziemi żeby nie rodziła? czym to ja morowe powietrze wymyślił? czym ja zbuntował chłopstwo ukraińskie, lub rozpoczął wojnę domową?—Przebóg! jaż to mam odpowiadać za złe co go nieprzyjaciele moi, obłąkawszy część narodu, nagromadzili w naszej nieszczęśliwej Polsce, złe, któremu nie oni, ale ja jeden zaradzić mogę. Święty Prorok powiedział, że biada narodowi gdzie młody powstaje na starca, mały na wielkiego, poddany na pana, bo na nim jest niebłogosławieństwo Boże. Ileż to nieszczęść na cały kraj spadnie z waszego nierozważnego kroku.

— Mówią także że Najjaśniejszy Pan narzuciłeś sobie przeciwko woli narodu.

— Ja, ja narzuciłem siebie, rzekł Król powstając, i przechodząc się szerokimi krokami po izbie. Ja siebie narzuciłem! Kłamstwo, potwarz, biorę Boga na świadka że potwarz. Czy w Woli, wśród tych tłumów szlachty, ze

wszystkich województw przybyłej, choć jeden głos był przeciw mnie podniesiony? czemuż przeciwnicy moi nie stanęli wtenczas, by się temu oprzeć? wszakże jeden głos szlachecki zatamować może nasze obrady. Czemuż nie ostrzegli wtedy narodu, że błądzi, wynosząc mnie nad sobą ze stanu równości? Szlacheie który się nie znajdował na elekcji, tém samém wyznał, że opinię swoją zdaje na tych co się na niej znajdować będą. Gdzie prawo upoważniające nieobecnych aby śmieli burzyć to, co obecni postanowili. I cóż mnie zarzucić można? Ja mam ręce związane do robienia wam dobrze. Najnędniejszy z moich poddanych ma chwile spokojne, ja jeden w ciągu mojego panowania, ani jednej chwili wolnej od zgryzoty nie skosztowałem. Wszystko co usiłowałem zrobić dla dobra moich poddanych, nieprzyjaciele moi nie tylko że sami te moje usiłności zniweczyli, ale jeszcze oczernili mnie przed narodem, dla którego jedynie żyję, i same potwarze pobieram w dani. Tu zaczął łyzy obficie wylewać; Kuźma stał jak na szpilkach.

Król zastanowił się, i badawczém okiem dosledzał na jego twarzy skutku mowy swojej. Prostak nie był w stanie utaić na niej swoich wrażeń; śmiały w boju aż do wściekłości, w przytomności Króla, sam sobie oddany, nie mógł przytłumić trwogi, która jakby zimném żelazem przeszła jego serce. Król zdołał wyczytać w jego tajnikach, i już przeczuł zupełne zwycięstwo. Zbliżywszy się do niego przedłużył rozmowę w ten sposób.

— Wpan jesteś szlacheicem i katolikiem, musisz miłować Boga i ojczyznę. Czy się domyślasz jakie będą następstwa waszego nierozważnego kroku, jakie klęski z niego na cały kraj spaść mogą. Ten naród polski, tak szlachetny, tak wierny swoim Monarchom, ten naród o którym

Zygmunt mawiał, że na dłoni każdego z swoich poddanych śmiało może spoczywać, odtąd piętnem królobójstwa nacechowany będzie. Czy jest jeden Król chrześcijański, co by w krzywdzie mnie wyrządzonej nie uczuł zniewagi własnego Majestatu, coby nie ścigał sprawców najokropniejszego występkę. Potoki krwi polskiej nie zdołają ugasić sprawiedliwego gniewu Monarchów. Nazwiska wasze przekłète będą w narodzie.

— Ach Najjaśniejszy Panie, któż o królobójstwie myśli, takiej szkarady nie można przypuścić. Cała konfederacya wie o tём, że Najjaśniejszy Pan jesteś Królem, wszakże w Częstochowie na mszy świętej, imie jego jest zawsze wspominane.

— A czyś Wpan zapomniał, jak dopiero ten który się zdawał starszym między wami, zalecał wpanu, byś na przypadek żeby się znaleźli tacy, coby o moim ratunku myśleli, we krwi mojej nie wahał się zbroczyć. Czyż tego własnymi uszami nie słyszałem? Niebaczni, wam się zdaje, że Bóg może dopuścić miarę waszej nieprawości. On dni Monarchów policzył; On wam pokazał dopiero ile wam sprzyja, ale w miłosierdziu swoim dla was dał przestrożę; obyście z niej umieli korzystać. Wszakże mieliście znaleźć poczet waszych, żeby mnie tam dostawić, gdzie dla mnie męczeńska śmierć już jest przygotowana. I cóż? On was olśnił i zaprowadził tam gdzieście nie chcieli. Nie nad sobą, ale nad wami się lituję; śmierć byłaby dla mnie wygraną, byłaby kresem moich cierpień, moich zgryzot. Ale jak wspomnę co się z narodem stanie po mojej śmierci, co się stanie z jego bytem, z jego sławą, jeszcze nad byt droższą, łez moich wstrzymać nie mogę.

— Jam temu nic nie winien Najjaśniejszy Panie, ja swojego nic się nie domyślam, robię tylko to co pan półkownik kazał.

— Kto wpanu śmie dawać rozkazy przeciwko mnie? Kto tu jest starszym półkownik czy sam Król?

Tu Stanisław August tak wspaniale spojrział na niego, tyle dodał uroczystości do tego powierzchownego majestatu, którym go natura obdarzyła, że Kosiński nie mógł znieść jego oblicza. Dreszcz go przeszedł na wylot, nogi się pod nim zachwiały, chciał coś przemówić, język mu zlodowaciał; staniał się, nareszcie padł Królowi do nóg, zaczął królewskie nogi całować, i odezwał się w największym poruszeniu: — Co każesz Królu to zrobię, tylko odpuść com przeciwko tobie zawinił; a jeżeli cię ztąd wyprowadzę Najjaśniejszy Panie, żadnej innej nagrody nie żądam, tylko żebym mógł się wynieść z kraju, bo mnie tu już nie siedzieć, i żebym w niczem nie był wmięczany do sprawy, która się z innemi wytoczy.

— Daję Wpanu słowo moje królewskie, że jeżeli postanowiasz opuścić ojczyznę, do śmierci Wpana potrzeby sowiecie opatrzone będą 1), i że Wpana imie wspomniane

1) Kuźma Kosiński w bardzo podeszłym wieku umarł w Sinigalii gdzie się utrzymywał z pensji czterechset szkodów, które jemu corocznie xiąże Stanisław Poniatowski, synowiec królewski wypłacał. W r. 1819 będąc w Sinigalii, a dowiedziawszy się że jeszcze żyje, chciałem go poznać osobiście, ale tego dokazać nie mogłem. Kosiński dla każdego dziki, z największą troskliwością unikał Polaków. Tak się obawiał którego z nich spotkać, że osiadłszy w mieście rzadko nawiedzaniem, i to chyba tylko przelotem, ile razy był jarmark w Sinigalii, z miasta się na te dni kilka wynosił, żeby nikogo zobcych nie spotkać. Umarł w bardzo podeszłym wieku, 1825 czy 26 roku.

nawet nie będzie w ciągu sprawy, która się wkrótce wytoczy; bo ja sam sądu domagać się będę; ja pragnę wszystkich przekonać o mojej niewinności. Niech się Korona i Litwa dowie, aż na jakie imprezy poważyli się nieprzyjaciele moi. Niech naród między nami rozsądzi. Moja krzywda jest krzywdą narodu, który mnie rozkazał nad sobą panować....

Tu drzwi od izby szynkowej się otworzyły, a Flicz i Jewka stanęli przed Królem. Flicz miał czapkę w rękę, głowę pochyloną, pomieszanie jakieś całą jego postać zdradzała. Ale jakie było jego zadziwienie, kiedy ujrzał Kosińskiego wijącego się, że tak powiem, u nóg królewskich. Klęknął Flicz obok towarzysza broni, a Jewka także uklękła.

— Królu, rzekł Flicz wyciągając do niego rękę, miej litość nad twoim wiernym poddanym; dalibóg ja tak dalece nie jestem winny. Jestem mieszczaninem ze Wschowy, za różne psoty dekretowany na szubienicę, już mnie prowadzili do niej, kiedy konfederacja Barska mnie odbiła, trudno było do niej nie przystać, bo siedząc spokojnie stryżek magdeburgski by mnie znalazł. Jedyne moje bezpieczeństwo było w konfederacyi, gdzie mnie wpłątano w szkaradną robotę o której z góry nie wiedziałem. Pan Puławski kiedy nas wyprawiał, ani się z tém odezwał by to coś było przeciwnego Królowi; broń Boże, ani słówka nie było o tém. Tylko powiedział nam— oto macie pułkownika, jemu bądźcie posłuszni a on wam powie co macie robić: teraz pułkownika niema i choćby był, wolę słuchać Króla niż jego. Rozkaż Królu, ja twój, wyprowadzę cię z kłopotu, byleś Królu i mnie z niego wyprowadził.

— Czegoż chcesz mój kochany?— zapytał Król łagodnie.

— Żelaznego listu pragnę Najjaśniejszy Królu, wszak mówiłem że są na mnie dekreta; a jak Król jeszcze z łaski swojej da co na barszcz Pobówie, dalibóg że już nigdy łotrować nie będę, na co to mi się zdało. Oto Jewka gospodyni tutejsza, moja dawna przyjaciółka, jak mnie poznała dopiero, a słowo po słowie, dowiedziała się po co my tu przybyli, zaraz mnie zreflektowała i powiedziała mnie — jak Króla wyprowadzisz nazad do Warszawy, to on ciebie po królewsku nagrodi, jeszcze jam ję powiedział, bo co prawda to prawda, że człowiek kiedy czego chce, siła obiecuje, a kiedy otrzyma, to zapomina co kiedyś powiedział. A Jewka mnie na to — at głupis, Król, to nasz Pan przecie, ja widziałam jak wychodził z kościoła w koronie, która mu była bardzo do twarzy, jak jemu zrobisz taką przysługę, to on nie tylko że ciebie obroni od wszystkich magistratów, ale i szlachcicem zrobi, że twoja żona siedzieć będzie w kościele w ławce, bo on po królewsku lubi nadgradzać. Nie wyciągaj nawet na obietnicę, jeno spuść się na niego.

— I na tém pewnie nie stracisz, odrzekł Król.

— Otoż Najjaśniejszy Królu tak mnie Jewka w samo sedno trafiła, że już szedłem na odsiecz i byłbym zaczepki szukał panu Kuźmie, gdyby coś miał przeciwko tego: ale i wilk syty i koza będzie cała. Kiedy pan Kuźma obok mnie klęczy przed tobą Królu, cztery oczy lepiej obaczą niż dwa, a cztery ręce więcej zrobią niż ja sam jeden z dwiema. No i cóż mam mówić. Jewka powiedziała — Króla słuchaj, a on i sobie i wam poradzi.

— Najjaśniesz Panie, rzekła Jewka miesząc się do rozmowy, mój pacholek bodaj czy nie zaprzął już do sianek; niech Król siądzie na nie, a my go zawieziem o ćwierć

mili ztąd do młynarza marymonckiego: on całą duszą przywiązany do Najjaśniejszego Pana, którego chleb je.

— Moja kochana, odrzekł Król głaszcząc ją po twarzy, ty jesteś ładniutka, a więc nic dziwnego żeś dobra; o tobie pamiętać będę. Obracając się do Flicza — słuchaj, ołówkiem kilka słów napiszę, weź to pismo, siądziesz na koń, co może wyskoczyć ruszaj na nim do Warszawy; tam za żelazną bramą, szukaj pałacu Strawińskich, tam pójdziesz, i panu staroście wieluńskiemu oddaj karteczkę, którą ci zaraz wręczę, i słuchaj jego rozkazów. Jak mi się dobrze sprawisz, będziesz mieć moją łaskę królewską. — I dobywszy z pugilaesu kawałek papieru, kilka słów na nim napisał, a zgiąwszy papier oddał Fliczowi.

— Flicz siadł na konia, i puścił się cwałem do Warszawy. A że już sanki były gotowe, Król siadł w tyle, obwinąwszy się w szubę, Kosiński zajął miejsce obok wyrostka powożącego. A Jewka, bojąc się zostać w karczmie żeby się w niej nie doczekać powrotu konfederatów, i nie paść ofiarą ich gniewu, jak obaczą że Król umknął, siadła w nogach królewskich.



XVI.

Zwycięztwo Starosty.

Kieść, jak się wyżej powiedziało, przeprowadzał pana półkownika i pana wojskiego do celinowskiej karczmy. Zawierucha była ustała, lecz napotykali często śnieżne zaspę, gdzie konie po pas brodziły. Podróż była pracowitą, ale Kieść obeznany z okolicą, prowadził dobrze, zagrzany z jednej strony nadzieją nagrody, z drugiej przestraszony groźbą półkownika. Wszakże usiłował wejść w rozmowę.

— A wiecie wielmożni panowie, że droga tak ciężka, pora tak zimna, noc tak ciemna, że po sprawiedliwości warto żeby panowie dla mnie biednego narzucili jeszcze jakich parę czerwonych złotych.

Ale kiedy krzyknął półkownik — milcz! chętka Kieścia do gaduły natychmiast ustała. I milcząc szli, a Kieść tylko patrzył przed sobą, aż nakoniec odezwał się: otoż i koniec naszej podróży, nieinaczéj przed nami stoi karcz-

ma celinowska, a widać że w niej muszą być goście, bo coś nadzwyczaj oświecona.

Podróżni zsiadli z koni i weszli do izby, gdzie znaleźli Wazgirda, Skołubę i kilku żołnierzy. — Przecie, rzekł półkownik, złączyliśmy się z sobą; jak się macie koledzy, dobrze żeście wypoczęli, bo nie długo znowu pójdziem; a gdzie reszta naszych?

— Ba, odpowiedział Wazgird, nie najlepiej się zrobiło bez pana półkownika, jak my tu w godzinę umówioną przyszedli, od tego zacząłem, że gospodarstwo karczemne z całą czeladką kazałem zamknąć w spiżarni. Djabeł nie śpi pomyślałem sobie, nuż żydowi przyjdzie w myśl, dać wiedzieć komu nie trzeba, o przybyciu tylu gości. Strzeżonego Pan Bóg strzeże, dotąd odbywają rekolekeye, przynajmniej że nudzić się nie będą, bo tyle tego ile maku w makówce, wszak pan słyszysz jak dzieci piszczą. Czekaliśmy na pana, czekaliśmy, aż nie mogąc się go doczekać, ludzie zaczęli się niecierpliwić, chociaż odwilżali sobie gardło, bo tu teraz gość gospodarzem. Ja im mówiłem, bójcie się Boga, na taką zawieruchę trudno w porę przybyć, albo tu się wam źle dzieje żebyście nie mogli czekać; kto czeka godzin dwie, może i trzecią poczekać, wszakże godzina równa godzinie. Ale cóż z ślamazarnikami poradzisz, jeden po drugim wynosić się zaczęli, nawet hanyżówka nie pomogła. Żeby pomarзли łajdaki! dość że oprócz tych sześciu którzy nie chcieli siebie spaskudzić, wszystko znikło jak kamfora; a panom jak też się powiodło w Warszawie?

— W Warszawie jak najlepiej, lisa oderznęliśmy od jaźwiny. Jakaśmy na niego napadli, hajduk próbował bronić swojego pana, ale ja go zaraz szablą uspokoiłem: wzięliśmy pana na koń między siebie i jakoś z miasta wy-

prosili. Ale cóż powiesz? Czy inkluza, czy jakiego djabła miał przy sobie, jeszcześmy nie wynieśli się z miasta, aż tu zrywa się zawierucha, jakiej w życiu nie doświadczyłem, powiadam wam zawierucha ukraińska, sądny dzień; zbłądziliśmy, i tam się dostali gdzie nie chcieli; trafiliśmy do karczmy, ale nie do tej co szukali. Trzeba nam teraz do niej powracać, bo tam na nas czekają. Kto nam potrzebny, ten się nas doczeka, bo w dobrych rękach, Kuźma i Jaszczułt go pilnują.

— Ach panie pułkowniku, odrzekł Wazgird, dla czegoś go pan z sobą tu nie przyprowadził.

— Ja sam teraz tego żałuję: ale myślałem sobie, nuż patrol jaki nas spotka, we czterech trudno i bronić siebie, i pilnować kogo, a nie gładko przyjść do ostateczności. Wszak słyszałeś jak mnie powiedziano.— Strzeż Boże Wpana, aby jeden włos spadł mu z głowy. W razie niebezpiecznym zapomina się o przestrodze, lecz jak człowiek ma czas myśleć, to zaraz sobie to i przypomina. Ale co się odwlecze to nie uciecze. Sześciu żołnierzy, nas czterech, a jeszcze jak się dodadzą Kuźma z Jaszczułtem, mało takich patrolów, którymbyśmy rady nie dali. Broń Boże wypadku, dwóch go pilnować będzie, a w dziesięciu bić się można, choćby trzydziestu nas spotkało: czy to nam pierwszy raz potykać się jednemu przeciwko trzem. Z tamtej strony same tchorze, bo kto śmiały ten do nas przystał. Wasze konie spoczęły, nasze nieco zmęczone, my się przesiedziem na świeże, a na naszych siadą dwaj co w przypadku będą naszej zdobyczy pilnować. Mamy z sobą dobrego przewodnika, gospodarza z tamtej karczmy.

— Mnie się zdaje, rzekł Wazgird, że lepiej było tam zostawić pana Michała: bo kto wie, tamten jak powiadają

o nim, ma być wielkim krasomówcą, jak zacznie ich płatać jedwabnymi słowy, żeby nam czasem nie skrewili.

— At co wpan gadasz, co to ja swoich ludzi nie znam? Jabym Kuźmie i Jaszczołtowi duszę moją powierzył. Oto pokój, nie tacy to, coby poznali się na krasomówstwie, a tylko to wiedzą, że ze mną żartować nie można. No panowie, zawierucha ustała, widać że Pan Bóg teraz z nami. Waść mości gospodarzu z Brühlówki, siadaj na koń, i odprowadź nas do swojej rezydencyi; wszak wiesz że łatwiej do siebie niż od siebie. A tam na Waści umówiona nagroda czeka, do czego może się coś i dorzuci, jak nam się dobrze sprawisz.

Żołnierstwo wypiwszy swoje, wyszło z izby za dowódcą. — Kieś naprzód, zawsze pod wodzą pistoleta pułkownika, za nim wszystko wyruszyło w pole. Kiedy już kilkadziesiąt kroków uszli, Wazgird uważając że coś żołnierze z sobą gadają, zbliżył się do pułkownika i powiedział mu cichym głosem.

— Pan pułkownik idziesz przodem, bacząc by nasz przewodnik nie zbił nas z drogi, a za sobą się nie możesz oglądać: ja z panem wojskim będziemy składali tylną straż, żeby żołnierzy z oka nie spuszczać; bo przyznam się panu, że tak jestem sparzony, od tych łajdaków co nas odstąpili, że już i pozostałym nie bardzo wierzę. Niech tylko pan rozkaże żeby milczeli, a z sobą nie rozmawiali, bo zwłaszcza w ciężkim pochodzie, z tych rozmów żołnierzy między sobą, nie dobrego się nie wywiązuje.

Pułkownik usłuchał jego rady.

Wazgird i wojski puściwszy przed sobą oddział na kilka kroków cicho zaczęli z sobą rozmawiać.

— Cóż to jest, zagaił Wazgird, że ciebie widzę, panie Michale, jeszcze smutniejszym niż kiedykolwiek; wszak

rzeczy zbliżają się do końca. Cała rzecz o to chodziła żeby Króla wyprowadzić z Warszawy, i tu gładkoście się sprawili, reszta pójdzie jak po maśle, trzeba się więc weselić a nie smucić.

— At gadasz panie Janie, wszystko źle poszło, a nadal nie dobrego nie wróżę dla nas, a szczególnie dla siebie.

— Wstydziłbyś się panie Michale tak mówić; jeżeli kiedy, to teraz weselsze myśli są *ad rem*. Ktoby cię nie znał, powiedziałby że dawne męztwo ciebie opuściło, a kto cię zna, śmiało powiedzieć może, że u ciebie śledziona musiała się zagrzać.

— Już jam siebie dawno odżałował; teraz o to tylko proszę Boga, żeby się na mnie jednym cała bięda skończyła.

— Nie wiedzieć co przypuściłeś sobie do głowy: karczma niedaleko, obaczysz że zanim słońce zajdzie, będziemy ztąd daleko w bezpieczeństwie wszelkiem dążyć ku Częstochowie, gdzie nas bracia z wyciągniętymi ramionami oczekują. Tymczasem winszuję wam, łebsko się udało w Warszawie. Ale przyznaj-że i nasz półkownik tęgi.

— Łukawski w boju śmiały i przytomny, byłoby grzechem to mu zaprzeczać; ale co do rozporządzenia w okolicznościach ważnych, mój Boże, jakaż to słabizna! Pokłada zaufanie w pierwszym dobrym, a niech-no lada przeciwnie się nadarzy, zaraz zimną krew traci.

— Co powiadasz?

— Nieinaczéj. Czy uwierzysz, że kiedy za rogatkami taka zamieć nas przywitała, że świata nie można było widzieć przed sobą, pan Łukawski tak był przytomność stracił, że koniecznie chciał zamordować naszego jeńca. Ledwo tego dokazałem, że zaniechał swojego przedsięwzię-

cia. Aż musiałem powiedzieć, że do wylania ostatniej kropli krwi bronić będę Króla od jego wściekłości, a taka szkaradna zbrodnia póki żyć będę, spełnić się nie może. Że jeżeli po moim trupie przeszedłszy, tego się dopuści, to zaręczam że w Częstochowie starsi na jego gardle się pomszczą, bo oni rój wodzą konfederatom, ale nie zbójcom. Oto taką miałem być z nim rozmowę, póki się nie opamiętał. A zabłądziwszy do innej karczmy, mnie rozkazał iść z sobą, a Króla powierzył swoim siepaczom¹, im tylko jednym zupełnie zawierzywszy.

— Takowe rozporządzenie zaraz mi się nie podobało, i słyszałeś com na to powiedział panu Łukawskiemu. Ale z drugiej strony Kuźma i Jaszczułt są tak znani z odwagi swojej, że niepodobna przypuścić by nas zdradzić mieli.

— Wielkie złe, kiedy dla pozyskania ufności, człowiek nic innego nie zdoła okazać oprócz odwagi. Zresztą odwaga opierająca się na ufności w Bogu i na czystym sumieniu, tak jest daleką jak niebo od ziemi, od tej która pochodzi z przesilku zdrowia, a którą nawet użyciem rozpalającego napoju pobudzić można. Kuźma śmiały, ale cóż z tego kiedy rabuś, nie bojący się Boga, a Jaszczułt jeszcze gorszy od niego. Jakże na podobnych ludzi się spuszczać?

— Czemu tego nie przełożyłeś półkownikowi?

— Bo by to na nic się nie przydało. Ja bez najmniejszej nadziei poszedłem na tę wyprawę, ty sam wiesz o tém, bo dla ciebie nie mam nic tajnego. Już dla nas przeszła pora zwycięstw, a tylko czas ofiar pozostał 1).

1) Jak mało jest pojmujących nawet między Chrześcijanami, co to jest ofiara, i jak silną jest jej potęga. Nie raz

Trzeba żeby kilku z nas Bogu zadość uczynili za przewinienia innych, szlachetnie przyzwalając na to wszystko co Bóg na nich samych dopuści. Co do mnie, poświęciłem siebie zupełnie, i jak mój ojciec przeczuwał chwilę swojej śmierci, tak i ja ją przeczuwam, i nie uwierzysz ile czuję siebie spokojnym. Nasza sprawa jest

słyszemy uskarżających się na niesprawiedliwość na świecie panującą; a czy wielu jest takich co by zrozumieli, że choć niesprawiedliwość może być u tego który ją wyrządza, ona, przez żaden sposób dotknąć nie może niewinnego. Żadnej władzy nie ma oprócz takiej, która od Boga pochodzi: gdyby więc Bóg oddał niewinnego na pastwę niesprawiedliwemu, byłby sam niesprawiedliwym, a więc przestał by być Bogiem. Bóg będąc całkowitym w każdym swoim przymocie, odjął mu jeden z nich, jest to go zniszczyć w myśli, jest to Bogobójstwo. Kto przypuszcza, że ludzie znoszą niesprawiedliwość, jest wyznawcą jakiegoś praktycznego ateizmu. Każdy człowiek cierpiący, cierpi albo za siebie albo za innych. W pierwszym względzie jest to kara zawsze sprawiedliwa, w drugim, jeżeli cierpiący przyzwolił na swoje cierpienia, aż do ich zamilowania, któż ma prawo powiedzieć że cierpi niesprawiedliwie? A właśnie tylko niewinny lub uniewinniony jest zdolny przyzwolić na swoje cierpienia. Jeżeli zdarzają się klęski powszechne, oczywiście przewinienia musiały być powszechne, a im mniej ludzie rozumieć będą przyczynę swoich cierpień, tém więcej i tém dłużej cierpieć będą. Jedna rzecz tylko rozbroić może sprawiedliwy gniew Boga, a tą jest ofiara. Jest to prawda tak oczywista, że ród ludzki w żadnej chwili swego istnienia, nie przestawał jęć wyznawać; cała starożytność o nią była przekonana. Nie będę rozbierał, czy historia Kodrusa, Kurcyusza, jest autentyczną, ale zawsze jest ona świadectwem wiary, co ją starożytność pokładała w dobrowolnych zaofiarowaniach swojej osoby. Nie idzie rzecz o zastosowaniu téj prawdy, bo tu ludzie mogą się omylić, ale o jęć pojęciu: a na tém stanowisku pogaństwo i

w zupełnym upadku, tego przed sobą utaić nie podobna: jeden po drugim wszyscy nas odstępują i to być nie może inaczej, bo ten tylko wytrwa w cierpieniach, który żadnych widoków osobistych nie przemieszał do żądz powszechnego dobra.

— Czarnym marzeniom się oddajesz paule Michale;

chrześcijaństwo rękę sobie podają. Platon to mówi co i Ewangelia, Kaifasz się godzi z świętym Pawłem, ludożercy Amerykańscy z kapłanami Chrystusa, członkowie konwencji Francuzkiej ze świętymi Męczennikami. Wszakże tak powszechne wyznanie może przeciw ważyć wybryki dzisiejszej filozofii. Nie uskarżajmy się na niesprawiedliwość, która nas niby uciska, raczej użalajmy się że sprawiedliwości znieść nie umiemy. Tu jeszcze jedna uwaga mi się naśladuje: wszyscy pragniemy dobra doczesnego i Bóg nie tylko że nam tego nie wzbrania, ale dał nam nawet sposób skuteczny do jego otrzymania. »Szukajcie Królestwa Bożego, powiedział, a reszta dana wam będzie w przydatku.« Ten więc tylko, który ciągle szukając tego Królestwa, niczego w przydatku nie otrzymał, miałby jakieś prawo użalać się że Słowo Boże go zawiodło. Inny niech się użala na swoje zabiegi, na swój rozum, na prawidła nauk które go zholdowały, zgola na to wszystko czemu zaufał, a nie na Boga, na którym nigdy nie polegał, ani słuchał jego rad. Chciałbym zapytać ekonomistów politycznych, którzy tyle xiąg wypuścili na świat dla uszczęśliwienia bliźnich, a jednak ani jednej łzy nie otarli, kiedy nędza ludzkości była powszechniejsza: czy dzisiaj, czy wtedy kiedy o ich nauce nie miano wyobrażenia. Wiele rękodzielni się wzniosło, ale czy wielu z nich korzysta. Wiele majątków wzmogło się takich, które tylko dla ich właścicieli są pożyteczne, ale wieleż to starych majątków opiekuńczych dla ludzkości znikło! Nauki wydoskonaliły rolnictwo, a tymczasem ziemia widocznie utracę swoje siły płodne; ludzie więcej teraz umieją niż dawniej, niech i tak będzie, ale cóż z tego, kiedy mniej mogą.

co do mnie, nie tracę jeszcze nadziei. Zapewne że nie najlepiej nam idzie, ale u kija dwa końce. Obaczysz że się jeszcze poprawimy, a potem co nastąpi, w to nie wchodzę. To mnie tylko teraz w głowie, żeby jak najprędzej dostać się do tej utrapionej karczmy, gdzie na nas czekają; bo choćby tamci i mieli słabe przekonanie, zbywa im na czasie do zdrady. Jaki by djabeł w taką zawieruchę na odsiecz tamtemu przyszedł; zresztą co Pan Bóg da. Dość będzie pory się smucić, jak obaczymy złe, czarno na białem, a wcześniej go przewidywać nic ztąd dobrego, bo nuż tego złego nie będzie, a co się nafrasowało to tylko zostanie w zysku.

— Bądź pewny panie Janie, że ja się ani odrobinki nie frasuję. Widzę jak na dłoni, że z tego wszystkiego nic nie będzie, widzę że w klęsce nad nami wiszącej pochłoniętym zostanę, ale tak zjednoczyłem moją wolę z wolą Boga, że gdyby niebezpieczeństwo komu innemu niż mnie groziło, byłbym muij spokojnym. Śmierć mi będzie zyskiem, od jakiegoś czasu, czuję że mi ciasno i duszno na tym świecie. Nie tu panie Janie, ale tam nasza prawdziwa ojczyzna; z tą ziemską ojczyzną rozstać się konieczne trzeba, ale tamtej nigdy nie przestaniemy być obywatelami.

— Święte słowa twoje panie Michale, ale zawsze powtarzam swoje, nie tak to jeszcze źle, jak ci się widzi. Nie wiem jak inni myślą, ale co do mnie, Bóg najlepiej wie, że kiedy przystąpiłem do konfederacyi, o sobie zupełnie zapomniałem: poszedłem za głosem mojego przekonania, mojego sumienia, zacoż miał by mnie karać.

— A któż z nas dociecze jakie są drogi które mi Bóg nas chce prowadzić: często to, co się zdaje być skut-

kiem jego gniewu, jest dowodem jego miłości. Wiele w mojem życiu już cierpiałem, i przygotowany jestem jeszcze wiele cierpieć; ale taką mam w Bogu ufność, tyle pokładam nadziei w jego Opatrzności, że te same cierpienia, przyjmuję z wdzięcznością, mając je za łaski. Powiedz sam panie Janie, kiedy człowiek umiera, czyż wszystkie chwile przeszłego szczęścia na co innego posłużyć mogą, tylko na utrudzenie rozstania się ze światem. Gdybyś miał dziś umrzeć, cobys wolał panie Janie Bogu przynieść, czy życie przepędzone w pomyślnościach wszelkiego rodzaju, czyli takie, w którym bez przestanku walczyłeś z przeciwnościami.— Westchnął Wazgird, i w umyśle swoim polecał się Najświętszej Pannie, i cicho zaczął odmawiać antyfonę, zawsze skuteczną w złych przygodach: »Pod twoją obronę....» I odtąd posuwali się w największem milczeniu.

Po niejakiem czasie światło zaczęło migać przed nimi, a Kieś odezwał się do półkownika:— Otoż jesteśmy tak dobrze jak w domu. Niech no Wielmożny pan przygotuje obiecaną nagrodę, i jeszcze coś tam z łaski narzuci, bo i na to jest obietnica. Pan sam przyznać się musi, że stary Kieś dobrze się sprawił, wart nagrody, i może jeszcze o jedną łaskę poprosić.

— Czego chcesz, zapytał półkownik.

— O to wielmożny pan widzisz, że ja z państwem, a nie z nieprzyjacielem trzymam: niech-że pańscy ludzie, jak wejdziemy do mojej karczmy, ze mną nie postępują po nieprzyjacielsku; niech nie traktują siebie moim trunkiem, płacąc za niego gifesem, jak to czasem bywa. Ja biedny człowiek panie, krwawo pracuję na kawałek chleba, co go nie zawsze jem do syta; jak zaczną w moim szynku bejramować, to mnie ze wszystkiem zgubią.

— A kto pomyślał tobie szkodę robić? o to bądź spokojny. A potem nie masz się czego turbować nie długo będziesz miał z nas gości, nie zsiądziem z koni nawet, tylko swoich zabiorę i pójdę dalej pod twojem przewodnictwem.

— Jak to panie?

— A jużci, ty nas na wielki trakt wyprowadzić musisz, tak Pan Bóg przykazał. Zaraz ci odliczę pięć czerwonych złotych, a jak nas na gościniec wyprowadzisz, jeszcze ci parę narzucę.

— Ach panie, mnie staremu, w taką szarugę całą noc na koniu pracować; przysięgam Bogu że nie zdążę.

— Zdażysz, zdażysz, siedziałbyś cicho, a nie wymyślał; a potem na co ci się przyda sprzeciwiać; wszystko lepiej dobrym sposobem niż złym. Pójdiesz ochotnie, dostaniesz nagrodę; będziesz się opierał, nagrody nie odbierzesz, a dla tego pójdiesz gdzie ja rozkażę. Ja tobie nie dam zsiąść z konia, to napróżno, więc sam rozważ swoim delikatnym rozumem, co lepsze, czy dobre słowo z siakim takim groszem, czy żebym ciebie o to tém poprosił— i przesunął mu rurę od pistoletu przed samym nosem.

Kieść umilkł. Już karczma w całej swojej okazałości przed niemi stanęła pomimo ciemnej nocy, kiedy raptem wyskoczyło naprzeciw nim kilkunastu jeźdźców.

Była to chorągiew królewska, którą pan starosta Wieluński z sobą przyprowadził. Odebrawszy od Jaszczułta wiadomość że konfederaci powrócić mają do tej karczmy żeby zabrać z sobą Króla, wszystkie zrobił ku temu przygotowania, żeby ani jeden z oddziału, nie mógł się salwować ucieczką. Część chorągwi frontem posta-

wił, resztę za karczmą żeby oskrzydlić przeciwników. Sam Jaszczułt ich prowadził, i z karabinem w ręku nacierał na tych, których jeszcze przed dwiema godzinami nazywał kolegami i bracią. Oddział prowadzony od samego starosty dał ognia. Kieść naprzód posunięty, nie z ochoty ale z wypadku, jęknął głucho, i zleciał z konia. Koń pana Łukawskiego dostał strzał w piersi, powalił się i ciężarem swoim przygniotł jezdzcę, napróżno usiłował pan Łukawski wydobyć się z pod niego. Wojski i Wazgird, spostrzegłszy że na czele chorągwi na nich nacierającej, wysuwał się jakiś jezdziec na dziwnie dzielnym koniu, we dwóch razem dali ognia do niego: starosta uczuł się ugodzonym w pierś, myślał że jest rannym. W samej rzeczy kula przeszła burkę, trafiła w obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej, który on miał od żony, przygięła go, ale blachy nie mogła przebić. Starosta chociaż poczuł uderzenie, dowództwa nie odstąpił, i głosem i przykładem swoich zagrzewał. Wojski, Wazgird i Skołuba, usiłowali w kupę ścisnąć swoją garstkę, by tak uderzyć na nieprzyjaciela, ale gdy pod wystrzałami chorągwi królewskiej, jeszcze dwóch konfederatów padło, reszta pierzchać zaczęła. Próżne były krzyki Wazgirda i Skołuby żeby ich zatrzymać, poznali że tylko im trzem przychodziło walczyć z hufcem, tylekroć silniejszym.

— Panie Michale, rzekł Wazgird, nie ma ratunku, ze wszystkich stron nas okrążają; prócz nas wszystko uciekło, uciekajmy i my jeżeli można, *vir fugiens iterum pugnabit*, jak nas kiedyś w Nieświeżu uczono.

I wszyscy trzej weisnąwszy ostrogi w boki swoich rumaków, puścili się co konie mogły wyskoczyć. Towarzysze chorągwi za nimi poszli w pogoń, podczas gdy

z rozkazu starosty, łowcy podnosili leżących. Pogoń nie długo trwała, nasi trzej tak szybko przed nimi zmykali że nie było sposobu ich dopędzić, lecz gdy jeden z nich, napadł na rów śniegiem zasypany, koń się związał, i padł z nim razem. Kilku z towarzystwa zsiadło z konia i do niego przyskoczyli; ale on się im oddał, żadnego nie robiąc oporu.

Z jeńcem swoim wróciło towarzystwo po pod karczmę. Starosta kazał go położyć na saniach już przygotowanych, obok Łukawskiego i Kieścica który jeszcze dyszał; innych dwóch nie było czego podnosić, bo już byli skrzepli, tych tedy zostawili, a ze zdobyczą swoją na saniach złożoną, ruszyli razem ze starostą do młynarza marymonckiego, w którego mieszkaniu Król z wielką niepokojnością oczekiwał przybycia starosty. Kiedy wszedł starosta, Król się zerwał z łóżka na którym siedział, wziął go w swoje objęcia i zaczął go ścisnąć jako przyjaciela i wybawcę, ale kiedy starosta mu powiedział:— Najjaśniejszy panie, nieprzyjaciele waszjej królewskiej mości jedni poginęli, a drudzy są w naszym ręku, Król na to nie mu nie umiał odpowiedzieć z radości, tylko zdjął z siebie wstęgę Orła Białego, i włożył ją na starostę.

Starosta ukląkłszy przed Królem rękę jego do swoich ust przyłożył.— Wracaj Najjaśniejszy panie teraz do stolicy, wśród wiernej swojej straży; a, oto mamy trzech jeńców.

— Niech ich tu przedemnie wprowadzą, rzekł Król.

Starosta wyszedł dla dania rozkazu, ale wychodząc spotkał Jewkę, śmiejącą się do rozpuku z Jaszczułtem.

— Czego się śmiejecie? zapytał.

— O to panie z tego, odpowiedziała Jewka, że dopiero mój mąż skończył. Ledwo przystał do konfедера-

tów, na pierwszej potyczce zginął; ja myślałam jakby z nim rozwód wziąć, a on mnie od tego kłopotu przy pomocy pańskich ludzi uwolnił.

— Bo trzeba wiedzieć Jaśnie Wielmożny panie, że mnie Jewka pierwój kochała; ona mnie zwerbowała do usług królewskich, kiedy pan pólkownik Łukawski jej męża zwerbował do konfederacyi, ale że nasza na wierzchu, więc Jewka będzie moją żoną— starosta oczy odwrócił od tego ohydneho widoku.

Wprowadzono do izby Łukawskiego, a chociaż czterech towarzyszy trzymali go między sobą, Król na widok jego wzrostu, omal nie olbrzymiego, i zuchwałości jego postawy zadrżał. Ale przyszedłszy do siebie rzekł do niego: «kto wpan jesteś.»

— Jestem Łukawski, szlachcie polski i pólkownik konfederacyi Barskiej. Dowodziłem tym oddziałem, co dopiero został zdradzonym od szczęścia, będąc wprzód zdradzonym od tego któremu zaufałem.

— Kto wpanu dał rozkaz, ze mną, ze swoim Królem, tak postąpić jak postąpiłeś.

— Nikt, ja sam chciałem ciebie dostawić do Częstochowy ażeby tym sposobem położyć koniec i wojnie domowej i tym wszystkim klęskom, które trapią kraj nasz, od téj chwili jakieś się nam narzucił na Króla.

— Nędzarzu! czy wiesz że życie twoje jest w moim ręku.

— Życzę tobie tak być przygotowanym do śmierci, jak ja. Wiem co mnie czeka, ale jeżeli cień sprawiedliwości w sercu zachowujesz, ocal mojego kolegę, który wraz zemną został twoim jeńcem: ty jemu winieneś że

jeszcze żyjesz. Ja przed rogatką Marymoncką chciałem cię zabić, on wstawieniem się swoim ciębie wyratował.

— Jakież masz powody do takiej przeciwko mnie zawziętości, cóż ci złego zrobiłem?

— Jeżeli będzie sąd na mnie, przed nim będę się tłumaczył.

Wprowadzono drugiego jeńca. Starosta ledwo nań okiem rzucił, krzyknął przeraźliwie i padł bez przytomności pod nogi królewskie.

XVII

Książka z Książki



XVII.

Posłuchanie u Króla.

Po powrocie królewskim do stolicy, okrzyki radości rozległy się po całej Warszawie: każdy chciał oglądać Króla, każdy przekłętwa miotał na jego nieprzyjaciół. Jedni, gorliwi jego stronnicy, cieszyli się z zapalem ze zwycięstwa otrzymanego na partyi przeciwniej, drudzy za ich przykładem, chociaż dotąd byli obojętni, podnieśli się do tegoż zapalu, bo zapal lubo jest zwykle krótkotrwałym, z przyrodzenia swojego jest zaraźliwym 1), a gmin, dla którego każde krwawe widowisko jest najmilszą roz-

1) Zapal tak dalece jest zaraźliwym, że w zamieszaniach publicznych, częstokroć widzimy ludzi znanych z roztropności i rozwagi, rzucających się w odmęt, i postępujących przeciw wszelkim prawidłom rozsądku i nawet przekonania: jest to stan gorączkowy. Sądząc o człowieku powinniśmy to mieć na uwadze.

rywką, domagał się głośno o stracenie królobójców, bo publiczność wezwyczajała się dawać to nazwanie tym, co mając Króla w swoim ręku przez kilka godzin, dopuścili jednak by go w całości odwieziono do stolicy. Ludzie wyższego stanu, chociaż szczerze podzielali z początku zapal gminu, wszakże dostępniejsi rozwadze stygnąć zaczęli w tym zapale. Wielu nawet było stronników królewskich, co mając stosunki powinowactwa z wodzami konfederacyi Barskiej, jakkolwiek nie sprzyjali ich politycznym widokom, nie byli radzi, że z jakąś przesadą na nich rzucano plamę królobójstwa, występku niesłychanego w narodzie Polskim; bo Król niczego nie zaniedbywał, by wzniecić w narodzie przekonanie, że ich cel był życie mu odebrać, że na to wysłali Łukawskiego, i że tylko wyraźnym cudem Opatrzności ocalonym został 1).

1) W tym właśnie czasie jeden książę panujący, tyle długów narobił w Paryżu, że już jego wierzyciele zabierali się osadzić go w areszcie. Teper, bankier Warszawski, bawiący wówczas w Paryżu, podał mu środek którym wszystkich swoich wierzycieli zaspokoił: namówił go by z powodu cudownego ocalenia Króla Polskiego ustanowił order Boskiej Opatrzności. Gwiazda tego orderu była złota, a we środku oko w trójkacie, z napisem: *Vide cui fide*, a wstęga wielka błękitna ze złotemi brzegami. Najstarszy z rodu Tarnowskich i rodu Ponińskich był *eques natus* tego orderu. U Tepera było biuro rozdawnicze. Z początku przedawano patenta po sto czerwonych złotych, potem stopniami spadały na dwadzieścia pięć: nie było panicza u dworu któryby nie nabył kawalerstwa Boskiej Opatrzności. Następnie poszło to w pośmiewisko, ale książę swojego celu dopiął bo tym wykupił siebie od aresztu, rachując na próżność Polski Warszawskiej; gdyż prowincya była obca temu dzieciństwu.

W niektórych państwach, opisywano konfederatów jako zbrodniarzy niegodnych opieki rządów cywilizowanych. Ministerjum Francuzkie z tych zarzutów korzystało, by ująć konfederacyi to nędzne wsparcie, które dotąd pobierała od niego, i odwołać tych kilkunastu oficerów, którzy jeszcze walczyli w jej szeregach. Cesarzowa Marya Terezya, opiekunka Barskiej konfederacyi, przerażona świeżym wypadkiem, kazała oświadczyć generalności, że jej nie pozwala dłużej rezydować w państwie swoim. Gdyby Stanisław August umiał być korzystać z pierwszych wrażeń, jakie wszędzie wznieciła nieszczęśliwa wyprawa Łukawskiego, nie podpada wątpliwości, że mógłby otrzymać w narodzie władzę jakiej nie miał żaden z jego poprzedników; Królowie ościenni na to by zezwolili, bo każdy z nich czuł potrzebę żeby władza Króla w Polsce była obszerniejszą. Nawet wodzowie konfederacyi Barskiej, jak się dowiedzieli o pojmaniu Łukawskiego i Strawińskiego, tak się zatrwożyli następstwami mogącemi wynikać z inkwizycyj sądowych, żeby na nich nie wymożono zeznań, które-by i ich samych do odpowiedzialności pociągnąć mogły, że gdyby Król był wszedł z nimi w układ przed rozpoczęciem sprawy, mało-by było rzeczy, co by od nich wyjednać nie mógł. Xiążę Kanclerz i xiążę Wojewoda Ruski mu to doradzali, ale Królowi się zdało, że jego jeńce dla okupu życia zrobią wszystkie zeznania, jakich tylko od nich zażądata, a korzystając z tych zeznań, że będzie mógł od razu obalić arystokrację Polską; pochlebając sobie tym sposobem, z Króla oszrankowanego prawem, zrobić siebie Królem samowładnym; z Króla obieralnego, może dziedzicznym.

Udano się najpierw do Łukawskiego, zaraz po wpro-

dzeniu sprawy: ofiarowano mu przebaczenie, z zapewnieniem przyzwoitego majątku za granicą, jeżeli zezna na piśmie, że generalność dała mu rozkaz dostawić Króla żywcem lub martwym do Częstochowy. Łukawski odrzucił ze wzgardą ofiarę, oświadczając że innego nie otrzymał rozkazu, tylko żeby się udać na Mazowsze dla wskrzeszenia konfederacyi między obywatelami; ale że będąc blisko Warszawy, *proprio motu* przedsięwziął porwać pana Poniatowskiego, którego swoim Królem nigdy być nie uznawał, że chciał go uwieść do Częstochowy, stanąć tam z gotową delacją, by mu dowieść nieprawne mianowanie siebie Królem Polskim, i domagać się o karę na niego za przywłaszczenie nienależącej mu godności. Tentowano szczęścia z panem Strawińskim, ale ten nie innego nie chciał odpowiedzieć, tylko że widząc siebie oskarżonym o *crimen status*, nie uznaje nad sobą innej jurysdykcyi oprócz sądu sejmowego, i przed nim jedynie winien się tłumaczyć.

Sprawa toczyła się publicznie, i po pierwszych sesyach Król mógł się przekonać jak jest niebezpiecznie nieprzyjaciela energicznego i zuchwałego wystawiać przed publicznością. Każde słowo wychodzące z ust Łukawskiego było pociskiem na Króla, a męztwo, przytomność i niezachwianie tego człowieka tak osłabiły pierwsze wrażenia, że już wyrazy jakiegoś współczucia dla Łukawskiego słyszeć się dawały po mieście. Kosińskiego dla własnego jego bezpieczeństwa musiano wywieźć z kraju; a starosta Wiluński, dopiero ulubieniec salonów Warszawskich, już zaczynał wszędzie spotykać oziębione oblicza. Czasem wyraz *bratobójca* z daleka dochodził jego uszu. Powtarzano wszędzie, a nawet na pokojach królewskich, że wojski, powodowany afektem braterskim,

przypuścił starostę do działu ojcowizny, która jemu jednemu była przeznaczoną, że nigdy nie przestawał dawać mu dowodów najszczerszego przywiązania, a że starosta mu się odwdzieczył naprzód porywając dla siebie pannę, bratu zaręczoną, a nakoniec prowadzi go na rusztowanie. Przekonanie i czułość mogły te mowy pobudzać, a zawiść i złość wszędzie je roznaślały. Ta niechęć szerząca się przeciw starości czasem i jego żonę dotykała; gdyż nie jedna dama stolicy, rada była z okoliczności korzystać, by ją ukarać za tę piękność i za te wdzięki, któremi jakkolwiek niewinnie, jednak rzeczywiście ją poniżała. W czystości nieskazitelnego sumienia, Zosia tego odcienia w obcowaniu z nią towarzystwa Warszawskiego nie spostrzegła; ale jej mąż dobrze poznał, że jego położenie wcale było inne niż przedtem. Nikt mu nie uchybiał w grzeczności, jeszcze bywano u niego, mnóstwo nawiedzin odebrał od osób winszujących mu otrzymania błękitnej wstęgi, zapraszano go nawet pozornie z dawną życzliwością; ale w tych grzecznościach, w tych powinszowaniach, w tych ukłonach, upatrywał coś przykrzejszego od otwartych wymówek, coś takiego, co go na wskrós przenikało.

Z drugiej strony wodzowie konfederacyi Barskiej, ochłonawszy z pierwszego przestachu, jak tylko doszły do nich wieści o sprawie rozpoczętej z królobójcami, umieli korzystać z ich stałości i niczego nie zaniedbali żeby siebie uniewinnić i przed własnym i przed obcymi narodami. Tłómaczenie które wysłali do dworów Europejskich było pełne godności: w niem oświadczyli, że każdy kraj ma swoje prawa, wedle których obywatel ma być sądzonym; że w rządzie elekcyjnym stosunki poddanego z panującym są zupełnie innej natury niż te, które

są między niemi w rządach spadkowych. Że Król Stanisław panuje w Polsce ani z prawa Bożego, ani ze krwi, ale jedynie z mocy paktu zawartego między nim a szlachcią. Że pełnowładztwo w Polsce jest w szlachcie, która część onego w czasie elekcyi zdaje na wybranego od siebie Króla, pod warunkami zobopólnemi. Że Król, dochowaniem przysięgi swojej ma prawo wymagać wierności i posłuszeństwa od poddanych swoich. Że konfederacya nie jest buntem, ale legalnym oporem przeciwko nadużyciom władzy. Że takowe prawo polityczne, jedynie Polsce służące, jest uznane od wszystkich mocarstw, tak dalece, że niektóre z nich niewahały się zawierać sojusze z konfederacyą Barską. Że sam Król akcess zrobił do świeżo rozwiązanej konfederacyi Radomskiej, że jeszcze świeższa konfederacya Słucko-Toruńska z jego instynktu zawiązaną została, a więc że udział w konfederacyi Barskiej nikogo plamić nie może. Że jeżeli się Bogu podoba by forma polityczna rządu Polskiego odmienioną została, oni tej nowej formie będą równie wierni, jak tej w której się urodzili; ale że teraz w obliczu Boga i ludzi śmiało oświadczają, iż nic prócz powinności nie robili. Co się zaś tycze potwarzy na nich rzuconej jakoby chcieli odebrać Królowi życie lub wolność, z niej sądowie bronić się będą: że są gotowi głowy swoje położyć na rusztowaniu, jeżeli takowa zbrodnia im będzie dowiedziona, ale nawzajem dopominać się będą kary na tych, co takową potwarz na nich poważali się rzucić. Xiążę Radziwiłł, Wojewoda Wileński, chociaż o nie sprawiedliwie pomawianym być nie mógł, gdyż od roku przeszło nie znajdował się w Częstochowie, i jego szwagier, pan Rzewuski, chorąży Litewski, do którego szczególnie obrócone były niechęci królewskie, oświadczyli urzędowie,

że czekają zwołania sejmu, że sami staną w Warszawie przed sądem sejmowym ażeby się oczyścić z podejrzenia o królobójstwo, które na nich usiłują rzucić, ale że staną razem jako delatorowie naprzeciwko tych, którzy zmusili ich do podniesienia wojny domowej. Że tylko sam sejm sprawę, gdzie sam Król jest stroną, rozsądzić może i w tém odwołali się do przykładu Zygmunta III, który chociaż zwyciężył Zebrzydowskiego, nie wzdrygał się poddać swoje postępowanie pod sąd sejmu nazwanego z tego powodu sejmem Inkwizycyjnym 1). Manifest P. starosty Wareckiego był w podobnymże duchu: te pisma wielkie zrobiły wrażenie i w Polsce i za granicą i nie-mało Królowi zaszkodziły w opinii publicznej.

Właśnie w tym czasie Hetman Ogiński, ów nieszczęśliwy dowódca Stołowieckiej wyprawy, zrobiwszy submissję Królowi, za pośrednictwem swojej żony, siostry ciotecznej Króla, a która była naczyniem wybranem wszystkich cnót starożytnych 2), wrócił był do Warszawy, i wkrótce odzyskał dawny afekt Królewski, gdyż w naturze ich umysłów i ich wychowania, wielkie było powinowactwo. Ogiński dowcipny, pełen talentów salono-

1) Żaden monarcha więcej nie był spotwarzonym od Zygmunta III; jednak to był może największy, a bez zawodu najenotliwszy z Królów Polskich. Jak przestaną się uczyć historyi z książek zagranicznych, lub, co jeszcze gorzej, z książek naszych narodowych pseudohistoryków niniejszego wieku, to się może u nas o tém przekonają.

2) Pani Ogińska, Hetmanowa wielka Litewska, xięcia Kanclerza Czartoryskiego córka, była opuszczoną od męża swojego; wszakże od obowiązków dobrej małżonki nigdy nie miała siebie za uwolnioną. I po rozstaniu się z mężem, nie przestawała mu dawać dowodów największego przywiązania.

wych, ułożenia zupełnie zagranicznego, chociaż dla wielkiej lekkomyślności, nie był zdolnym wygrać roli politycznej do jakiej go powoływały i świetność rodu i wysokie dostojęństwo; miał wszakże szlachetne serce, którego natchnieniom umiał ulegać. Pojednawszy się z Królem, szczerze się do niego przywiązał, jednak nie zerwał stosunków przyjaźni z swojemi kolegami konfederacyi. W obu stronnictwach lubiony, do niego najwłaściwiej przynależało, i do jednego i do drugiego przychodzić z rószechką oliwną; i Ogiński poznał to swoje położenie. Przechodząc się z Królem po sali zamkowej, dał mu radę, za którą gdyby poszedł, wielką popularność byłby pozyskał w narodzie.

— Najjaśniejszy panie, powiedział mu, w mocy Waszej Królewskiej Mości, żeby sama z siebie konfederacya rozwiązała się, a jej naczelnicy zostali Waszej Królewskiej Mości najwierniejszemi stronnikami.

— A to jakim sposobem, zapytał Król.

— Wasza Królewska Mość, urwij sprawę królobójców, a ich samych każ odesłać pod strażą do Częstochowy, z oświadczeniem, że wodzowie konfederacyi, jakkolwiek mu przeciwni, są nadto znani w narodzie z cnot swoich, by im można przypisać targnienie się ich podwładnych na osobę pomazańca Boskiego; odsyłasz winowajców do nichże samych, ażeby z niemi postąpili jak im sumienie i roztropność doradzą.

— I cóż z tego nastąpi?

— To, co może być najlepszego dla Waszej Królewskiej Mości: żeby tamci byli Machiaweliści, kazaliby ich powiesić jako nieposłusznych żołnierzy: tym krokiem sami by siebie uniewinnili, a po niejakiem czasie, starali by się coś nowego a lepszego wymyślić. Ale ja znam

ich Najjaśniejszy Panie, to są ludzie, którzy się tak boją sądu Bożego, że dla żadnych widoków politycznych, sumienia swego nie obciążą. Zaręczam W. K. M., i na to daję w zakład głowę moją, że sami przybędą do Warszawy błagać W. K. M. abyś ich z tak drażliwego położenia raczył wyprowadzić; i na wszystko chętnie zezwólą, byle tylko winowajców ocalić; tym sposobem Miłościwy Król zabijesz konfederacyę.

Król się nieco zamyślił. Trafność téj rady mówiła do jego przekonania, a przynajmniej sprawiła na nim wielkie wrażenie; ale nakoniec powiedział: ta rada dobra, ale za nią iść nie mogę, mam ręce związane.

Starosta Wieluński cierpiał niesprawiedliwie, i cierpiał nad miarę. Po powrocie z Królem, od tego był zaczął, że poszedł do domu, by mu ranę opatrzone, bo taki ból czuł w piersiach, że był przekonany, iż strzał do niego obrocony go nie minął. W saméj rzeczy, gdyby obraz Najświętszej Panny nie osłabił impetu kuli, ona-by mu niezawodnie pierś przeszła, blacha się przylgnęła od uderzenia tak, że część ciała która obrazem zasłonią była, zupełnie zczerniała. Starosta, pomimo rychłego krwi puszczenia, krwią chrząkał przez dni kilka, co mu jednak nie stanęło na zawadzie bieganiu wszędzie, by wyratować brata, którego zguby przez jakąś fatalność stał się sprawcą. Nakoniec otrzymał prywatne posłuchanie od Króla. Stanąwszy przed nim, jakkolwiek spostrzegł w obliczu Króla, że jego przybycie, zawsze tak uprzejmie dotąd przyjmowane, zdawało się nieco ciężyc Królowi, jakkolwiek zauważał, że Król układem i łagodnością przybraną, nie mógł pokryć jakiejs oziębłości, bo doświadczone na dworach oko starosty, umia-

ło czytać we wnętrzach duszy tych co z nim obcowali, jednak skromnie i poważnie tak zaczął:

— Staję przed tobą, Miłościwy Panie, okryty twoje-
mi łaskami. Dotąd nigdy o żadną dla siebie nie pro-
siłem, chociaż Wasza Królewska Mość niejednokrotnie do
tego mnie upoważniała: dobroć twoja Królu zawsze żą-
dania moje uprzedzała. Nie zasługi moje, bo nikt ich
mnień odemnie nie ceni, ale wspaniałomyślność twoja,
ośmielają mnie pierwszy raz prosić za sobą. Honor mój
jest w rękach Waszej Królewskiej Mości, a ten honor jest
ściśle spojony z losem, jaki brata mojego ma spotkać.
Błagam Cię, miłościwy Królu, przebacz bratu mojemu,
nie dopuść, by wiernego sługi twojego, szefa twojego ga-
binetu, twego, któregoś tyle razy publicznie zaszczycił
nazwiskiem tego przyjaciela, palcem wytykano, jako bra-
tobójcę, jako człowieka z plemienia zhańbionego ruszto-
waniem.

— Ale mój kochany, cóż ja zrobić mogę; wszak *jus
agratandi* nie jest udziałem władzy monarszej w Pol-
sce, wszak żyję pod prawem tak jak i poddani moi.
Sam czytałeś, jak hersztowie Barskiego rokосу grożą
mnie sądem sejmowym, pod którego wyroki chcą mnie
podciągnąć: przy prawach, jakie mamy, cóż Król może
zrobić dobrego dla swoich poddanych?

— Najjaśniejszy Panie, Król, a nie kto inny jest na-
szym najwyższym sędzią, źródłem wszelkiej władzy są-
downiczej. Cóż sędzia może Królowi odmówić? Jedno
słowo W. K. M. sędziom wyrzeczone będzie dostatecznem
żeby ocalić mojego brata; czyż już i tego jednego słowa
nie otrzymam.

— Mój kochany, ty mnie znasz lepiej niż kto inny,
ty sam wiesz, że krwi nie pragnę, że rad jestem zapo-

mnieć krzywd, co je ponoszę codziennie od takich nawet, których dobrodziejstwy mojemi okryłem. Żadnego żalu do twojego brata nie mam; żebym o tém wszystkich przekonał, sam stanę w obronie moich morderców, sam przemówię się w ich sprawie, czegoż więcéj żądać odemnie można?

— Jeżeli W. K. Mość sądowie przemówisz za winowajcami, gazety zagraniczne przytaczać będą urywki jego mowy, ze słusznemi pochwałami i serca i rozumu W. K. Mości, a mój brat dla tego straconym zostanie. Jedno słowo świętych ust twoich, Królu, na osobności sędziom powiedziane, zadość uczyni najpoddanniejszój prośbie mojej, a przymówienie się publiczne Waszój Królewskiej Mości za moim bratem w niczém losu jego nie odmieni.

— O cóż to idzie, mości starosto, niech brat wpana zezna, że czynność jego była dopełnieniem rozkazu danego mu od hersztów Barskiego spisku, a natychmiast wrota jego więzienia przed nim zostaną otwarte. Wszakże nie chcę od brata wpana tylko saméj prawdy; do wpana należy go skłonić, żeby przeciwko niej się nie opierał. Sam wiesz dobrze, mój starosto, że rozkaz był dany; jużci ani Łukawski, ani brat wpana tegoby się nie domyślili, za cóżby miał być tak upartym w tajeniu prawdy tak oczywistej.

— Aż nadto pewny jestem miłościwy Królu, że mój brat był tylko wykonawcą cudzej woli; ale jeżeli przysięgą obowiązał się do zachowania tajemnicy, jakże się spodziewać, by człowiek dzielający wszystkie fanatyczne wyobrażenia swojego narodu, miał siebie od przysięgi rozgrzeszać. I my sami, którzy męczennikami jesteśmy częstokroć słowa danego, możemyż potępiać wierność, którą

on zachowuje dla tej przysięgi. Bądź wspaniałym najmiłościwszy Panie, nie odmieniam przyrodzenia twojego, przebac mojemu bratu, a tém zawziętego przeciwnika przemienisz w najgorliwszego stronnika.

— Ale cóż mogę temu poradzić, mości starosto; wszakże to moja sprawa się toczy przed sądem. Jeżeli brat wpana dotrwa w swoim uporze, a uniewinnionym zostanie, więc tém samém ja się okażę być winnym. Zważ wpan sam, czy podobna bym do tego stopnia poniżył moją cześć, moją sławę, przez wzgląd na jakieś urojone szkrupuły tego, który się odważył targnąć na moją osobę. Wpan stajesz w obronie jego stałości w dochowaniu przysięgi a wszakże i ja przysięgałem, że będę wykonywał prawa i bronił konstytucye kraju. Czyż godność korony co ją noszę z woli waszój, nie jest zabezpieczoną temiż prawami, których jestem strażnikiem. Jako człowiek, Boga biorę na świadka, że żadnej osobistej niechęci przeciw niemu nie piastuję, ale jako Król czyż mogę przerywać bieg sprawiedliwości: pozwól bym i ja także pamiętał o mojej przysiędze.

— Najjaśniejszy Panie, nigdy nie chlubiłem się moimi zasługami, ale kiedy idzie o życie mojego brata, wszelkie względy mimo siebie puszczać winienem: wszakże to ja, a nie kto inny miał szczęście wyratować Waszą Królewską Mość; na piersiach noszę znaki mojej wierności. Patrz miłościwy Królu o jak mało chodziło, bym życie stracił na usługach twoich, i czyż na to obraz zawieszony przez żonę na szyi mojej osłabił wystrzał na mnie wymierzony, bym resztę dni moich płużył w hańbie i rozpacz? Czyż gdybym był mniej gorliwym w dopełnieniu rozkazów W. K. M. nie byłbyś dotąd Królu zdobyczą nieprzy-

jaciół twoich? Ocaliłem twoją świętą osobę, N. Panie, brat mój jest moim jeńcem, czyż nie zasługuję na jakąś nagrodę? Obiecałeś mnie Królu senatorskie krzesło, wtedy jeszcze, kiedy nie poczuwałem siebie być w prawie cegokolwiek żądać od ciebie: senatoria była kresem mych życzeń; ale dziś zmieniła się postać rzeczy; nie chodzi mi już o nabycie nowych zaszczytów, ale o zachowanie mojej poczciwości szlacheckiej. Wracam do źródła dobroczynności twojej N. Panie, obietnice łaskawego jej udziału dla mnie. W nagrodę moich zasług domagam się uwolnienia mojego brata, żebym nie miał powodu płakać całe życie, żem był nadto skwapliwym w daniu ratunku W. K. Mości za pierwszym jego rozkazem.

— A mości panie, na to odpowiedzi dać nie umiem. Sumieniu wpana zostawuję rozsądzić, czy poddany i zaufany sługa na wezwanie swojego Króla miał być skwapliwym lub opieszałym w dopełnieniu jego rozkazów? Czy urzędnik, który przysięgą ewinkował wierność swoją, może mieć powód żałowania, że stanął na rozkaz Króla, wołającego by siedł na jego ratunek?

— Widzę więc N. Panie, że moje usługi już się naprzykrzyły W. K. Mości. Brat zbójcy na śmierć skazanego nie może być szefem gabinetu królewskiego; zresztą moja przytomność przypominałaby ciągle przysługę nadto wielką, by jej pamięć mogła być przyjemną. Widać że są poświęcenia poddanego dla swojego Pana takie, że na nie się zdobywszy trzeba zaraz potem umrzeć, ażeby i sobie oszczędzić pasma zgryzot i Króla oswobodzić od ciężaru wdzięczności.

— Mości panie starosto Wieluński, przebaczam wpanu te słowa obraźliwe, których śmiałeś się dopuścić w mojej

przytomności; przypisuję je uniesieniu i czułości braterskiej. Przywiązanie wpana do brata tém więcej mnie buduje, że nie zawsze dawałeś mu tego dowody. Powtarzam to, o czém wpan przekonany być powinien: jeżeli brat wpana wyzna przed sądem kto był pierwszym sprawcą czynu, wrota więzienia dla niego będą otwarte; znajdzie we mnie Króla i ojca; jeżeli wytrwa w swoim uporze, prawo niech o nim stanowi. Co się zaś tyczy usług wpana, one są dla mnie i przyjemne i pożyteczne; wszakże ani tej myśli przypuszczaj sobie, bym je okupował poniżeniem osoby mojej. Jeżeli wpan będziesz takim jakim byłeś dotąd, nigdy się nie rozstaniemy z sobą; jeżeli myślisz mnie prawa przepisywać, tego nie zniosę. I ręką skinąwszy dał poznać, że się posłuchanie skończyło.

Starosta odszedł w największém poruszeniu. Ani zadawał sobie pracy pokryć swoje uniesienie; śpiesznie przeszedł garderobę królewską odpychając każdego który się do niego przybliżał. Nie już przed sobą nie widział, szedł prawie bez przytomności i tak zbiegł ze schodów zamku; lokaj rzucił na niego szubę i otworzył karekę; starosta tego nie spostrzegł, poszedł pieszko, nie wiedząc dokąd dąży. Stanął nakoniec, a obracając się ku zamkowi już ni knącemu mu z przed oczu:

«Niewdzięczniku, samolubie, rzekł, otóż to nagroda za tyle poświęceń, otóż to przyjaźń, coś mi ją tyle razy oświadczał! U Monarchy z krwi panującej, który prawem dziedzictwa rządząc, przed Bogiem tylko jest odpowiedzialnym z swoich postępów, znalazłbym łaskę, której nie mogę otrzymać od Króla, co jeszcze nie dawno był moim równym, który jest tylko urzędnikiem przyozdobionym koro-

na a nie istotnym, nie władającym monarchą. I ja takiego rodzaju Królowi służyć mogłem? Lecz nie tryumfuj, mojego brata tak łatwo na rusztowanie nie poprowadzisz. Wszystkiego się dopuszcze, mam chorągiew gotową na moje zawołanie, mam żołnierzy do siebie przywiązanych. Bądź co bądź, wyratuję brata, albo razem z nim zginę.

I krokiem śpiesznym poszedł do swojego pałacu.



XVIII.

Więzienie.

Wojski w więzieniu swoim znalazł dawnego znajomego w osobie jw. generała Korycińskiego, który miał dozór nad więźniami stanu. W czasie tej wojny domowej, która wkrótce po elekcyi Stanisława Augusta nastąpiła, generał, naturalnie służąc w stronnictwie królewskim, w Litwie z bronią w ręku schwytanym został od oddziału, któremu dowodził generał Kunicki. Pan Michał Strawiński obszedł się z nim najuczciwiej, i to wyjednał dla niego, że pozwolono mu wyjechać do rodziców poprzestając na słowie od niego daném, że uważając siebie za więźnia, pokąd nie zamienionym będzie na innego ze strony przeciwnej brania, odpowiedniego mu w stopniu, służyć przeciwko konfederacyi nie będzie, które to słowo, jako mąż nieposzlakowanego honoru, najświęciej dotrzymał. Kiedy mu więc oddano pana Michała, przyjął go jak przyjaciela, nie wahał się jemu uczynić te wszystkie pomniejsze

przysługi, co jednak tak ulagadzają los nieszczęśliwych jeńców, i najmocniej go prosił, by w każdym żądaniu swoim, wprost do niego się odnosił, i że mu odmówi chyba tego tylko, czego dopełnić będzie mu niepodobna. Nakoniec powiedział mu: — mości wojski dobrodzieju, Bóg świadek, że czuję dla wpana obowiązki wdzięczności, z którychbym się rad wywiązał; szacunek co go mam dla wpana jest tak wielki, że niczego tak gorliwie nie pragnę, jak dawać mu onego dowody, o ile tylko to się da pogodzić z tem co winien jestem Królowi, mojemu Panu, którego chleb jem. Mam w Bogu nadzieję, że to wszystko źle nie powinno się skończyć; ani przypuścić mogę, byś pan wojski miał być traconym jakby jaki złoczyńca. Wszakże ponieważ jesteś mnie powierzony, możesz mnie oswobodzić od wszelkiego starania około pilnowania swojej osoby. — Daj mnie słowo chrześcijańskie i szlacheckie, że ani sam starać się będziesz oswobodzić siebie samowolnie, ani dopuścisz by kto inny wpana oswobodził, a ja więcej na jego słowie polegać będę, niż na baczeniu moich ciurów, i tyle uczciwości wpana dowierzam, że jak mi dasz słowo, wrot jego więzienia nawet zamykać nie będę.

— Z całego serca mości generale daję wpanu słowo chrześcijańskie i szlacheckie, że chyba za rozkazem wpana wyjdę z więzienia mojego, że nie pozwolę by ktokolwiek z niego mnie wyprowadził. Masz pan moją rękę na zakład słowa co mu go daję, słowa, którego jeżeli nie dotrzymam, niech Bóg i ludzie mają mnie za podłego.

Generał ścisnąwszy jego rękę, rzekł: polegam z niczem nieoszrankowaną ufnością na słowie daném od wpana, jestem zupełnie spokojny.

Półkownik Łukawski był zamknięty w témże więzieniu

co i wojski, ale każdy z nich oddzielną izbę zajmując, żadnych znoszeń z sobą mieć nie mogli. Generał codziennie obu nawiedzał; pierwszego jedynie z obowiązku, drugiego, że do obowiązku dodawał jeszcze osobistą przychylność. I nie tylko on, ale nawet odźwierni więzienia, ludzie z powołania serca niewiele czułego, ledwo wojski parę dni z niemi pobyl, a już dzielali generała współczucie dla niego. I Łukawski i Michał równie byli mężni, ale męztwo w każdym z nich, innemi cechy się objawiało: Łukawski zdawał się ciągle przypominać sobie, że trzeba pokazać się odważnym; Michał zupełnie o sobie zapominał, i za żadnemi efektami się nie upędał. W pierwszym przemagała zuchwałość i duma, w drugim rezygnacya i skromność. Jeden, nawet w więzieniu, budził w sercu swoich strażników coś nakształt bojaźni, drugi jakieś uszanowanie. Energią półkownika wylewała się gwałtownością, energia wojskiego cierpliwością niczem niezachwianą. Łukawski wyraźnie okazywał wzdargę dla śmierci, i niemniejszą wzdargę dla tych co byli jej sprawcami; Michał okazywał dla pierwszej obojętność, a dla drugich jakieś politowanie religijne, bez najmniejszej chęci ich upokorzenia. Główne rysy charakteru tych dwóch jeńców szczególnie się odznaczały, ile razy ich stawiono przed sądem. Łukawski drażnił sędziów goryczą swoich wymówek, nie tyle troszcząc się o usprawiedliwienie siebie, ile o napiętnowanie przeciwnego stronnictwa sromotą. Nie stawał jako obrońca własnej osoby, ale jako oskarżyciel Króla, i jego popleczników. Michał przeciwnie, lubo zaprzeczał sędziom prawa jego sądenia, w niczem ich osobistości nie dotykał. Stawał w obronie ustaw i prawodawstwa krajowego, oświadczał że tylko przed sądem sejmowym tłumaczyć się winien, że sądowi marszałkowskiemu nic inne-

go nie wyrzuca, oprócz niewłaściwości juryzdykcyi, oddając zresztą wszelką sprawiedliwość prawości osobistej tych, co wchodzą do jego składu. Że jeżeli go chcą sądzić jako prostego mężobójcę, z pełną ufnością stanie przed nimi, żeby ich przekonać, że nim nigdy nie był; ale że, gdy go chcą sądzić jako królobójcę, kognicya wszystkich przestępstw, objętych w ogólném nazwisku *crimen status*, tylko do sądu sejmowego należy wedle prawa, a że on będąc i obywatelem i urzędnikiem, sumiennie nie może się poddać juryzdykcyi niewłaściwej; a ta jego wierność dla prawa, którą dochować winien jako szlachcic, którą dwa razy przysięgą stwierdził, raz jako jurysta, drugi raz jako wojski, przeważać winna uczucie osobistego szacunku i ufności, które zkadınad mieć może dla swoich sędziów. To tłumaczenie, w którym zamknął obronę swoją, było wyrzeczone z taką godnością, z takim umiarkowaniem, że sędziowie nie mogli utaić przed sobą, że prawie cała publiczność słuszość mu przyznawała.

Od pojmania swego, wojski najmniejszą nie łudził siebie nadzieją. Przygotowany do śmierci, i wolą i uczuciem oderwał się od tego świata i tylko myślał o tém życiu nowém gdzie już bez przeciwności, bez zgryzot, bez obawy miał się złączyć z ojcem swoim w krainie wieczności, na łonie Najwyższego. Jakkolwiek czasem się wzdrygał na to gwałtowne rozstanie się z życiem, w połowicy dni swoich; Wiara, Nadzieja, i Miłość, te trzy puklerze chrześcijańskiego żywota, tyle męztwa mu przydawały, iż zawsze brał górę nad tą słabością ślepej i głupiej natury. I ta walka stawała się powodem nowych zwycięstw, co je Bogu przynosił w ofierze. Rzecz dziwna, on, który w przyjaźnych kolejach życia, nigdy się nie mógł oswobodzić od jakiegoś smutku, od jakichś melancholicznych za-

dumań, na krawędzi ostatniej niedoli okazał zupełną odmianę w powierzchowności swojej. Został raptownie przystępnym dla tych niewinnych uciech, któremi człowiek robi się przyjemnym w obcowaniu. W chwilach kiedy z Bogiem nie obcował, okazywał się mówniejszym niż zwykle; często nawiedzającego generała widząc zasmuconym, do jowialnych go rozmów pobudzał, i wtedy jego rubasność zachęcał. Często uśmiech niekłamanej wesołości pokazywał się na jego twarzy; a co dziwniejsza jeszcze, odmarszczone jego lica jakąś osobliwą pięknnością rozjaśniały. Coś w nim było tak pogodnego, tak anielskiego, że odźwierni więzienia ile razy go spotkali przechadzającego się po dziedzińcu, tręcali siebie mówiąc: — oto święty człowiek idzie, prosimy go o błogosławieństwo.

Ledwo osadzonym został w więzieniu, zaraz podzielił swój czas, wedle porządku statecznego, i w niczem go nie zmienił. Porządek w układzie swojego czasu, niestety tak krótkiego, jest jedną z główniejszych zapraw cnotliwego życia. Człowiek, którego z góry czas jest rozmierzony, którego każda godzina ma swoje przeznaczenie, już daje pewną rękojmię bezpieczeństwa dla tych, co z nim obcować muszą. Gdzie tylko jest posługa dla ludzkości, tam koniecznie musi być niezmienny porządek w użyciu czasu: bez tego nie może być magistratury, wojska szkoły. Duch zakonny, w zgromadzeniach usiłujących przechować doskonałość żywota chrześcijańskiego, utrzymuje się w ścisłym stosunku z dopełnieniem reguły, rozporządzającej szczególnie rozmiar czasu. Jeżeli człowiek wolny od obowiązków, którym podlegają szczegółowe społeczeństwa, nie umie zamykać swojego czasu, w klubach jakiegoś porządku, może być człowiekiem dobrym, przyjemnym, wszakże w ważnych i stanowczych okolicznościach

niepodobna mu zaufać. Człowiek nieporządnym jest człowiekiem bez czerstwości woli, bez wytrwałości w przedsięwzięciach. Może być dostępnym, nawet dostępniejszym od innych dla wszystkich wyskoków zapału, ale zapał nie mogąc być stanem normalnym człowieka, gdy z natury swojej rychło ostygac zaczyna, tenże sam który w początkach zawodu okazał się czynnym, działającym, mężnym, gdy lada przeciwności zagrożą, wszystkich przerazi najsromotniejszym upadkiem ducha 1).

Michał wstawał o piątą: przebudziwszy się, zaraz się ubierał, i modlił się do szóstej, poczem szedł do kaplicy więzienia, słuchał mszy świętej, o siódmej przynoszono mu śniadanie — piwo grzane, poczem czytał kazania, lub żywoty świętych Piotra Skargi, znajdując w tem czytaniu i wielką pociechę i wielką rozrywkę. Od dziewiątej do jedenastej, jeżeli nie był powołany przed sąd, przechadzał się po dziedzińcu. O jedenastej przychodził do niego xiądz Białobrzeski, kapelan więzienia, mąż słynny w całej Polsce

1) Odkąd w naszym społeczeństwie czynność religijna znacznie się zmniejszyła, całe młode pokolenie straciło wyobrażenie wszelkiego porządku. Unikać od wszelkiej pracy, a siedzieć na wsi, by się oddać najbezczelniejszemu próżniactwu, oto jest *summum bonum* naszej młodzieży. O młodzieży nasz! gubisz siebie, gubisz nas! Żebyście przynajmniej wielki post obrócili na jakiś porządek w życiu; żebyście w nim czas rozmierzili, i choć trochę tego czasu udzielili na czytanie jakiegś książki pobożnej, na jakąś medytację, na warowanie siebie od nałogów, na poskromienie zmysłów, języka, gardła, na jakieś dobre uczynki! Czy na cały rok, czterdzieści dni już za wiele. Sprobujcie tej mojej rady usłuchać, uczynicie sobie w tem jakiś gwałt początkowy; a ja wam poprzysięgam, iż sami przyznacie, że przemówilem do was głosem przyjaciela.

z swojej świętobliwości, a który zaofiarował siebie na żywot prawdziwie męczeński, gdyż wszystkich dekretowanych na śmierć dysponował. Z tym czcigodnym kapłanem przepędzał całą godzinę w pobożnym obcowaniu, i wynurzał przed nim duszę swoją bądź w potocznej, bądź w sakramentalnej rozmowie. Xiądz Białobrzeski powtarzał, że po każdej godzinie spędzonej z wojskim czuł siebie być lepszym niż wprzód. O południu pożywał skromny obiad. Po pierwszej przychodził do niego generał Koryciński, i z nim więcej godziny bawił; wojski przyjmował go jak gospodarz gościa, z twarzą wypogodzoną, z rozmową dowcipną, mając w pilnym baczeniu żeby go nie zasmucić przypominając mu coś takiego, coby się odnosiło do przyszłego jego losu. Generał odchodził go z sercem zakrwawionem, bo szczerze się był do niego przywiązał; gryzł się jego losem, i przeklinał swoje ubóstwo, że dla utrzymania licznej rodziny, musiał się podjąć obowiązku, tak drażliwego dla czulego serca; jednak tém się pocieszał, że wojski przebaczenie otrzyma, gdyż to będzie jednym z warunków zgody z konfederacją Barską. — Po wyjściu generała godzinkę spoczywał. Przebudziwszy się, parę godzin bawił się tokarnią, którą na jego żądanie, generał kazał mu wnieść do izby, i właśnie toczył na pamiątkę generałowi warcaby z bukszpanu i hebanu. O piątej czytał z niczem niezrównane dzieło, przypisane Tomaszowi a Kempis 1), które w wielkich goryczach serca tak do pojęcia

1) JW. Xiądz Biskup Łętowski, uderował publiczność naszą tłómaczeniem przewybornem tego dzieła. W tém tłómaczeniu pełnem Ducha Bożego, światły pasterz zachował tok i namaszczenie oryginału, i tę prostotę której żaden tłómacz ani w naszym, ani w obcych językach schwycić nie umiał. Nie

przypada; i przy tém czytaniu czynił rozpamiętywania. — O siódmej używał powtórnej przechadzki, o ósmej przynoszono mu wieczerzę, o wpół do dziewiątej zaczynał modlitwy wieczorne, odmawiał na cześć Niepokalanego Poczęcia rożaniec lub koronkę; przed dziesiątą kładł się do snu, który nie uciekał od jego powiek, jak to się tak często zdarza między szczęśliwemi świata, owszem zasypiał smaczno, bo aniołowie Pańscy do spoczynku go kołysali.

Tymczasem sąd postępował. Sędziowie nie wchodząc w zaprzeczenie im niewłaściwości juryzdykcyi, a widząc że wojski nie chce im odpowiadać, zaniechali z nim wszelkich interrogatoryów, ale jako na pojmanego *in flagran-te delicto*, ferowali nań wyrok śmierci, z exekucją *post triduum*, ażeby mu zostawić dość czasu do pojednania się z Bogiem. Tenże wyrok był wspólny i dla Łukawskiego. Kiedy zostali oba wprowadzeni do wysłuchania dekretu, Łukawski ręką dał znak wzgardy, i ani słowa nie powiedział; wojski przemówił. — W krótkości powiedział, że gdy szlachciec *sine beneficio apellationis* nie może być sądzonym, mógłby odwołać się do Trybunału, ale że tego nie czyni, żeby tém nieakceptować juryzdykcyi, że tylko od wyroku uciążliwego, ale prawnego, odwoływać się można, a że w tym co dopiero mu przeczytano, prawdziwego wyroku nie widzi, ale jakiś paszkwil na jego osobę rzucony. Dowodził wszystkich nielegalności dekretu, wszakże oświadczył, że we wszystkiem się zgadza z wolą Pana Boga, i że swoim sędziom z całego serca odpuszcza.

Starosta z swojej strony robił co tylko mógł dla oca-

uwłączam zaletom Matuszewicza, ale są jednak rzeczy których się dotykać nie godzi bez szczególnego powołania; i porównywając oba te tłómaczenia o tém przekonać się można.

lenia brata; powtórnego posłuchania prosił u Króla, ale to mu odmówione zostało. Napisał do Króla list obszerny, gdzie przypominając mu najuniższej swoje zasługi, przepraszał go, jeżeli, gdy położenie brata przytomność mu odjęło, w czémkolwiek mógł jego obrazić. Błagał Króla o przebaczenie dla brata, ofiarował mu życie swe na każde jego zawołanie, byle brata jego ocalił: nie nie zaniedbywał żeby przyrodzoną wspaniałomyślność Króla obudzić. List starosty był wytworem logiki i czułości, ale ten list odpowiedzi żadnej nie otrzymał. Udawał się starosta do wszystkich swoich przyjaciół, prosząc ich o wstawienie się za nim do Króla, ale mógł się przekonać, co to jest niekiedy wdzięczność i przyjaźń na wielkim świecie. Xiążę generał ziem Podolskich, Branicki łowczy koronny, pewnie-by go nie zawiedli, ale na jego nieszczęście żaden z nich nie znajdował się w Warszawie. Pierwszy zniechęcony zamieszaniami Rzeczypospolitej, a więcej jeszcze ustawicznem wahaniem się Króla, wyjechał był do Paryża, gdzie postanowił przemieszkować aż do zupełnego uspokojenia kraju; drugi uśmierzał bunt chłopski na Ukrainie.— Inni, jak tylko gruchnęła wieść, że starosta rozgniewał Króla, nie tylko że się wymówili od wszelkiej pomocy, ale mu dali do poznania, że z nim nadał żadnych stosunków nie życzą sobie zachować. Nawet wszelką usilność swoją ku temu obrócili, żeby rozgniewanego Króla jeszcze więcej rozjątrzyć przeciw wypadłemu z łaski dawnemu ulubieńcowi.

Starosta, wyczerpawszy wszelkie środki dworszczyzny, nakoniec wpadł w rozpacz, i rodzime zuchwalstwo polskie wzięło w nim górę nad wszelki polor, wychowaniem zagranicznym nabyty. Posłał Królowi dymissję od urzędu szefa gabinetu, i do niej dołączył list cierpki, w którym

oświadczył, że honor i sumienie nie pozwalają mu dłużej zostawać w usługach Jego Królewskiej Mości. Król obrażony do najwyższego stopnia, wyprawił do niego szambelana swojego Camellego, żeby mu oświadczył w jego imieniu, że przyjmuje dymisję szefostwa swojego gabinetu, oraz że żąda niemniej jego dymisyi od służby wojskowej, i zdania najrychlejszego chorągwi królewskiej kawalerii narodowej, która pod jego dowództwem dotąd zostaje.

Ale jak tylko Camelli o tém wspomniał, starosta odpowiedział zuchwale — Mości szambelanie, złożyłem szefostwo gabinetu, bo Królowi nie myślę służyć; lecz do śmierci pragnę być wiernym sługą Rzeczypospolitej, i chorągwi mojej nie złożę. Jeżeli wedle Króla niejestem godnym mieścić się w komputowém wojsku, to niech sąd na mnie zwoła, bo sądownie tylko mogę być wyzutym z mojego stopnia; a nie poczuwając się do żadnej winy, Królowi posłusznym być nie mogę. Proszę to mu oświadczyć o demnie.

— Uważaj mości starosto, że chorągiew której dowodzisz jest Królewską, że swój stopień otrzymałeś z jego łaski, a tém samém ta łaska może być cofniętą — *Cujus est condere, ejus est tollere*.

— We Włoszech takowe axiomata mają siłę prawa, ale nie u nas. Ja nie Królowi służę jak wpan, ja służę Rzeczypospolitej, której Król jest tylko pierwszym urzędnikiem a nie panem. Jestem pólkownikiem 1) tej samej cho-

1) W każdej chorągwi kawalerii narodowej dowództwo zawsze było przy poruczniku, a rotmistrz był tém, czém w państwie Austryackim inhaber regimentu. W chorągwiach gdzie sam Król był rotmistrzem, nie było poruczników, ale pólkownicy.

ragwi, której Król Jegomość jest rotmistrzem—i tu w nim nie widzę tylko o jeden stopień starszego kolegę. Jeszcze władza hetmańska nie jest zniesioną; Hetman wielki przeniósł się do wieczności 1), ale żyje hetman polny, przy którym zostaje najwyższa władza nad wojskiem. Król najlepiej wiedzieć powinien gdzie się znajduje teraz hetman polny 2). Niech on na wezwanie Króla da rozkaz bym złożył dowództwo królewskiej chorągwi, jemu jednemu winieniem być posłusznym.

—Zapytać śmiem samego pana starostę, czy mogę podobną odpowiedź zanieść Królowi?

—Innej wpan odemnie nie otrzymasz. Ja nie jestem Włochem z po za gór zabląkanym; ja jestem szlachciec *possessionatus et bene natus*. Prawda że przyludzony obietnicami Króla, zdawałem się o tém zapominać; ale teraz przypomniałem sobie, że Opatrzność urodzeniem mojem na wyższym mnie postawiła stopniu, niż ten, do którego podnieść-by mnie mogła jego łaska. Nie taję się że Królowi jestem obowiązany, lecz jeżeli pod krédkę weźmiemy wzajemność łaski i przysług, dopiero pokaże się, który z nas drugiemu jest dłużnym. W Paryżu, kiedy jeszcze żadnych nadziei nie wzniecał, wtedy jeszcze kołatał, że tak powiem do mojej przyjaźni, i umiał z niej korzystać, a jeżeli z woli Opatrzności otrzymał godność, do której i ja, przynajmniej jemu równy mojem urodzeniem,

1) Jan Klemens z Ruszczy Jaxa Branicki, Hetman wielki koronny i kasztelan Krakowski, w piérwszych latach panowania Stanisława Augusta gdy skończył żywot pełen sławy, wielka buława lat kilka wakowała.

2) Wacław Rzewuski, hetman polny koronny i wojewoda Krakowski, wlat kilka po śmierci Branickiego otrzymał wielką buławę i kasztelanę Krakowską.

nie mniejsze od niego miałem prawo; jeżeli na tej wysokości osadzony spuścił na mnie jakiś udział ze swoich łask, pewnie nie miał powodu tego żałować. Jakież sługa był jemu więcej pomocnym, więcej wiernym; poświęciłem dla niego wszystkie obowiązki krwi, sumienia i wiary, i wyznaję, że sprawiedliwie jego ręką właśnie jestem ukarany. Dziś, jeżeli jeszcze rozkazy daje ze swojego zamku, jeżeli nie jest więźniem tych obywateli, co się umieli poznać na jego chytrłości, komuż to winien, jeżeli nie mnie, mnie, którego usługi wyczerpane, już się mu stały obmierzłe. Biada narodowi któremu Bóg uskapił krwie panującej, a który z krwie poddańskiej wynosić musi nad sobą Króla. Przebóg, co za dziwna sprzeczność w naszym społeczeństwie. Ci sami co szydzą z tych przychodniów, którym się udało wdrapać i do dóbr i do położenia towarzyskiego, do którego ani urodzeniem, ani uczuciami nie są usposobieni, nazywając ich parweniuchami, obok tego sami siebie skazują na to, aby mieć podobnych przychodniów na tronie, i z zapalem obstają za tak dziwnym przywilejem.

— Mości starosto, mnie się nie godzi słuchać podobnych rzeczy; pan zapominasz, że jestem sługą królewskim, od Króla posłanym. Pan starosta mnie krzywdzisz, jeżeli myślisz że obojętnie słuchać będę obelg miotanych na pana mojego.

— Ha, ha, ha, jak widzę Król do mnie wyprawił bohatera. Czy nie chcesz czasem mój kochany Camelli odwołać się ze mną do twojej szpady, obstając za honor twojego pana; a spróbuj, waleczny Włochu, jeżeli mnie pokonasz, azaliż Król nie pokaże się dla ciebie wdzięczniejszym niż dla mnie. Wy Włosi tego się bijecie na szpady. Casanova tak jej ufał, że ledwo się dał namó-

wie z naszym Braniekim do pistoletów. Już ja pole leżałem, możesz więc śmiało ze mną próbować szczęścia.

— Pan starosta się unosisz; w czymże się mogłem panu narazić. Przynoszę mu rozkaz królewski, ale w tym niema nic mego; cóż to wszystko do mnie ma należyć; ja zawsze byłem pańskim przyjacielem, i pewnie tego nie powtórzę przed Królem, coś pan w uniesieniu mówił.

— I owszem, i owszem, jako od niego posłany, winieś mu co do słowa opowiedzieć wszystko coś słyszał. O twoich dobrych chęciach dla mnie nie wątpię: jużci żadnego własnego interesu mieć nie możesz w tém, żebym złożył moje półkownikostwo, ono się tobie przez żaden sposób dostać nie może. Ty nie polski szlachcic, ty sobie Włoch zwyczajnie; mundur kawaleryi narodowej nie dla ciebie; i dziękuj Bogu, że Król w niej umieścić ciebie nie może. — Tybyś towarzyszom pancernym nie dał rady, oni-by tobie twarz zapluli, a plecy wyplazowali. W gabinecie królewskim, to dla was miejsce: będziecie kaligraficznie przepisywali depesze, i listy sentymentalne Króla roznaszali według adresów. Wiele jest przy Królu do ciebie podobnych, niech-no ich na palcach porachuję: ty, Corticelli, Piatoli, Manucci, Antonini, Boscamp — prawdziwie szanowne grono składacie! — Z wami Król wielką popularność pozyszcze w narodzie; tylko postarajcie się, żeby Król wam wyrobił indygenat na następnym sejmie: tym sposobem urzędy krajowe wam się dostać mogą. Jak wdrapiecie się do senatu, może wyuczycie szlachtę naszą małpy wodzić po jarmarkach.

— Jeżeli pan starosta samego Króla nie szanujesz, nie dziwnego że ja, sługa, wystawiony jestem na jego obelgi. Moja rzecz cierpieć i milczeć; jednak jak przyjaciel pański, pozwól niech mu dam jedną radę....

— Idźże precz Włochu z twojemi radami!— Radź sobie Królowi pospołu z panią Lullier, a ja, ja sam sobie radzić potrafię.— Ruszaj z Bogiem pokądeś jeszcze cały, i złoż Królowi Jegomości moje uszanowanie.

Jak zniknął Camelli, starosta kazał siebie zawieść do koszar, i tam swoją chorągiew musztrował. Towarzysze miłowali go jak ojca, bo żył z niemi, i sownie ich potrzeby opatrywał z własnej szkatuły; śmiało więc na nich mógł rachować w każdym przedsięwzięciu. I kiedy im oświadczył że Król żąda by złożył nad niemi dowództwo, oni go na klęczkach prosili żeby ich nie opuszczał. Powiedzieli mu, że nikt niema prawa do tego go zmuszać, i że jeżeli im dadzą innego wodza, oni go na grotach swoich proporców zaniosą do zamku.

Tu przychodziła najstraszniejsza chwila dla starosty, trzeba było żeby się widział koniecznie z bratem, którego rozmyślnie kiedyś przywiązanie zdradził, a którego świeżo, choć w niewiadomości, pojmał i oddał w ręce nieprzyjaciół. Wolał-by się spotkać z tysiącem śmierci, niż z zażalonym wzrokiem brata; jednak postanowił widzieć się z nim, gdyż od tego widzenia zależał jedynie jego ratunek.

Poszedł więc do więzienia, przemógłszy wszystkie przeszkody, jakie mu stawiały wstyd, natura, wyrzuty sumienia. Przybywszy do więzienia, kazał siebie wprowadzić do wojskiego: z początku oficer służbowy się wahał, ale na groźny rozkaz dany mu od oficera, tyle wyższego w dostojęństwie, a ozdobionego najwyższym orderem kraju, był mu posłusznym.

Wojski właśnie wtenczas dotaczał cybuch, przeznaczony na pamiątkę Wazgirdowi, kiedy drzwi jego więzie-

nia się otworzyły.—Ludwik stanął na progu jak wryty. Ale Michał, zaraz go poznawszy, wyskoczył do niego z ramionami wyciągniętymi, ścisnął go w swoich objęciach, i kilkakrotnie ucałowawszy, powiedział—Ach bracie, ja jestem teraz zupełnie szczęśliwym, niczego nie pragnęłam jak ciebie przed śmiercią widzieć, żeby się pojednać z tobą, i oświadczyć że ciebie z całego serca miłuję, i że najmniejszego żalu [ani przeciw tobie, ani przeciw mojej bratowej nie zachowuję. Bądźcie szczęśliwi oboje w jak najdłuższe lata, i miejcie mnie w pamięci, a czasem westchnijcie za moją duszę.

Ludwik czas jakiś słowa wymówić nie mógł, uczuł jakieś ściśnienie w piersiach, aż nakoniec dwa strumienie łez puściły mu się z powiek. Michał starał się go uspokoić z taką czułością, jakby nie on sam, ale brat jego był skazany na śmierć.—Jestem bratobójca! krzyknął starosta, jestem przeklęty od Boga i ludzi!

—Cóż ty mówisz drogi Ludwiku, uspokój się, któż ci podobny zarzut uczynić może, a jeżeli-by jaki lekko-myślny śmiał na ciebie rzucić taką potwarz, czyż sumienie twoje nie zada mu kłamstwa. Cóżes winien, że, wierny obowiązkom twoim, ścigając tych co z bronią w rękę napadli na Króla, któremu służysz, między innymi zastałeś i twojego brata? Wszakże ja z innymi do was strzelałam, czyż nie mogłam ciebie trafić; a jednak i w takim razie bratobójstwa bym sobie nie wyrzucał; jak Bóg chciał, tak się zrobiło, a ty byłeś ślepem narzędziem jego wyroków. Powtarzam ci, że w niczem nie jesteś winnym, a wierzyć możesz słowom tego, który rychło stanie przed Bogiem. Żegnam cię bracie drogi, i proszę cię o to tylko żebyś był spokojnym.

—Ach bracie, przyszedłem błagać ciebie o przeba-

czenie a dobroć twoja uprzedzając mnie, tćm mnie zabija. Lecz jeżeli byłem zbrodniarzem, jestem przynajmniej doć silnym, by przeszkodzić ażeby miara nieprawości się dopełniła. Przyszedłem ratować ciebie; uciekaj pod pieczę moją, ja ciebie z miasta wyprowadzę. Dowodzę oddziałem żołnierzy mężnych, i na których spuścić się mogę; idź ze mną bracie. Cóż to? ty się wahasz! Czyż już tyle mną pogardzasz, że wzdrygasz się przyjąć rękę którą ci podaję?

— Drog! Ludwiku, nie mów mi tego. Z największą wdzięcznością, z czułością braterską przyjmuję twoją ofiarę, ale z niej korzystać nie mogę.

— Jakto?— tybyś chciał być straconym jako złoczyńca, tybyś odpychał ostatni środek ratunku! Kochany Michale, zaklinam ciebie na popioły naszego ojca, idź ze mną.

— Nie bracie, od hańbiącego moją sławę wyroku, ucieczką się nie oczyszczę. A gdybym nawet ku temu się skłaniał, jedna okoliczność zawsze stanie temu na przeszkodzie: dałem słowo chrześcijańskie i szlacheckie, że tajemnicą nie wyjdę z więzienia. Ciebie zapytuję, co byś sam o mnie myślał, gdybym przez bojaźń śmierci tak haniebnie obciążył i moją cześć, i moje sumienie.

— Żadna obietnica postawioną być nie może na szali z tćm, cćś winien ojczyźnie; tyś dla jej ocalenia przeciw nam działał, i ja teraz przekonałem się o słuszności waszych zamiarów. Pójdę z tobą, obok ciebie walczyć będę, poprowadzę do Częstochowy mój hufiec, niewielki, ale nieustraszony: był on pod mojem dowództwem narzędziem zbrodni, odtąd niech będzie sprzymierzeńcem cnoty. Mam niejakić doświadczenie w rycer-

skiem rzemiośle; pokonamy nędzarzów, którzy zechcą nam się opierać. Między mną a Królem już odtąd nie może być nic wspólnego. Pokrzepim w Częstochowie siły konfederacyi, za honor i wiarę zawiązaną. Kto wie ile ten krok mój przeciwważyc zdoła szale przeznaczenia. Czy myślisz, że gdy głowa gabinetu królewskiego do was się przyłączy, tysiące nie pójdą za jego przykładem? Więcej powiem, terażniejszy minister który we Francyi zepchnął Szoazela, był moim najściślejszym przyjacielem; przewidzieć niemożesz, ile usług jestem w stanie oddać waszój sprawie. Nie opieraj się bracie, śmiej dopełnić obowiązków nieurojonych ale rzeczywistych, o to się domagam jak brat i obywatel. Idź ze mną a obaczysz jak niespodziewane szczęście zaniesiemy konfederacyi.

— Ludwiku, jeżeli w sumieniu twojem widzisz, że strona której dotąd służyłem jest sprawiedliwszą, nie wahaj się do niej przystąpić, nie wchodząc czy jej szczęście przyniesiesz, czyli z nią pospołu na wielkie cierpienia się narazisz; a co do mnie, śmiercią tylko jedną mogę jej służyć. Nie umiem tego przed sobą wytłómaczyć, ale mam przekonanie niezłomne, że tylko przyzwoleniem na to co mnie teraz czeka, mogę w zupełności wywiązać się z moich obowiązków. Kiedy szczęście nas zawiodło, niechże przynajmniej nasza sława będzie ocaloną, w przekonaniu ludzi poczciwych. Moje przeznaczenie cofnąć się nie może: zginę, ale zginę człowiekiem poczciwym, bojącym się Boga, a nie śmierci. A gdybym zgwałcił obietnicę którą dałem, gdybym zawiodł cnotliwego męża który na niej polega, byłby najpodlejszym z ludzi, a nawet może bym swojego życia nie ocalił.

— Wszakżeś ty nie przysięgał bracie; jakąż wagę mo-

żesz przywiązywać do obietnicy naprędce wymówionej, i z której każdy roztropny człowiek ciebie rozgrzeszy.

— Obietnica chrześcijańska i szlachecka jest przysięgą i ten który na niej polega, inaczej jej nie rozumie; dowiódł tego postępowaniem swoim ze mną; zdradzonym nie będzie.

— Ty nie masz prawa Michale sobą rozrządzać; ty nie możesz sumiennie pociągać innych do twojej ofiary. Kto tobie dał prawo pozbawiać pomocy stronnictwo, w którym widzisz ojczyznę; kto ci dał prawo okrywać hańbą twojego brata, twoje imię; do sumienia twojego się odwołuję.

— Jeżeli zasłużyłem na karę śmierci, czy ta kara będzie spełnioną czy nie, postępek już zhańbił moje imię; jeżeli jestem niewinny, sława moja będzie ocaloną. U nas jest wiara ścisła, że jeżeli nawet był występek, zadość uczynienie zań przed prawem zupełnie go maże; a bądź gwałtem, bądź ucieczką usuwać siebie od wykonania wyroku, jest największą hańbą dla szlacheica. Prawodawcy nasi tak dalece spuszczały się na tę wiarę, że nie obmyślili środków naglających do spełnienia wyroków prawnych. Gdybym uciekał, dopierobym zhańbił moje imię.

— A wszakże dostawszy się w niewolę pod Stołowcami, nie wahałeś się ratować ucieczką.

— Wtedy był czas walki, a teraz nadeszła chwila ofiar. Zresztą byłem jeńcem wojennym, żadną obietnicą nie ewinkowałem mojej niewoli, nie byłem osądzonym za żaden występki.

— Jakiż to sąd, któremu sam zadałeś niewłaściwość.

— Byłem obrońcą, ale nie jestem sędzią mojej sprawy. Jeżeli wyrok na mnie zapadły jest zbrodniczym,

niechże ta zbrodnia, ich a nie moje sumnienie obciąża. Nasz Zbawiciel podał się pod sąd bardziej jeszcze nieprawy, ja chcę iść za jego przykładem, i u niego tylko szukam sławy i nagrody. Już mu zaofiarowałem i życie moje, i wszystkie cierpienia tego życia; przeczuwam że ta moja nędzna ofiara przyjętą została; niechciej mnie bracie odbierać nagrody, której za tę ofiarę oczekuję.

— Bracie, rzekł Ludwik w największem uniesieniu padając mu do nóg, to być nie może byś poszedł na rusztowanie; Bóg podobnej ofiary od ciebie wymagać nie może; to są marzenia melancholicznego umysłu. Przed nikim jeszcze kolan moich nie ugiąłem, a teraz u nóg twoich błagam ciebie, nie zabijaj brata twojego, nie skazuj jego na rozpacz.

— Bracie co czynisz, odparł wojski, podnosząc starostę, czemuż ostatnie chwile życia mojego zatruwasz, rozdzierając serce moje. Cześć, sumienie, wiara, nie pozwalają mnie zadość uczynić woli twojej; jakże możesz mnie nakłaniać do czynu, na którego wspomnienie dusza moja się wzdryga. Zostaw mnie bracie, znasz mnie przynajmniej tyle, byś wiedział że od postanowienia mojego nigdy nie odstąpię; wszakże, jeżeli by mi się nawet godziło zawieść ufność godnego męża, którego straży jestem powierzony, czy ty myślisz że pomoc co mi ją ofiarujesz nie jest zbrodnią? Czyż tem nie zdradzasz Króla któremu służysz, i czy możesz przypuścić bym chciał być współnikiem zdrady, jedynie dla ocalenia mojego?

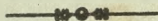
— Już przestałem być sługą królewskim, wczoraj jeszcze złożyłem szefostwo gabinetu, jestem jak ty obywatel, i mam prawo iść drogą, jaką mi przekonanie wskazuje.

— Nie Ludwiku, łudzisz siebie, przekonanie ciebie nie prowadzi: czułość twoja dla mnie, i dla tego bożyszczą co go honorem nazywacie, strąca ciebie z gościńca powinności. Ty w niczem nam nie oddajesz sprawiedliwości: dziś gdyby na wstawienie się twoje, Król chciał mnie ocalić, nie wahałbyś się przeciwko nam działać. Ty zrywasz z Królem jedynie dla tego, że, mało względny na zasługi twoje, odrzucił zanesione prośby; nie interes publiczny ciebie prowadzi, ale interes, jakkolwiek zaszczyt przynoszący czułości twojej braterskiej, wszakże zawsze jednak osobisty. Opamiętaj się bracie, bądź wiernym twoim obowiązkom dla Króla, tém tylko dowiedziesz, że szedłeś za głosem przekonania; a mnie zostaw, niech z Bogiem przepędzę ostatnie chwile nędznego żywota, niech się przygotuję na podróż co ją wkrótce mam odbyć. Moje przeznaczenie dopełnić się musi, Bóg tak rozkazał, a ja z jakąś wewnętrzną radością na ten rozkaz przyzwalam. Gdybym się okazał słabym, i siebie i ciebie bym zhańbił w obliczu Boga i ludzi pocziwych, a bądź pewnym, że dla tego mojego przeznaczenia bym nie odmienił. Żegnam cię po raz ostatni Ludwiku; do końca miłuję ciebie, i proszę Boga by jego łaska ciebie oświeciła a ty żebyś się tej łasce nie opierał. Proszę cię odejść drogi bracie i w tym uścisku przyjmij moje ostatnie pożegnanie.

— Okrutny Michale, ty dla wrażeń zabobonnych poświęcasz życie, sławę brata, wszystko coby ciebie ze światem pogodzić mogło. Żegnam cię więc, ale nie na długo, wkrótce się zobaczymy: pomimo Króla, pomimo twoje straże, pomimo ciebie samego, muszę cię wyratować, albo zginę. I wyszedł z więzienia

.

Kiedy dekret ogłoszono, mnóstwo było osób skupionych w sali sądowej. Zauważano tak wielkie współczucie dla wojskiego w narodzie, iż zaczęto się obawiać tumultu w dniu egzekucyi, która wedle brzmienia wyroku, miała nastąpić 1 Grudnia; postanowiono więc o jeden dzień ten wyrok przyspieszyć.



XIX.

Zdarzenie Niespodziewane.

Jak łatwo źle zrobić, jak trudno uskutecznić zbawienny zamiar! Lada obojętna czynność, lada słówko niebacznie rzucone, udręczyć może bliźniego; wieleż to zabiegów wieleż usilności potrzeba na to, aby mu rzeczywiście pomóc! Ogromna siła dana jest człowiekowi do gnębienia innych, szczęśliwy u Boga, kto jej nigdy nie użył: Święci Pańscy go nawiedzają, Aniołowie piastują na rękach swoich, oni mu podają zbawienne myśli, oni przed nim usuwają przeszkody; a jeżeli niewinnie cierpiał, jeżeli zdołał być cichym dobroczyńcą głośnych i zawziętych nieprzyjaciół, tem samem został najwyrazistszym obrazem jedyne go i prawdziwego Boga. Jego potęga staje się tak wielką, że tylko własna skromność jej granice położyć zdoła. Takich tu ludzi Bóg obiera za narzędzie dobroczynnych swoich widoków: oni balsam leją na rany,

co je pycha i samolubstwo zadają ludzkości; jakaś siła lecząca jest ich udziałem. Ale tym, co ludziom źle zrobili, rzadko kiedy jest pozwolono wynagrodzić to złe, którego sami byli sprawcami; bo każda dobroczynność o tyle jest korzystną dla odbierającego, o ile jest ofiarą od Boga błogosławioną 1), a Bóg nie przyjmuje żadnej ofiary z rąk zbroczonych krwią lub łzami istot na jego obraz stworzonych.

Starosta odszedłszy brata o niczem nie myślał, tylko o jego wybawieniu. Jako nawykłego oddawać siebie bez rozwagi i oporu wszystkim pociągom, jakich doświadczał, żadna przeszkoda wstrzymać nie mogła: chciał zebrać chorągiew swoją, z nią napaść na więzienie, brata odbić i z nim pójść choćby na krańce świata. Ale jego budowa nie mogła wytrzymać tych walk między wszystkimi jego uczuciami; kiedy wrócił do swojego pałacu, gdzie tylko chwil kilka miał się zatrzymać, tak gwałtownie był poruszony, takie pomieszanie wyrażało się na jego twarzy, że starościna wybiegłszy naprzeciwko męża, przestraszyła się jego widokiem. Wszystko jej było wiadomem i wielka boleść przeszywała jej serce, ale ona tej boleści żadną powierzchowną oznaką nie zdradzała; czuła albowiem, że miała powołanie do spełnienia. Nierze-

1) Często słyszymy: »od tego człowieka nie na rękę nie idzie, zrób z nim najkorzystniejszą robotę, zawsze nakoniec źle na niej wyjdiesz.« Albo: »Ten majątek jakby psią krwią polany, zdaje się że ma wszystko, a ktokolwiek się jego dotknął, zginął.« Czy przyszło komu na myśl zgłębić to co jest ukrytego w tych wyrazach? Wszakże wszystkim wiadomo, że mądrość narodu nie spoczywa w jego książkach, ale żyje w przypowieściach gminu.

telna w dotrzymaniu obietnicy kochanka, umiała być wzorem małżonek; wiedziała, że do niej jednej należy, goić rany męża. Rzuciła się w jego objęcia, starosta ją przycisnął do łona, ale nic powiedzieć nie mógł, tylko że czuje dreszcz i cierpi ból głowy, jakiego dotąd nigdy nie doświadczał, i położył się na sofie. Zosia wyszła na chwilę, wróciła mając na ręku swoją Ludwisę, i usiadłszy przy leżącym mężu podała mu dziecię, a rękę położyła na jego czole. Głowa tak była gorąca, iż zdawało się, że wszystkie wulkany tej ognistej duszy w niej się skupiły. Starosta pieścił nadobną dziecinę, obrócił ku żonie oko suche, w którym jakieś przerażające uczucie się wyrażało, ale nic wyrzec nie mógł, tylko palcem pokazywał na czoło.— Mężu, odezwiała się Zosia tym głosem srebrzystym, co zawsze tak słodkie wrażenia w nim pobudzał, ty jesteś cierpiący, połóż się w łóżku. Starosta chciał jęj coś powiedzieć, jakieś bełkocące wyrazy stłumiły się w ustach jego; wziął rękę żony, położył ją na sercu gwałtownie bijącym, potem chciał się podnieść, ale zaraz opadł. Zaczął coś mówić niezrozumiale; Zosia śledziła każde poruszenie męża: niestety, poznała że zdolności umysłowe już były zawieszone, strapióna posłała po lekarza.

Przybył Sio, doktor Jego Królewskiej Mości, z Francji przed kilką laty sprowadzony, biegły w swoim kunszcie, a wielce zaufany staroście, którego był i zwykłym lekarzem, i przyjacielem. Sio 1) zastał pacyenta w go-

1) Sio był rzeczywiście doktorem królewskim przez lat więcej dwadzieścia. Dopiero w roku 1789 rewolucya francuzka, której był gorliwym stronnikiem, przywabiła go do własnej ojczyzny, gdzie jego brał był członkiem ciała prawo-

ręczce nadzwyczajnej i w stanie bardzo niebezpiecznym; starosta już go nie poznał. Krew mu puszczo, żadnych środków zaradczych nie zaniebano; wszakże więcej dwóch tygodni leżał bez przytomności i nadziei życia. Żona go o krok nie odstępowała, przepędzała nocy bezsenne pilnując męża. Kiedy niekiedy, gdy w dzienną porę, natura znudzona do snu krótkotrwałego ją skłaniała, wtedy jej głowa schylona ku piersiom chwil kilka zdawała się zasypiać; ale wkrótce się przebudzała, by wzrok utapiać w oblicze męża, śledząc jakieś iskierki przytomności; albo klęcząca przy łóżku jego podnosiła do Matki Miłosierdzia gorące swoje modły.

Sio po całym mieście z uniesieniem roznosił te cuda wytrwałości i przywiązania najpiękniejszej kobiety: iskry życzliwości dla starosty, pokryte w sercach dworzan popiołem zawiści i samolubstwa, zdawały się wydobywać z siebie jakiś płomyzek; zaczęto przynajmniej dowiadywać się o jego zdrowiu. Jednak lubo starosta wielu paniczom wielkiego świata powyrabiał rozmaite łaski od Króla, chociaż przed kilku tygodniami jeszcze oni mu zaprzysięgali dozogonną wdzięczność, wszakże nie wiele karet widać było przy pałacu starosty. Ale za to dziedziniec jego był napęczniony rzemieślnikami i ubogimi, bo oni jedni pamiętali o jego dobroczynności i o tych wrodzonych cnotach, w które obfitował. Słudzy jego

dawczego. On miał ściśle stosunki z najświetniejszymi członkami konwencji narodowej, wszakże nigdy nie przestał być pocziwym członkiem. Widziałem go w Paryżu roku 1819, w wieku już podeszłym, ale jeszcze czerstwym; nie zapomniał języka polskiego i lubił nim rozmawiać z przybyłymi tam Polakami.

łzami się zalewali: bo jakkolwiek względem równych był nieubłagany, skoro jego duma była rozdrażnioną; dla sług swoich był dobrym i wyrozumiałym, dla wszystkich niższych łagodnym i wspianiałym. Nawet u zagniewanego Króla dawna skłonność dla starosty zdawała się obudzać, jak tylko się dowiedział, że już podwoje grobowe przed nim się otworzyły, kazał sobie zawieść przed jego bramę, gdzie sam zapytał o stanie w jakim zostaje; staroscina zeszła ze schodów do karety Króla, żeby mu podziękować za jego łaskawą pamięć o mężu. Bezsenność i zgryzoty takie ślady zostawiły na jej twarzy, że Król przeraził się widokiem tej kobiety jeszcze przed kilku dniami tak świeżej, tak zachwycającej pięknnością; gdzie indziej z trudnością by ją poznał. Oczy Króla zwiłgotniały czułością. Ta łaska królewska rokowała starości powrót do dawnych faworów na przypadek powrotu jego do zdrowia, i można sobie łatwo wyobrazić ilu nawiedziniami jego pałac odtąd był zaszczycony.

Kiedy starosta pasował się z śmiercią, wojskiego męczeństwo się dopełniało: ostatniego Listopada, tego miesiąca zawsze dla niego złowrogiego, był wyprowadzonym na stracenie, razem z półkownikiem Łukawskim. Xiądz Białobrzeski towarzyszył im aż na rusztowanie, żeby pokrzepić ich odwagę pociechami religijnymi. Ale nie miał potrzeby to czynić: «Łukawskiego odwagę trzeba było miarkować, a nie pokrzepiać, a Michał już był uzupełnił ofiarę życia.

W wigilią śmierci wręczył xiędzu Białobrzeskiemu dwa listy, prosząc żeby były oddane stosownie do ich przeznaczenia: jeden był do Ludwika, drugi do Wazgir-da. Brata zaklinał żeby nigdy sobie nie wyrzucał iż stał się przyczyną jego śmierci, gdyż to było zupełnie

niezawisłe od jego woli; przypominał mu obowiązki dla żony i córki, której posłał stryjowskie błogosławieństwo. Nakłaniał go z gorliwością wyznawcy, żeby nigdy nie stawiał swojego rozumu naprzeciw wiary objawionej, żeby miłował Boga nad wszystkie rzeczy ziemskie i zawsze był gotów wszystko dla niego poświęcić; a jeżeli w ciągu życia jakiego upokorzenia doświadczy, żeby je ofiarował Bogu za przewinienia swoje, a nigdy do osobistej zemsty się nie odwoływał; że on sam w młodości swojej, zostawszy niewinnie wyzwany na rękę, a to wyzwanie przyjąwszy, poszedł do spowiedzi i wyznał przed kapłanem zamiar swój potykania się nazajutrz; że spowiednik dał mu rozgrzeszenie, ale pod warunkiem, że wycofnie siebie od przyjęcia bitwy potępionej przez prawda kościelne i krajowe, że jednak bojaźń, by go nie posądzono o lękliwość, przemogła nad powinnością Chrześcijanina i obywatela, a więc bił się nazajutrz i zwycięstwo otrzymał; a chociaż życia nie odebrał przeciwnikowi, chociaż niesprawiedliwie był napastowany, chociaż uległ prawu poniekąd obowiązującemu każdego szlachetnie urodzonego, wszakże to jego nieposłuszeństwo przez całe życie nie przestawało trapić jego sumienia, i to jedno utrudzało mu ostatnią podróż. Ten list oddany był zaraz staroście, ona go skryła z zamiarem oddania go mężowi, ale jak będzie zupełnie zdrowym. Wazgirda, między innymi wynurzeniami serca, które bić wkrótce miało przestać, zaklinał, żeby o żadnej zemście za jego zgon nie myślał; że nikt nie był rzeczywiście sprawcą jego śmierci; że w tém było wyraźne rozrządzenie Boskie, a więc z tą najwyższą wolą zgodzić się winien, że ma nadzieję przyjąć go kiedyś w królestwie wieczności szczęśliwej, a prosi go jako najlepszego swo-

jego przyjaciela, żeby póki nie skończy swojego pielgrzymstwa, o jego duszy nie zapomniał. Przez całą podróż od więzienia aż do placu kaźni odmawiał z kapłanem modlitwy konających; na rusztowaniu pocałował kaita na znak pokory, i zegarek złoty zostawił mu na pamiątkę; ostatni raz przeżegnał się, oczy podniosłszy ku niebu i najspokojniej szyję pod miecz poddał.

Kiedy się to dopełniało, starosta, chociaż nie okazywał najmniejszej oznaki przytomnego umysłu, chociaż nikogo nie poznawał, wszakże to wszystko przed nim wewnętrznie się wyrażało. W tej chwili właśnie kiedy jego brata prowadzono, jego delirium nadzwyczajnie było odczuwane: krzyczał przeraźliwie wołając ratunku, imię Michała powtarzał to żałosnym to znowu wściekłym głosem, zrywał się z łóżka machając rękami i tak się szamotał że kilku ludzi ledwie go wstrzymać mogli. Potem znużony padł bez siły, leżał na wznak nieruchomy, ustami tylko ruszając ale żaden głos z piersi nie mógł się wydobyć. To pewna, że jak potem wrócił do przytomności o nic pytać nie potrzebował, wszystkie szczegóły śmierci brata tak tkwiły w jego umyśle jakby rzeczywiście na nie patrzył; co więcej, upominał się o oddanie mu listu od brata, twierdząc że widział jak pisał do niego. Sio zastanawiał się nad tym fenomenem psychologicznym, ale go wytłómaczyć nie uniał: zalecał tylko, żeby mu się nie sprzeciwiano, żeby go ułagadzano czyniąc ile możności zadość wszystkim jego chociażby najdziwaczniejszym wymysłom, przekładając, że chociaż już wyszedł z niebezpieczeństwa, systemat nerwowy chorego jest tak natężonym i drażliwym, że lada gwałtowne wzruszenie może go nazawsze pozbawić rozumu. Zosia miała w niezmordowanym baczeniu by powolnością

swoją osładzać cierpkość jego humoru: usiłowała go rozweselać to muzyką, to przyniesieniem mu dziecka, to własnymi pieszczotami, szczęśliwa jeżeli uśmiech choć krótkotrwały zabłądzi do ust jego; jak to spostrzeże, ma siebie za sowiec wynagrodzoną.

Ocknął się nakoniec Ludwik, jakby ze snu twardego w którym mary i okropne widziadła go dręczyły; przemówił do żony przytomnie i pierwsze jego słowa były miłości i wdzięczności dla niej; wszakże wymówiwszy tych słów kilka wpadł w jakieś otrętwienie. Zdawało się że wszystkie sprężyny któremi duch porusza ciało, były w nim porwane; całkowite godziny leżał nieruchomy i milczący. Czasem głębokie i przeraźliwe wydobywał westchnienia, czasem leż kilka zawieszało się na jego jagodach: wtedy jakiejś ulgi zdawał się doświadczać. Na wszystko okazywał się obojętnym, nawet znakiem nie dawał poznać chęci zaspokojenia jakiej bądź potrzeby. W umówionych godzinach przynoszono mu strawę; Zosia własną ręką go karmiła, jak dziecię; on kilka łyżek polewy przełknie, poczem tylko od żony zrozumianym znakiem oświadcza wdzięczność, ale sam o nic nie prosi; jak niemowlę był podwładnym wszystkiemu co go otaczało. Od dni kilku Zosia próbowała znajomych więcej z nim zażyłych przybliżyć do jego łóżka, ale jakkolwiek Ludwik nie pokazywał by te nawiedziny jemu były ciężące, ona poznała że mu nie były mile; odtąd już ich nie puszczała do męża. Xiążę Waragin i cześnikowa Litewska byli jedni których przybycie zdawało mu się przyjemne; im tylko dłoń podawał z uśmiechem przyjacielskim; oni też całkowite godziny przy jego łóżku siedząc starali się go rozerwać opowiadaniem tych zdarzeń miejskich i dworskich, które go wprzód tak zajmowały. On

tego słuchał obojętnie; ale gdy cześnikowa w chęci go pocieszenia wspomniła że Król z czułością prawdziwie przyjacielską wszystkich codziennie zapytuje o stopnie, jakimi powraca do zdrowia i że dotąd wakującego po jego dymissyi miejsca nikomu oddać nie chce, z czego mu rokowała powrót do dawnych względów, zauważano że na te słowa głowę odwrócił z niewypowiedzianym wyrazem wstrętu; i już odtąd nie podobnego przed nim nie wspomniano. Lecz co było najboleśniejsem dla Zosi, to że myśl jego, żadną przelotną nawet oznaką nie okazywała chęci powrotu do uczuć religijnych. Wzrok jego po wszystkich przedmiotach błędzący tylko ku niebu nigdy się nie podnosił. Umyśliła nakoniec uprosić xieżda Ghicciotti, kanonika Warmińskiego, Włocha słynnego z nauk i słodyczy w obcowaniu, by raczył nawiedzić jej męża, z którym go wiązały stosunki wzajemnego szacunku; ale zaledwie ujrzał Ludwik zbliżającą się ku niemu duchowną sukienkę, ten człowiek głośny w kraju i za krajem osobistą odwagą, taki przestrach okazał, że roztropny kapłan natychmiast się oddalił; jednak że chory już był wyszedł z niebezpieczeństwa, przypisywał to niezwycajne jego uczucie wielkiej drażliwości nerwowój.

Razu jednego siedząc przy mężu, jak zwykle, a widząc go w smutku pogrążonym wszakże znacznie zdrowszym, Zosia próbowała go rozerwać rozmową swoją; on ją raptownie przerwał mówiąc:— Aniele mój drogi, każ mnie przynieść zwierciadło, ciekawy jestem obaczyć się z sobą.— Zosia kazała mu przynieść co żądał; ale jak się spojrział w zwierciadło, zadrżał: w samej rzeczy, zarosły, wyłysiały, wybladły, trudno było w nim poznać tego świetnego kawalera, wzniecającego wszędzie albo zapal miłości, albo udręczenie zawiści; a co dziwniejsza,

co i nawet żona zauważyła, rysy jego obnażone z świeżości i zadowolenia, dawały mu wielkie podobieństwo do Michała, jakiego dawniej nie miał.— Ach mój aniele drogi— wykrzyknął Ludwik— jakże mogłaś ludziom pokazywać podobne straszidło.— To wyrzekłszy kazał natychmiast siebie ogolić, głowę opustoszącą kupną pokryć czupryną a nawet bladłość swoją usiłował pokryć kłamanym rumieńcem. Zosia na to patrząc uczuła wielką radość, gdyż w tym zwrócie ku dawniej próżności upatrywała rękojmię powrotu do zdrowia.

I w rzeczy samej Ludwik wracał stopniami do dawniej siły i rzeźwości, chociaż wyraz głębokiego smutku jeszcze nie opuszczał jego czoła. Starościna z wymową przywiązanej żony, razu jednego zaczęła przed nim kreślić obraz szczęścia, jakie może ich spotkać za granicą; wystawiała mu środki, jakimi ich wspólną fortunę przynieść można do Francyi, krajiny zawsze od niego ulubionej.

— Ludwiku drogi, rzekła, kupimy zamek w okolicach Paryża; latem żyć będziemy na wsi, w zimie mieszkać będziemy w Paryżu; tam odnowisz dawne twoje stosunki, tam mieszka nasze braterstwo. Jak mnie i naszą Ludwisię tam zawieziesz, cóż tu pozostanie za czém miałbyś tęsknić, a co do mnie, byleś mnie zawsze kochał, z tobą, z mojem dzieckiem wszędzie będę szczęśliwą: tu płomyk błogości zabłysnął na obliczu Ludwika.— Dobrze mówisz, aniele drogi, nam w Polszcze już nie mieszkać; w Paryżu, w Wersalu, odnowię jestestwo moje. Odtąd czując się pokrzepionym na sile zajmę się wyłącznie wyprzedaniem naszych majątków. Tak, pragnę wynieść się do Francyi, żeby już nie mieć potrzeby nigdy wracać do Polski.

Przywykły oddawać się z popędem niczem niewstrzymanym wszystkim pociągom swojej woli, starosta raz powziąwszy zamiar opuszczenia na zawsze swojej ojczyzny, ze zwykłym sobie zapalem oddał się temu przedsięwzięciu na nic się nie oglądając, a Zosia się cieszyła, gdyż w tém znalazł jakąś energią, która mu rozejm przynosiła z jego zgryzotami. W Polsce stan rzeczy już się był odmienił. Po tych ostatnich nieszczęśliwych wypadkach, Konfederacya Barska, ten pamiętny epizod konającego narodu, już się była rozwiązała. Oprócz trzech mężów, którzy woleli siebie na dobrowolne wygnanie wskazać, niż przeprosić Króla, wszyscy wodzowie recessowali od tego związku i pogodzili się z Królem, który już był niezaprzeczonym i prawym panem Polaków. Stanisław August zaczął szczerze przemyśliwać o wyniesieniu krwi swojej nad równość narodu: pragnął nabyć dla ulubionego synowca, młodego xięcia Stanisława, znaczną nieruchomą posiadłość. Jak się więc dowiedział, że obaj małżonkowie Strawińscy szukają kupca na majątki swoje, zalecił synowcowi by je nabył dla siebie, ofiarując mu wszystkie ku temu środki. Pan Ancuta, umocowany xięcia, a blizki krewny pani Strawińskiej, umówiwszy się z nią i z jej mężem o cenę, zawarł z nimi tranzakcyę, a cały ich majątek został przelany na xięcia Stanisława. Majątek był znaczny, bo chociaż państwo Strawińscy różne zrobili przekazy dla sług i ubogich krewnych, przeszło sto tysięcy czerwonych złotych w wexlach najpewniejszych na Hamburg, Paryż i Londyn zostało ich własnością. Nie pozostało Ludwikowi jak ułatwić się ze zbyciem swojego pałacu i starostwa, i złożyć tę chorągiew, przy dowództwie której niedawno obstawał tak uporeczywie. Co do pierwszego, xiażę Wara-

gin, świeżo zostawszy ambasadorem swojego dworu w Warszawie i potrzebując pałacu dla ambasady na wielką stopę utrzymywanej, rad był z zaspokojeniem potrzeby niezbędnej, połączyć dogodność dla ścisłego przyjaciela. Nabył więc pałac ze wszystkimi jego ruchomościami, dozwalając staroście go zajmować aż do wyjazdu. Półkownictwo swoje odstąpił za zezwoleniem królewskim, wyrobioném mu od P. Gintowta, cześnika Litewskiego, panu Obuchowi, chorążemu tejże chorągwi, którego wielce szacował, i od którego ciągle dowody przywiązania odbierał. A co się tyczy starostwa Wieluńskiego, wywiązał się pani cześnikowej za tyle dowodów jej przyjaźni, za karetę bardzo wygodną, w której miał podróż odbyć do Francyi, i kilka makat, odstępując jej mężowi starostwo do trzydziestu tysięcy intraty przynoszące, na które cześnikowa za wstawieniem się ambassadora otrzymała dla siebie *jus communicativum* 1).

Tak wszystko ułożywszy zdawał się być zupełnie spokojnym, bo zajmował się wyłącznie podróżą: rozpuścił dwór swój, każdego sługę obdarzywszy i wymówiwszy sobie jego usługi aż do dnia wyjazdu, kilku z nich tylko mając zabrać z sobą do Francyi. To zajęcie zdawało się ożywiać Ludwika. Ciągłe rozwijał przed żoną plany ich przyszłego życia we Francyi; rozpływał się nad przyjemnościami, co ich tam spotkać miały. Przyjaźń jego dla Bertranda zdawała się być podwojoną, z niewypowiedzianém uniesieniem powtarzał, że już się z nim nigdy nie rozstanie. Często zdradzał jakieś żądne wy-

1) *Jus communicativum*, tak nazwane prawo dożywotnie zapewnione żonie po zejściu męża, na wszelkie królew-szczyzny.

niosłości: wszakże — mawiał — niech nie myślą, bym nie mógł jeszcze coś znaczyć na świecie; nie przestałem być pólkownikiem Francuzkim, prawo jeżdżenia w karetach Króla Chrześcijańskiego 1), nie jest mi odjęte. Powrócę do tej ziemi, której poświęciłem moją młodość, nie jak ubogi szlachcic potrzebujący wsparcia, ale jako człowiek możny, który do zasług osobistych przydać może zamki, dobra, zaszczyty zagraniczne, a nadewszystko żonę, która rozumem i wdziękami niepoślednie miejsce zajmie na dworze Wersalskim. Minister, który zastąpił nieżyczliwego dla mnie Choiseula, jest moim dawnym przyjacielem; zdołałem przekonać tutejszego Króla, że nie jemu jednemu przyporuczone rozdawnictwo wziętości i znaczenia: i to mówiąc, wyraz zadowolonej dumy ożywił jego lica schorzałe. Jeszcze nie wychodził z domu ale już jego żona odbywała pożegnalne nawiedziny. Xiążę Waragin i cześnikowa codziennie bywali u niego, i czasem całkowite wieczory z nim przepędzali: ta ścisła przyjaźń z ambassadorem najpotężniejszego mocarstwa nie mało wagi dodawała Ludwikowi; jej przypisano powszechnie ułagodzenie gniewu Króla, a nawet te nawiedziny, któremi był zaszczycony. Nieprzyjaciele Ludwika nie śmieli przeciw niemu się odzywać, owszem bywając u niego, kłamaną przyjaźnią i czułością usiłowali otrzymać od niego zalecalne słowa do ambassadora; ale Ludwik ich przyjmował z dumną i lodowatą grzecznością.

Jednak jakkolwiek nadzieja często się przed starostą uśmiechała, smutek nie na długo opuszczał jego duszę. Kiedy sam zostawał, często coś podobnego do bojaźni

1) Tytuł, który Królowie Francuzcy brali we wszystkich aktach dyplomatycznych.

doświadczał, jakieś złowieszcze przeczucia go przerażały. Czasem przebudzał się raptownie, czuł niespokojność, serce albo biło w nim gwałtownie, albo wydawało się jemu jakby zlodowaciałe; wtedy przechadzał się krokiem szybkim po obszernych salonach pałacu; sen nawet nie zawsze mu przynosił wypocznienie. Często przez sen wołał Michała, chociaż w przebudzeniu nigdy nie mówił ani o nim, ani o żadnej rzeczy, któraby go przypomnieć mogła. Zosia to widząc także niktęła w smutku; tém tylko się pocieszała, że te wszystkie wewnętrzne walki opuszczają go, jak tylko przestąpi granice ojczystej ziemi, gdzie jakieś nieprzewidziane zdarzenia ciągle mu przypominały to, coby rada była kosztem własnego zdrowia wygluzować z jego pamięci.

I tak Ludwik, gdy złożył swojej chorągwi dowództwo w ręce chorążego Obucha, zwykłą wspaniałomyślnością powodowany, na pamiątkę kilkoletniego koleżeństwa, każdemu towarzyszowi darował konia wierzchowego, a każdemu luzakowi kazał odliczyć po trzy czerwone złote. Cała chorągiew przyszła z nim się pożegnać, i stanęła na jego dziedzińcu: on, że całą noc prawie przepędził bezsennie, nie mógł wyjść na dziedziniec, ani jej nawet przyjąć w pokojach swoich, ile że Sio zalecił mu, ażeby troskliwie unikał wszystkiego, coby go zbytnie poruszyć mogło; ale kazał prosić nowego jej dowódcy, żeby w imieniu chorągwi przyjął jego pożegnanie. Pan Obuch był człowiek poczciwy, prosty, bez najmniejszego zastanowienia to mówił, co miał w sercu, a któremu te wszystkie kołowania, wyższego wychowania były obcemi. Stanąwszy przed dawnym wodzem, oświadczył mu żal całej komendy z powodu rozstania się z tak dobrym, tak wspaniałym naczelnikiem, a przy tém rozgadawszy się,

powiedział:— ja chociaż z łaski jaśnie wielmożnego pana mam stopień, który mi los stanowi, a do którego nigdybym się nie dochrapał, będąc chudym pacholkiem, a jednak jak Bóg Bogiem wolałbym zostać przy mojem chorążtwie, a być i nadal jw. panu posłusznym. Jw. pan bez potrzeby i nas i ręce opuściłeś. Kaduk wiedział, że jak jw. pan z nami zapędziłeś się za konfederatami, między nimi znajdziesz i brata swojego. Jeżeli sąd marszałkowski go dekretował, tać to miecz nie szubienica, hańby imieniowi nie robi. Prawda że głos powszechny mówi, (bo ja nie miałem zaszczytu być mu znany), jakoby nieboszczyk pan wojski miał być wielce cnotliwym i godnym mężem; ale jego krew przez żaden sposób na jaśnie wielmożnego pana spaść nie może; a że kto z tego powodu język rozpuszcza, jeżeli to za oczyma, drwieć z tego, a jeżeli w oczy, to gębę mu zapluć, i kwita. Tać to onegdaj zaszedłszy na raki do Piskowej, zastałem tam jednego kapitana z gwardyi koronnej, którego znałem, ale zdaleka; on przywitał się ze mną, a potem ni ztąd ni zowąd mówi mnie: winszuję panu tak wielkiego podniesienia w stopniu, a jeszcze więcej, że przestałeś służyć z takim, co krew braterską zaprzedał. A ja na to: a durniu jakiś, co to do ciebie należy; kawalerzyście narodowemu choćby się i noga pośliznęła, zawsze on będzie lepszy od gwardyackiego piechura, a tém więcej, że pan starosta wieluński i był praw, i będzie praw. Pojechaliśmy potem do Służewca, bo już tam nie znają jurydykcyi marszałkowskiej; to ja mu od ucha do gęby taki dałem szram, że Wisła wiele wody do Gdańska dostawi, nim się z czém podobnem naprzeciw jw. panu odezwie.— Ludwik nie odpowiedział, tylko duże krople potu spadały mu z czoła na twarz. Tak się uczuł zmę-

czonym wizytą pana Obucha, że pierwszy raz od choroby swojej próbował zażyć świeżego powietrza; kazał zawieść siebie do pani cześnikowej Litewskiej, ale wkrótce powrócił więcej jeszcze zasmucony niż kiedy z domu wyjechał; bo tam zastał pana Zarembę, któremu nie dawno ułatwił był pojednanie z Królem. Myślał że w nim znajdzie obowiązane go przyjaciela, i do niego zbliżył się z wielką uprzejmością; ale ten nisko się skłoniwszy i najgrzeczniej z nim się przywitawszy, zaraz się wysunął, dając jawnie do poznania, że nie życzy sobie z nim zostawać w towarzystwie.

Zosia, patrząc na te wszystkie alternaty świetnych nadziei i gwałtownych wzruszeń, wyglądała niecierpliwie chwili wyjazdu. Już wszystkie przygotowania były ułatwione; już kilka bryk naładowanych srebrem, bogatymi sprzętami i garderobą tego zamożnego stadła wyprawione zostały z Korendowiczem i Laflerem, i miały na nich czekać we Wrocławiu. Wszystkie klejuoty starościny, któreby już stanowiły fortunę dostateczną, były złożone w dużej szkatule pod jej kluczem; już był naznaczony dzień wyjazdu, dzień, któryby rada jeszcze przyspieszyć, jako mający koniec położyć tym wszystkim pasowaniom wewnętrznym męża. Za trzy dni mieli wyjechać; Ludwik zdawał się być spokojnym, nawet, co najwięcej pocieszało Zosię, powracał do dawniej łagodności i dworności. Wieczorem przybyli do nich pani cześnikowa i xiażę Waragin: gdy zaczęto mówić o wyjeździe gospodarstwa, pani cześnikowa odezwała się:— Ludwiku, wszakże będziesz u Króla z pożegnaniem.— Ja, odpowiedział, wcale o tém nie myślę, nadto źle odplacił nakoniec moje zasługi, żebym się do tego stopnia uniżył— Mój Ludwiku odrzekła cześnikowa, zastanów się, czy człowiek ta-

kiego znaczenia jak ty, może się ukradkiem oddalać. Król jest zawsze Królem.

— Ale już nie moim; jestem poddanym Króla Francuzkiego.

— Zapytaj-że się xięcia: nie masz nadeń ściślejszego przyjaciela; on ci powie, coby sam o tobie myślał, gdybyś się tak dalece ominiął z prawidłami dobrego wychowania, przyzwoitości.

— Ja nie uważam tego, co mówi nasz starosta, odezwał się ambasador, inaczej jak za wyskok żalu, który na jego postęпки wpływu mieć nie może. Jeżeliby i miał słuszny żal do Króla, troskliwość, jaką N. Pan okazał w czasie jego choroby, nawiedziny, któremi go zaszczycił, powinnyby już ten żal umiłygować; ale ja to zostawuję na stronie; bo tu nie idzie o zadośćuczynienie skłonnościom serca, lecz o dopełnienie powinności; aż nadto jestem pewny, że mój przyjaciel starosta, wzór dobrego tonu i świetnego wychowania, nie zechce splamić siebie postępkem, któregooby się nie dopuścił na wsi wychowany, a który w Wersalu wszystkichby zgorszył; pewnie bowiem i tam rychło o témby się dowiedziano. Nie tracę nadziei, że jutro będę go oglądał na audjencyi u Króla, i gdyby w tém się wahał, nieoszacowana jego żona potrafi go nakłonić, żeby był zawsze sobie równym.

— Kochany xiążę, rzekł starosta, biorąc go za rękę, dziękuję za naukę, na którą zasłużyłem, będę jutro u Króla, złożę mu uszanowanie moje, nawet wdzięczność moją; w istocie mam wiele powodów czuć dla niego wdzięczność. Pożegnaj Najjaśniejszego Pana, usłyszę jak mi powie, że życzy mnie od Boga wszelkich pomyślności i poproszę go, żeby mnie zaszczycić raczył jakim rozkazem do Paryża. Może zechce mnie powierzyć jaką ważną negocyacyę dy-

plomatyczną, na przykład kupno jakiego gustownego fermuaru dla pani krajczyniej.

Ambassador rozśmiał się serdecznie, ale był rad, że jego przyjaciel postąpi, jak istotnie sama przyzwoitość tego wymagała.

Kiedy go mili goście odjechali, Ludwik okazał się wesołym, i rozmawiał z żoną o mającej się odbyć pożegnalnej audyencyi, a że nazajutrz przychodził fest Najświętszej Panny Gromnicznej, Zosia postanowiła przystąpić do tajemnic Pańskich, na intencyą szczęśliwej podróży i dziękczynienie za wyzdrowienie męża. Ludwik przepędził noc spokojnie, dopiero o dziesiątej zrana się obudził, co mu się oddawna nie zdarzyło. Kiedy Zosia wybierała się do domu Bożego, on starannie się zajmował, żeby przed Królem raz ostatni stanąć. Żadna kobieta więcej starania nie przykładła do swojego ubioru: że włosy były mu oblaży, głowę najgustowniej okrył peruką; nawet nie zaniedbał bielidła i gotowalnianego rumieńca, żeby pokryć żółtość i zwiędłość lica wyniszczonego kilkoniedzielną niemocą. Kazał przynieść mundur pólkownika wojsk francuzkich, który od lat tylu spoczywał między jego szatami; bo w tym mundurze chciał się stawić przed Królem, by jemu i wszystkim pokazać, że już siebie nie ma za Polaka. Uważano nawet, że z jakąś przesadą unikał mówić po polsku od chwili, w której postanowił opuścić kraj na zawsze. Kiedy żona wychodziła do kościoła, on, który dopiero rozpoczynał swoją toaletę, odprowadził ją do drzwi, ucałował ją kilkakrotnie z zapalem kochanka, i powiedział jej kilka żartobliwych rzeczy o przyszłej audyencyi, do której się gotował.

Starościna po odbytem nabożeństwie wstąpiła na czeładkę do cześnikowej, mieszkającej nie daleko ś. Krzyża;

tam z nią się rozgadała o przyszłym wyjeździe swoim zasilając się radami kuzynki, przywykłej podróżować za granicą. W ciągu ich rozmowy przybył pan cześnik Litewski prosto z pokoiów królewskich i zdał damom relacyą o przyjęciu starosty.— Powiem paniom moim, że pan starosta, pomimo choroby tak długiej, bardzo dobrze i świeżo wyglądał, nikt nie poznał, że był w peruce. Pierwszy raz widziano go w orderze Orła Białego, a wstęga błękitna pięknie odbijała granatową barwę munduru francuzkiego: Król wymówił mu łaskawie, że w zagraniczną barwę tak śpiesznie się przestroił, kiedy mu abszyt nie odejmuje prawa noszenia polskiego munduru; pan Strawiński na to nisko się skłonił zapytując Króla, czy nie ma jakich rozkazów do Paryża. Król odpowiedział:— żadnych rozkazów, ale prośbę, byś wpan o nas nie zapominał. Spodziewam się i tam mieć z pana przyjaciela; a co do osoby jego wiem, że dla siebie niczego nie żądasz, ale jeżeli interesujesz się za kim w czemkolwiek, proszę powiedzieć, a miło mi będzie dowieść publicznie, ile mam dla wpana szacunku. Nie uwierzycie panie, jakie wrażenie te słowa królewskie zrobiły na wszystkich przytomnych. Potem Król zaprowadził go do gabinetu ośmiokątnego, który wychodzi z audyencyonalnej sali na taras. Uważaliśmy wszyscy, że więcej godziny rozmawiali z sobą, i że rozmowa była żwa-wa. Dość że pożegnawszy się z Królem, mąż pani powracał przez sale z miną tryumfującą, każdy z przytomnych zbliżał się do niego z uniżoną uprzejmością, lecz on na nikogo ani patrzył, tylko mnie raczył ścisnąć za rękę, i kilka minut rozmawiał z xięciem Waraginem, tak jednak eicho, że z ich rozmowy nie nie transpiruje dotąd u dworu.

Zosia śpiesznie wróciła do męża, żeby mu powinszować przyzwoitego rozstania się z Królem, pochlebiając so-

bie, że to pożegnanie zatrze w nim ostatki smutku i nie-
spokojności; ale jakież było jej zadziwienie, kiedy po po-
wrócie, pierwsza rzecz, co jej oznajmiono, była, że sta-
rosta powróciwszy od Króla, znowu zapadł. Zawalidroga,
kozak faworyt rodem z Granowa, darowany starości od
księcia generała ziem Podolskich, jej to opowiedział ze wszyst-
kiemi szczegółami.—Mój pan wysiadł z karety w najwe-
selszym humorze, kiedy przy drzwiach pałacu jakiś czło-
wiek nieznajomy podał mu list opieczętowany czterema
pieczęciami; pan idąc po schodach otworzył kopertę i wy-
jął z niego jakiś papier drukowany i czytając co w nim
było, zaszedł do swego gabinetu, a ja za nim. To pan
tak się zgryzł, że mało głową nie bił o ścianę, i kazał
mnie pójść precz a ja na dół poszedł szukać tego czło-
wieka, co tak zmartwił naszego pana, żeby mu za to po-
dziękować, ale Bóg wie, gdzie się on zadział. Potem za-
wołał mnie i powiedział: rozbieraj mnie, bo chory jestem.
Uważałem po oczach pańskich, że bodaj czy nie płakał,
a teraz położył się, może i zasnął. Zosia na palcach po-
szła do męża, i ucho przystawiła do szpary, bo drzwi by-
ły tylko przymknięte; usłyszała jęki, weszła—Mężu dro-
gi, przemówiła, cóż to nowego się zrobiło, jakież to pi-
smo zatruwa ledwo odzyskaną twoją spokojność; otwórz
serce najlepszej twojej przyjaciółce, pozwól jej z tobą ra-
zem zapłakać.

—Ach mój aniele, odpowiedział Ludwik, jestem naj-
nieszczęśliwszym z ludzi, moja gwiazda już się na zawsze
zaćmiła. Dowiesz się później do jakiego stopnia podłość
i złość ludzka prześladują twojego męża; ale tak się czu-
ję chorym, że nie mam dość siły, bym się wynurzył z te-
go, co mnie teraz spotkało; radbym od tego myśl moją
odwrócił; później o wszystkiem wiedzieć będziesz. Wszak

wiesz, że dla Ciebie nie mam nic skrytego. Ach gdybyś mnie mogła już wywieść z tej przeklętej Warszawy; jak te dwa dni wydają mi się długie. Aniele drogi; poszlij zaraz po doktora; niech Sio mnie ratuje, bo tak mi duszno, tak coś ściska piersi, że lękam się na nowo zapaść. Jak przybędzie powiedz mu, żeby mi co dał na sen, bo takiego stęsknienia doświadczam, że tego znieść nie mogę. Zosia natychmiast posłała jeszcze nie wyłożoną karetę po doktora.

Sio zastał go wielce wzruszonym, ale nie znalazł nic niebezpiecznego. Przepisał mu ułagadzający napój, naza-jutrz zalecił mu wziąć kąpiel letnią, i obracając się do Zosi: — *Madame la Comtesse*, niech pani będzie spokojna; nikt lepiej odemnie nie zna temperamentu jej męża; każda rzecz na nim robi gwałtowne wrażenie, ale nie na-długo: to prawdziwa natura francuzka. Wielkie jest w nim wzruszenie, lecz to się już zaczyna uspakajać. *Monsieur le Comte* pojutrze wyjedzie, a jeżeli pozwoli, ja sam od-prowadzę go aż do Paryża.

— Ach mój kochany Sio, wykrzyknęła Zosia, biorę cię za słowo. Największy możesz dać dowód przyjaźni mojemu mężowi, a bądź pewny, że potrafimy odwdzińczyć się za tę ofiarę.

— Żadna ofiara, *Comtesse*. Zaraz stąd pójde do Kró-la prosić go o urlop trzymiesięczny. Jak mu powiem, że stan zdrowia *de mon cher Comte* wymaga mego stara-nia, zaręczam, że nie odmówi, bo Król zawsze go sza-cuje i kocha.

Ludwik podał mu rękę i ścisnął go z czułością.

— No, dodał Sio, rzecz umówiona: jutro rano kąpiel, po obiedzie przenoszę się do państwa z mojem zawiniat-kiem, a po jutrze, o dziesiątej zrana, pal z bicia woźnico!

Zaręczam że go w całości dowieziemy, a choć ma zgryzoty, zaledwie na niego zawieje wietrzyk francuzki, o nich zapomni, jakby się napił wody Letejskiej.

Staroscina wyszła na chwilę, ale wzięła trzymając w rękę ładunek złota.

—Mój kochany Sio, może masz jakie wydatki do opędzenia przed wyjazdem, oto na ich złatwienie. Rachuję na ciebie z zupełną ufnością.

—I Comtessa na nią się nie zawiedzisz; słowo Francuza jest przysięgą. Po jutrze tedy wyjeżdżamy; a jak Comtessa pozna brzegi naszej Sekwany, zapytam ją wtedy czy jeszcze pamięta o swojej ojczyźnie. Każdy kraj ma swoją piękność, ale Francję trzeba koniecznie widzieć.

Ludwik po zażyciu mixtury zdawał się być spokojniejszym; kazał przynieść dziecię swoje i z niem się bawił więcej godziny: kolejno pieścił córeczkę i całował ręce żony. Czasem łzy czułości zraszały mu żrzenice, czasem wdzięczny uśmiech odpłacał dowody przywiązania córeczki: bo Ludwisia już wyraźnie wymawiała *papa, mama*, umiała całować i brać za szyję. Wszakże wkrótce jakiś dziwny wyraz smutku zaległ rysy Ludwika; widać było że ta rodzicielska czułość go zmęczyła. Jeszcze raz pocałował dziecinę i oddał ją matce, mówiąc — może trochę wypocznę, jestem zmęczony, a do podróży pokrzepić się trzeba. Zosia odeszła z dzieckiem, które jeszcze rączki wyciągało do ojca. Po dwóch godzinach Ludwik kazał żonę zaprosić do siebie; ta znalazła go znacznie polepszonym; nawet dostrzegła w nim jakąś wesołość. Mówił jej przelotnie o różnych zdarzeniach młodości swojej, sięgając pamięcią owych chwil kiedy jeszcze zostawał w szkole rycerskiej w Lunewilu; i dodał:—mój aniele drogi, już i ja starzeję, bo zaczynam dawne czasy przenosić nad tera-

źniejsze. Ale tak jest w istocie, dawniejsi ludzie byli lepsi od dzisiejszych: naprzykład Stanisław Leszczyński—jaki to był dobry, jaki wspaniały Król, a wszystkie jego enoty opierały się na wielkiej pobożności. Ona go pocieszała w tych niefortunnych kolejach przez jakie przechodził, nim został ojcem najpotężniejszego monarchy, a wkrótce potem samowładnym panem ludu, który go czcił i kochał jak ojca.

Po kilku chwilach milczenia dodał.—Jak ty, mój aniele, i wy wszyscy co wierzyć możecie, jesteście szczęśliwi!

—A ty Ludwiku, czyż słowa naszej wiary na tobie żadnego wrażenia nie robią?

—I owszem, mój aniele, jej słowa są nadzwyczajnie piękne; ale jakże się przekonać że są prawdziwe, że są czem innem jak wytworem wyższego i głębszego od innych moralisty? Usiłowałem nakłonić mój rozum, żeby wierzył, tak jak wy wierzycie; bo w złych przygodach, czy może być coś więcej pocieszającego jak ta myśl, że zostajemy pod rozporządzeniem najmędrszej, najlepszej, najdoskonalszej istoty, która nas miłuje nad wszystko.....

—Ludwiku drogi, nie opieraj się tym pociągom co ich czasem doświadczasz; może to są natchnienia zesłane od Boga, któremi przenika do twojego serca. Uczyń sobie przymus, uczęszczając do kościoła, dzielając nasze nabożeństwa, a Bóg nagrodzi twoje usilności, że bez trudności uwierzysz w Jego słowa.

—Nie mój aniele, to być nie może; nie mnie nie powiesz takiego, czego bym sam sobie nie mówił. Przez ręce twoje posyłam jałmużny klasztorom, cierpiącego bliźniego nigdy od siebie nie odepchnąłem, obrazek, coś mi go dała, nosić nie przestaję, cóż więc czynić mogę?

Ale jak wejdę do waszego kościoła, im więcej pragnę zjednoczyć myśl moją z myślą tych co się w nim zbierają, tym więcej wszystkie niedorzeczności waszej wiary napełniają mnie wstrętem. Czy podobieństwo wyzuć siebie z własnego rozsądku, jakby w nas była jakakolwiek zdolność wyższa od niego. Całe rusztowanie, na którym się wznosi gmach religii, niczem innem nie jest, tylko obawą śmierci; a właśnie zastanowienie się nad śmiercią przekonuje, że to, co mówią o następnym jakimś życiu, jest ułudą bojaźni i pychy. Jakże przypuścić, że po utracie wszystkich zmysłów, będę sądził, czuł, cierpiał i miał przekonanie mojego jestestwa? Jest w tém niedorzeczność, sprzeczność w wyrazach: wolno nazwać śmierć życiem, ale rzeczywiście śmierć jest śmiercią. Śmierć jest wiecznym snem, ale bez marzeń, śmierć jest ostatecznym końcem wszystkich rozkoszy i wszystkich udręczeń.

—Przestań Ludwiku tak mówić; patrz jak cała drzę z bojaźni ciebie słuchając. Pamiętaj że mamy dziecię, w którym skupiamy wszystkie nasze nadzieje; nie ściągać na nie Boskiego gniewu. I jakby żałując, że mu się nazbyt cierpko odezwała, zawiesiła się jemu na szyi mówiąc: — Ludwiku najdroższy, oddalaj podobne myśli od siebie; nieprzyjaciół twojego szczęścia tobie te myśli podaje. Ty masz zgryzoty nowe, których przenikać nie chcę, czekam aż je sam wynurzysz na łono najwierniejszej twojej przyjaciółki; ty nie umiesz znosić przeciwności i bierzesz szemrania niecierpliwości za głos rozsądku. Jak opuścisz ten kraj, który smutnemi przypomnieniami rozdziera serce twoje, jak się zupełnie uspokoisz, inaczej będziesz na wszystko spoglądał. Bądź mężnym Ludwiku, umiej znieść złe przygody, większe to jest zwycięztwo, niż to które z bronią w ręku się otrzymuje. I nowe pieszczo-

ty usiłowały wstrzymać tę duszę osłabioną, chorowitą, schylającą się na oślepu ku przepaści.

Około czwartej po południu przyniesiono mu potrawkę z jarząbków, ulubiony jego specyał. Zosię to wielce ucieszyło, że zjadł całego jarzabka i wypił spory kieliszek Bordo; to go tak orzeźwiło, że kiedy Sio przybył z uwiadomieniem, że Król nie tylko mu pozwolił jechać z nimi, ale zalecił mieć szczególne staranie o zdrowiu Ludwika, ten okazał się nawet rozweselonym. Wkrótce potem cześnikowa przyjechała do nich na wieczór: nadzwyczajna wesołość Ludwika ją nieco zastanowiła, bo zbliżała się do dzieciinności. Naprzykład opowiadał różne anegdotki kozzar francuzkich, czasem dość śliskie, on, którego rozmowa zawsze była nacechowana najdelikatniejszą przywoitością; potem, co także nigdy nie bywało, opowiadał ze wszystkimi szczegółami romans swój z margrabiną de Pompadour. Między innemi, jak Król do niej przyszedł tak niespodzianie, że nie miał innego sposobu ukrycia się, tylko wdrapał się w komin, gdzie więcej godziny bez najmniejszego poruszenia musiał wisieć w najniwgodniejszym położeniu, i że o mały włos się nie udusił. Dopiero po wyjściu Króla spuściwszy się z komina, tak był obrudzony, obdarty, włosy tak rozczochrane, że margrabina na jego widok na całe gardło śmiać się zaczęła, a nie mogąc ani się u niej przebrać, ani wyjść na ulicę musiał w jej gabinecie czekać nocy, pod której dopiero płaszczem dostał się do swojego mieszkania, gdzie sługi poprzestraszał swoim zjawieniem. A potem dodał: człowiek pod koniec zawodu swojego lubi przypominać sobie wypadki młodości, bo *post mortem nulla voluptas*, nieprawda mój doktorze? I to wszystko mówił tak prędko, mowę swoją przerywał śmiechem tak głośnym, że cześni-

kowa cicho powiedziała doktorowi:— Czy nie uważasz, że on się zdaje być w stanie gorączkowym; ale Sio jej odszepnął: — Nic to! są to wysoki umysłu niesłuchanie wrażliwego. Jak się wyśpi, a jutro się wykąpie, wszystkie humory się zrównoważą; ja się cieszę, że się rozgaduje, tém wzbrania przystępu smutnym myślom. I to zauważyła cześnikowa, że on zawsze wstrzemięźliwy w jedzeniu i napoju, jadł ledwo nie z żarłocztem wieczerzę, wypił kilka kieliszków wina, i co chwila czerpał w tabakierze doktora, on, który przedtém zapachu tabaki znieść nie mógł.

Było już dobrze po północy, kiedy to małe towarzystwo się rozeszło, bo ile razy czy cześnikowa, czy Sio chcieli go pożegnać, Ludwik ich nie puszczał, aż póki sam nie uczuł gwałtownej potrzeby spoczynku. Cześnikowa wychodząc oparta na doktorze, powiedziała mu spuszczac się ze schodów:— Mów co chcesz doktorze, a ja jestem niespokojną o Ludwika, obaczysz że on zapadnie znowu, on był cały ten wieczór jakby w obłąkaniu; jutro rano do nich przyjadę.

Ludwik szybko zrzucił co miał na sobie i położył się na łóżku żony, natychmiast zasnął i tak twardo, że już było po dziesiątej zrana, kiedy się ocknął. Gdy oczy otworzył, pierwszy przedmiot, co go uderzył, była Zosia siedząca przy łóżku i oczekująca jego przebudzenia. Jak wiadomo dzień jutrzejszy byłznaczony do wyjazdu. Ludwik rzucił szlafrok na plecy, zbliżył się do żony i powiedział jej:

— Dawno nie czułem się tak dobrze.

Jednak zauważyła, że był bladszym niż wczoraj.

— Moja droga, rzekł do niej, miałem dziś rano pójść do kąpieli, czy kazałaś mi ją przygotować.

— Wanna czeka na ciebie w twoim gabinecie, jak kazałeś.

— Mój aniele drogi, pamiętasz, że kiedy mi zawiesiłaś na szyi obraz blaszany, dałem ci słowo, że oprócz ciebie samęj nik go nie zdejmnie; weźże go droga Zofio, a jak wyjdę z wanny, ty znowu na mnie go włożysz.

Zosia zdjęła obrazek i machinalnie zawiesiła go na sobie.

Ludwik przycisnął jej czoło do ust swoich, i wychodząc ukłonił się jej nisko. Coś wtedy było tak dziwnego w jego spójrzeniu, że Zosia przełękła się sama nie wiedząc czego; przez kwadrans ruszyć się z miejsca nie mogła; ale potem pobiegła do gabinetu męża: zastała Ludwika przy kantorku swoim, właśnie układał jakieś papiery, podczas gdy słudzy chłodzili mu wodę, która mu się wydała zbyt gorącą.

Kiedy weszła, Ludwik rozśmiał się głośno, mówiąc:— Wiesz mój aniele drogi, co mi przyszło na myśl: pocziwa cześnikowa ma męża tak stratnego, że to starostwo, co im odstąpiłem, nie będzie owsem który konia podkarmini, ale tylko ostrogą, która go popędzi kilka minut, a żał mi jej, bo choć u niej głowa pusta, ale ta kobieta ma serce; na wypadek nieszczęścia ona ci może być bardzo pomocną.

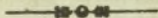
W tym dał się słyszeć turkot pojazdu; Ludwik zbliżył się do okna — a oto właśnie karetka cześnikowej; idźże ją przyjąć, a ja jak wyjdę z kąpieli, do was przyjdę. Mój aniele, wywołaj za sobą mojego Medora, on tylko mnie i tobie jest posłuszny; bo jak mnie zobaczy w wannie, do niej zechce wskoczyć i wszystko mnie zabryzga w gabinecie. Do zobaczenia kochana żono.

Zosia nie bez trudności zabrała z sobą Medora, bo z uporem nie chciał opuścić pana swojego. Zosia zeszła do swojego apartamentu, gdzie już zastała cześnikową. Po odżyczeniu sobie ducha dobrego,—wiesz moja Zosiu, rzekła cześnikową, że tak byłam niespokojna o twojego męża, że nie wypawszy się, do was przybiegłam. Wczora wieczór on gadał wyraźnie jakby z gorączki; a teraz jak idzie jego zdrowie?

—Bardzo dobrze, moja siostrzyczko, kąpie się, i jak wyjdzie z wanny, zaraz do nas przyjdzie.

Tu Medor zaczął wyc przeraźliwie, Zosia zadzwoniła, wszedł lokaj.—Wyprowadź tego psa, powiedziała. W tym silny wystrzał dał się słyszeć w samym domu; obie damy zerwały się z miejsc swoich. Co to jest krzyknęła Zosia. Po chwilach kilku drzwi się otworzyły ze stukiem. Kozak starosty wpadł i powiedział tylko te słowa: *«Już po naszym panu.»*

—Zosia padła bez przytomności.



XX.

O s t a t n i.

Kobięty pani starościny zaczęły ratować panią, a pani cześnikowa czem prędzej pobiegła do gabinetu jej męża.— Przebóg jaki widok przedstawił się jej oczom: Ludwik siedział w wannie nieżywy, a twarz jego była krwią zbroczona, a jego mózg obił się o pułap. Pokazało się, że Ludwik wszedłszy do wanny wypalił sobie w gębę z kieszonkowej krucicy. Kantorek jego stał otworem; na nim leżały wexle, wszystkie indosowane na imie jego żony. Przy tych wexlach był papier własną jego ręką zapisany i jeden numer gazety Lejdejskiej: w gazecie doczytano się artykułu, który był przyczyną tego nieszczęśliwego wypadku. Oto jest jego wyjątek:

Lille 10 Stycznia.

«To miejsce było przed kilku dniami świadkiem nader smutnego zdarzenia. W restauracyi tutejszej pod Jeleniem zbierają się oficerowie regimentu Nawarry tu konsystują-

cego, nikt prawie z osób cywilnego stanu, a żaden przejezdny gość jej nie omija. Zaczęto mówić o świeżem ocaleniu Króla polskiego; bo cała nasza publiczność teraz jest tém zajęta. Pospolicie to ocalenie przypisują hrabi Strawińskiemu, który po kilkunastoletniej zaszczytnej służbie w wojsku francuzkiem, na wezwanie Króla Polskiego opuścił ojczyznę swoją przybraną i we własnej został sekretarzem Stanu. Mówią że dla lepszego wysłużenia się Królowi, zobowiązał się zrobić mu ofiarę z rodzonego brata, za co Król obiecał zrobić go senatorem. Ten brat był jednym z najzawziętszych przeciwników królewskich i dał siebie zamieszać do spisku w Częstochowie związanego, by Króla gwałtem wywieść z Warszawy i dostawić go do konfederacyi. Obaj bracia, acz służąc przeciwnym sobie stronnictwom, żyli z sobą w stosunkach ściślejszej przyjaźni; nawet przeciwnik królewski, powodowany affektem braterskim nie chciał korzystać z testamentu ojca którym całkowity majątek jemu odkazywał z zupełnem wydziedziczeniem brata; on owszem brata do równego działu z sobą przypuścił. Wszakże sekretarz stanu, mimo siebie puszczając pamięć takowej wspaniałomyślności, przywabił brata i wydał go Królowi, który go rozkazał dekretować na śmierć jako królobójcę. Wyrok spełnionym został ostatnich dni Listopada. Ten brat wyrodney nie otrzymał jednak spodziewanej nagrody; senatorowie mieli przyjsć do Króla prosząc go o cofnięcie obietnicy swojej, gdyż oni téj krzywdy sobie nie uczynią by mieli z bratobójcą zasilać. Z tego powodu Król ze swoim sekretarzem stanu, dość źle się rozstali. Piszą z Warszawy, że ów człowiek spodlony opuszcza Polskę i chce na nowo osiąść we Francyi, gdzie jednak dobrego przyjęcia spodziewać się nie może.

»Kiedy o tém za stołem mówiono, głos wzgardy dla pana Strawińskiego dał się słyszeć powszechnie od wszystkich siedzących, a najgłośniej odzywali się dwaj bracia Montigny, potomkowie świetnego rodu, obaj oficerowie w pólku Nawarry, których jednoś i wzajemne ku sobie przywiązanie było przytaczane powszechnie jako wzór do naśladowania. Na nieszczęście hrabia Mycielski, kapitan gwardyi królewskiej, blizki krewny pana Strawińskiego, przejeżdżając przez Lille, poszedł był do tejże restauracyi, i słyszał tę rozmowę. Nie mogąc znieść obelg miotanych na krewnego, od tych dwóch młodych oficerów, powiedział im w najgwałtowniejszem uniesieniu, że tylko podli ludzie mogą potępiać człowieka zasłużonego, nie wysłuchawszy tego co on na swoją obronę powiedzieć może.

Pojedynek nastąpił, którego rozwiązanie, że obaj bracia Montigny polegli, a hrabia Mycielski ranny bardzo niebezpiecznie. Żal powszechny, jaki się dał widzieć w publiczności, na pogrzebie tych zacnych młodzieńców, najlepiej przekonywa o ich cnotach.»

Papier własną ręką Ludwika zapisany był list do żony w następującej treści:

»Przebacz najdroższa kobieto, ten cios co go zadaje sercu twojemu. Jest to ofiara którą dla ciebie i naszego dziecka uczynić musiałem: życie moje, przepełnione goryczą i hańbą, byłoby dla ciebie niewyczerpaném źródłem upokorzenia, a naszemu dziecku zawadą do pomyślnego losu. Wytykanoby was palcami, jako żonę i córkę człowieka, który cześć utracił; nie mam prawa istot niewinnych a dla mnie tak drogiech pograżać w mojej niedoli.

»Odczytaj gazetę obok tego listu położoną a z niej przekonasz się jakie by nadal było moje przeznaczenie.

Już nie można okazywać dla mnie życzliwości bez narażenia swojego zdrowia; i Bertrand może już życiem przypłacił nieszczęście być moim bratem. Przyszedłem do tego kresu, że za mną się ujmują, jakby za niedołączną istotą, która od wszystkich potrzebuje wsparcia. Honor nie pozwala mi dłużej zostać w podobnem położeniu; życie moje dla mnie samego ciężarem, dla wszystkich mnie blizkich jest nieszczęściem: i siebie i ich wyswobodzę. Gdybym ciebie nie znał lękał bym się śmierci, myśląc że mnie nie przeżyjesz; ale znam twoje przywiązanie dla naszego dziecka, ono potrzebuje troskliwej matki; poruczam tobie dziecię i umieram spokojnie, bo wiem że na podwójne sieroctwo ją nie wskażesz.

»Cały nasz wspólny majątek jest teraz twoją własnością. Opuść ten kraj nieszczęśliwy i przenieś się z naszą córką w jakąś ziemię oddaloną, gdzieby moje imię nie było tak często wspominanem jak w Polsce lub Francyi. Nim nasza córka wyrośnie, wszędzie zapomną o jej nieszczęśliwym ojcu, a z majątkiem twoim nie będzie ci trudno znaleźć dla niej odpowiedniego męża. Jej ojciec nie był nigdy zbrodniarzem, był tylko igrzyskiem nieprzyjaznego losu, a jeżeli ciążyła na nim jaka wina, umiał za nią sam siebie ukarać. Bądź szczęśliwą, droga żono, żegnaj cię i jeszcze raz polecam twojej pieczy dziecię nasze. Oczekuję spokojnie przyszłości jaka mię spotkać może.«

Był także pakiet opieczętowany dla Króla; dowiedziano się później że w nim żadnego listu nie było, tylko insygnia orderów co je był z jego łaski otrzymał.

Taki był koniec obu braci Strawińskich; żadnych uwag nad tym ich końcem nie pozwolę sobie; zostawię to czytelnikowi, a jeżeli obrok duchowny sam dla siebie z niniejszego pisma zdoła wyczerpnąć, moja praca aż nadto będzie nagrodzoną.

K O N I E C.

XXI.

E p i l o g.

Pani starościna zniosła swoje nieszczęście z wytrwałością i odwagą jakie tylko Religia dać może. Zwłoki męża wywiozła na Szląsk i tam okazały pogrzeb im sprawiła, gdyż w Polsce znalazła nieprzełamane trudności, do złożenia tych zwłok na poświęconém miejscu. Następnie zajęła się wyłącznie swoją córką. Wszakże jakkolwiek pogoda nie zdawała się opuszczać jęj lica, musiała jednak uczuć swoje nieszczęście kiedy nagle osiwiiała, i bladość na zawsze wygnała różę młodości z jęj twarzy. Przeniosłszy się do Włoch, nabyła znacznych posiadłości w okolicach Loretu, i w nich osiadła, pod pieczęcią N. Panny, której zawsze była gorliwą zwolenniczką. Dotąd w skarbcu loretańskim pokazują te bogate klejnoty, które jęj kiedyś przysłał Ludwik, kiedy to jeszcze miała być żoną jego brata. Najgruntowniejsze wychowanie dała swojej córce, która w siedemnastym roku życia swojego poszła za hrabiego Bevilacqua, Patrycyusza Bonońskiego, znakomitego

młodzieńca: a tak ubezpieczywszy los swojej Ludwiki, pani starościna osiadła w Rzymie w klasztorze panien Ursulinek, którego została dobrodziejką, i wszystkie swoje żądze do Boga tylko obróciła. Przyjmowała u siebie nawiedzających ją przyjaciół, i dla przejezdnych rodaków, którzy u niej bywali, zawsze była wielce uprzejmą. Roku 1819 jeszcze ją zastałem żyjącą, i często ją widywałem; podziwiałem jej starość tak piękną; twarz blada ale bez zmarszczek, oko granatowe, którego żywotność wiek jeszcze nie był zgasił, nigdy mnie nie wyjdą z pamięci. Ojczystej mowy nie zapomniiała, owszem lubiła po polsku rozmawiać, i córka jej, lubo w niemowlęctwie opuściła rodzinę, lubo na obcej ziemi i wzrosła i zestarzała, tak dobrze mówiła po polsku, że po kąd żyła, w tym języku pisywała do matki i od niej odbierała listy. Litwa nie przestała nigdy tkwić w pamięci pani starościny, i rada była przysłuchiwać się szczegółom które jej przynosiłem o różnych tamiecznych domach. Raz zapytałem jej, czy nie tęskni czasem za naszą Litwą; ona pokazując palcem niebo, odpowiedziała mnie poważnie:— tam jest moja ojczyzna i za nią jedynie tęsknię. Już jej córka wtedy nie żyła, ale jej wnukowie często ją nawiedzali w Rzymie. Otrzymałem z jej rąk dar, który zachowuję z największą troskliwością: jest to portret księcia Karola Radziwiłła, Wojewody wileńskiego w pierścionku oprawny; był to spadek po generale Kunickim. Moje częste rozmowy z tą zacną staruszką posłużyły mnie wiele do układu tego pisemka. Kiedy drugi raz przybyłem do Rzymu w dziesięć lat potem, już jej nie zastałem; uczciłem tylko jej zwłoki w pięknym grobowcu złożone w Kościele Ursulinek, gdzie ostatnie trzydzieści lat życia przepędziła.

Hrabina Bevilacqua, ile o niej wiadomości zasięgnąć mogłem, bo jej osobiście nie znałem, była kobieta pobożna, światła, wzorowych obyczajów, a chociaż nie wzięła w spadku czarującej urody swoich rodziców, była jednak miła i powabna. Jej mąż w czasie pierwszych zamieszkań włoskich był z liczby stronników Francyi: kiedy się utworzyła Rzeczpospolita Cyzalińska, został mianowany prefektem w Forli. Roku 1798 generał Dąbrowski, dowódca legionów polskich, przechodząc przez Forli, z korpusem oficerów nawiedzał prefekta; ten ich przyjął w obszernym salonie, gdzie między innemi obrazami, wisiały dwa portrety, jeden młodzieńca w sukni dworskiej z orderem Śgo Stanisława, drugi wyrażał starca w kontuszu mundurowym kawalerji narodowej. Pierwszy obraz musi być znany czytelnikowi, drugiego następna historia: xiądz Nowochacki był odmalował generała Kunickiego, pedzłem zwyczajnie swoim, ale dziwnie schwycił podobieństwo; pani starościna wywiozwszy do Włoch ten obraz, kazała go przekopijować przez jednego z najpierwszych tamecznych malarzy, i tak został ozdobą salonu. Zastanawiali się i generał i oficerowie nad temi obrazami przypominającemi im Polskę, ale jakież było ich zadziwienie kiedy gospodyni domu, wyszedłszy na ich przyjęcie zaczęła do nich najczystsza polszczyzną i nauczyła ich że to są portrety jej ojca i jej dziada.

Hrabia Mycielski wyleczył się z otrzymanej rany, kiedy to tak szlachetnie piersią swoją zasłaniał sławę brata; jednak i on pory swojej nie dożył. Postępując w zawodzie rycerskim, byłby niezawodnie doszedł do najwyższych zaszczytów, ale na wojnie wszechceter między Francją i Anglią o niepodległość Amerykanów, będąc już pół-

kownikiem poległ na zwyciężkiej wyprawie wyspy Tabago, żadnego potomka nie zostawując.

Państwo cześnikowstwo Litewskie nierządem strwonili cały majątek, lubo częstą pomoc odbierali od Króla. Pani cześnikowa pomimo swojej lekkomyślności, zawsze najlepsza kobieta, zachowała do końca listowne stosunki z panią starościna: nawet około roku 1788 kiedy córkę wydawała za hrabię Bevilacqua, cześnikowa zjechała na to wesele aż na brzeg morza Adryatyckiego, żeby po raz ostatni widzieć cioteczną siostrę i cały rok z nią przepędziła. Jój związki z xięciem Waraginem statecznością swoją przybrały niektóre cechy, uprawniające takowe związki, w przekonaniu wielu osób światowych; to pewna, że przynajmniej nie chciała dłużej zostać z mężem w fałszywem położeniu. Bez rozwodu, bez kłótni, owszem zachowując dla siebie wzajemną życzliwość, najspokojniej rozeszli się z sobą. Kiedy Król Poniatowski, przeniósł swoje mieszkanie do Petersburga, cześnikowa była z małej liczby osób jego dworu, które go opuścić nie chciały. Król jój nazначzył pensją dożywotnią sześćset czerwonych złotych na rok, którą po śmierci Króla rząd nowy najakuratniej jój wypłacał. Jeszcze pamiętają jak w pierwszych latach XIX wieku zbierali się u niej na wieczory, rodacy z prowincyi przybyli dla interesów; żadnemu z nich nie szczędziła pomocy, i wstawienia się, a babeczka miała swoje stosunki w stolicy. Xiążę Waragin tak jak i ona już był zestarzał, ale ich miłość wzajemna, przemieniła się w najstalszą przyjaźń i tę dochowali do śmierci. Cześnikowa w ostatnich latach życia wpadła w dewocję i można było u niej spotkać mnóstwo xięży, starających się w stolicy o beneficya duchowne. Do ostatniego dnia zachowała swój wesoły do-

weip, i pobłażanie na słabości ludzkie, ztąd powszechnie była żalowana. W Kronsztacie w kościele łacińskim można widzieć pomnik jęj wystawiony kosztem xięcia.

Jęj mąż, po upadku kraju, już nie mogąc żyć bez dworakowania, osiadł w Puławach, pod opieką xiążęcęj purpury generała ziem Podolskich. Mała kompensacya co ją od rządu pruskiego pobierał za starostwo wieluńskie, i szczodrota xięcia, były jedynym jego funduszem aż do śmierci. Pan Gintowt był do końca przedstawicielem, a raczej relikwią dawnęj dworszczyzny: głowę miał zawsze ufryzowaną, silnie upudrowaną, długą suknię francuzką, najczęściej krzyczącego koloru. Wstęga błękitna na sukni zarzuconą, sprzążki od trzewików kameryzowane, i na każdym palcu po kilka pierścionków. Prosto się trzymał, i co wieczór jakby *ex officio* prawił komplementa wszystkim damom, a najwięcej samęj xiężnie. Na wieczorach puławskich bawił towarzystwo biegłością swoję *dans les jeux d'esprit* 1) jako homonymy, zapisane pytania i odpowiedzi, kreślenie rebusów i zapychanie *bouts rimés*, to jest naciąganie sensu do końcówek gotowych, co w owym czasie uchodziło za poezyę. Do tego był laureatem w wynajdywaniu kalamburów, a słowo szarady choćby najzawilszēj do razu schwytywał. Do tych szermów dowcipowych, przykładał największe znaczenie, i był ich wielkim promotorem. Oprócz tego był purystą w mowie francuzkēj. Kiedy po upadku kraju, zaczęto się brać szczerze do ożywienia literatury ojczystej, pan Gintowt poszedł za tym popędem i ostatnie lat dziesięć swojego żywota, poświęcił na wy-

1) Gry dowcipu które już i prowincya przysposobiła, zaniechawszy gotowalnie i cenzurowanego.

tłómaczenie wierszem poematu Saint Lamberta czterech por roku: często robił lekturę pieśni tego utworu. Przynoszono mu szklankę wody z cukrem, on zasiadał poważnie, w czytaniu przypominał słuchaczom żeby zauważali harmonię naśladowniczą niektórych okresów, zwracał ich uwagę na trudności dobieranych rymów, jak w jego końcówkach często rzeczownik spotykał się z słowem; a nadewszystko że najzawistniejsze ucho, w całym jego przekładzie cienia makaronizmu upatrzeć nie zdoła. Nawet mnóstwem nowych wyrażen wzbogacił naszą literaturę: i tak on pierwszy powiedział nocena zamiast siężyc, chronoblask zamiast parasol, zeszyt zamiast sextern, światłomiot zamiast luminarz, łysinochron zamiast peruka; ale co mu się najszczęśliwiej udało, zastarzały i nadto ogólny wyraz dworka, zastąpił utworzeniem wyrazu dogodnica, co już i filozofja narodowa przysposobiła. Xiążę generał pozwalał sobie czasem drwinkować z tych wielkich wynalazków, ale prócz niego wszyscy podziwiali trafność i śmiałość jego innowacyj; i jak tylko zawiązało się w Warszawie towarzystwo ludzi uczonych, został skwapliwie zaproszonym do braterskiego związku. Wszakże dziesięć lat nie wystarczyło do wygładzenia czterech pór roku: skończył trzy pieśni, i doglądał ośmnasty wiersz czwartej, kiedy śmierć go za-skoczyła; ale te trzy pieśni były wydrukowane jako dzieło pośmiertne z przedmową autora i krótkim rysem jego życia przez wydawcę. W przedmowie zwycięzko dowodził że dobre tłómaczenie ma nierównie więcej zalet, niż pismo oryginalne, czyli jak on go nazywał bezwzorne, gdzie się spostrzegać nie daje ani tworeczności ani talentu; że mowa polska, lubo co do swoich kształtów gramatycznych zbliża się do łacińskiej, wszakże duchem

swoim więcej ma styczności z językiem francuzkim, że Stanisława Augusta panowanie potomność uzna za najświetniejsze w Polsce, gdyż on otrętwiałe ukształcenie w niej obudził. Że on we wszystkiem przypominał Ludwika XIV, a chociaż nie sprostął jemu w szczęściu, wielce go przewyższył w zasługach. I dowodził to tém, że lubo za natchnieniem chrześcijańskiego Króla, Boalo wyszydził w swoim pulpicie ludzi kościelnych, wszakże był tylko świeckim, a Król Stanisław tak dalece cywilizacyę posunął, że Biskup i xiążę kościelny na publiczne pośmiewisko wystawił mnichów, przez swoją nieśmiertelną Monochomachią. Dalej przekładał ziomkom, żeby zamiast zaimku ty, nadto gminnego, i wyrazu wpan dobrodziej, nadto rozwlekłego i uniżonego, zwyczaili się mówić do siebie wy, nie tracąc nadziei, że cywilizacya coraz wzrastająca pod pieczołowitem skrzydłem Towarzystwa Przyjaciół Nauk rozpowszechni ten tok w narodzie. Jakkolwiek bądź, wiersze jego przekładu niemałe zrobiły wrażenie w ówczesnej publiczności. A co się tyczy stylu i głębokich uwag jego przedmowy, powiem tylko, że jeden ze świetniejszych członków towarzystwa, w pochwalę jego, czytanej na posiedzeniu uczonego areopagu, oświadczył, że jako przekład świątyni w Kuidos, jest najświetniejszym pomnikiem poezyi narodowej, tak przedmowa do przekładu czterech pór roku, jest najważniejszem świadectwem potęgi języka polskiego w prozie. Że lubo w obrębie swoim to dzieło zdaje się być niewielkiem, doskonałością swoją olbrzymie przybiera rozmiary, i że on mając w swoim gabinecie oddzielną szafkę, gdzie zamyka sam dobór xiążek, w téj szafie nadał indigenat i pana Gintowta pisemku.

Wazgird po uspokojeniu kraju, powrócił na Litwę,

bywał na pokojach u xięcia Wojewody, ale już to nie był ten wesoły i dowcipny szlachcic, dusza nieświeżkich zabaw. Ponury, milczący, opryskliwy, poznał nakoniec, że jako jemu towarzystwo ludzi ciążyło, tak i on musiał być dla niego nieznośnym. Czas niejaki zakopał się na wsi ze swoim Skołubą, niebywając u nikogo, a często nawet chowając się od tych, co przybywali go nawiedzać. Nawet namiętność do polowania go opuściła, co niemało wszystkich, i samego Skołubę zadziwiło; nakoniec napasowawszy się z czarnymi myślami około dwóch lat, niespodzianie pojechał do Wilna, i tam wstąpił do ojców Bernardynów pod kierunkiem wielce od niego szacowanego ojca Kleofasa, który od lat trzech był magistrem *novitiorum*. Po odbytych nowicyacie, uczynił professyą zakonną, i dano mu imie Michała, co przyjął z niemałą radością. W studyach nie odznaczał się wielką zdadnością, nawet wymówił sobie żeby nigdy nie wymagano od niego kazania; ale za to dziwnie pięknie kantu się wyuczył. Zresztą duch jego tak się przejął zakonnością, że wkrótce na kapłana wyświęconym został. Rzecz trudna do uwierzenia, a jednak wątpliwości nie ulega, że ledwo się związał ślubem zakonnym, śledziona przestała mu dokuczać, tetryczność go opuściła, i został prawdziwym Bernardynem, pobożnym, ale wesołym aż do rubasznosci. Kiedy chodząc za kwestą ojciec Michał pierwszy raz zawitał do Nieświeża, xiążę panie kochanku z razu go nie poznał, ale potem nie posiadał się z radości, przez cały tydzień nie puścił go od siebie, dał sowitą jałmużnę na klasztor wileński, i pokoju nie dał ojcu Prowineyałowi, póki mu nie dał obedyencyi do Nieświeża. Uważano że ojciec Michał ile razy odmawiał Mszę świętą, przy *memento* łzami się zalewał, ale

w pożyciu był trefnym, dowcipnym, i równie wesołym jak kiedy był w świeckim stanie, wszakże zawsze z troskliwością unikał mówić o tém wszystkiém co się odnosić mogło do jego życia na świecie. Dawna jego porywczność miejsca ustąpiła najcierpliwszej łagodności, z którą się tylko raz ominął, od chwili kiedy się uroczyście zaparł świata. Gdy w początkach swojego zawodu, zawitał do jednego możnego domu, jakiś pan pewny, ostrzelany z nauką, alias półmędek, klęska towarzyska na jakiej u nas nigdy nie zbywało, a który był rezydentem w tymże domu, wyzwał go na dysputę religijną i zaczął siepać Bernacha bluźnierstwami otynkowanemi jakąś pozorną uczonością. Ojciec Michał nie był bardzo silnym w Teologii, ale miał gorącą wiarę: jak mu więc panicz dopiekl zuchwałością swoich argumentów, on, przypominawszy sobie świecką naturę, antagonistę niemiłosierdzie wychłostał ogórkami; ale to była ostatnia reminiscencya starego człowieka, odtąd podobnej niecierpliwości nigdy nie okazał. Jednak zawód zakonny ojca Michała nie ścieśniał się wyłącznie w praktykach klasztorowego życia. Roku 1792 poszedł na kapelana do ósmego pułku litewskiego, i pod Sałantami przypominawszy sobie czasy konfederacyi, z krzyżem w ręku wysunął się naprzód przed żołnierzami; zaraz obsypany został gradem kul nieprzyjacielskich, habit wyglądał jak rzeszoto, jedna tylko kula trafiła go w mięksiz od uda, i musiano go zostawić w Cytowianach u Bernardynów tamecznych, gdzie leżał kilka niedziel. Umarł *in odore sanctitatis* gwardyanem konwentu nieświeżskiego, ostatniego roku zeszłego stulecia.

Xiądz Prosper, bardzo silnie uczuł wszystkie wypadki niewodowskie, i nie mało łez uрониł nad śmiercią swo-

jego sędziwego krewnego. Opuścił Litwę i osiadł w świeżo erygowanym Królestwie Galicyi, gdzie miał stosunki familijne, a nawet majątek nieruchomy. Właśnie wtedy cieplice Karlsbadzkie zaczynały być w modzie; tam się udał po kilkakrotnie, i odzyskał zdrowie, a z nim jednostajność humoru i tę cierpliwość w obcowaniu która uprzyjemniając stosunki, dopuszcza nauce i wysokiemu światłu być pożytecznemi. Przy zdrowiu odzyskanem opuściły go i te dziwaczne skrupuły, któremi dotąd i siebie dręczył, i naprzykrzał się drugim. Uprzyjemniona tym sposobem jego pobożność więcej dusz pozyskała Bogu, niż te wszystkie rozprawy i przytaczania teologiczne, któremi szafował bez przestanku, a których już zupełnie zaniechał. Cesarzowa Rzymska wyniosła go na biskupstwo do którego od lat kilku powszechna opinia go powoływała: w tym nowym swoim zawodzie, poświęciwszy się zupełnie życiu czynnemu, okazał w osobie swojej wzór stateczny dla wszystkich pasterzy. Bywał w Rzymie *ad limina apostolorum* dla pokrzepienia siebie w powołaniu, ale zostawszy dostępniejszym dla duchowieństwa ojczystego, przestał myśleć że tylko w Rzymie kapłani są zupełnie cuotliwi i uczeni; poznał że i między swojami byli ludzie ze wszech miar wzorowi i takimi się otoczył.

Skołuba, obdarzony od pana swojego i od nioboszczyka wojskiego, mógłby sobie żyć biorąc w dzierżawę cudzą rolę, jak zwyczajnie szlacheć nie źle się mający; ale już i jemu życie stargane nietyle wiekiem ile złemi przygody, ciężać zaczęło. Zaraz po odbytej metamorfizie Wazgirda, jak go tylko usadowił w Nieświeżu, Skołuba ulokował swój kapitał u xięcia Wojewody, a sam założył blech przy klasztorze Bernardynów nieświeżskich

i tam osiadł, blisko dawnego swojego pana. Co niedziela występował na pokoje zamkowe, w porządnym kontusz, w litym pasie, i z karabelą w jaszczur oprawną, którą mu dał na pamiątkę pan chorąży Chłusowicz, wykupując tym sposobem swój sygnet herbowny. Xiążę Wojewoda był mu rad, bo go lubił, i często z nim rozmawiał; ale resztę tygodnia w kapocie sierakowej, zajmował się swoim blechem. Wszakże to zatrudnienie nie przeszkadzało mu wymykać się na hulankę do oficerów milicyi nadwornej xięcia, z którymi pomimo napomnień ojca Michała, nadto często używał miłej rozrywki. Ta jedna pozostała mu słabość, że nie umiał wzgardzić kuflem z dobrém sercem w jego ręce wypróżnionym: ale oprócz tego był zawsze jednym z najpoczeiwszych i najpobożniejszych ludzi. Zachował do końca jakąś wziętość między szlachtą, i nie jeden obywatel karmazynowy, zawitawszy do Nieświeża, nawiedzał Skołubę blecharza, jeszcze niedawno zawołanego konfederata. On lubił rozmawiać *de praeteritis*: miło mu było kiedy kto mu przypomni potyczki na których dokazywał; wtedy już mu się gęba nie zamyka, ale w przyszłość nie lubił sięgać 1). Zresztą nigdy się szczerze nie pogodził z Królem Poniatowskim. Wszakże, lubo silnie zbudowany, nie doczekał się starości późnej. Pojechał był na Pobereże za

1) Wielkie są stosunki między prawdziwie wysokiem ukształceniem, a rodzimą prostotą rozsądku poczeiwego. Ani rozsądny prostak, ani człowiek uczony, nie lubią przesądzać o przyszłości, ale lubią mówić o rzeczach przeszłych; bo nadto są przywykli wędrować po szlakach im świadomych, żeby się odważyli puszczać w krainy nieznane, gdzie co kroku zbłądzić mogą. Przeciwnie, dla półmędrków, dla półgłówków, rozmawiać o przyszłości jest rajem; rozumie się nie

kupnem wosku do swojego blichu; w ciągu tej podróży zajechał do jednego tamecznego obywatela, i u niego kupił wosku za kilkaset złotych; obywatel zatrzymał go na wieczerzę i nocleg. Było to zimową porą: na wieczerzy nakarmiono go wieprzowiną, widać nieświeżą, i napojono tym dżalaczem z Mołdawii sprowadzonym, który przywłaszczał sobie nazwisko wina, a jeszcze na dobitkę, ulokowano go w kwaterze oczeretem ogrzanęj. Poczeiwe Litwinisko znieść nie mogło tej próbki życia pobereckiego; oczadział nieborak i dostał niestrawności; a choć to nazajutrz niby przeszło, choć uciekł z tego domu przy pierwszych brzaskach poranku, i skwapliwie z transportem swoim zdążył do naszej Litwy, odtąd ciągle cherlał. Skończył w pierwszych początkach czteroletniego sejmu; i miał tę pociechę że dawny pan dysponował go na śmierć.

Flicz ożenił się z owdowiałą po Kieściu szynkarką. Wedle jej planu kupili sobie kamieniczkę w Warszawie i gosposia bawić się zaczęła lichwą, ale co ona zarobi, mają nierównie więcej przepije. Tak się nakoniec rozłajdaczył, że z szynkowni prawie nie wychodził, tylko do domu, gdzie bywało porywa pierwszą rzecz co znajdzie pod ręką, i to wynosi do swojej głównej kwatery. Przyszło do tego, że kufer żony odbijał; mnożyły się o to częste swary w małżeństwie, a te się na tém zwykle kończyły, że Kubuś niemilosiernie Jewkę obije. Nakoniec

o tej przyszłości co ją nam wiara objaśniła, lecz o przyszłości doczesnej, a niczém nie objaśnionej. Ale o czémże będą mówili? Przeszłości nie znają; bez obawy być zawstydzonemi, o niej odezwać się nie mogą. Najwygodniej rozprawiać o rzeczach nikomu niewiadomych, żeby bezkarnie o nich bredzić.

runął ten gmach wyniesiony niegodziwym przemysłem. I mąż i żona przyszlizli do ubóstwa. Fliczowi zapaliła się gorzałka w żołądku, że go nie można było odratować, a Jewka zupełnie zdrowie straciwszy, do śmierci, która wkrótce potem nastąpiła, żyła z małej pensyi, co ją Król kazał jej wypłacać.

Cesław Buńczukiewicz, przy dobrym zapisie od swojego pana, dobrawszy sobie porządną gospodynię za małżonkę, a biorąc majątki w dzierżawę, przy statku, staranności i pracy dorobił się grosza. Ale że mu było markotno w Litwie, gdzie nazywano go pan szatny, wyniosł się na Ukrainę, gdzie trzymając znaczniejsze dobra, coraz lepiej mu szły interesa, szczególnie po zabozowaniu się wzbogacił, bo kupił tanio wielkie dobra, które wzrost Odessy podniósł do wysokiej ceny. Jego potomkowie są możni teraz obywatele; jakem słyszał mają gruntowne dowody, że im tytuł hrabiego przynależy, i to promowują, a może im Bóg pomoże. Jeszcze się nie podpisują hrabiami, ale już na biletach wizytowych co je w obieg puszczają w Berdyczowie na Sty Onufry, i w Humanu na Sty Piotr, widzieć można koronę hrabiowską nad ich nazwiskiem. Są to ludzie godni, rej wodzą silnej partyi na wyborach, i wyćwiczeni w Krzemieńcu, mają być bardzo uczeni i wielce wymowni. Ojciec Kleofas, *satiatus annorum*, już dawno umarł, toż samo i xiądz Nowochacki, toż i inni, bo jak powiedział xiądz Narwojsz w kazaniu pogrzebnym przy zwłokach xiężniczki Taidy Wiśniowieckiej: »Świat jest kopalnią gdzie pokolenia leżą warstwami, aż poki na głos trąby to wszystko nie powstanie.«

Treść Tomu Drugiego.

	<i>Stronica.</i>
Rozdział I. Przedwstęp do Konfederacyi	5
— — II. Objawienie	21
— — III. Katastrofa	43
— — IV. Sługa dawnych czasów	81
— — V. Uwolnienie	81
— — VI. Spotkanie się Kolegów	102
— — VII. Wyjazd z Warszawy	116
— — VIII. Wielki Świat	137
— — IX. Król Stanisław August	157
— — X. Częstochowa	176
— — XI. Wyprawa do Warszawy	190
— — XII. Przeczucie	207
— — XIII. Wieczór na Wielkim Świecie	223
— — XIV. Karczma pod Marymontem	255
— — XV. Majestat Królewski	278
— — XVI. Zwycięztwo Starosty	291
— — XVII. Posłuchanie u Króla	306
— — XVIII. Więzienie	321
— — XIX. Zdarzenie Niespodziewane	342
— — XX. Ostatni	370
— — XXI. Epilog	375

w 396.

